



TESS GERRITSEN

Chirurg

W tym gatunku nie ma niczego lepszego.

Harlan Coben

CHIRURG

Z angielskiego przełożył JERZY ŻEBROWSKI

Tytuł oryginału: THE SURGEON

PODZIĘKOWANIA

Na specjalne podziękowania zasłużyli:

Bmce Blake i detektyw Wayne R. Rock z Komisariatu Policji w Bostonie oraz doktor Chris Michalakes za fachową pomoc.

Jane Berkey, Don Cleary i Andrea Cirillo za cenne uwagi na temat pierwszej wersji książki.

Linda Marrow, wydawca, za dyskretne wskazywanie drogi.

Mój anioł stróż, Meg Ruley. (Każdy pisarz potrzebuje swojej Meg Ruley!).

I mój mąż, Jacob. On szczególnie.

PROLOG

Dzisiaj znajdą jej ciało.

Wiem, jak to się stanie. Potrafię, sobie wyobrazić całkiem wyraziście ciąg wydarzeń, które doprowadzą, do tego odkrycia. O dziewiątej rano nadęte paniusie z biura podróży Kendall & Lord bada siedziały przy biurkach, stukając wypielęgnowanymi palcami w klawiatury komputerów, aby zarezerwować rejs po Morzu Śródziemnym dla pani Smith i wczasy narciarskie w Klosters dla pana Jonesa. A dla państwa Brown w tym roku coś nowego, coś egzotycznego: może Chiang Mai albo Madagaskar. Nic zanadto męczącego. Nie, nie. Przygodzie musi, nade wszystko, towarzyszyć komfort. To motto firmy Kendall & Lord: „Przygody z wygodami”. W ich biurze panuje duży ruch i często dzwoni telefon.

Paniusie szybko zauważą, że Diany nie ma w pracy.

Któraś z nich zadzwoni do jej domu w Back Bay, ale nikt nie podniesie słuchawki. Może Diana bierze prysznic i nie słyszy telefonu? Albo wyszła już do biura, tylko się spóźnia? Może być wiele powodów jej nieobecności... Ale z czasem, gdy nadal nie będzie odpowiadała na telefony, zaczną się niepokoić.

Przypuszczam, że to dozorca budynku wpuści koleżankę Diany do mieszkania. Widzę, jak potrząsa nerwowo kluczami, mówiąc: „Jest pani jej przyjaciółką? Na pewno nie będzie miała pretensji? Będę musiał jej powiedzieć, że pozwoliłem pani wejść”.

Wchodzą do mieszkania i koleżanka woła: „Diano? Jesteś w domu?”. Idą korytarzem obok oprawionych starannie plakatów biura podróży. Dozorca podąża tuż za nią bacząc, by niczego nie ukradła.

Potem zagląda do sypialni, widzi Dianę Sterling i przestaje się przejmować czymś tak banalnym jak kradzież. Chce tylko opuścić mieszkanie, zanim zwymiotuje.

Chciałbym być tam, kiedy zjawi się policja, ale nie jestem głupi. Wiem, że będą obserwować

każdy przejeżdżający samochód, wszystkich gromadzących się na ulicy gapiów. Zdają sobie sprawę, jak bardzo mnie kusi, żeby tam wrócić. Nawet teraz, gdy siedzą w Starbucks, wpatrując się w świat za oknem, czuję, jak ciągnie mnie do tamtego pokoju. Ale jestem jak Ulisses, który słucha śpiewu syren, przywiązany bezpiecznie do masztu. Nie rozbiję się o skały. Nie popełnię tego błędu.

Piję kawę, patrząc, jak Boston budzi się do życia. Wsypuję do filiżanki trzy łyżeczki cukru. Kawa musi być słodka. Lubię doskonałość. W każdym calu.

Z oddali słysząc głos syreny. Wzywa mnie. Czuję się jak Ulisses, pragnący wyrwać się z więzów, ale trzymają mocno. Dzisiaj znajdą jej ciało. Dowiedzą się, że wróciliśmy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rok później.

Detektyw Thomas Moore nie lubił zapachu lateksu. Wciągając gumowe rękawiczki i wzbijając chmurę talku, czuł jak zwykle, że zaraz ogarną go mdłości. Ten zapach wiązał się z najbardziej nieprzyjemną stroną jego pracy i jak pies Pawłowa, śliniący się pod wpływem określonego bodźca, kojarzył go nieuchronnie z wonią krwi i płynów ustrojowych. Węch ostrzegał go, że powinien zebrać siły.

Stanął skoncentrowany przed prosektorium. Wyszedł prosto z upału i czuł już na skórze zimny pot. Było piątkowe popołudnie dwunastego lipca. Powietrze przesyciła wilgoć. W całym Bostonie huczały klimatyzatory, a ludzi ponosiły nerwy. Na moście Tobin stali już zapewne w korku ci, którzy uciekali na północ do chłodu lasów w Maine. Moore'a nie było wśród nich. Został odwołany z urlopu, aby obejrzeć koszmar, którego wcale nie pragnął zobaczyć.

Miał już na sobie fartuch chirurgiczny, który wyciągnął z wózka z bielizną w kostnicy. Teraz założył na włosy papierowy czepek, a na buty papierowe ochraniacze, gdyż widywał czasami, co lało się ze stołu na podłogę. Krew, fragmenty tkanki... Nie był bynajmniej szczególnie schludny,

ale nie miał ochoty przynosić na butach do domu resztek z prosektorium. Przystanął na kilka sekund przy drzwiach, wziął głęboki oddech i wszedł zrezygnowany do środka.

Na stole leżały osłonięte zwłoki. Sądząc z kształtów, była to kobieta. Moore starał się nie przyglądać zbyt długo ofierze, koncentrując wzrok na obecnych w prosektorium osobach. Doktor Ashford Tierney i pracownik kostnicy układali narzędzia na tacy. Po drugiej stronie stołu stała Jane Rizzoli, również z Wydziału Zabójstw w Bostonie. Miała trzydzieści trzy lata i była niewysoką kobietą o kanciastym podbródku. Rysy jej twarzy zdawały się ostrzejsze niż zwykle, bo nie łagodziły ich niesforne czarne loki, ukryte teraz pod papierowym czepkiem, a ciemne oczy patrzyły przenikliwie. Pół roku temu przeniosła się z obyczajówki. Była jedyną kobietą w wydziale i doszło już do konfliktów między nią a jednym z detektywów, do oskarżeń o molestowanie seksualne i babski szowinizm. Moore nie był pewien, czy darzy Rizzoli sympatią ani czy ona go lubi. Jak dotąd łączyły ich ściśle służbowe stosunki i uznał, że chyba wolą, by tak pozostało.

Obok Rizzoli stał jej partner, Barry Frost, zawsze wesoły glina, którego dobrodusznia, pozbawiona zarostu twarz sprawiała, że nie wyglądał na swoje trzydzieści lat. Frost pracował z Rizzoli już od dwóch miesięcy i się nie skarżył. Był jedynym człowiekiem w wydziale, który znosił cierpliwie jej humory.

Gdy Moore podszedł do stołu, Rizzoli powiedziała:

— Zastanawialiśmy się, kiedy się zjawisz.

— Byłem w pobliżu Maine, gdy odebrałem wasz sygnał.

— Czekamy tu od piątej.

— Zaczynam właśnie sekcję — stwierdził doktor Tierney. - Uważam więc, że detektyw

Moore zdążył na czas. — Męska solidarność. Zatrzasnął drzwi szafki tak energicznie, że aż zadźwięczała. Rzadko okazywał rozdrażnienie. Pochodził z Georgii i był wytwornym

dżentelmenem, który uważał, że kobiety powinny zachowywać się jak damy. Nie lubił pracować z zadziorną Jane Rizzoli.

Pracownik kostnicy przyciągnął do stołu wózek z narzędziami, rzucając Moore'owi przelotne spojrzenie, które mówiło: Czy można ufać tej suce?

— Przykro mi, że nie pojechałeś na ryby — powiedział do Moore'a Tierney. — Chyba będziesz musiał odwołać urlop.

— Jesteś pewien, że to znów nasz chłopak?

W odpowiedzi Tierney odciągnął prześcieradło, odsłaniając zwłoki.

— Nazywa się Elena Ortiz.

Choć Moore spodziewał się tego, co zobaczył, widok ofiary podziałał na niego jak obezwładniający cios. Czarne włosy kobiety, zeszywniałe od krwi, odstawały jak kolce jeżozwierza od marmurowo bladej twarzy. Usta miała rozchylone, jakby zastygłe w pół słowa. Krew odpłynęła już z ciała i jej rany wyglądały jak purpurowe szramy na tle poszarzałej skóry. Jedną z dwóch widocznych ran stanowiło głębokie cięcie na szyi, spod lewego ucha przez tętnicę i krtań. Było śmiertelne. Druga rana widniała nisko na brzuchu. Nie zadano jej po to, by zabić. Służyła zupełnie innemu celowi.

Moore przełknął z trudem ślinę.

— Rozumiem, dlaczego ściągnęliście mnie z urlopu.

— Ja zajmuję się tą sprawą — oznajmiła Rizzoli.

Usłyszał w jej głosie nutę ostrzeżenia. Broniła swego terytorium. Wiedział, skąd to się bierze. Ciągłe drwiny i sceptyczne uwagi, na jakie narażone były policjantki, budziły w nich agresję. Prawdę mówiąc, nie zamierzał rzucać jej wyzwania. Musieli pracować razem nad tą sprawą i za wcześnie było walczyć o dominację.

Starał się zachować pełen szacunku ton.

— Możesz zapoznać mnie ze szczegółami?

Rizzoli skinęła głową.

— Ofiarę znaleziono o dziewiątej rano w jej mieszkaniu przy Worcester Street w South End.

Zwykle około szóstej przychodziła do pracy w kwaciarni, kilka przecznic od domu. To rodzinna firma, własność jej rodziców. Gdy się nie pojawiła zaczęli się martwić. Brat poszedł jej szukać i znalazł ją w sypialni. Doktor Tierney szacuje, że śmierć nastąpiła między północą a czwartą rano. Zdaniem rodziny nie miała aktualnie chłopaka i nikt w kamienicy nie pamięta, by odwiedzali ją mężczyźni. Była pracowitą, pobożną dziewczyną. Katoliczką. Moore popatrzył na przeguby ofiary.

— Została skrupowana.

— Tak. Taśmą na przegubach i kostkach. Znaleziono ją nagą. Miała na sobie tylko biżuterię.

— Jaka?

— Naszyjnik. Pierścioneł. Kolczyki. Szkatułka z biżuterią w sypialni była nietknięta. Nie chodziło o rabunek.

Moore spojrzał na siną poziomą smugę na biodrach ofiary.

— Tułów był również unieruchomiony.

— Miała przewiązane taśmą uda i talię. A także usta.

Moore westchnął ciężko.

— Chryste...

Patrząc na Elenę Ortiz, przypomniał sobie nagle inną kobietę. Kolejną ofiarę. Blondynkę z ciętymi ranami na szyi i brzuchu.

— Diana Sterling — rzekł pod nosem.

— Odnalazłem już raport z jej sekcji — stwierdził Tierney. — Na wypadek gdybyś potrzebował go przejrzeć.

Ale było to zbędne. Sprawa Diany Sterling, którą kiedyś prowadził, ciągle nie dawała mu spokoju.

Rok temu trzydziestoletnią Dianę Sterling, zatrudnioną w biurze podróży Kendall & Lord, znaleziono nagą i przywiązaną taśmą do łóżka. Miała rozcięte gardło i brzuch. Zbrodnia pozostała niewyjaśniona.

Doktor Tierney skierował światło na podbrzusze Eleny Ortiz. Krew spłukano już wcześniej i krawędzie rany miały blad różowy kolor.

— Są jakieś ślady? — spytał Moore.

— Zanim ją umyliśmy, znaleźliśmy kilka włókien. I przyklejony do rany włos.

Moore okazał nagle zainteresowanie.

— Należał do ofiary?

— Był o wiele krótszy. Jasnobrązowy.

Elena Ortiz była brunetką.

— Poprosiliśmy już o próbki włosów wszystkich osób, które miały kontakt z ciałem — wyjaśniła Rizzoli.

Tierney skupił uwagę na ranie.

— Mamy tu do czynienia z poprzecznym cięciem. Chirurdzy nazywają to „cięciem Maylarda”. Brzuch był rozcinany warstwami. Najpierw skóra, potem powięź, mięsień i otrzewna jamy brzusznej.

— Jak u Diany Sterling — oznajmił Moore.

— Owszem. Są jednak pewne różnice.

— Jakie?

— W przypadku Diany Sterling krawędzie rany były trochę poszarpane, jakby sprawca wahał się lub miał niepewną rękę. Tutaj tego nie widać. Zauważ, jak idealne jest nacięcie.

Żadnych nierówności. Zrobił to z całkowitą pewnością siebie. — Tierney spojrział Moore'owi w oczy. — Nasz nieznany sprawca czyni postępy. Poprawił technikę.

— Jeśli to nadal ta sama osoba — stwierdziła Rizzoli.

— Są jeszcze inne podobieństwa. Widzicie ten prostokątny kształt końcówki rany?

Wskazuje, że cięcia dokonano od prawej do lewej. Jak u Diany Sterling. W obu przypadkach użyto prostego ostrza, bez ząbków.

— Skalpela?

— Możliwe. Równe cięcie sugeruje, że ostrze się nie chwiało. Ofiara była nieprzytomna albo tak mocno związana, że nie mogła się poruszać, nie mogła walczyć. Nie była w stanie sprawić, by ostrze zboczyło z prostej linii.

Barry Frost wyglądał tak, jakby zbierało mu się na wymioty.

— Chryste! Błagam, powiedz, że już nie żyła, kiedy to robił.

— Obawiam się, że to nie jest pośmiertna rana. — Zza chirurgicznej maski widać było tylko zielone oczy Tierneya, które pałały gniewem.

— Miała przedśmiertne krwawienie? — spytał Moore.

— W jamie brzusznej. Co oznacza, że jej serce nadal pracowało. Żyła, gdy... to się działo.

Moore spojrział na sine kręgi na przegubach ofiary. Podobne ślady miała wokół kostek, a na jej biodrach widniały podskórne krwiaki. Elena Ortiz próbowała uwolnić się z więzów.

— Jest jeszcze inny dowód na to, że żyła, gdy rozcięto jej brzuch — oznajmił Tierney. —

Włóż rękę do rany, Thomas. Chyba wiesz, czego się spodziewać.

Moore wsunął niechętnie dłoń w rękawicze do rany. Ciało było zimne w dotyku, wyziębione po kilkugodzinnym spoczynku w chłodni. Czuł się tak, jakby wkładał rękę do indyka, by wyjąć z niego podroby. Wetknął dłoń aż po przegub, dotykając palcami krawędzi rany. Takie penetrowanie najbardziej prywatnej sfery ciała kobiety stanowiło pogwałcenie jej

intymności. Starał się nie patrzeć na twarz Eleny Ortiz. Tylko w ten sposób mógł podejść z dystansem do jej doczesnych szczątków i skoncentrować się z zimną krwią na tym, co uczyniono z jej ciałem.

— Nie ma macicy — stwierdził, patrząc na Tierneya.

Doktor skinął głową.

— Została usunięta.

Moore wyjął rękę z ciała i spoglądał na ranę, przypominającą rozwarte usta. Teraz Rizzoli wsunęła do środka dłoni w rękawiczce, próbując spenetrować krótkimi palcami wnętrze rany.

— Niczego więcej nie usunięto? — zapytała.

— Tylko macicę — odparł Tierney. — Pęcherz i jelita pozostały nietknięte.

— Wyczuwam tu, po lewej, jakieś zgrubienie — stwierdziła.

— To szew. Sprawca podwiązał naczynia krwionośne.

Rizzoli spojrzała zdumiona na doktora.

— To nie chirurgiczna?

— Zwyczajny katgut — zaryzykował Moore, oczekując od Tierneya potwierdzenia.

Tierney przytaknął.

— Taką samą nici znaleźliśmy w ciele Diany Sterling.

— Katgut? — odezwał się słabym głosem Frost. Odszedł od stołu i stał teraz w rogu sali, gotowy rzucić się w kierunku zlewu. — Czy to jakaś... firmowa nazwa?

— Bynajmniej — stwierdził Tierney. — To rodzaj nici chirurgicznych, produkowanych z jelit krów i owiec.

— Dlaczego je tak nazwano? — spytała Rizzoli.

— W średniowieczu używano jelit do wyrobu strun do instrumentów. Muzycy nazywali je „kitgutami”. Z czasem słowo to przekształciło się w określenie „katgut”. W chirurgii używa się

takich nici do zszywania głębokich warstw tkanki łącznej. Organizm rozkłada je z czasem i wchłania.

— Skąd sprawca miał te nici? — spytała Rizzoli, patrząc na Moore'a. — Zbadaliście to po zabójstwie Diany Sterling?

— Trudno ustalić źródło ich pochodzenia — stwierdził Moore. — Katgut produkuje kilkanaście różnych firm, głównie w Azji. Stosuje się go nadal w wielu zagranicznych szpitalach.

— Tylko zagranicznych?

— Są już lepsze materiały — wyjaśnił Tierney. — Katgut nie jest tak mocny i trwały jak nici syntetyczne. Wątpię, by korzystało z niego wielu amerykańskich chirurgów.

— A po co właściwie używa go nasz sprawca?

— Żeby mieć dobre pole widzenia. Kontrolować krwawienie dostatecznie długo, by widzieć dokładnie, co robi. To pedant.

Rizzoli wyciągnęła rękę z rany. Na rękawiczce miała zakrzepłą kropelkę krwi, jak czerwony koralik.

— Co on potrafi? Mamy do czynienia z lekarzem czy rzeźnikiem?

— Z pewnością posiada wiedzę anatomiczną — odparł Tierney. — Nie wątpię, że już to wcześniej robił.

Moore odstąpił krok od stołu, starając się nie myśleć, ile musiała wycierpieć Elena Ortiz, ale nie umiał odpędzić od siebie koszmarnych wizji, gdy leżała przed nim z otwartymi oczami.

Wzdrygnął się i odwrócił, usłyszawszy brzęk narzędzi na metalowej tacy. Pracownik kostnicy podsunął ją w kierunku doktora Tierneya, aby ten mógł rozpocząć sekcję. Teraz pochylał się do przodu i przypatrywał ranie na brzuchu ofiary.

— Co się potem dzieje z tą macicą? — zapytał. — Co z nią robi, kiedy ją wytnie?

— Nie wiemy — odparł Tierney. — Usuniętych organów nigdy nie znaleziono.

ROZDZIAŁ DRUGI

Moore stał na chodniku w dzielnicy South End, gdzie zginęła Elena Ortiz. Kiedyś były tam ubogie czynszowe domy, oddzielone linią kolejową od bogatszej, północnej części Bostonu. Rozrastające się miasto jest żarłoczną bestią, zawsze żądną nowych terenów, i tory kolejowe nie stanowią przeszkody dla agresywnych inwestorów. Nowe pokolenie bostończyków odkryło South End i stare domy czynszowe zamieniano stopniowo na budynki apartamentowe.

Elena Ortiz zajmowała niewielki apartament w takim właśnie bloku. Choć widok z jej mieszkania na pierwszym piętrze nie był zbyt atrakcyjny — okna wychodziły na pralnię po drugiej stronie ulicy — lokatorom zapewniono rzadki w Bostonie luksus: przylegający do sąsiedniej alei parking.

Moore szedł właśnie tą aleją, przyglądając się oknom w mieszkaniach i zastanawiając się, kto w tym momencie obserwuje go z góry. Za szybami nie było widać żadnego ruchu. Lokatorzy mieszkań, których okna wychodziły na aleję, zostali już przesłuchani. Nie dostarczyli żadnych użytecznych informacji.

Przystanął pod oknem łazienki Eleny Ortiz i spojrzał na prowadzącą do niego drabinkę przeciwpożarową. Była podciągnięta do góry i odsunięta na bok. W nocy, kiedy zginęła Elena Ortiz, był pod nią zaparkowany samochód jednego z lokatorów, na którego dachu znaleziono odciski butów rozmiaru osiem i pół. Sprawca wszedł po nim na drabinkę.

Moore zobaczył, że okno łazienki jest zamknięte. Tamtej nocy, gdy zjawił się zabójca, było otwarte.

Opuścił aleję, zawrócił do głównego wejścia i wszedł do budynku.

Drzwi mieszkania Eleny Ortiz były zaklejone policyjną taśmą. Otworzył je, czując pod ręką proszek używany do zdejmowania odcisków palców. Gdy wchodził do środka, zwisająca taśma prześlizgnęła mu się po ramieniu.

Salon wyglądał tak samo jak dzień wcześniej, gdy zjawił się tu z Rizzoli. Była to nieprzyjemna wizyta. Wyczuwał atmosferę rywalizacji. Rizzoli prowadziła od początku sprawę Eleny Ortiz i obawiała się kwestionowania swego autorytetu, zwłaszcza przez starszego od niej policjanta. Choć stanowili teraz zespół, powiększony już do pięciu detektywów, Moore czuł się na terenie Rizzoli jak intruz i starał się formułować wszelkie uwagi w jak najbardziej dyplomatyczny sposób. Nie zamierzał z nią walczyć, choć sama go prowokowała. Próbował wczoraj skoncentrować uwagę na miejscu zbrodni, ale nieprzychylność Rizzoli stale go rozpraszała.

Dopiero teraz, będąc sam, mógł obejrzeć dokładnie mieszkanie, w którym zginęła Elena Ortiz. W salonie zobaczył niepasujące do siebie meble, ustawione wokół wiklinowego stolika do kawy. W rogu stał na biurku komputer, a na podłodze leżał beżowy dywan z motywami winorośli i różowych kwiatów. Jak twierdziła Rizzoli, od dnia zabójstwa niczego tu nie ruszano. Na dworze już zmierzchało, ale Moore nie zapalał światła. Stał w miejscu przez dłuższą chwilę, nie poruszając nawet głową i czekając, by w pokoju zapanowała kompletna cisza. Po raz pierwszy miał okazję być sam w tym mieszkaniu. Nie rozpraszały go głosy i twarze innych ludzi. Widział oczami wyobraźni, jak cząsteczki powietrza, poruszone jego wejściem, powoli nieruchomieją. Chciał, żeby ten pokój do niego przemówił.

Nic jednak nie czuł. Żadnych fluidów zła ani atmosfery grozy.

Sprawca nie wszedł drzwiami. Nie przechadzał się po swoim nowym królestwie śmierci.

Skoncentrował całą uwagę na sypialni.

Moore minął powoli niewielką kuchnię i zaczął iść korytarzem. Czuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Przystanął przy pierwszych drzwiach i zajrzawszy do łazienki, zapalił światło.

Czwartkowa noc jest ciepła. Tak ciepła, że w całym mieście są pootwierane okna, aby pochwycić każdy podmuch wiatru, każdy powiew chłodnego powietrza. Czaisz się na drabince

przeciwpożarowej, pocąc się w ciemnym odzieniu i patrząc w okno łazienki. Panuje cisza.

Kobieta śpi w sypialni. Wczesnie rano zaczyna pracę w kwiaciarni i o tej porze znajduje się już w fazie najgłębszego snu.

Nie słyszy zgrzytu metalowego ostrza, którym podważasz żaluzje,.

Moore spojrzał na tapetę, przyozdobioną drobnymi pączkami czerwonych róż. Typowo kobiecy wzór, którego mężczyzna na pewno by nie wybrał. Wszystko wskazywało na to, że była to łazienka kobiety: szampon o zapachu truskawek, pudełko tam-paksów pod umywalką i wypełniona kosmetykami apteczka. Dziewczyna dbała o makijaż.

Wchodzisz przez okno, zostawiając na framudze włókna granatowej koszuli z poliestru, a na białym linoleum podłogi odciski adidasów, rozmiar osiem i pół. Są też ślady piasku, zmieszanego z kryształkami gipsu. Typowa mieszanka, gdy chodzi się po Bostonie.

Być może przystajesz, nasłuchując w ciemnościach. Upajając się, atmosferą miejsca, zamieszkanego przez kobietę. A może, nie tracąc czasu, zmierzasz prosto do celu.

Do sypialni.

Powietrze wydawało się teraz cuchnące, jakby gęściej sze, gdy podążał śladami intruza. Nie chodziło tylko o wymaginowane zło, lecz o zapach.

Podszedł do drzwi sypialni. Włosy na karku sterczały mu już na sztorc. Wiedział, co zobaczy wewnątrz. Sądził, że jest na to przygotowany. Jednak gdy zapalił światło, ogarnęło go przerażenie jak wtedy, gdy ujrzał ten pokój po raz pierwszy.

Ślady krwi miały ponad dwa dni. Mieszkania jeszcze nie wysprzątało. Nawet z pomocą detergentów, odkurzaczy na parę i białej farby nie udałooby się zatuszować tego, co tam zaszło, gdyż powietrze było już na zawsze przesiąknięte grozą.

Wchodzisz do sypialni. Światło ulicznych lamp przenika przez cienkie bawełniane zasłony, oświetlając łóżko i śpiącą w nim kobietę. Z pewnością przyglądasz się, jej przez chwilę. Myślisz

z rozkoszą o czekającym cię zadaniu. Sprawia ci to przyjemność, prawda? Coraz bardziej się podniecasz. Pobudza ci to krążenie jak narkotyk, napręża każdy nerw, aż czujesz pulsowanie nawet w opuszkach palców.

Elena Ortiz nie miała czasu krzyknąć. W każdym razie nikt tego nie słyszał. Ani rodzina z mieszkania obok, ani para z dołu.

Intruz przyniósł ze sobą wszystko, czego potrzebował. Taśmę klejącą, szmatę nasączoną chloroformem, zestaw narzędzi chirurgicznych. Był w pełni przygotowany.

Upiorny rytuał musiał trwać dobrze ponad godzinę. Elena Ortiz przynajmniej przez jakiś czas była przytomna. Miała startą skórę na przegubach i kostkach, co oznaczało, że walczyła. Z bólu i przerażenia opróżniła pęcherz i jej mocz wsiąkł w materac, mieszając się z krwią. Operacja wymagała precyzji i sprawca starał się dobrze ją przeprowadzić, aby zdobyć tylko to, czego chciał, nic więcej.

Nie zgwałcił jej. Może nie był do tego zdolny.

Kiedy wykonał swój potworny zabieg, dziewczyna jeszcze żyła. Rana w jamie brzusznej nadal krwawiła, a serce tłoczyło krew. Jak długo? Doktor Tierney uważał, że co najmniej przez pół godziny. Trzydzieści minut, które Elenie Ortiz musiały się wydawać wiecznością.

Co robiłeś w tym czasie? Pakowałeś narzędzia? Wkładałeś do stoika swój lup ? A może tylko stałeś tu i przyglądałeś się Z satysfakcją?

Ostatnie posunięcie było szybkie i zdecydowane. Oprawca Eleny Ortiz zdobył to, czego chciał, i nadeszła pora, by zakończyć sprawę. Podeszedł do wezglowia łóżka i chwycił ją lewą ręką za włosy, ciągnąc tak mocno do tyłu, że wyrwał ich cały pęk. Znalaziono je potem rozsypane na poduszce i podłodze. Plamy krwi stanowiły przerażający dowód tego, co wydarzyło się później. Unieruchomiwszy ofierze głowę i odsłoniwszy szyję, sprawca jednym ruchem przeciął jej gardło, od lewej do prawej strony, uszkadzając tętnicę szyjną i tchawicę. Krew

trysnęła strumieniem, obryzgując ścianę na lewo od łóżka. Poduszka i pościel były także nią przesiąknięte. Kilka pojedynczych kropli spadło z ostrza na parapet okna.

Elena Ortiz żyła dostatecznie długo, by widzieć, jak krew tryska jej z szyi i rozbryzguje się na ścianie. Wdychała krew przez uszkodzoną tchawicę, słyszała, jak bulgocze jej w płucach, odkasliwała szkarłatną flegmą.

Żyła dostatecznie długo, by wiedzieć, że umiera.

A kiedy było po wszystkim, kiedy znieruchomiała, zostawiłeś nam wizytówkę. Złożyłeś starannie jej nocną koszulę i położyłeś ją na toalecie. Dlaczego? Czy to jakiś obłąkańczy wyraz szacunku dla kobiety, którą zamordowałeś? A może z nas drwiesz? Chcesz nam pokazać, że kontrolujesz sytuację?

Moore wrócił do salonu i zagłębił się w fotelu. W mieszkaniu było gorąco i duszno, ale on miał dreszcze. Może z emocji, a może z powodu choroby. Bolały go uda i ramiona, jakby złapał jakiegoś wirusa. Pewnie to letnia grypa, najgorsza odmiana. Myślał o miejscach, w których wolałby być w tym momencie. Pływałby po jeziorze Maine, zarzucając wędkę. Albo stał na brzegu morza i obserwował gęstniejącą mgłę. Byłoby tylko nie przebywać w miejscu zbrodni. Wyrwał go z zamyślenia brzęczyk pagera. Wyłączywszy go, zdał sobie sprawę, że serce wali mu jak młotem. Próbował się opanować, zanim wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

— Rizzoli — usłyszał już po pierwszym sygnale. Jej głos zabrzmiał sucho jak wystrzał.

— Szukałaś mnie.

— Nie wspomniałaś, że masz informacje z PPNP — oznajmiła.

— Jakie informacje?

— Na temat Diany Sterling. Przeglądam właśnie jej akta.

PPNP, czyli Program Poszukiwania Niebezpiecznych Przewin, był ogólnokrajową bazą danych, dotyczących zabójstw i napadów. Zabójcy działali często według określonych

schematów i dzięki rejestrowi można było ustalić, które zbrodnie popełnił ten sam sprawca.

Moore i jego ówczesny partner, Rusty Stivack, rozpoczęli rutynowo śledztwo w sprawie Diany Sterling od tego właśnie źródła.

— W Nowej Anglii nie znaleźliśmy żadnych podobnych przypadków — stwierdził Moore.

— Sprawdziliśmy wszystkie zabójstwa, przy których miało miejsce okaleczenie ofiary, nocne włamanie i użycie do krępowania taśmy klejącej. Żadne nie pasowało do sprawy Diany Sterling.

— A seria zabójstw w stanie Georgia? Trzy lata temu, cztery ofiary. Jedna w Atlancie, trzy w Savannah. Wszystkie figurują w PPNP.

— Przeglądałem te sprawy. Tych zbrodni nie popełnił nasz sprawca.

— Posłuchaj, Moore. Dora Ciccone, dwadzieścia dwa lata, studentka z Emory. Została odurzona rohypnolem i przywiązana do łóżka nylonową linką...

— Nasz sprawca używa chloroformu i taśmy klejącej.

— Zabójca rozciął jej brzuch i wyjął macicę, a potem poderznął gardło. A na koniec — zwróć na to uwagę — złożył jej nocną koszulę i zostawił ją na krześle obok łóżka. Mówię ci, że to cholernie podobny przypadek.

— Te sprawy zostały zamknięte dwa lata temu — stwierdził Moore. — Zabójca nie żyje.

— A jeśli policja z Savannah coś sknociła? Jeśli się pomylili?

— Mieli DNA sprawcy. Włókna, włosy... I świadka. Kobieta, która przeżyła.

— No tak. Był świadek. Ofiara numer pięć. — Głos Rizzoli brzmiał dziwnie ironicznie.

— Rozpoznała sprawcę — zauważył Moore.

— I przy sposobności go zastrzeliła.

— Więc chcesz aresztować jego ducha?

— Rozmawiałaś kiedyś z tą niedoszłą ofiarą? — spytała Rizzoli.

— Nie.

— Dlaczego?

— A niby w jakim celu?

— Mógłbyś się dowiedzieć czegoś interesującego. Na przykład, że wyjechała z Savannah wkrótce po napadzie. Wiesz, gdzie teraz mieszka?

Poprzez szum w telefonie komórkowym Moore słyszał pulsowanie swego tętna.

— W Bostonie? — zapytał cicho.

— I nie zgadłbyś, czym się zajmuje.

ROZDZIAŁ TRZECI

Doktor Catherine Cordell, popędziwszy z piskiem butów przez szpitalny korytarz wyłożony linoleum, pchnęła podwójne drzwi prowadzące do budynku pogotowia.

— Są w urazówce numer dwa, pani doktor! — zawołała jedna z pielęgniarek.

— Już tam lecę — odparła Catherine, kierując się jak sterowany pocisk wprost do wskazanej sali.

Kilka par oczu spojrzało na nią z ulgą, gdy się pojawiła. W jednej chwili oceniła sytuację, dostrzegając rozrzucone na tacy lśniące narzędzia, stojaki do kroplówki z zawieszonymi jak dorodne owoce na metalowych gałązkach torebkami z mleczanem Ringera, zakrwawioną gazę i walające się po podłodze porozdzierane opakowania. Na monitorze widać było gwałtowne sinusoidalne drgania — elektryczny obraz pracy serca, próbującego umknąć śmierci.

— Co my tu mamy? — zapytała Catherine, gdy wszyscy rozsunęli się, by zrobić jej miejsce.

Ron Littman, starszy chirurg, zapoznał ją błyskawicznie ze stanem pacjenta.

— Pieszy potrącony przez samochód. Kierowca uciekł z miejsca wypadku. Pacjent jest nieprzytomny. Źrenice jednakowe, reagują na światło, płuca czyste, ale brzuch obrzmiały. Nie słychać perystaltyki jelit. Ciśnienie spadło do sześćdziesięciu. Wykonałem paracentezę. Ma krwawienie w brzuchu. Podłączyliśmy go do kroplówki, ale nie możemy podnieść ciśnienia.

— Krew i plazma w drodze?

— Powinni dostarczyć je lada chwila.

Mężczyzna na stole operacyjnym był nagi. Dostrzegła z bezlitosną dokładnością najintymniejsze szczegóły jego anatomii. Był po sześćdziesiątce. Został już podłączony do respiratora. Zwiotczałe mięśnie tworzyły obwisłe fałdy na wychudłych kończynach, a żebra sterczały jak łukowate przęsła. Pomyślała, że cierpi na jakąś chroniczną chorobę. Zapewne ma raka. Jego prawa ręka i biodro były otarte i zakrwawione od uderzenia o chodnik, a na prawym boku widać było na tle bladej skóry wielkiego siniaka. Nie miał żadnych otwartych ran.

Catherine założyła stetoskop, by zweryfikować to, co powiedział jej dyżurny chirurg. Nie usłyszała w brzuchu pacjenta żadnych dźwięków. Żadnego szmeru. Brzuch był jak martwy. Przyłożywszy membranę stetoskopu do piersi pacjenta, słuchała, jak oddycha, aby stwierdzić, czy rurka intubacyjna została prawidłowo włożona i czy oba płuca otrzymują tlen. Serce mocno uderzało o ścianę klatki piersiowej. Badanie trwało tylko kilka sekund, ale miała wrażenie, że porusza się jak w zwolnionym tempie, że wszyscy wokół niej zamarli w oczekiwaniu na to, co zrobi.

— Ciśnienie skurczowe spadło do pięćdziesięciu! — zawołała jedna z pielęgniarek.

Zaczynało brakować czasu.

— Dajcie mi fartuch i rękawiczki — zarządziła Catherine. — Przygotujcie narzędzia do laparotomii.

— Nie przewieziemy go do sali operacyjnej? — zapytał Littman.

— Wszystkie są zajęte. Nie możemy czekać.

Ktoś rzucił jej papierowy czepek. Wetknęła pod niego sprawnie długie do ramion rude włosy i zawiązała maskę. Pielęgniarka trzymała już w pogotowiu sterylne chirurgiczne fartuchy. Catherine wsunęła ręce do rękawów i włożyła rękawiczki. Nie miała czasu się wahać. Ona

podejmowała decyzje i od niej zależało życie tego człowieka.

Na piersi i brzuchu pacjenta położono sterylne płachty. Catherine umocowała je wprawnie metalowymi klamrami.

— Gdzie ta krew? — zawołała.

— Powiadomiłam już laboratorium — odparła pielęgniarka.

— Roń, będziesz mi asystował — powiedziała Catherine do Littmana. Rozejrzawszy się po sali, zauważyła stojącego przy drzwiach młodego człowieka o pobladłej twarzy. Miał przypiętą plaketkę z napisem: Jeremy Barrows, student medycyny. - Ty będziesz drugim asystentem! — oznajmiła.

Chłopak wpadł w panikę.

— Ale ja... jestem dopiero na drugim roku. Przyszedłem tylko po to...

— Możemy ściągnąć tu innego chirurga?

Littman pokręcił głową.

— Wszyscy są zajęci. W urazówce numer jeden mają pacjenta z raną głowy, a na oddziale stan krytyczny.

— W porządku. — Spojrzała ponownie na studenta. - Barrows, to musisz być ty. Siostró, proszę mu dać fartuch i rękawiczki.

— Co będę musiał robić? Bo naprawdę nie wiem...

— Chcesz być lekarzem, prawda? Więc wkładaj rękawiczki!

Chłopak poczerwieniał jak burak i odwrócił się, by włożyć fartuch. Był przerażony, ale Catherine wolała mieć do czynienia z człowiekiem takim jak on niż z jakimś arogantem.

Widziała zbyt wielu pacjentów, którzy umierali z powodu zadufanych w sobie lekarzy.

— Halo, urazówka numer dwa? — rozległ się przez interkom trzeszczący głos. — Tu laboratorium. Mamy hematokryt waszego pacjenta. Piętnaście procent.

On się wykrwawia, pomyślała Catherine.

— Potrzebujemy tej krwi natychmiast!

— Jest już w drodze.

Catherine sięgnęła po skalpel. Pasował do ręki. Stanowił jakby przedłużenie dłoni.

Wciągnęła powietrze, wdychając zapach alkoholu i talku z rękawiczek. Potem przyłożyła ostrze do skóry pacjenta i wykonała cięcie przez sam środek brzucha.

Skalpel wytyczył na bladej skórze krwawą czerwoną linię.

— Przygotujcie odsysanie i tampony do laparotomii — poleciła. — Brzuch jest wypełniony krwią.

— Ciśnienie pięćdziesiąt, ledwo uchwytnie.

— Mamy krew grupy zero minus i świeżą plazmę! Już zawieszam torebkę.

— Niech ktoś obserwuje rytm serca — powiedziała Catherine. — Mówcie mi, co się dzieje.

— Częstoskurcz zatokowy. Ciśnienie do stu pięćdziesięciu.

Catherine przecięła skórę i warstwę tłuszczu, nie zwracając uwagi na krwawienie z powłok brzusznych. Nie traciła czasu na drobiazgi. Należało powstrzymać najpoważniejszy krwotok, wewnątrz brzucha. Spowodowało go najprawdopodobniej pęknięcie śledziony albo wątroby.

Otrzewna była nadęta, jama brzuszna wypełniona krwią.

— Zaraz będzie bałagan — ostrzegła, przyciskając skalpel.

Wiedziała, że po nacięciu otrzewnej krew buchnie jak gejzer, lecz wytrysk był tak gwałtowny, iż omal nie wpadła w panikę.

Ciepła krew zalała płachty i popłynęła na podłogę. Obryzgała jej fartuch, przesiąkając przez rękawy. I nadal wypływała atłasowym strumieniem.

Catherine rozwarła ranę, poszerzając ją. Littman wsunął do środka cewnik. Krew zbulgotała w rurce i popłynęła czerwonym strumieniem do szklanego pojemnika.

— Więcej tamponów! — krzyknęła Catherine. Wetknęła kilka z nich do rany i patrzyła, jak w ciągu paru sekund nasiąkają krwią. Wyciągnęła je i włożyła nowe, ze wszystkich stron.

— Widzę PVC na monitorze! — oznajmiła pielęgniarka.

— Cholera, wyssałem już do zbiornika dwa litry krwi - stwierdził Littman.

Catherine podniosła wzrok i zobaczyła, jak torebki z krwią grupy zero minus i świeżą plazmą szybko się opróżniają. Przypominało to wlewanie krwi do sita. Wpływała do żył i wypływała przez ranę. Nie nadążali z jej uzupełnianiem. Catherine nie mogła zacisnąć naczyń zanurzonych w kałuży krwi. Nie mogła operować na ślepo.

Wyjęła ciężkie, ociekające krwią tampony i włożyła następne. Przez kilka cennych sekund zdążyła ocenić sytuację. Krew wyciekała z wątroby, ale nie widać było w niej rany. Sączyła się jakby z całej jej powierzchni.

— Spada ciśnienie! — zawołała pielęgniarka.

— Klamra! — poleciała Catherine. Natychmiast podano jej to, czego chciała. — Spróbuję metody Pringle'a. Barrows, dołóż jeszcze tamponów!

Zdenerwowany student sięgnął do tacy i strącił na podłogę całą stertę tamponów do laparotomii. Patrzył z przerażeniem, jak spadają.

Pielęgniarka otworzyła nową paczkę.

— Mają się znaleźć w brzuchu pacjenta, a nie na podłodze — burknęła. Napotkawszy spojrzenie Catherine, dostrzegła, że i ona myśli: Ten facet ma być lekarzem?

— Gdzie mam je włożyć? — zapytał Barrows.

— Po prostu oczyść pole. Z powodu tej krwi nic nie widzę!

Dała mu kilka sekund, by odsączył krew, po czym odsunęła sieć. Wprowadziwszy klamrę z lewej strony, zlokalizowała szypułę wątroby, przez którą przebiegała tętnica i żyła. Było to tylko prowizoryczne rozwiązanie, ale odciąższy w tym miejscu przepływ krwi, mogła opanować

krwotok. Zyskaliby wtedy cenny czas, by ustabilizować ciśnienie i wprowadzić do krwio-biegu więcej krwi i plazmy.

Zacisnęła mocno klamrę, zamykając naczynia krwionośne w szypule.

Ku jej rozpaczy, krwawienie nie ustawało.

— Czy na pewno zacisnęłaś szypulę? — spytał Littman.

— Tak! I wiem, że krwotok nie pochodzi z otrzewnej.

— Może z żyły wątrobowej?

Catherine chwyciła z tacy dwa tampony. To była już ostatnia deska ratunku. Umieściwszy tampony na powierzchni wątroby, ścisnęła ją mocno w dłoniach.

— Co ona robi? — zapytał Barrows.

— Kompresję wątroby — wyjaśnił Littman. — Czasem można w ten sposób zacisnąć krawędzie niewidocznych skaleczeń. Zahamować krwawienie.

Napinając z całej siły mięśnie ramion, Catherine starała się powstrzymać krwotok.

— Nic nie pomaga — stwierdził Littman. — Nadal krwawi.

Catherine patrzyła na ranę i widziała, jak stopniowo znów napęlnia się krwią. Skąd ona wypływa, do cholery? — pomyślała. I nagle spostrzegła, że krwawienie występuje również w innych miejscach. Nie tylko z wątroby, lecz także ze ściany jamy brzusznej, z rozciętych krawędzi skóry.

Spojrzała na lewe ramię pacjenta, wystające spod sterylnych płacht. Gaza w miejscu wkłucia kroplówki była przesiąknięta krwią.

— Potrzebuję natychmiast sześć jednostek płytek krwi i świeżą plazmę — zarządziła. — I zacznijcie infuzję heparyny. Dożylnie dziesięć tysięcy jednostek, a potem tysiąc co godzinę.

— Heparyny? — zdumiał się Barrows. — Przecież on się wykrwawia...

— To przypadek RWK — stwierdziła Catherine. — Potrzebuje antykoagulantów.

Littman mierzył ją wzrokiem.

— Nie mamy jeszcze wyników z laboratorium. Skąd wiesz, że to RWK?

— Zanim dostaniemy wyniki, będzie za późno. Musimy działać natychmiast! — Skinęła głową do pielęgniarki. - Proszę zaczynać.

Pielęgniarka włożyła igłę do portu kroplówki. Zastosowanie heparyny było ryzykownym krokiem. Jeśli Catherine się nie myliła, jeśli pacjent cierpiał rzeczywiście na RWK — rozsianą wewnątrznaczyniową koagulację — w jego układzie krwionośnym powstawały, jak mikroskopijna burza gradowa, ogromne ilości skrzeplin, zużywając bezcenne koagulatory i płytki krwi. Poważny uraz, choroba nowotworowa albo infekcja mogły spowodować lawinowy wzrost ich liczby. Ponieważ RWK zużywa koagulatory i płytki krwi, niezbędne do jej krzepnięcia, pacjent zaczął krwawić. Aby powstrzymać krwotok, musieli zastosować heparynę, antykoagulant. Była to paradoksalna terapia. A przy tym ryzykowna. W razie błędnej diagnozy heparyna zwiększyłaby tylko krwotok.

Gorzej już chyba być nie może, pomyślała Catherine. Bolał ją krzyż, a ręce drżały od wysiłku, jaki wkładała w uciskanie wątroby pacjenta. Kropla potu spłynęła jej po policzku i wsiąkła w maskę.

Przez interkom odezwał się znowu głos z laboratorium.

— Urazówka numer dwa. Mam wyniki waszego pacjenta.

— Słucham — odparła pielęgniarka.

— Płytki krwi zaledwie na poziomie tysiąca. Bardzo długi czas krzepnięcia, aż trzydzieści.

Obecne produkty rozpadu fibryny. Wygląda na to, że wasz pacjent to ciężki przypadek RWK.

Catherine zauważyła zdumione spojrzenie Barrowsa. Studentom medycyny tak łatwo zaimponować, pomyślała.

— Spada ciśnienie!

Catherine spojrzała natychmiast na monitor. Na ekranie widniała ząbkowana linia.

— Jest tętno?

— Niewyczuwalne.

— Zaczniście CPR. Littman, ogłoś alert.

Wokół narastało zamieszanie. Wpadł kurier ze świeżą plazmą i płytkami krwi. Catherine słyszała, że Littman każe dostarczyć leki nasercowe, widziała, jak pielęgniarka kładzie dłonie na mostku pacjenta i zaczyna uciskać rytmicznie jego pierś, poruszając głową w górę i w dół niczym pijący wodę ptak. Każdy taki ucisk dostarczał krew do mózgu, utrzymywał go przy życiu. Ale również wzmagał krwawienie.

Catherine przyglądała się jamie brzusznej pacjenta. Nadal ścisnęła wątrobę, ograniczając krwotok. Miała wrażenie, że strużki krwi, przepływające jak lśniąca wstążka między jej palcami, są już nieco cieńsze.

— Zastosujmy elektrowstrząsy — zaproponował Littman. - Sto dzuli...

— Nie, zaczekaj! Wraca krążenie!

Catherine spojrzała na monitor. Częstoskurcz zatokowy! Serce znów pracowało, ale tłoczyło krew również do tętnic.

— Mamy perfuzję? — zawołała. — Jakie ciśnienie?

— Dziewięćdziesiąt na czterdzieści. Udało się!

— Rytm stabilny. Utrzymujemy częstoskurcz zatokowy.

Catherine spojrzała na otwarty brzuch. Krwawienie prawie ustało. Ścisnęła w dłoniach wątrobę, słuchając równomiernego pikania monitora. Była to muzyka dla jej uszu.

— Kochani — oznajmiła — chyba go uratowaliśmy.

Catherine ściągnęła zakrwawiony fartuch i rękawiczki i wyszła za wózkiem, na którym wywożono jej pacjenta z urazówki numer dwa. Bolały ją ramiona, ale było to dobre zmęczenie.

Miała poczucie triumfu. Pielęgniarki wciągnęły wózek do windy, aby zawieźć pacjenta na oddział intensywnej terapii. Catherine zamierzała również wejść do windy, gdy usłyszała, że ktoś ją woła.

Odwróciwszy się, zobaczyła mężczyznę i kobietę, którzy podążali w jej kierunku. Kobieta była niską energiczną brunetką o ciemnych oczach i spojrzeniu przenikliwym jak laser. Miała na sobie skromną niebieską garsonkę, wyglądającą niemal jak mundur. Wydawała się niepozorna przy swym o wiele wyższym towarzyszu. Mężczyzna był po czterdziestce. Ciemne włosy przyprószyła siwizna. Na wciąż uderzająco przystojnej twarzy widniały głębokie zmarszczki, świadczące o życiowym doświadczeniu. Catherine zwróciła szczególną uwagę na jego nieprzeniknione szare oczy.

— Doktor Cordell? — zapytał.

— Tak.

— Detektyw Thomas Moore. A to detektyw Rizzoli. Jesteś my z wydziału zabójstw. —

Pokazał swoją odznakę, ale mogła to być równie dobrze plastikowa atrapa. Prawie na nią nie spojrzała, wpatrzona w Moore'a.

— Możemy porozmawiać na osobności? — zapytał.

Popatrzyła na pielęgniarki, czekające w windzie z pacjentem na wózku.

— Jedźcie już! — zawołała do nich. — Doktor Littman wypisze zalecenia.

Dopiero gdy drzwi windy się zamknęły, zwróciła się do detektywa Moore'a:

— Czy chodzi o tego pacjenta po wypadku, którego właśnie przyjęliśmy? Wygląda na to, że przeżyje.

— Przychodzimy w innej sprawie.

— Powiedział pan, że jesteście z wydziału zabójstw?

— Owszem. — Opanowany ton jego głosu zaniepokoił Catherine. Stanowił subtelne

ostrzeżenie, że powinna oczekiwać złych nowin.

— Czy... O Boże, mam nadzieję, że nie stało się nic złego nikomu, kogo znam.

— Chodzi o Andrew Caprę. I o to, co przydarzyło się pani w Savannah.

Przez chwilę zaniemówiła z wrażenia. Poczowała, że uginają się pod nią kolana, i musiała wesprzeć się o ścianę, jakby bała się upaść.

— Doktor Cordell? — zapytał z nagłą troską detektyw. — Dobrze się pani czuje?

— Chyba... powinniśmy pomówić w moim gabinecie — wyszeptała. Odwróciła się nagle i wyszła z budynku pogotowia, nie sprawdzając nawet, czy detektywi idą za nią. Podążała przed siebie, chcąc zaszyć się w zaciszu swego gabinetu w sąsiednim skrzydle szpitala. Słyszała za plecami ich kroki, przemierzając rozległy kompleks Pilgrim Medical Center.

O to, co przydarzyło się pani w Savannah...

Nie chciała o tym rozmawiać. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie to już konieczne. Na pytania policji jednak należy odpowiadać.

Dotarli w końcu do drzwi z napisem:

Peter Falco, doktor medycyny. Catherine Cordell, doktor medycyny. Chirurgia ogólna i naczyniowa.

Gdy weszli do sekretariatu, recepcjonistka uniosła głowę, uśmiechając się automatycznie na powitanie, lecz uśmiech zamarł na jej ustach na widok poszarzałej twarzy Catherine i towarzyszących jej dwóch obcych osób.

— Doktor Cordell? Czy coś się stało?

— Będziemy w moim gabinecie, Helen. Nie łącz żadnych rozmów.

— Pani pierwszy pacjent przychodzi o dziesiątej. Pan Tsang. Kontrola po wycięciu śledziony...

— Odwołaj wizytę.

— Przyjeżdża specjalnie aż z Newbury. Zapewne już jest w drodze.

— W porządku, niech więc zaczeka. Ale proszę, żadnych telefonów.

Nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenie Helen, Catherine poszła wprost do gabinetu, a Moore i Rizzoli podążyli za nią. Chciała sięgnąć natychmiast po biały fartuch, ale nie wisiał na drzwiach, tam gdzie zwykle. Była to błahostka, która Przepełniła jednak czarę goryczy.

Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu fartucha, jakby od tego zależało jej życie. Dostrzegła go na szafce z kartotekami. Chwyciwszy fartuch, Usiadła z irracjonalną ulgą za biurkiem.

Lśniący blat z palisandru dawał jej poczucie bezpieczeństwa i kontroli nad sytuacją.

W gabinecie panował idealny porządek, podobnie jak w jej życiu. Nie znosiła bałaganu.

Teczki na biurku leżały poukładane równo w dwóch stertach, a książki na półkach były posegregowane alfabetycznie według nazwisk autorów. Komputer szemrał cicho. Na monitorze widniały geometryczne wzory wygaszacza ekranu. Catherine zarzuciła na ramiona fartuch, aby zasłonić plamy krwi na bluzce. Dodatkowa warstwa materiału stanowiła dla niej kolejną barierę ochronną przed zagrożeniami ze strony pełnego chaosu świata.

Siedząc za biurkiem, obserwowała, jak Moore i Rizzoli rozglądają się po gabinecie, niewątpliwie oceniając błyskawicznie charakter zajmującej go osoby. Czy oficerowie policji zawsze muszą tak postępować? Catherine czuła się z tego powodu obnażona i bezbronna.

— Zdaję sobie sprawę, że to dla pani bolesny temat - stwierdził Moore, zajmwszy miejsce.

— Nie ma pan pojęcia, jak bolesny. Minęły już dwa lata.

Dlaczego wracacie do tamtej sprawy?

— W związku z dwoma niewyjaśnionymi zabójstwami, tu, w Bostonie.

Catherine zmarszczyła brwi.

— Mnie napadnięto w Savannah.

— Tak, wiemy, ale istnieje ogólnokrajowa baza danych na temat przestępstw. Kiedy

szukaliśmy w niej przypadków podobnych do naszych, natrafiliśmy na nazwisko Andrew Capry.

Catherine milczała przez chwilę, rozmyślając nad tą informacją. Zbierała się na odwagę, by zadać następne oczywiste pytanie. W końcu odezwała się cicho:

— O jakie chodzi podobieństwa?

— Sposób krępowania kobiet i dominowania nad nimi. Rodzaj narzędzia, którym zadano rany. Poza tym... — Moore zamilkł, starając się dobierać starannie słowa. — Specyficzny charakter okaleczeń — dokończył cicho.

Catherine chwyciła kurczowo krawędź biurka, próbując opanować mdłości. Jej wzrok padł na ułożone równo sterty teczek.

Zauważyła, że rękaw fartucha zaplamiony jest atramentem. Choćbyś starał się ze wszystkich sił utrzymać w swoim życiu porządek, nie popełniać omyłek i być doskonałym, zawsze zdarzy się jakieś potknięcie, jakiś błąd, którego nie przewidzisz, przypomniła sobie.

— Co spotkało te dwie kobiety? — zapytała.

— Nie wolno nam zbyt wiele ujawniać.

— Co może mi pan powiedzieć?

— Nie więcej niż napisano w niedzielnym Globe.

Potrzebowała kilku sekund, by dotarł do niej sens tych słów.

Zamarła z niedowierzania.

— Te zabójstwa w Bostonie zdarzyły się teraz?

— Ostatnie miało miejsce w piątek.

— A więc nie ma to nic wspólnego z Andrew Caprą. Ani ze mną.

— Istnieją uderzające podobieństwa.

— To czysty przypadek. Z całą pewnością. Sądziłam, że ma pan na myśli jakieś dawne zbrodnie, które Capra popełnił przed laty. Skoro chodzi o ubiegły tydzień... — Odsunęła

raptownie krzesło. — Nie wiem, w czym mogłabym panu pomóc.

— Doktor Cordell. Zabójca zna nieujawnione nigdy publicznie szczegóły na temat zbrodni Capry. Posiada informacje, którymi dysponowali tylko funkcjonariusze policji w Savannah.

— Może więc powinniście pomówić właśnie z osobami, które coś wiedzą.

— Pani jest jedną z nich.

— Niech pan nie zapomina, że byłam ofiarą.

— Opowiadała pani komuś szczegółowo o tym, co się wydarzyło?

— Tylko policji w Savannah.

— A przyjaciółom?

— Nie.

— Rodzinie?

— Nie.

— Nikomu się pani nie zwierzyła?

— Nigdy o tym nie rozmawiam.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Nigdy?

— Nigdy — szepnęła, odwracając wzrok.

Zapadła cisza. Po chwili Moore zapytał delikatnie:

— Czy słyszała pani o Elenie Ortiz?

— Nie.

— A o Dianie Sterling?

— Nie. Czy to te kobiety...

— Tak. To ofiary zbrodni.

Przełknęła z trudem ślinę.

— Nie znam ich.

— Nie wiedziała pani, że zostały zamordowane?

— Staram się nie czytać o tragicznych wydarzeniach. Źle to znoszę. — Westchnęła ciężko.

— Proszę mnie zrozumieć. Widzę w szpitalu tyle okropności, że gdy pod koniec dnia docieram do domu, pragnę spokoju. Chcę czuć się bezpieczna. Nie mam ochoty czytać o brutalności tego świata.

Moore sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął dwie fotografie i położył je przed nią na biurku.

— Rozpoznaje pani którąś z tych kobiet?

Catherine przyjrzała się twarzom na zdjęciach. Kobieta po lewej miała ciemne oczy, uśmiech na ustach i rozwiane włosy. Druga była eteryczną blondynką o rozmarzonym wzroku.

— Ta brunetka to Elena Ortiz — wyjaśnił Moore. — A ta obok to Diana Sterling.

Zamordowano ją rok temu. Czy te twarze wydają się pani znajome?

Catherine pokręciła głową.

— Diana Sterling mieszkała w Back Bay, niecały kilometr od pani domu. Apartament Eleny Ortiz znajduje się dwie przecznice na południe od tego szpitala. Mogła je pani spotkać. Jest pani całkowicie pewna, że nie rozpoznaje pani żadnej z tych kobiet?

— Nigdy ich nie widziałam. — Podała fotografie Moore'owi i spostrzegła nagle, że drży jej ręka. Musiał to dostrzec, odbierając zdjęcia, gdyż musnął palcami jej dłoń. Jako policjant na pewno wiele zauważał. Była tak zdenerwowana, że nie zwróciła na niego dotąd większej uwagi. Był spokojny i uprzejmy i nie czuła się w żaden sposób zagrożona. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że bacznie się jej przygląda, próbując odkryć prawdziwe oblicze Catherine Cordell. Nie słynnej pani chirurg ani chłodnej i eleganckiej rudowłosej damy, lecz kobiety ukrytej pod maską pozorów.

Detektyw Rizzoli, w przeciwieństwie do Moore'a, nie starała się być delikatna. Chciała

uzyskać odpowiedzi na pytania i nie traciła czasu na ich ostrożne formułowanie.

— Kiedy pani się tu przeprowadziła, doktor Cordell?

— Wyjechałam z Savannah miesiąc po napadzie — odparła Catherine równie rzeczowym tonem.

— Czemu wybrała pani Boston?

— A dlaczego by nie?

— To daleko od południa Stanów.

— Moja matka wychowała się w Massachusetts. Każdego lata przywoziła nas do Nowej Anglii. To tak, jakbym... wróciła do domu.

— Więc jest pani tu od ponad dwóch lat.

— Tak.

— Czym się pani zajmuje?

Catherine zmarszczyła brwi, zaskoczona tym pytaniem.

— Pracuję w Pilgrim Medical Center z doktorem Falco. Na Oddziale Chirurgii Urazowej.

— Zatem dziennikarze Globe się pomylili.

— Słucham?

— Kilka tygodni temu czytałam o pani w artykule o kobietach-chirurgach. Ilustrowanym zresztą znakomitym zdjęciem. Podobno pracuje pani w tym szpitalu dopiero od roku.

Catherine milczała przez chwilę, po czym odparła spokojnie:

— To prawda. Po tym, co stało się w Savannah, musiałam przez jakiś czas... —

Odchrząknęła, czując ściskanie w gardle — Pracuję z doktorem Falco od lipca ubiegłego roku.

— A przez poprzedni rok? ‘

— Nie pracowałam.

— A co pani robiła?

— Nic.

Zamierzała poprzestać na tej zdawkowej odpowiedzi. Nie chciała ujawniać upokarzającej prawdy o tym, jak wyglądał jej pierwszy rok w Bostonie. Przez długie dni i tygodnie bała się wyjść z mieszkania. Nocami drżała ze strachu, słysząc najdrobniejszy hałas. Powrót do normalnego życia był powolny i bolesny, gdy zjechanie windą lub przejście po ciemku do samochodu stanowiło akt odwagi. Wstydziała się swej bezsilności i duma nie pozwalała jej o tym mówić. Spojrzała na zegarek.

— Czekają na mnie pacjenci. Naprawdę nie mam już nic do dodania.

— Muszę sprawdzić pewne fakty. — Rizzoli otworzyła niewielki kołnotatnik. — Nieco ponad dwa lata temu, w nocy piętnastego czerwca, została pani napadnięta we własnym domu przez doktora Andrew Caprę. Człowieka, którego pani знаła, z którym pracowała pani w szpitalu. — Popatrzyła na Catherine.

— Wszystko już pani wie.

— Uśpił panią, skrępował i przywiązał do łóżka. Użył przemocy.

— Nie widzę powodu, by...

— Zgwałcił panią. — Słowa te, choć wypowiedziane cicho, podziałały na nią jak policzek.

Catherine zamilkła.

— A to nie wszystko, co zamierzał zrobić — ciągnęła Rizzoli.

— Dobry Boże, niech ona przestanie!

— Chciał panią okaleczyć w najokrutniejszy sposób. Tak jak uczynił to z czterema innymi kobietami w stanie Georgia. Rozciął im brzuchy i pozbawił je atrybutów kobiecości.

— Wystarczy — rzekł Moore.

Jednak Rizzoli ciągnęła nieubłaganie.

— To mogło spotkać panią, doktor Cordell.

Catherine pokręciła głową.

— Po co pani to robi?

— Doktor Cordell, pragnę schwytać tego człowieka i liczę, że zechce nam pani pomóc, aby uchronić inne kobiety przed podobnym losem.

— To nie ma ze mną nic wspólnego! Andrew Capra nie żyje! Od dwóch lat!

— Tak, czytałam raport z jego sekcji.

— Gwarantuję, że jest martwy — wybuchnęła Catherine. - Sama wykończyłam sukinsyna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Moore i Rizzoli siedzieli, pocąc się, w samochodzie, owiewani strumieniem ciepłego powietrza z klimatyzatora. Od dziesięciu minut tkwili w korku, a wóz coraz bardziej się nagrzewał.

— Podatnicy mają to, na co zasłużyli — stwierdziła Rizzoli. — A ten samochód jest kupą złomu.

Moore wyłączył klimatyzację i opuścił szybę. Do wnętrza samochodu buchnęło gorące powietrze, przesycone zapachem asfaltu i spalin. Moore był już mokry od potu. Nie pojmował, jak Rizzoli może wytrzymać w żakiecie. On zdjął kurtkę, gdy tylko wyszli z Pilgrim Medical Center i znaleźli się w wilgotnym tropiku. Wiedział, że musi jej być gorąco, gdyż dostrzegł krople potu, lśniąca na jej górnej wardze, która prawdopodobnie nigdy nie miała kontaktu ze szminką. Rizzoli nie była brzydka, ale gdy inne kobiety starały się poprawić swą urodę makijażem lub ozdobami, ona jakby celowo o sobie nie dbała. Nosila ponure ciemne garsonki, niepasujące do jej drobnej postury. a czarne kręcone włosy miała zawsze w nieładzie. Była, jaka była i albo człowiek to akceptował, albo mógł iść do diabła. Moore rozumiał, dlaczego przyjęła taką wojowniczą postawę. W zawodzie policjantki było to zapewne konieczne. Rizzoli musiała ciągle toczyć walkę o przetrwanie.

Podobnie jak Catherine Cordell. Jednak doktor Cordell obrała inną strategię. Zamykała się w sobie. Zachowywała dystans. W czasie rozmowy odniósł wrażenie, że patrzy na nią przez matową szybę, tak wydawała mu się odległa.

To właśnie drażniło Rizzoli.

— Coś z nią jest nie tak — zauważyła. — Ma w sobie jakąś emocjonalną pustkę.

— Specjalizuje się w chirurgii urazowej. Potrafi panować nad emocjami.

— Jest zimna jak lód. Dwa lata temu została związana, zgwałcona i niemal wypatroszona. A mówi o tym z takim spokojem. To zastanawiające.

Moore przyhamował na czerwonym świetle i patrzył na zatłoczone skrzyżowanie. Po plecach spływały mu krople potu. Źle znosił upał. Czuł się senny i otępiały. Marzył, by skończyło się lato i spadł pierwszy śnieg...

— Hej! — przerwała te rozmyślenia Rizzoli. — Słuchasz mnie?

— Ona jest po prostu bardzo opanowana — stwierdził. Ale nie lodowato zimna, pomyślał, przypominając sobie, jak Catherine Cordell drżała ręką, gdy oddawała mu fotografie dwóch zamordowanych kobiet.

Usiadłszy ponownie za biurkiem, pociągnął łyk ciepłej coli i przeczytał raz jeszcze artykuł, wydrukowany kilka tygodni wcześniej w bostońskim Globe, pod tytułem Kobiety ze skalpelem. Była w nim mowa o trzech pracujących w Bostonie kobietach-chirurgach — o ich sukcesach, trudnościach i szczególnych problemach, które napotykały w swoim zawodzie. Spośród trzech zamieszczonych zdjęć najbardziej przykuwała uwagę podobizna doktor Cordell. Nie tylko dlatego, że była atrakcyjną kobietą. Spoglądała w obiektyw dumnym i wyzywającym wzrokiem. Zdjęcie, podobnie jak treść artykułu, utwierdzało w przekonaniu, że ta kobieta panuje nad swoim życiem.

Moore odłożył artykuł, rozmyślając o tym, jak mylne bywają pierwsze wrażenia. Jak łatwo

zamaskować ból uśmiechem czy wysunięciem podbródka.

Otworzył kolejną teczkę, wziął głęboki oddech i przeczytał powtórnie raport policji z Savannah na temat doktora Andrew Capry.

Capra dokonał pierwszego zabójstwa, gdy studiował medycynę na Uniwersytecie Emory w Atlancie. Ofiarą była Dora Ciccone, dwudziestodwuletnia studentka ostatniego roku. Jej ciało znaleziono przywiązane do łóżka w mieszkaniu, które zajmowała. Sekcja wykazała, że odurzono ją rohypnolem. Mieszkanie nie nosiło śladów włamania.

Ofiara najwyraźniej zaprosiła zabójcę do domu.

Sprawca przywiązał zamroczoną Dorę Ciccone do łóżka nylonową linką i zakleił jej usta taśmą, aby nie krzyczała. Najpierw ją zgwałcił, a potem rozciął jej brzuch.

Żyła, gdy to robił.

Kiedy skończył zabieg i zabrał swój łup, poderznął jej gardło, wykonując jedno głębokie cięcie od lewej do prawej. Choć policja dysponowała kodem DNA z nasienia sprawcy, nie mogli trafić na jego ślad. Dochodzenie utrudniał fakt, że Dora miała reputację rozrywkowej dziewczyny, która lubiła bywać w miejscowych barach i sprowadzała często do domu nieznajomych mężczyzn.

W nocy, kiedy zginęła, towarzyszył jej student medycyny o nazwisku Andrew Capra. Policja nic o nim jeszcze nie wiedziała, gdy w Savannah, trzysta kilometrów dalej, zamordowano trzy kolejne kobiety.

Wreszcie w pewną parną czerwcową noc zabójstwa się skończyły.

Trzydziestojednoletnia Catherine Cordell, naczelny chirurg szpitala Riverland w Savannah, była zdumiona, słysząc pukanie do drzwi. Gdy je otworzyła, zobaczyła na ganku Andrew Caprę, jednego ze swoich studentów. Tego dnia w szpitalu zganiła go za błąd, który popełnił. Chciał się teraz dowiedzieć, w jaki sposób mógłby go naprawić. Zapytał, czy może wejść, by z nią

pomówić.

Pijąc piwo, rozmawiali o tym, jak wypadł w roli praktykanta, ile zdarzyło mu się potknąć i ilu pacjentom mógł zaszkodzić przez swoje niedbalstwo. Doktor Cordell nie kryła gorzkiej prawdy, że Andrew sobie nie radzi i nie zaliczy kursu. W pewnym momencie Catherine musiała wyjść do toalety, a gdy wróciła, dokończyła piwo, kontynuując rozmowę.

Kiedy odzyskała przytomność, była naga i leżała przywiązana do łóżka nylonową żyłką.

W raporcie policyjnym opisano z zatrważającą dokładnością koszmar, który potem nastąpił.

Zdjęcia, które zrobiono jej w szpitalu, przedstawiały kobietę o przerażonych oczach i posiniaczonym, potwornie opuchniętym policzku. Widoczną na nich osobę można było określić jednym słowem: ofiara.

Wizerunek ten zupełnie nie pasował do opanowanej kobiety, którą dzisiaj spotkał.

Czytając teraz ponownie zeznania doktor Cordell, słyszał w myślach jej głos. Nie były to już słowa anonimowej ofiary, lecz kobiety, której twarz znał.

Nie wiem, jak uwolniłam rękę. Mam podrapany cały przegub, więc pewnie ją wyszarpnęłam.

Przepraszam, ale mąci mi się_ w głowie. Pamiętam tylko, jak sięgałam po skalpel. Wiedziałam, że muszę, wziąć go z tacy. Że muszę, przeciąć więzy, zanim wróci Andrew...

Pamiętam, że przeturlałam się. na skraj łóżka, spadłam na podłogę i uderzyłam, się w głowę.

Potem próbowałam znaleźć broń. Należy do mojego ojca. Nalegał, bym ją zatrzymała, po tym jak w Savannah zamordowano trzecią kobietę.

Pamiętam, że sięgnęłam pod łóżko i chwyciłam broń. Pamiętam odgłos kroków. Co było dalej, nie wiem. Zdaje się, że do niego strzeliłam. Podobno dwa razy. Chyba tak właśnie się stało.

Moore przerwał czytanie i zamyślił się. Badania balistyczne potwierdziły, że oba pociski wystrzelono z broni, która należała do ojca Catherine. Znaleziono ją obok łóżka. Wykonane w szpitalu testy wykazały obecność we krwi rohypnolu, środka odurzającego, Catherine mogła

więc mieć zaniki pamięci. Kiedy przywieziono ją na ostry dyżur, lekarze stwierdzili, że jest zamroczona z powodu narkotyku albo przeżytego wstrząsu. Siniaki i opuchlizna na jej twarzy musiały być wynikiem silnego uderzenia w głowę. Nie pamiętała jednak, jak i kiedy do niego doszło.

Moore zaczął przeglądać zdjęcia z miejsca zbrodni. Andrew Capra leżał martwy na plecach na podłodze sypialni. Został dwukrotnie trafiony strzałami z bliskiej odległości: w brzuch i w oko.

Moore przez długi czas przypatrywał się zdjęciom, analizując ułożenie ciała Capry i ślady krwi.

Potem przeczytał dwa razy raport z sekcji zwłok i spojrzał ponownie na fotografię z miejsca zbrodni.

Coś tu nie gra, pomyślał. Zeznania doktor Cordell nie mają sensu.

Nagle na jego biurku wylądował jakiś papier. Podniósłszy ze zdziwieniem wzrok, zobaczył Rizzoli.

— Czytał pan to? — zapytała.

— Co to jest?

— Raport na temat włosa, znalezionego w ranie Eleny Ortiz.

Moore przeczytał go szybko i stwierdził:

— Nie mam pojęcia, co to może znaczyć.

W 1997 roku różne wydziały Komisarjatu Policji w Bostonie przeniesiono do jednego nowoczesnego budynku — Schroeder Plaża — w podejrzanej dzielnicy Roxbury. Policjanci nazywali swoją nową siedzibę „marmurowym pałacem” ze względu na granitowy wystrój holu. „Za parę lat, jak trochę naśmiecimy, zrobi się tu swojsko” — żartowali. Schroeder Plaża nie przypominał nędznych komisariatów z seriali telewizyjnych. Był lśniącym, eleganckim

biurowcem o dużych oknach. Wydział zabójstw, z miękką wykładziną na podłogach i stanowiskami komputerów, wyglądał jak centrum biznesu. Najbardziej jednak odpowiadało policjantom to, że mieli wszystko pod ręką.

Aby dotrzeć do laboratorium kryminalistycznego, wystarczyło przejść przez łącznik do południowego skrzydła budynku.

Moore i Rizzoli patrzyli, jak Erin Yolchko z sekcji badania włosów i włókien wertuje koperty z materiałem dowodowym.

— Miałam do dyspozycji tylko pojedynczy włos — stwierdziła Erin. — To zdumiewające, jak wiele można się dzięki niemu dowiedzieć. O, jest. — Znalazła kopertę z numerem sprawy Eleny Ortiz i wyjęła z niej przezrocze. — Pokażę wam, jak to wygląda pod mikroskopem. Dane liczbowe są w raporcie.

— Tutaj? — spytała Rizzoli, spoglądając na długą serię liter i liczb na papierze.

— Tak. Każdy symbol określa jakąś cechę włosa: kolor, stopień skręcenia, obraz mikroskopowy. Ten, na przykład, ma oznaczenie A-zero jeden — ciemny blond i B-zero jeden - zakrzywienie o średnicy poniżej osiemdziesięciu, czyli niemal prosty. Trzon długości czterech centymetrów. Niestety, włos był w fazie telogenowej, nie ma więc przylegającej do niego tkanki nabłonka.

— Brakuje kodu DNA.

— Właśnie. Telogen to ostatnia faza wzrostu korzenia. Ten włos wypadł w sposób naturalny, w procesie linienia. Innymi słowy, nie został wyrwany. Gdyby przy korzeniu były komórki nabłonka, moglibyśmy poddać analizie ich jądra i uzyskać kod DNA. Ale w tym włosie nie ma takich komórek.

Rizzoli i Moore wymienili zawiedzione spojrzenia.

— Mamy tu jednak coś ciekawego — dodała Erin. — Nie jest to tak wartościowe jak kod

DNA, ale może się przydać w sądzie, gdy złapiecie podejrzanego. Szkoda, że nie mamy dla Porównania włosów ze sprawy Diany Sterling. — Nastawiła mikroskop i odsunęła się na bok. — Spójrzcie.

Mikroskop miał specjalny okular, więc Rizzoli i Moore mogli oglądać obraz równocześnie. Moore zobaczył pojedynczy włos z drobnymi guzkami.

— Co to za wypukłości? — spytała Rizzoli. — To chyba nie jest normalne.

— Anormalne i wyjątkowo rzadkie — przyznała Erin. - To choroba zwana Trichorrhexis invaginata, czyli „bambusowy włos”. Pochodzenie tej nazwy jest oczywiste. Te małe guzki sprawiają, że włos wygląda jak pręt bambusa.

— Skąd one się biorą? — zapytał Moore.

— Z defektu we włóknie włosa. W osłabionych punktach odcinki jego trzonu zachodzą na siebie, tworząc coś w rodzaju stawu panewkowego. To właśnie te wypukłości.

— Co powoduje tę chorobę?

— Czasem nadmierne farbowanie włosów, zbyt częsta trwała ondulacja, tego typu rzeczy. Ale ponieważ nasz sprawca jest zapewne mężczyzną i nie wygląda na to, by używał farby, powiedziałabym raczej, że w jego przypadku mamy do czynienia z jakimś defektem genetycznym.

— Na przykład?

— Chociażby z syndromem Nethertona. To schorzenie auto-somatyczne, które ogranicza rozwój keratyny — twardej, włóknistej proteiny, obecnej we włosach i paznokciach. A także w zewnętrznej warstwie skóry.

— Jeśli z powodu defektu genetycznego występują braki keratyny, włosy stają się kruche?

Erin skinęła głową.

— Nie chodzi tylko o włosy. Ludzie z syndromem Nether tona mogą mieć również problemy

z łuszczącą się skórą i wysypkami.

— A więc nasz sprawca ma potężny łupież? — stwierdziła Rizzoli.

— Może nawet coś bardziej rzucającego się w oczy. U niektórych pacjentów występuje ostra forma choroby, znana pod nazwą Ichthyosis. Ich skóra może być tak sucha, że wygląda jak u aligatora.

Rizzoli roześmiała się.

— A więc szukamy człowieka-gada! To powinno zawęzić obszar poszukiwań.

— Niekoniecznie. Mamy lato.

— A jakie to ma znaczenie?

— Tropikalne powietrze nawilża jego skórę. O tej porze roku może wyglądać zupełnie normalnie.

Rizzoli i Moore wymienili spojrzenia, bo przyszła im równocześnie do głowy ta sama myśl.

Obie ofiary zginęły w lecie.

— Dopóki utrzymują się upały — stwierdziła Erin — nie różni się zapewne od innych ludzi.

— Jest dopiero lipiec — zauważyła Rizzoli.

Moore skinął głową.

— Jego sezon łowiecki właśnie się zaczął.

Pacjent z urazówki przestał być anonimowy. Pielęgniarki z ostrego dyżuru znalazły jego dane przy breloczku na klucze. Nazywał się Herman Gwadowski i miał sześćdziesiąt dziewięć lat.

Catherine stała przy jego łóżku na oddziale intensywnej terapii, sprawdzając metodycznie odczyty aparatury, do której był podłączony. Oscyloskop wykazywał normalny rytm EKG.

Ciśnienie tętnicze było na poziomie 110/70, a wykres ciśnienia żylnego wznosił się i opadał jak fale na wzburzonym morzu. Sądząc z danych liczbowych, operacja pana Gwadowskiego

zakończyła się powodzeniem.

Jeszcze się nie obudził, stwierdziła Catherine, świecąc mu punktową latarką w lewą źrenicę, a potem w prawą. Prawie osiem godzin po operacji był nadal w stanie śpiączki.

Wyprostowała się i patrzyła, jak jego pierś wznosi się i opada w rytm pracy aparatu oddechowego. Nie dopuściła, by wykrwawił się na śmierć. Ale co tak naprawdę osiągnęła?

Ocaliła ciało z bijącym sercem i martwym mózgiem.

Usłyszała stukanie w szybę. Doktor Peter Falco, kolega z oddziału chirurgii, machał do niej przez okno izolatki z wyrazem zatroskania na radosnej zwykle twarzy.

Niektórzy chirurdzy wpadają w złość na sali operacyjnej. Inni, wchodząc tam, zachowują się arogancko i wkładają chirurgiczny fartuch tak, jakby były to królewskie szaty. Jeszcze inni są wyłącznie sprawnymi rzemieślnikami, dla których pacjenci to jedynie mechanizmy wymagające naprawy.

Peter był wyjątkowy. Wesoły i pogodny, potrafił śpiewać, okropnie fałszując, piosenki Elvisa na sali operacyjnej, organizować w biurze zawody papierowych samolotów i bawić się na czworakach klockami lego z dziećmi z oddziału pediatrycznego. Catherine przywykła widzieć na jego twarzy uśmiech. Zobaczywszy przez szybę, jaki jest zafrasowany, wyszła natychmiast z izolatki.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał.

— Kończę właśnie obchód.

Peter spojrzał na labirynt rurek i cały sprzęt, zgromadzony wokół łóżka Hermana Gwadowskiego.

— Podobno dokonałaś cudu. Zatomowałaś potężny krwotok.

— Nie wiem, czy można to nazwać cudem. — Skierowała znów wzrok na pacjenta. —

Funkcjonuje wszystko oprócz szarych komórek.

Przez chwilę oboje milczeli, obserwując pierś mężczyzny, która unosiła się i opadała.

— Helen wspomniała mi, że miałaś dziś wizytę dwojga policjantów — rzekł Peter. — Co się dzieje?

— Nic ważnego.

— Zapomniałaś zapłacić za parkowanie?

Catherine zmusiła się do śmiechu.

— Właśnie. Liczę, że pomożesz mi z tego wybrnąć.

Wyszli z oddziału intensywnej terapii do holu. Chudy jak szczapa Peter podążał obok niej swobodnym krokiem. Gdy jechali windą, zapytał:

— Dobrze się czujesz, Catherine?

— Czemu pytasz? Czy źle wyglądam?

— Szczerze? — Wpatrywał się w nią tak intensywnie swymi niebieskimi oczami, że poczuła się zmieszana.—Myślę, że przydałaby ci się lampka wina i dobra kolacja. Może gdzieś się wybierzemy?

— Kuszące zaproszenie.

— A więc?

— Chyba jednak zostanę w domu.

Peter chwycił się za pierś, jakby śmiertelnie zraniony.

— Znowu mnie odrzucasz! Czy jest na ciebie jakiś sposób?

— Sam musisz to sprawdzić — odparła z uśmiechem.

— A może spróbuję tak: ptaszki ćwierkają, że w sobotę masz urodziny. Przelećmy się moim samolotem.

— Nie mogę. Tego dnia mam dyżur.

— Ames cię zastąpi. Pogadam z nim.

— Och, Peter. Wiesz, że nie lubię latać.

— Nie mów, że się boisz.

— Po prostu chcę mieć zawsze możliwość kontrolowania sytuacji.

Peter pokiwał poważnie głową.

— Klasyczna osobowość chirurga.

— Innymi słowy: zadzieram nosa?

— A więc nici z randki w samolocie? Nie zmienisz zdania?

— Raczej nie.

Westchnął ciężko.

— No to trudno. Wyczerpałem wszystkie możliwości.

— Wiem. Zaczynasz się powtarzać.

— Helen też tak twierdzi.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Helen daje ci rady, jak masz mnie podrywać?

— Powiedziała, że nie może już patrzeć na faceta, który bezskutecznie wali głową w mur.

Oboje roześmiali się, wychodząc z windy i podążając do b'ura. Był to beztroski śmiech pary przyjaciół, którzy wiedzieli, że chodzi tylko o żarty. Mając tego świadomość, nie ranili wzajemnie swoich uczuć, nie angażowali się emocjonalnie. Taki niewinny flirt chronił ich przed poważnym romanssem. On zapraszał ją żartobliwie na randkę, ona mu odmawiała i cały zespół miał zabawę.

Było już wpół do szóstej i wszyscy skończyli pracę. Weszli oboje do swoich gabinetów.

Catherine powiesiła na drzwiach fartuch i sięgnęła po torebkę, gdy nagle zaświtała jej pewna myśl.

Przeszedłszy przez korytarz, wsunęła głowę do gabinetu Petera. Przeglądał jakieś wykresy.

Miał okulary na czubku nosa. W jego gabinecie nie było takiego porządku jak u niej. Panował tam nieopisany bałagan. Kosz na śmieci wypełniały papierowe samoloty, a na krzesłach leżały sterty książek i czasopism lekarskich. Jedną ze ścian zasłaniał niemal całkowicie przerośnięty filodendron. W dżungli liści wisiały dyplomy Petera, świadczące o jego tytułach naukowych: inżyniera lotnictwa z MIT i doktora medycyny z Harvardu.

— Peter? — zaczęła niepewnie Catherine. — To głupie pytanie...

— A więc trafiłaś na właściwego człowieka — stwierdził, spoglądając zza okularów.

— Czy wchodziłeś do mojego gabinetu?

— Powinienem zadzwonić do adwokata, zanim odpowiem?

— Przestań. Mówię poważnie.

Peter wyprostował się i spojrzał jej w oczy.

— Nie wchodziłem. Dlaczego pytasz?

— Mniejsza z tym. To nic ważnego. — Odwróciwszy się, usłyszała skrzypienie krzesła.

Peter wstał zza biurka i podążył za nią do gabinetu.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Jestem rozdrażniona, to wszystko. Denerwuje mnie, gdy rzeczy nie są na swoim miejscu.

— Co na przykład?

— Mój fartuch. Zawsze wiem go na drzwiach i nie wiadomo jakim cudem trafia na szafkę albo na krzesło. Pytałam Helen i inne sekretarki. Mówią, że go nie ruszały.

— Może sprzątaczką?

— Dostaję też szału, że nie mogę znaleźć stetoskopu.

— Całkiem go wcięło?

— Musiałam prosić przełożoną pielęgniarek, żeby pożyczyła mi swój.

Peter zmarszczył brwi i rozejrzał się po pokoju.

— O, leży tam. Na półce. — Podeszedł do regału i sięgnął po zwinięty w spiralę stetoskop.

Odebrała go od niego w milczeniu, jakby pierwszy raz widziała ten przedmiot na oczy.

Wyglądał na jej dłoni jak czarny wąż.

— Hej, o co chodzi? — zaniepokoił się Peter.

Catherine westchnęła ciężko.

— Chyba jestem przemęczona. — Włożyła stetoskop do lewej kieszeni fartucha, tam gdzie zawsze go trzymała.

— Tylko tyle? A może to coś więcej?

— Muszę wracać do domu. — Wyszła z gabinetu. Peter ruszył za nią na korytarz.

— Czy to ma coś wspólnego z wizytą policji? Posłuchaj, jeśli masz kłopoty, jeśli mógłbym ci w czymś pomóc...

— Dzięki, nie potrzebuję pomocy. — Słowa zabrzmiały bardziej oschle, niż zamierzała, i natychmiast pożałowała swojej reakcji. Peter nie zasługiwał na taką odpowiedź.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś od czasu do czasu poprosiła mnie o przysługę

— rzekł cicho. — W końcu pracujemy razem i jesteśmy partnerami, prawda?

Catherine milczała.

— Do zobaczenia rano — powiedział, zamierzając wrócić do swojego gabinetu.

— Peter?

— Słucham?

— Jeśli chodzi o powód wizyty tych ludzi z policji...

— Nie musisz mi nic mówić.

— Chyba powinnam. Inaczej będziesz się nad tym cały czas zastanawiał. Przyszli zapytać mnie o ofiarę zabójstwa. W czwartek w nocy zamordowano jakąś kobietę. Sądzieli, że mogłam ją znać.

— A znalazła ją?

— Nie, to była pomyłka. — Westchnęła ciężko. — Po prostu pomyłka.

Catherine zaryglowała drzwi i założyła łańcuch. Była to jedna z linii obrony przed nieznanym złem, które czaiło się za murami. Zabarykadowawszy się w mieszkaniu, zdjęła buty, położyła torebkę i kluczyki samochodowe na stoliku z drewna wiśniowego i przeszła bosą przez salon, wyłożony grubym białym dywanem. Dzięki klimatyzacji w mieszkaniu panował przyjemny chłód. Na zewnątrz było ponad trzydzieści stopni, ale w jej domu temperatura nie przekraczała nigdy latem dwudziestu dwóch, a zimą nie spadała poniżej dwudziestu. W życiu tak niewiele daje się z góry zaplanować, ona jednak starała się w miarę możliwości utrzymać w nim jakiś ład. Wybrała budynek z dwunastoma mieszkaniami przy Commonwealth Avenue, ponieważ był zupełnie nowy i miał bezpieczny garaż. Nie dorównywał urodą zabytkowym ceglanykamienicom w Back Bay, ale lokatorów nie nękały przynajmniej typowe dla starych budynków awarie kanalizacji lub instalacji elektrycznej. Catherine nie lubiła żyć w niepewności. W jej mieszkaniu panował idealny porządek. Z wyjątkiem kilku zaskakujących barwnych elementów umeblowane było w większości na biało. Biała kanapa, białe dywany, białe kafelki. Kolor czystości. Nieskalany, dziewiczy.

Rozebrała się w sypialni, powiesiła na wieszaku spódnice i odłożyła na bok bluzkę, by zanieść ją do pralni, po czym włożyła luźne spodnie i jedwabną bluzeczkę bez rękawów. Gdy wchodziła bosą do kuchni, czuła się spokojna i opanowana.

W ciągu dnia było inaczej. Wizyta policji tak ją zdenerwowała, że przez całe popołudnie popełniała głupie błędy. Sięgała po nieodpowiedni formularz albo wpisywała niewłaściwą datę na karcie. Te drobne omyłki były jednak jak zmarszczki na powierzchni silnie wzburzonej wody. Przez ostatnie dwa lata udawało jej się nie wracać myślami do tego, co zaszło w Savannah. Czasem nagle i bez ostrzeżenia w pamięci ożywał jakiś koszmary obraz, ale wtedy

koncentrowała od razu uwagę na czymś innym. Dziś nie mogła uciec od wspomnień. Nie potrafiła udawać, że tamte wydarzenia nie miały miejsca.

Czuła pod bosymi stopami chłód kafelków. Zrobiła sobie drinka z wódką i popijała go, trąc parmezan i siekając pomidory, cebulę i zioła. Nie jadła nic od śniadania i alkohol przenikał wprost do jej krwiobiegu. Odczuwała przyjemne odurzenie. Równomierne stukanie noża o deskę do krojenia i zapach świeżej bazylii i czosnku działały na nią kojąco. Gotowanie było terapią. Boston przypominał o tej porze kipiący kocioł, pełen stłoczonych samochodów i podenerwowanych ludzi, a tymczasem ona, oddzielona od miasta okienną szybą, usmażyła spokojnie pomidory na oliwie z oliwek, nalała sobie szklaneczkę chianti i ugotowała w garnku wodę na makaron. Z kratki wentylacyjnej wylatywało z sykiem chłodne powietrze.

Postawiwszy na stole makaron, sałatkę i wino, usiadła i zaczęła jeść kolację przy dźwiękach muzyki Debussy'ego. Mimo że była głodna i starannie przyrządziła posiłek, nic jej nie smakowało. Zmuszała się do jedzenia, ale wszystko stawało jej w gardle, jakby połknęła coś gęstego i lepkiego. Nawet wypiwszy drugą szklaneczkę chianti, nie pozbyła się tego nieprzyjemnego uczucia. Odłożyła widelec i spojrzała na niedojedzoną kolację. Muzyka opływała ją wezbranymi falami.

Ukryła twarz w dłoniach. Początkowo nie wydawała z siebie żadnego głosu, jakby skrywała swój ból tak głęboko, że nie potrafiła go już wydobyć na światło dzienne. Potem z jej ust wyrwał się cieniutki pisk. Wciągnęła głęboko powietrze i wybuchnęła płaczem, uzewnętrzniając cierpienia, które znosiła Przez dwa lata. Przeraziła ją gwałtowność własnych emocji; nie potrafiła nad nimi zapanować. Nie umiała przewidzieć, jak głęboko sięga jej ból i czy kiedykolwiek zdoła się uspokoić. Płakała, aż rozbolało ją gardło, aż poczuła skurcze w płucach, odizolowana od świata w swym hermetycznym mieszkaniu.

Wreszcie gdy zabrakło jej łez, położyła się na kanapie i natychmiast zapadła w głęboki sen.

Obudziła się nagle w ciemnościach. Serce waliło jej jak młotem, a bluzka była mokra od potu. Czyżby usłyszała jakiś hałas? Odgłos tłuczonego szkła albo czyjeś kroki? Czy to wyrwało ją z głębokiego snu? Bała się poruszyć, by nie zagłuszyć dźwięku, który mógł zdradzić obecność intruza.

Okno oświetliły nagle reflektory przejeżdżającego samochodu. Salon na chwilę się rozjaśnił, po czym znów zapanował mrok. Słyszała tylko syk strumienia powietrza z klimatyzatora i buczenie lodówki w kuchni. Żadnych obcych odgłosów, które mogłyby wywołać to uczucie dławiącego strachu.

Usiadła na kanapie i zebrała się na odwagę, by włączyć lampę. Dręczące ją koszmary zniknęły natychmiast w ciepłym blasku żarówki. Wstała z kanapy i przeszła przez wszystkie pokoje, zapalając światła i zaglądając do szaf. Rozsądek podpowiadał jej, że w mieszkaniu nie ma żadnego intruza. Było dobrze zabezpieczone dzięki nowoczesnemu systemowi alarmowemu, solidnym zamkom w drzwiach i zaryglowanym oknom. Nie spoczęła jednak, dopóki nie skończyła swego rytualnego obchodu i nie zajrzała w każdy kąt. Dopiero przekonawszy się, że nic jej nie zagraża, spokojnie odetchnęła.

Była godzina dziesiąta trzydzieści. Środa. Muszę z kimś porozmawiać. Dziś sama sobie nie poradzę.

Usiadła przy biurku, włączyła komputer i patrzyła w ekran. To był jej elektroniczny terapeuta. Tylko z nim mogła podzielić się swym cierpieniem.

Wystukała na klawiaturze swój kryptonim, CCORD, weszła do Internetu, po czym — kliknąwszy parę razy myszką i wpisawszy na ekranie kilka słów — pozeğłowała do prywatnego okienka czatowego o nazwie pomocdlakobiet.

Była tam już grupka znajomych postaci, anonimowych kobiet, które przyciągała ta bezpieczna przystań w wirtualnej przestrzeni. Śledziła przez kilka minut ich dialog na ekranie

komputera, słysząc w myślach zranione głosy osób, których nigdy naprawdę nie spotkała.

LAURIE45: I co wtedy zrobiłaś?

VOTIVE: Powiedziałałam mu, że nie jestem jeszcze gotowa. Że nadal mam uraz. Więc jeśli mu na mnie zależy, musi poczekać.

HBREAKER: I bardzo dobrze.

WINKY98: Nie pozwól, żeby cię ponaglał.

LAURIE45: Jak zareagował?

VOTIVE: Powiedział, że powinnam sobie z tym poradzić! Jakbym była jakąś niedorajdą!

WINKY98: Facetów należałoby zgwałcić!!

HBREAKER: Ja otrząsnęłam się dopiero po dwóch latach.

LAURIE45: A ja po kilkunastu miesiącach.

WINKY98: Faceci myślą tylko o swoich fiutach. O niczym więcej. Chcą, żeby im dogodzić.

LAURIE45: Oho! Jesteś coś dzisiaj wkurzona, Wink.

WINKY98: Możliwe. Czasem myślę, że Lorena Bobbitt miała rację.

HBREAKER: Wink wykopuje topór wojenny!

VOTIVE: Nie sądzę, żeby on chciał czekać. Chyba ze mnie zrezygnował.

WINKY98: Jesteś warta, żeby na ciebie poczekał! JESTEŚ TEGO WARTA!

Przez kilka sekund ekran był pusty. Po chwili pojawiło się na nim zdanie:

LAURIE45: Cześć, Ccord. Cieszę się, że wróciłaś. Catherine wystukała na klawiaturze:

CCORD: Widzę, że znowu rozmawiamy o mężczyznach.

LAURIE45: Tak. Jak to się dzieje, że nie możemy zejść z tego nudnego tematu?

VOTIVE: Bo to oni nas skrzywdzili.

Znów nastąpiła długa przerwa. Catherine wzięła głęboki oddech i napisała:

CCORD: Miałam fatalny dzień.

LAURIE45: Co się stało, CC? Opowiedz nam.

Catherine słyszała niemal, jak dociera do niej z eteru łagodny i kojący szmer kobiecych głosów.

CCORD: Wpadłam dziś w nocy w panikę. Siedzę zamknięta w domu, gdzie nikt mnie nie może tknąć, ale to nie pomaga.

WINKY98: Nie pozwól mu triumfować. Nie daj się uwięzić.

CCORD: Za późno. Już jestem więźniem. Tej nocy uświadomiłam sobie coś strasznego.

WINKY98: Co takiego?

CCORD: Zło nigdy nie umiera. Przybiera tylko nowe formy. Jeśli raz spotkało nas nieszczęście, to nie znaczy, że jesteśmy odporne na powtórne zranienie. Piorun może uderzyć dwa razy.

Nie było już żadnej odpowiedzi.

Bez względu na to, jak jesteśmy ostrożne, zło wie, gdzie mieszkamy, pomyślała Catherine.

Wie, jak nas znaleźć. Po plecach spłynęła jej kropla potu. Czuję je. Wiem, że się zbliża.

Nina Peyton nigdzie nie wychodzi, Z nikim się nie widuje. Od tygodni nie była w pracy.

Dzwoniłem dziś do biura w Brookline, gdzie pracuje jako przedstawicielka handlowa, i jej kolega powiedział mi, że nie wie, kiedy do nich wróci. Jest jak ranne zwierzę, ukryte w norze i bojące się opuścić bezpieczną, kryjówkę. Wie, co czai się w mroku, bo zaznała już zła i nawet teraz czuje, jak sączy się ono przez ściany jej domu. Zastony są szczelnie zaciągnięte, ale przez cienką tkaninę widzę, jak chodzi tam i z powrotem po pokoju. Jest skulona i przyciska ręce do piersi, jakby dygotała z zimna. Jej ruchy są gwałtowne i mechaniczne.

Sprawdza, czy drzwi i okna są zamknięte. Próbuje odgrodzić się od ciemności.

W jej małym domku musi być potwornie gorąco. Noc jest upalna, a ona nie ma klimatyzacji.

Siedzi cały wieczór przy zamkniętych oknach. Wyobrażam sobie, jaka jest mokra od potu, jak

cierpi dzień i noc z powodu upału, ale boi się, że wietrząc mieszkanie, wpuści do środka nie tylko świeże powietrze.

Znowu przechodzi obok okna. Przystaje. Jej sylwetka majaczy na tle światła. Nagle rozsuwają się zasłony. Podciąga do góry okno i łapczywie wdycha powietrze. Upał w końcu ją pokonał. Myśliwego nic nie ekscytuje bardziej niż zapach rannej zwierzyny. Czują niemal, jak unosi się w powietrzu. Zapach krwi i okaleczonego ciała. Gdy ona wdycha nocne powietrze, ja napawam się jej strachem.

Serce bije mi szybciej. Sięgam do torby i dotykam pieśczośliwie narzędzi. Nawet stal wydaje mi się ciepła.

Dziewczyna zatrzaskuje okno. Pozwoliła sobie tylko na kilka haustów świeżego powietrza, a teraz zamyka się znowu w koszmarnym zaduchu domu.

Odchodzę po chwili z uczuciem rozczarowania, pozostawiając Ją. spoconą w gorącej jak piec sypialni.

Jutro ma być podobno jeszcze bardziej upalnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Sprawca jest typowym pikerystą — stwierdził doktor Lawrence Zucker. — Osobnikiem, który używa noża, aby doznać w sposób pośredni seksualnego zaspokojenia. Pike-ryzm to akt wielokrotnego nakłuwania lub przecinania skóry za pomocą ostrego przedmiotu. Nóż jest symbolem fallicznym — zastępuje męski organ płciowy. Zamiast odbyć normalny stosunek, sprawca rozładowuje napięcie, sprawiając ból ofierze. Upaja się poczuciem władzy. Decyduje o życiu i śmierci.

Detektyw Jane Rizzoli niełatwo było przestraszyć, ale na widok doktora Zuckera przechodziły ją ciarki. Wyglądał jak blady i niezdarny John Malkovich, a jego zdławiony głos miał niemal kobiece brzmienie. Gdy mówił, wykonywał palcami delikatne węzowe ruchy. Nie

był policjantem, lecz psychologiem z Uniwersytetu Northeastern i konsultantem policji w Bostonie. Rizzoli pracowała już z nim kiedyś nad sprawą zabójstwa i wtedy też ją przerażał. Nie chodziło tylko o wygląd Zuckera, lecz o sposób, w jaki identyfikował się całkowicie ze sprawcą, i diaboliczną przyjemność, jaką czerpał z wczuwania się w jego psychikę. Najwyraźniej się tym delectował. Słyszała w jego głosie ton podniecenia.

Przyjrzała się czterem pozostałym detektywom, obecnym w sali konferencyjnej, zastanawiając się, czy któregoś z nich ten dziwak też napawał przerażeniem, ale zobaczyła jedynie znużone, posępne twarze.

Wszyscy byli zmęczeni. Ona sama spała poprzedniej nocy zaledwie cztery godziny. Obudziła się przed świtem, gdy było jeszcze ciemno, i jej mózg zaczął pracować natychmiast na pełnych obrotach, analizując kalejdoskop obrazów i głosów. Była tak zaangażowana w sprawę Eleny Ortiz, że przyśniła jej się rozmowa z tą kobietą. Nie chodziło o żadne nadprzyrodzone objawienie ani wskazówki zza grobu, a jedynie bezsensowne wizje powstające w jej mózgu. A jednak Rizzoli nie lekceważyła tego snu. Dowodził on, jak wiele znaczyła dla niej ta sprawa.

Prowadzenie tak ważnego śledztwa przypominało spacer po linie bez ochronnej siatki. Kiedy dopadłeś sprawcę, wszyscy ci gratulowali. Jeśli nawaliłeś, cały świat widział twoją klęskę. Przypadek Eleny Ortiz stał się już głośny. Przed dwoma dniami na pierwszej stronie miejscowego dziennika ukazał się wielki nagłówek: Chirurg znów atakuje! Dzięki gazecie Boston Herald ich nieznany sprawca miał przydomek, którego używali nawet policjanci. Chirurg. Boże, była gotowa odbyć ten spacer po linie, zaryzykować sukces lub porażkę. Tydzień temu, gdy weszła do mieszkania Eleny Ortiz, prowadząc dochodzenie, poczuła natychmiast, że dzięki temu śledztwu zrobi karierę, i koniecznie chciała się wykazać.

Jak szybko sytuacja się zmieniła.

W ciągu jednego dnia śledztwo zatoczyło znacznie szersze kręgi i przejął je porucznik

Marquette. Morderstwo Eleny Ortiz powiązano z zabójstwem Diany Sterling, a grupę dochodzeniową tworzyło, oprócz Marquette'a, pięć osób: Rizzoli i jej partner, Barry Frost, Moore i jego barczysty kolega, Jerry Sleeper, a także detektyw Darren Crowe. Rizzoli była jedyną kobietą w zespole. W istocie była jedyną kobietą w całym Wydziale zabójstw i niektórzy mężczyźni nie pozwalali jej o tym zapomnieć. Z Barrym Frostem, mimo jego irytująco pogodnego usposobienia, umiała współpracować. Jerry Sleeper był zbyt flegmatyczny, by kogośkolwiek wkurzyć. Jeśli chodzi o Moore'a — cóż, mimo początkowych obiekcji zaczynała go nawet lubić i naprawdę cenić za metodyczną pracę. Co najważniejsze, on najwyraźniej ją szanował. Wiedziała, że słucha, gdy do niego mówi.

Tylko z piątym członkiem zespołu miała problemy. I to poważne. Darren Crowe siedział teraz za stołem naprzeciwko niej, jak zwykle z ironicznym uśmiechem na opalonej twarzy. Dorastała wśród chłopaków takich jak on. Dobrze zbudowanych, mających powodzenie u dziewczyn. Bardzo pewnych siebie.

Nie cierpieli się wzajemnie.

Doktor Zucker zaczął rozdawać zebranim kartki papieru. Rizzoli wzięła jedną i zobaczyła, że jest tam opisany portret psychologiczny sprawcy.

— Wiem, że niektórzy z was odnoszą się sceptycznie do mojej pracy — stwierdził Zucker.

— Wyjaśnię więc tok rozumowania. Oto, co wiemy o naszym nieznanym sprawcy. Wchodzi do mieszkania ofiary przez otwarte okno. Robi to w środku nocy, między północą a drugą nad ranem. Zaskakuje ofiarę we śnie. Natychmiast odurza ją chloroformem, rozbiera i przywiązuje do łóżka taśmą klejącą, krępując jej przeguby i kostki. Dla pewności opasuje również uda i tors ofiary. Na koniec zakleja jej usta. Uzyskuje nad nią pełną kontrolę. Gdy ofiara wkrótce potem się budzi, nie może się ruszać ani krzyknąć. Jest jak sparaliżowana, a jednak przytomna i świadoma wszystkiego, co się dzieje. A dzieją się rzeczy koszmarnie.

Przechodząc do surrealistycznych szczegółów, Zucker mówił coraz bardziej monotonnym głosem. Wszyscy pochylili się do przodu, by słyszeć jego słowa.

— Sprawca zaczyna rozcinać brzuch ofiary. Sądząc z wyników sekcji zwłok, nie spieszy się. Jest skrupulatny. Przecina kolejne warstwy ciała: najpierw skórę, potem tkankę podskórną, powięź i mięsień. Zakłada szwy, by kontrolować krwawienie.

Odnajduje i usuwa tylko ten narząd, którego potrzebuje. Nic więcej. A potrzebuje macicy.

Zucker rozejrzał się, obserwując reakcję zebranych. Skoncentrował wzrok na Rizzoli, jedynej osobie na sali, która posiadała wspomniany organ. Spojrzała mu hardo w oczy, zła, że zwraca się do niej wyłącznie z powodu jej płci.

— Co nam to mówi na jego temat, pani detektyw? - zapytał.

— Nienawidzi kobiet — odparła. — Wycina narząd, który je wyróżnia.

Zucker przytaknął, a jego uśmiech przyprawił ją o dreszcze.

— Kuba Rozpruwacz postąpił tak samo z Annie Chapman.

Usuwanie macicy, sprawca pozbawia ofiarę kobiecości. Odbiera jej moc. On nie chce ich biżuterii ani pieniędzy. Pragnie tylko jednego i gdy zdobywa swój łup, przechodzi do wielkiego finału. Ale najpierw jest przerwa. Wykazała to sekcja zwłok obu kobiet. Przez mniej więcej godzinę ofiara powoli się wykrwawia. Krew gromadzi się w jej ranie. Co on w tym czasie robi?

— Zabawia się — stwierdził cicho Moore.

— Wali konia? — odezwał się Darren Crowe, jak zwykle nie przebierając w słowach.

— W obu przypadkach na miejscu zbrodni nie znaleziono śladów ejakulacji — zauważyła Rizzoli.

Crowe obrzucił ją ironicznym spojrzeniem.

— Brak śladów e-ja-ku-la-cji — wycedził, akcentując z sarkazmem każdą sylabę — nie wyklucza walenia konia.

— Nie sądzę, by się onanizował — stwierdził Zucker. - W obcym środowisku musi ciągle być czujny. Myślę, że osiąga seksualne zaspokojenie dopiero wtedy, gdy znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Tam, gdzie popełnia zbrodnię, czuje się zagrożony. Końcowego aktu dokonuje pewnie i bez wahania. Jednym głębokim cięciem podrzyna ofierze gardło. A potem wypełnia jeszcze jeden rytuał.

Zucker sięgnął do aktówki i wyjąwszy dwa zdjęcia z miejsc zbrodni, położył je na stole. Jedno przedstawiało sypialnię Diany Sterling, drugie — Eleny Ortiz.

— Starannie składa nocne koszule ofiar i umieszcza je obok zwłok. Wiemy, że zrobił to po dokonaniu zabójstwa, gdyż ślady krwi znaleziono wewnątrz złożonych rzeczy.

— Dlaczego tak postępuje? — zapytał Frost. — Co to ma symbolizować?

— Panowanie nad sytuacją — stwierdziła Rizzoli.

Zucker skinął głową.

— Z pewnością. Demonstruje w ten sposób, że ma wszystko pod kontrolą. Ale równocześnie impuls, który nim kieruje, jest tak silny, że nie potrafi mu się oprzeć.

— Co by się stało, gdyby ktoś mu przeszkodził? — zapytał Frost. — Gdyby nie dokończył tego rytuału?

— Byłby sfrustrowany i wściekły. Być może zacząłby natychmiast polować na nową ofiarę.

Jak na razie zawsze mu się udawało. Po każdym z zabójstw odczuwał wystarczającą satysfakcję, by na dłuższy czas się uspokoić. — Zucker rozejrzał się po sali. — Mamy do czynienia z najgorszym typem sprawcy. Wytrzymał rok, zanim ponownie zaatakował. To wyjątkowo rzadki przypadek. To oznacza, że może się czaić całymi miesiącami. Będziemy szukali go bezskutecznie, a on zaczeka cierpliwie na następną ofiarę. Jest ostrożny i zorganizowany. Nie zostawia śladów. — Spojrzał na Moore'a, oczekując potwierdzenia.

— Nie mamy jego odcisków palców ani kodu DNA - przyznał Moore. — Jest tylko

pojedynczy włos, znaleziony w ranie Eleny Ortiz. I kilka ciemnych poliestrowych włókien z ramy okiennej.

— Rozumiem, że nie ma też żadnych świadków.

— W sprawie Diany Sterling przesłuchaliśmy tysiąc trzysta osób. W sprawie Eleny Ortiz — na razie sto osiemdziesiąt. Nikt nie widział intruza ani żadnych podejrzanych osobników.

— Za to trzech facetów przyznało się do winy — stwierdził Crowe. — Wszyscy przyszedli z ulicy. Spisaliśmy ich zeznania i wypuściliśmy ich. To świry — dodał ze śmiechem.

— Nasz sprawca nie jest wariatem — powiedział Zucker. - Zapewne wygląda całkiem normalnie. Przypuszczam, że to biały mężczyzna około trzydziestki. Starannie ubrany, o ponadprzeciętnej inteligencji. Niemal na pewno ukończył średnią szkołę, może nawet studia. Oba miejsca zbrodni są oddalone od siebie o dwa kilometry, a zabójstwa popełniono w czasie, gdy prawie nie działa publiczna komunikacja. Jeździ więc samochodem. Czystym i dobrze utrzymanym. Prawdopodobnie nie stwierdzono u niego nigdy zaburzeń psychicznych, ale mógł być w młodości zatrzymany za włamanie albo podglądactwo. Jeśli jest gdzieś zatrudniony, jego praca wymaga inteligencji i skrupulatności. Wiemy, że potrafi planować. Dowodzi tego fakt, że nosi ze sobą wszystko, czego potrzebuje do popełnienia zbrodni: skalpel, nici, taśmę, chloroform. I jakiś pojemnik, w którym zabiera do domu swój łup. Może to być zwykła torba. Pracuje w branży, gdzie wymagana jest dbałość o szczegóły. Ponieważ dysponuje niewątpliwie wiedzą z dziedziny anatomii i chirurgii, mamy być może do czynienia z kimś ze środowiska medycznego. Rizzoli i Moore spojrzeli na siebie, myśląc o tym samym: przypuszczalnie w Bostonie przypadło na mieszkańca więcej lekarzy niż gdziekolwiek na świecie.

— Ponieważ jest inteligentny — kontynuował Zucker - wie, że mamy pod obserwacją miejsca zbrodni. Nie ulega więc pokusie, by tam wrócić. Ale taka pokusa istnieje, warto zatem nadal mieć na oku mieszkanie Eleny Ortiz, przynajmniej w najbliższym czasie. Jest też

dostatecznie inteligentny, by unikać wybierania ofiary w swojej okolicy. Poluje poza miejscem zamieszkania. Dopóki nie uzyskamy większej liczby punktów odniesienia, nie potrafię określić obszaru jego działalności. Nie zdołam ustalić, na których rejonach miasta powinniście skoncentrować uwagę.

— Ilu punktów odniesienia pan potrzebuje? — zapytała Rizzoli.

— Minimum pięciu.

— To znaczy, że potrzeba nam pięciu zabójstw?

— Program komputerowy, którego używam, stawia takie wymagania. Próbowałem z niego korzystać, mając tylko cztery punkty odniesienia, i czasem można w ten sposób określić miejsce zamieszkania sprawcy, ale wyniki są nieprecyzyjne. Musimy wiedzieć więcej o jego ruchach. Jaką ma przestrzeń życiową i punkty zaczepienia. Zabójcy działają zawsze na określonym obszarze. Są jak polujące drapieżniki. Mają swoje terytoria, jamy, w których znajdują zdobycz.

— Zucker spojrzał na pełne sceptycyzmu twarze detektywów. — Za mało jeszcze wiemy o sprawcy, by cokolwiek przewidzieć. Musimy więc skoncentrować się na ofiarach, kim były i dlaczego je wybrał.

Zucker sięgnął do aktówki i wyciągnąwszy z dwóch skoroszytów — podpisanych Sterling i Ortiz — kilkanaście fotografii, rozłożył je na stole. Były to podobizny obu kobiet, niektóre jeszcze z dzieciństwa.

— Nie widzieliście części tych zdjęć. Poprosiłem o nie rodziny ofiar, abyśmy dowiedzieli się o nich czegoś więcej. Przyjrzyjcie się ich twarzom. Pomyślcie, jakimi były osobami. Dlaczego sprawca właśnie nimi się zainteresował? Gdzie je spotkał? Co zwróciło jego uwagę? Ich uśmiech? Sposób poruszania się?

Zaczął czytać z kartki maszynopisu.

— Diana Sterling. Trzydzieści lat. Blondynka, niebieskie oczy. Wzrost: metr siedemdziesiąt,

waga: sześćdziesiąt dwa kilogramy. Zawód: agentka biura podróży. Miejsce pracy: Newbury Street. Miejsce zamieszkania: Marlborough Street w dzielnicy Back Bay. Absolwentka Smith College. Jej rodzice są prawnikami i mają dom wart dwa miliony dolarów w Connecticut. W czasie gdy doszło do zabójstwa, nie była związana z żadnym mężczyzną.

Odłożył kartkę maszynopisu i wziął następną.

— Elena Ortiz. Dwadzieścia dwa lata. Latynoska. Czarne włosy, piwne oczy. Wzrost: metr pięćdziesiąt, waga: pięćdziesiąt dwa kilogramy. Zawód: sprzedawczyni w kwiaciarni, prowadzonej przez jej rodziców w dzielnicy South End. Miejsce zamieszkania: South End. Wykształcenie: średnie. Od urodzenia mieszkała w Bostonie. Niezwiązana z żadnym mężczyzną. Podniósł wzrok znad kartki.

— Dwie kobiety, które mieszkały w tym samym mieście, ale żyły w różnych światach. Robiły zakupy w innych sklepach, jadły w innych restauracjach, nie miały wspólnych znajomych. Jak sprawca je znalazł? I gdzie? Nie dość, że różnią się od siebie, to jeszcze nie pasują do typowego profilu ofiary przestępstwa na tle seksualnym. Większość zbrojeńców atakuje kobiety, które są łatwym łupem. prostytutki lub autostopowiczki. Jak wszystkie drapieżniki, podchodzą zwierzynę, która trzyma się na uboczu stada. Dlaczego więc wybrał te dwie kobiety? — Zucker pokręcił głową. — Nie mam pojęcia.

Rizzoli spojrzała na fotografie na stole. Jej uwagę przyciągnęło zdjęcie Diany Sterling. Była na nim uśmiechnięta dziewczyna w czapce i pelerynie świeżo upieczonej absolwentki Smith College. Szczęściara... Jak wyglądało jej życie? Rizzoli nie miała o tym pojęcia. Dorastała jako pogardzana siostra dwóch przystojnych braci, mała chłopczyca, pragnąca rozpaczliwie należeć do ich paczki. Diana Sterling, ze swymi arystokratycznymi rysami i łabędzią szyją, z pewnością nie doświadczyła nigdy, co znaczy być odrzucaną i ignorowaną.

Dostrzegłszy złoty wisiołek, który Diana miała na szyi, wzięła zdjęcie do ręki i przyjrzała mu

się dokładniej. Poczula przyspieszone bicie serca i rozejrzała się po sali, by sprawdzić, czy któryś z detektywów zauważył to, co ona, ale wszyscy słuchali w tym momencie doktora Zuckera.

Rozwinął mapę Bostonu. Widniały na niej dwa zacienione obszary: jeden obejmował dzielnicę Back Bay, drugi — South End.

— To przestrzeń życiowa obu ofiar. Miejsca, gdzie mieszkały i pracowały. Wszyscy mamy skłonność do organizowania sobie życia w znanym nam otoczeniu. Badający te sprawy naukowcy mawiają: Bywamy w miejscach, które znamy, a znamy miejsca, w których bywamy. To dotyczy zarówno ofiar, jak i sprawców. Na tej mapie widać wyraźnie, że obie kobiety żyły w dwóch odrębnych światach. Nic ich nie łączyło. To właśnie najbardziej mnie zastanawia.

Kluczowe pytanie brzmi: jaki istnieje związek między Dianą Sterling i Eleną Ortiz?

Rizzoli spojrzała ponownie na fotografię. Na złoty wisiołek na szyi Diany. Może się myłę.

Niczego nie powiem, dopóki nie będę pewna, bo Darren Crowe znowu mnie wyśmieje.

— Wie pan, że ta sprawa dotyczy jeszcze jednej osoby? - odezwał się Moore. — Doktor Catherine Cordell.

Zucker skinął głową.

— To ta kobieta, która przeżyła napad w Savannah.

— Pewnych szczegółów na temat zabójstw dokonywanych przez Andrew Caprę nigdy publicznie nie ujawniono. Na przykład tego, że używał katgutów i że składał w kostkę nocne koszule ofiar. A nasz sprawca dokładnie go naśladuje.

— Zabójcy czasem się kontaktują. To swoista masoneria.

— Capra nie żyje od dwóch lat. Nie może się z nikim kontaktować.

— Ale kiedy żył, mógł podzielić się makabrycznymi doświadczeniami z naszym sprawcą.

Mam nadzieję, że tak było.

W przeciwnym razie pozostaje nam o wiele bardziej niepokojąca opcja.

— Że nasz sprawca miał dostęp do akt policji w Savannah — stwierdził Moore.

Zucker przytaknął.

— A to by znaczyło, że jest gliną.

W sali zaległa cisza. Rizzoli spojrzała na siedzących wokół niej mężczyzn. Pomyślała, jakiego typu ludzi pociąga praca w policji. Ludzi, którzy są żądni władzy, którym imponuje posiadanie broni i odznaki. Którzy chcą kontrolować innych. Tego właśnie pragnie nasz sprawca.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Rizzoli zaczęła, aż wszyscy detektywi opuszczą salę konferencyjną, i podeszła do Zuckera.

— Czy mogę zatrzymać to zdjęcie? — zapytała.

— A w jakim celu?

— Mam pewne przeczucie.

Zucker obdarzył ją swym upiornym uśmiechem.

— Zdradzi mi je pani?

— Nie mam zwyczaju tego robić.

— To przynosi pecha?

— Bronię swego terytorium.

— Prowadzimy grupowe śledztwo.

— Ciekawe. Zawsze gdy wyjawiam swoje przeczucia, ktoś inny dostaje pochwałę.

Trzymając w ręce zdjęcie, wyszła z sali i natychmiast pożałowała tej uwagi. Przez cały dzień działały jej na nerwy złośliwe docinki kolegów. Dopelnieniem czary goryczy było przesłuchanie sąsiadki Eleny Ortiz, które prowadził z nią Darren Crowe. Ciągłe jej przerywał, zadając własne pytania. Kiedy poprosiła go na stronę i powiedziała, żeby się hamował, odpłacił jej klasyczną męską obelgą „Pewnie masz okres”.

Nie, nie zamierzała zdradzać nikomu swoich przeczuc. Jeśli ją zawiodą, nikt nie będzie się z

niej naięrawał. A jeśli się sprawdzą, zasłuży na nagrodę.

Wróciła do swego biurka i usiadła, by obejrzeć dokładniej fotografię Diany Sterling. Sięgając po szkło powiększające, rzuciła okiem na butelkę z wodą mineralną, którą zawsze miała pod ręką, i zawrzała gniewem, widząc, co do niej wsadzono.

Nie reaguj, pomyślała. Nie pozwól im zobaczyć, że cię wkurzyli.

Nie zwracając uwagi na butelkę i odrażający przedmiot w jej wnętrzu, przyjrzała się przez lupę zdjęciu Diany Sterling. W pokoju było nienormalnie cicho. Wyczuwała niemal wzrok Darrena Crowe'a, który czekał na wybuch jej wściekłości.

Nic z tego, dupku. Tym razem zachowam zimną krew.

Wpatrywała się w cieniutki łańcuszek na szyi Diany. Początkowo niemal przeoczyła ten szczegóół, podziwiając przede wszystkim jej twarz, smukłe policzki i delikatne łuki brwi.

Teraz obejrzała uważnie zawieszzone na łańcuszku dwa wisiorki. Jeden miał kształt zamka, drugi — kluczyka. Klucz do mego serca, pomyślała.

Przetrząsnęła akta leżące na biurku i znalazła zdjęcia z miejsca zabójstwa Eleny Oitiz.

Przytknęła lupę do tego, które przedstawiało zbliżenie torsu ofiary. Przez warstwę zakrzepłej krwi na jej szyi zobaczyła tylko zarys złotego łańcuszka. Wisiorki były niewidoczne.

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do biura doktora Tierneya.

— Już wyszedł — oznajmiła jego sekretarka. — Mogę w czymś pomóc?

— Chodzi o sekcję Eleny Ortiz z ubiegłego piątku.

— Tak?

— Ofiarę przywieziono do kostnicy z łańcuszkiem na szyi. Macie go jeszcze?

— Zaraz sprawdzę.

Rizzoli czekała, stukając ołówkiem w biurko. Butelka z wodą stała tuż przed nią, ale niezłomnie ją ignorowała. Jej gniew ustąpił miejsca podnieceniu. Czuła się jak myśliwy na

polowaniu.

— Detektyw Rizzoli?

— Tak, słucham.

— Osobiste rzeczy ofiary oddaliśmy rodzinie. Złote kolczyki, łańcuszek i pierścionek.

— Kto je odebrał?

— Anna Garcia. Jej siostra.

— Dziękuję. — Rizzoli odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Anna Garcia mieszkała w Danvers. Spory kawałek drogi. Trzeba by przejechać przez miasto w godzinie szczytu...

— Wiesz, gdzie jest Frost? — zapytał Moore.

Rizzoli podniosła głowę, zaskoczona jego widokiem.

— Nie mam pojęcia.

— Nie było go tutaj?

— Nie trzymam go na smyczy.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Moore zapytał:

— Co to jest?

— Zdjęcia z miejsca zabójstwa Eleny Ortiz.

— Mam na myśli to coś w butelce.

Spojrzawszy na niego ponownie, zobaczyła, że marszczy brwi.

— A jak sądzisz? To pieprzony tampon. Ktoś ma wyrafinowane poczucie humoru. —

Popatrzyła wymownie na Darrena Crowe'a, który odwrócił głowę, tłumiąc śmiech.

— Zajmę się tym — oświadczył Moore, biorąc do ręki butelkę.

— Hej! — ofuknęła go. — Daj spokój, do cholery!

Moore wszedł do gabinetu porucznika Marquette'a. Widziała przez szklaną przegrodę, jak stawia butelkę z tamponem na jego biurku. Marquette odwrócił się i spojrzał w jej kierunku.

Znowu się zaczyna. Teraz będą mówili, że suka nie zna się na żartach. Chwyciła torebkę, zebrała zdjęcia i wyszła z biura.

Była już przy windach, gdy usłyszała głos Moore'a:

— Rizzoli?

— Nie wpieprzaj się w nie swoje sprawy, dobrze? — warknęła. — Sama potrafię walczyć.

— Ale nie walczyłaś! Siedziałaś spokojnie z tym... czymś na biurku.

— To tampon. Nie możesz tego wyraźnie powiedzieć?

— Czemu się na mnie wściekasz? Stałem w twojej obronie.

— Posłuchaj, święty Tomasz. Kobiety nie mają łatwego życia. Jeśli złożę skargę, odbije się to na mnie. Napiszą mi w papierach: Nie potrafi współpracować z mężczyznami. Jeśli poskarżę się ponownie, przypieczętuję swoją reputację beksy i niedojdy.

— Właśnie milcząc, pozwolisz im wygrać.

— Próbowałam twoich metod, ale bez powodzenia. Nie wyświadczaj mi więcej przysług, dobrze? — Zarzuciła na ramię torebkę i weszła do windy.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, zapragnęła cofnąć te słowa. Moore nie zasługiwał na taką reprimendę. Zawsze był uprzejmy i szarmancki, a ona rzuciła mu w twarz przezwisko, które wymyślili jego koledzy z sekcji. Święty Tomasz. Gliniarz, który zawsze trzymał się zasad, nigdy nie przeklinał i nie tracił panowania nad sobą.

Wiedziała o tragedii, którą przeżył. Przed dwoma laty jego żona, Mary, miała wylew krwi do mózgu. Przez sześć miesięcy była w stanie śpiączki, ale dopóki nie umarła, dopóty Moore nie tracił nadziei, że wróci do zdrowia. Jeszcze teraz, choć minęło półtora roku, nie mógł pogodzić się z jej śmiercią. Nadal nosił obrączkę i trzymał na biurku zdjęcie żony. Rizzoli obserwowała, jak rozpadały się małżeństwa innych policjantów, jak na biurkach jej kolegów pojawiały się fotografie coraz to nowych kobiet. A zdjęcie, na którym widniała uśmiechnięta twarz Mary, stało

ciągle na tym samym miejscu.

Święty Tomasz? Rizzoli pokręciła ironicznie głową. Jeśli istnieli w ogóle święci, na pewno nie było ich wśród policjantów.

Syn chciał, by ojciec żył, a córka, żeby umarł. I obydwójce licytowali się, które z nich bardziej go kocha. Dzieci Hermana Gwadowskiego stały po obu stronach łóżka ojca i żadne nie zamierzało ustąpić.

— To nie ty musiałeś zajmować się tatą — stwierdziła z wyrzutem Marilyn. — Ja gotowałam mu obiady, sprzątałam dom, zawoziłam go co miesiąc do lekarza. Kiedy się ostatnio z nim widziałeś? Zawsze byłeś zbyt zajęty.

— Mieszkam w Los Angeles, do cholery — odszczeknął Ivan. — Mam firmę.

— Raz w roku mogłeś przylecieć. Czy to takie trudne?

— Jak widzisz, jestem.

— O, tak! Pan hrabia zjawia się w samą porę! Wcześniej nie raczyłeś się pofatygować! A teraz wszystko ma być zrobione!

— Nie mogę uwierzyć, że godzisz się, by odszedł.

— Nie chcę, żeby dłużej cierpiał.

— A może martwi cię, że ubywa pieniędzy z jego konta?

Twarz Marilyn nagle stężała.

— Ty kanalio!

Catherine nie mogła tego dłużej słuchać. Przerwała im, mówiąc:

— To nieodpowiednie miejsce na takie dyskusje. Proszę wyjść z sali.

Przez chwilę brat i siostra patrzyli na siebie złowrogo, jakby uważali, że ten, kto wyjdzie pierwszy, przyzna się do kapitulacji. W końcu Ivan — budzący lęk mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze — opuścił pokój majestatycznym krokiem. Marilyn, sterana życiem

gospodyni domowa z przedmieścia, uścisnęła ojcu dłoń i podążyła za bratem.

Gdy byli już na korytarzu, Catherine zapoznała ich z ponurymi faktami.

— Ojciec państwa jest w stanie śpiączki od czasu wypadku. Teraz zaczynają niedomagać jego nerki. Ponieważ od dawna ma cukrzycę, były już osłabione, a uraz pogorszył tylko sprawę.

— Na ile przyczynił się do tego zabieg chirurgiczny? - zapytał Ivan. — Środki znieczulające, które dostał?

Catherine stłumiła narastający gniew i odparła spokojnie:

— Był nieprzytomny, kiedy go przywieziono. Znieczulenie nie stanowiło istotnego czynnika.

Uszkodzone tkanki wymagają wzmożonego wysiłku nerek, a jego nerki przestają funkcjonować.

Poza tym ma raka prostaty, z przerzutami na kości. Nawet jeśli odzyska przytomność, te problemy pozostaną.

— Chce pani więc, żebyśmy się poddali? — zapytał Ivan.

— Chcę po prostu, żeby państwo podjęli decyzję. Jeśli jego serce przestanie bić, nie musimy go reanimować. Możemy pozwolić mu spokojnie odejść.

— To znaczy umrzeć?

— Tak.

Ivan prychnął pogardliwie.

— Coś pani powiem o moim ojcu. On nie ma zwyczaju się poddawać. I ja także.

— Na litość boską, Ivan!—powiedziała Marilyn.—Tu nie chodzi o wygraną czy przegraną, tylko o ulżenie jego cierpieniom.

— A ty tak szybko się na to godzisz? — odparł, odwracając się do siostry. — Pierwsza oznaka trudności i mała Marilyn poddaje się, pozwalając, by tatuś wybawił ją z opresji. Mnie nigdy nie musiał pomagać.

W oczach Marilyn zalśniły łzy.

— Tobie wcale na nim nie zależy, prawda? Musisz po prostu być górą.

— Nie, chcę, by miał szansę powalczyć. — Ivan spojrzał na Catherine. — Chcę, żeby dla mojego ojca zrobiono wszystko, co możliwe. Chyba jasno się wyrażam?

Marilyn otarła łzy z twarzy, patrząc, jak jej brat odchodzi.

— Jak może mówić, że kocha tatę, skoro nigdy go nie odwiedzał? — Utkwiła wzrok w Catherine. — Nie chcę, żeby ojca reanimowano. Zaznaczy to pani w karcie?

Był to moralny dylemat, którego obawiał się każdy lekarz. Catherine trzymała stronę Marilyn, ale w ostatnich słowach jej brata pobrzmiwała wyraźna groźba.

— Nie mogę wydać takiego polecenia, dopóki państwo oboje nie wyrażą zgody.

— On się nigdy nie zgodzi. Słyszała pani.

— Więc musi pani z nim jeszcze porozmawiać. Przekonać go.

— Boi się pani, że wytoczy pani proces? Woli pani nie ryzykować.

— Wiem, że jest wzburzony.

Marilyn pokiwała głową ze smutkiem.

— Właśnie w ten sposób zawsze wygrywa.

Potrafię pozszywać pacjenta, pomyślała Catherine, ale nie umiem pogodzić skłóconej rodziny.

Gdy wychodziła pół godziny później ze szpitala, czuła się nadal przybita wrogą atmosferą tego spotkania. Było piątkowe popołudnie i czekał ją wolny weekend, ale wyjeżdżając z parkingu, nie była w radosnym nastroju. Upał dokuczał bardziej niż poprzedniego dnia — temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Marzyła, by znaleźć się w chłodnym mieszkaniu, usiąść przed telewizorem ze szklanką mrożonej herbaty i pooglądać Discovery Channel.

Czekając na zmianę świateł na pierwszym skrzyżowaniu, rzuciła okiem na nazwę bocznej ulicy. Worcester Street.

To tu mieszkała Elena Ortiz. Podano jej adres w artykule w Boston Globe, który Catherine zdecydowała się w końcu przeczytać.

Gdy zapaliło się zielone światło, skręciła instynktownie w Worcester Street. Nigdy przedtem tamtędy nie jeździła, ale skłonił ją do tego jakiś wewnętrzny przymus. Czuła chorobliwą potrzebę, by zobaczyć miejsce zbrodni, budynek, w którym inna kobieta przeżyła podobny koszmar jak ona. Miała wilgotne dłonie i serce waliło jej jak młotem na widok coraz wyższych numerów kolejnych klatek.

Zobaczywszy dom Eleny Ortiz, stanęła przy krawężniku.

Budynek niczym się nie wyróżniał, nie budził w niej zgrozy. Była to zwyczajna, dwupiętrowa kamienica z cegieł.

Wysiadła z samochodu i spojrzała w okna na wyższych piętrach. Gdzie mieszkała Elena?

Tam, gdzie wisały prążkowane zasłony? Czy tam, gdzie widać było gęszcz roślin? Podeszła do wejścia i popatrzyła na spis lokatorów. W budynku było sześć mieszkań. Pod numerem 2A nie widniało żadne nazwisko. Elenę wymazano już z listy żyjących. Nikt nie chciał, by przypomniano mu o śmierci.

Według Globe zabójca dostał się do mieszkania po drabince przeciwpożarowej. Cofnąwszy się na chodnik, Catherine zauważyła stalowe rusztowanie przy bocznej ścianie budynku.

Postąpiła kilka kroków w głąb mrocznej alejki i nagle przy-stanęła. Przeszły ją ciarki.

Odwróciwszy głowę w kierunku ulicy, zobaczyła przejeżdżającą ciężarówkę, kobietę ćwiczącą jogging i jakąś parę wsiadającą do samochodu. Nie było powodu, by czuła się zagrożona, a jednak ogarnęła ją panika.

Wróciła do wozu, zablokowała drzwi i zacisnęła dłonie na kierownicy, powtarzając sobie:

Nic się nie dzieje. Nic się nie dzieje. Powiew chłodnego powietrza z klimatyzatora sprawił, że w końcu się uspokoiła i odetchnąwszy głęboko, usiadła prosto w fotelu.

Po chwili spojrziała znowu na kamienicę, w której mieszkała Elena Ortiz.

Dopiero wtedy zwróciła uwagę na samochód zaparkowany w alejce. I tablicę rejestracyjną na jego tylnym zderzaku.

BUKIET5.

Sięgnęła natychmiast do torebki po wizytówkę detektywa Moore'a i drżącymi rękami wystukała jego numer telefonu.

— Proszę — odezwał się oficjalnym tonem.

— Mówi Catherine Cordell — powiedziała. — Był pan u mnie kilka dni temu.

— W czym mogę pomóc, pani doktor?

— Czy Elena Ortiz jeździła zieloną hondą?

— Słucham?

— Potrzebny mi jest numer jej tablicy rejestracyjnej.

— Nie bardzo rozumiem...

— Niech mi pan go poda! — Ostry ton jej głosu zaskoczył Moore'a. W słuchawce zaległa cisza.

— Zaraz sprawdzę — odparł. Słyszała rozmawiających w jego biurze ludzi i dzwoniące telefony. Wkrótce odezwał się znowu.

— To specjalna tablica — oznajmił. — Chyba ma jakiś związek z kwiaciarnią, którą prowadzą jej rodzice.

— Bukiet Pięć... — wyszeptała Catherine.

— Tak — przyznał Moore po chwili milczenia. Jego głos był dziwnie spokojny. Czujny.

— Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, pytał mnie pan, czy znałam Elenę Ortiz.

— Powiedziała pani, że nie.

Catherine westchnęła.

— Myliłam się — odparła drżącym głosem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Catherine przechadzała się nerwowo po poczekalni w budynku pogotowia. Była blada i spięta. Kręcone rude włosy opadały jej na ramiona. Gdy zjawił się Moore, spojrzała na niego i zapytała:

— Miałam rację?

Skinął głową.

— Bukiet Pięć to internetowy kryptonim Eleny Ortiz. Sprawdziliśmy jej komputer. Teraz proszę mi powiedzieć, skąd pani o tym wiedziała.

Rozejrzała się po ruchliwej poczekalni i zaproponowała:

— Wejdzmy do dyżurki.

Pokój, do którego go zabrała, był mroczną, pozbawioną okien klitką. Stało tam tylko łóżko, krzesło i biurko. Dla zmęczonego lekarza, który marzy jedynie o tym, by się przespać, było to idealne miejsce. Gdy Catherine zamknęła drzwi, Moore poczuł się niezręcznie, że znaleźli się razem w tak ciasnym pomieszczeniu, i zastanawiał się, czy ta wymuszona intymność nie jest dla niej równie krępująca. Oboje rozejrzeli się za miejscem do siedzenia. W końcu on usiadł na łóżku, a ona na krześle.

- Właściwie nigdy nie spotkałam Eleny — oznajmiła Catherine. — Nie wiedziałam nawet, że tak miała na imię.

Odwiedzałyśmy to samo okienko czatowe w Internecie. Wie pan, co to jest czatowanie?

— Rodzaj konwersacji za pomocą komputera.

— Właśnie. Grupa ludzi, którzy są w danej chwili podłączeni do Internetu, może ze sobą rozmawiać. To prywatne okienko, tylko dla kobiet. Trzeba znać odpowiednie hasła, żeby w nie wejść. Na ekranie widać tylko kryptonimy. Żadnych nazwisk ani twarzy, można więc pozostać

anonimowym. Dzięki temu czujemy się dość bezpieczne, by wyjawiać nasze tajemnice. -

Zamilkła na chwilę. — Nigdy pan nie czatował?

— Obawiam się, że rozmowy z anonimowymi osobami nie bardzo mi odpowiadają.

— Czasem — odparła cicho — tylko komuś takiemu można się zwierzyć.

Wyczuł w jej słowach tyle bólu, że nie wiedział, co odpowiedzieć.

Po chwili zaczerpnęła głęboko powietrza i skoncentrowała wzrok na swoich dłoniach, splecionych na kolanach.

— Spotykamy się raz w tygodniu, w środy o dziewiątej wieczorem. Wchodzę do sieci, klikam ikonę okienka czatowego i wpisuję na klawiaturze najpierw PZE. a potem pomocdla kobiet. I włączam się do rozmowy. Kontaktuję się z innymi kobietami, przesyłając wiadomości przez Internet. To, co piszemy, pojawia się na ekranie i jest dla nas wszystkich widoczne.

— PZE1 To chyba oznacza...

— Pourazowe zaburzenia emocjonalne. Kliniczny eufemizm na określenie tego, na co cierpią kobiety, odwiedzające nasze okienko.

— Jaki uraz ma pani na myśli?

Podniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Gwałt.

Dźwięk tego słowa wibrował przez chwilę w powietrzu. Jedna brutalna sylaba raziła jak uderzenie pięścią.

— Bierze pani udział w tych sesjach z powodu Andre Capry — powiedział cicho. — Z powodu tego, co pani zrobił.

Odwróciła wzrok i wyszeptała:

— Tak.

Znów patrzyła na swoje dłonie. Moore przyglądał się jej, czując narastający gniew. Capra

okaleczył jej duszę. Zastanawiał się, jaka była przedtem. Bardziej serdeczna i przyjacielska? A może zawsze unikała kontaktów z ludźmi, niedostępna jak kwiat w bryle lodu?

Wyprostowała się nieco i ciągnęła:

— W ten właśnie sposób poznałam Elenę Ortiz. Nie znałam, oczywiście, jej prawdziwego nazwiska. Tylko kryptonim: Bukiet Pięć.

— Ile kobiet odwiedza to okienko czatowe?

— Co tydzień jest inaczej. Niektóre rezygnują, pojawiają się nowe. Jednego wieczoru może nas być od trzech do kilku nastu.

— Skąd się pani o nim dowiedziała?

— Z broszury dla ofiar gwałtów. Rozdają ją w szpitalach i klinikach w całym mieście.

— A więc wszystkie kobiety, które korzystają z tego okienka, są z Bostonu?

— Tak.

— Czy dziewczyna o kryptonimie Bukiet Pięć odwiedzała je regularnie?

— Dołączała do nas od czasu do czasu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Niewiele mówiła, ale wiem, że nam towarzyszyła. Widziałam to na ekranie.

— Opowiadała o tym, jak ją zgwałcono?

— Nie. Tylko słuchała. Pozdrawiałyśmy ją, a ona nam odpowiadała, ale nie mówiła o sobie. Jakby się bała albo wstydziła.

— A więc nie wie pani, czy została zgwałcona?

— Wiem.

— Skąd?

— Ponieważ badano ją w tym szpitalu.

Moore wpatrywał się w nią z uwagą.

— Znalazła pani jej kartę?

Catherine przytaknęła.

— Przyszło mi do głowy, że po napadzie mogła potrzebować pomocy lekarskiej. Ten szpital jest najbliżej jej miejsca zamieszkania. Sprawdziłam w komputerze. Są tam nazwiska wszystkich przyjmowanych pacjentów. Figuruje na liście. — Wstała z krzesła. — Pokażę panu jej kartę. Wyszli z dyżurki na korytarz. Był piątkowy wieczór i w poczekalni roiło się od ofiar wypadków. Minęli zamroczonego alkoholem gościa po fajrancie z woreczkiem lodu przy pokiereszowanej twarzy i niecierpliwego nastolatka, który nie zdążył przejechać skrzyżowania na żółtym świetle. Z mroku nocy wyłaniała się cała armia posiniaczonych i zakrwawionych nieszczęśników. W Pilgrim Medical Center działała jedna z najbardziej ruchliwych stacji pogotowia w Bostonie i Moore czuł się tak, jakby trafił do królestwa chaosu, gdy lawirując między pielęgniarkami i łózkami na kółkach, wdepnął w kałużę świeżej krwi.

Catherine zaprowadziła go do archiwum, niewielkiego pomieszczenia z ustawionymi pod ścianami regałami, które wypełniały segregatory.

— Tutaj przechowują czasowo druki zgłoszeniowe — wyjaśniła, zdejmując segregator z napisem 7—14 maja. — Za każdym razem, gdy przyjmuje się pacjenta na ostrym dyżurze, wypełniany jest formularz. To zwykle tylko pojedyncza kartka z uwagami lekarza i zaleceniami dotyczącymi terapii.

— Nie zakłada się pacjentowi karty?

— Nie w przypadku jednorazowego badania. Jedynym dokumentem jest druk zgłoszeniowy. Trafia on później do archiwum szpitala, gdzie jest skanowany i przechowywany na dyskiecie. — Otworzyła segregator. — Niech pan spojrzy.

Moore stał za Catherine, zaglądając jej przez ramię. Zapach jej włosów tak go przez chwilę odurzył, że z trudem skoncentrował uwagę na formularzu. Pacjentka została przyjęta na ostry dyżur 9 maja o godzinie pierwszej w nocy. U góry strony wypisano na maszynie jej nazwisko,

adres i dane do faktury. Resztę formularza wypełnił atramentem. Lekarski steno-gram, pomyślał, próbując rozszyfrować poszczególne słowa. Odczytał tylko pierwszy akapit, pisany przez pielęgniarkę.

Latynoska, 22 lata, zgwałcona przed dwiema godzinami. Nie ma alergii. Nie bierze leków.

Ciśnienie krwi: 105/70, tętno: 100, temperatura: 37,2.

Pozostały tekst był nieczytelny.

— Będzie pani mi to musiała przetłumaczyć — stwierdził Moore.

Spojrzała na niego przez ramię i ich twarze znalazły się nagle tak blisko, że wstrzymał oddech.

— Nie może pan tego rozszyfrować? — zapytała.

— Umie czytać ze śladów opon i plam krwi. Ale to przekracza moje możliwości.

— To pismo Kena Kimballa. Rozpoznaję jego podpis.

— Ja nie wiem nawet, czy to jest napisane po angielsku.

— Każdy lekarz sobie z tym poradzi. Trzeba tylko znać kod.

— Uczą was tego w akademii medycznej?

— Podobnie jak sekretnych uścisków dłoni i obsługi dekodera.

Wydało mu się dziwne, że żartują sobie przy okazji rozmowy o tak ponurej sprawie, a zwłaszcza że słyszy zabawne uwagi z ust doktor Cordell. Po raz pierwszy zobaczył, jaka jest naprawdę. Jaka była, zanim Andrew Capra okaleczył jej psychikę.

— Pierwszy akapit dotyczy ogólnego badania — wyjaśniła- — Lekarz używa medycznych skrótów. GUONG oznacza głowę, uszy, oczy, nos i gardło. Pacjentka miała siniaka na lewym policzku. Płuca czyste, serce bez szmerów i palpacji.

— To znaczy?

— W normie.

Czy lekarz nie może napisać po prostu: serce pracuje normalnie?

— A dlaczego policjanci mówią „pojazd” zamiast „samochód”?

Moore pokiwał głową.

— Rozumiem. Brzuch był płaski, miękki, bez organomegalii. Innymi słowy... — W normie.

— Widzę, że się pan uczy. Następnie lekarz opisuje badanie... jamy brzusznej. Tu już nie jest dobrze. — Przerwała na chwilę. Gdy odezwała się ponownie, jej głos był cichszy, pozbawiony wszelkiej wesołości. Wciągnęła głęboko powietrze, jakby nabierała odwagi, by kontynuować. — Pacjentka miała krew w kroczu, zadrapania i siniaki na obu udach i rozdarcie pochwy z prawej strony u dołu, co wskazywało, że doszło do wymuszonego stosunku. W tym momencie doktor Kimball przerwał badanie.

Moore skupił uwagę na ostatnim akapicie. Potrafił go odczytać, bo nie był to już medyczny stenogram.

Pacjentka stała się nerwowa. Nie zgodziła się na pobranie próbek ani dalsze badanie. Po wykonaniu podstawowych testów na HIV i choroby weneryczne ubrała się i wyszła, zanim zawiadomiono policję.

— A więc gwałtu nie zgłoszono — stwierdził Moore. - Nie ma wymazu z pochwy i DNA sprawcy.

Catherine milczała. Stała ze spuszczoną głową, ściskając w dłoniach segregator.

— Doktor Cordell? — Moore dotknął jej ramienia. Drgnęła jak oparzona, więc szybko cofnął rękę. Gdy podniosła głowę, zobaczył w jej oczach gniew. Nie wyglądała w tym momencie na bezbronną kobietę.

— Zgwałcona w maju, zamordowana w lipcu — stwierdziła. — Żyjemy w cudownym świecie, prawda?

— Rozmawialiśmy ze wszystkimi członkami jej rodziny. Nikt nie wspomniał o gwałcie.

— Po prostu im nie powiedziała.

Ile kobiet utrzymuje to w tajemnicy? — zastanawiał się. Ile z nich ma tak bolesne wspomnienia, że nie mogą się zwierzyć nawet ludziom, których kochają? Patrząc na Catherine, pomyślał, że i ona szukała pocieszenia w gronie nieznanym osób.

Wyjęła formularz z segregatora, aby mógł go skopiować. Gdy rzucił okiem na nazwisko lekarza, zaświtała mu pewna myśl.

— Co pani wie o doktorze Kimballu? — zapytał. — Tym, który badał Elenę Ortiz?

— To znakomity lekarz.

— Pracuje zwykle nocą?

— Tak.

— Czy miał nocny dyżur w miniony czwartek?

Dopiero po chwili pojęła znaczenie tego pytania. Była nim wyraźnie zaszokowana.

— Nie sądzi pan chyba, że...

— To rutynowe pytanie. Sprawdzamy wszystkie kontakty ofiary.

Wiedziała jednak, co ma na myśli.

— Andrew Capra był lekarzem — stwierdziła cicho. - Podejrzewa pan, że jeszcze jeden doktor...

— Braliśmy pod uwagę taką ewentualność.

Odwróciła się, oddychając niespokojnie.

— W Savannah, gdy zamordowano te kobiety, przypuszczałam, że nie znam zabójcy.

Sądziłam, że gdybym go kiedykolwiek spotkała, wiedziałabym o tym. Wyczułabym to. Andrew Capra udowodnił, jak bardzo się myliłam.

— Zło jest banalne.

— O tym właśnie się przekonałam. Że zło może być takie pospolite. Że człowiek, którego

codziennie widuję i pozdrawiam, może się do mnie uśmiechać... — Urwała, po czym dodała cicho: — I rozmyślać o tym, w jaki sposób mnie zabije.

Był już zmierzch, kiedy Moore wrócił do samochodu, ale rozgrzany asfalt nadal buchał ciepłem. Zanosiło się na kolejną duszną noc. W całym mieście kobiety będą spały przy otwartych oknach, przez które mogą wpadać do ich mieszkań podmuchy świeżego powietrza. I nocne widma.

Moore przystanął i skręcił w kierunku szpitala. Widział świecący jak latarnia morska czerwony neon z napisem POGOTOWIE, symbol nadziei i ozdrowienia.

Czy to jest twój teren polowań? Miejsce, gdzie kobiety przychodzą się leczyć? — zadał sobie w duchu pytanie.

Z mroku wyłonił się ambulans, błyskając światłami. Moore pomyślał o wszystkich ludziach, którzy przewijają się w ciągu dnia przez stację pogotowia. Pielęgniarki, sanitariusze, lekarze, portierzy...

I policjanci. Wolał nie brać pod uwagę takiej możliwości, ale nie mógł jej wykluczać. Zawód stróża prawa dziwnie przyciąga ludzi, którzy lubią dominować nad innymi. Broń i odznaka to symbole władzy. A największą władzę ma ten, kto może torturować i zabijać. Dla takiego myśliwego świat jest bezkresnym stepem, pełnym zwierzyny.

Trzeba tylko wybrać ofiarę.

Wszędzie były dzieci. Rizzoli stała w kuchni, w której cuchnęło skwaszonym mlekiem i talkiem, czekając, aż Anna Garcia skończy ścierać z podłogi rozlany sok jabłkowy. Jeden z malców uczeplił się nogi Anny, inny powyciągał z kuchennej szafki pokrywki i grał na nich jak na czynelach. Niemowlę siedzące na wysokim stołku uśmiechało się zza maseczki papkowego szpinaku, a drugie, z paskudną ciemieniuchą na głowie, raczkowało po podłodze, polując na jakikolwiek niebezpieczny przedmiot, który mogłoby sobie włożyć do chciwej buzi. Rizzoli nie

przepadała za dziećmi. Była zdenerwowana, widząc ich tyle wokół siebie. Czowała się jak Indiana Jones w jamie z węzami.

— Nie wszystkie są moje — wyjaśniła pospiesznie Anna, kuśtykając w kierunku zlewu z przyczepionym do nogi jak kula na łańcuchu berbeciem. Wycisnęła brudną gąbkę i opłukała rękę.

— Mam tylko jedno dziecko — powiedziała, wskazując na malca przy swojej nodze. — Ten z pokrywkami i ten na stołku to dzieciaki mojej siostry Lupę. A chłopczyk raczkujący po podłodze jest synem kuzynki. Skoro siedzę w domu ze swoim, mogę zaopiekować się też innymi.

Tak, co za różnica, ile razy dostaje się po głowie, pomyślała Rizzoli. Ale, co zabawniejsze, Anna wcale nie wydawała się zestresowana. W istocie jakby nie zauważała uczonego jej nogi synka ani pobrzękiwania uderzających o podłogę pokrywek. W sytuacji, która doprowadziłaby Rizzoli do załamania nerwowego, Anna była najwyraźniej w swoim żywiole. Rizzoli zastanawiała się, czy Elena Ortiz poszłaby w jej ślady, gdyby żyła. Czy byłaby mamuszką, krzątającą się po kuchni i ocierającą buzie śliniącym się dzieciakom. Anna była bardzo podobna do swej młodszej siostry, trochę tylko pulchniejsza. Kiedy się odwróciła i kuchenna lampa oświetliła bezpośrednio jej czoło, Rizzoli odniosła niesamowite wrażenie, że patrzy na tę samą twarz, którą widziała na stole w prosektorium.

— Z powodu tej dzieciarni z niczym nie mogę nadażyć - stwierdziła Anna, podnosząc malca uczonego jej nogi i usadzając go sobie zręcznie na biodrze. — A więc przyszła pani po łańcuszek. Przyniosę szkatułkę z biżuterią. — Wyszła z kuchni i Rizzoli, pozostawiona z trzema brzdącami, omal nie wpadła w panikę. Poczawszy na kostce lepką dłoń, spojrzała w dół i zobaczyła, że pełzające po podłodze niemowlę wsadza do buzi mankiet nogawki jej spodni. Uwolniwszy się, szybko odsunęła się na bezpieczną odległość.

— Mam — oznajmiła Anna, wróciwszy ze szkatułką, którą Położyła na kuchennym stole. — Nie chcieliśmy zostawiać tych rzeczy w mieszkaniu, skoro kręcili się tam ciągle obcy ludzie. Moi

bracia postanowili, że szkatułka zostanie u mnie, dopóki rodzina nie zdecyduje, co zrobić z biżuterią. — Gdy podniosła wieko, włączyła się pozytywka. Gdzieś tam moja miłość... Anna była wyraźnie zaskoczona. Znieruchomiała nagle, a jej oczy wypełniły się łzami.

— Pani Garcia?

Anna przełknęła z trudem ślinę.

— Przepraszam. Mój mąż musiał ją nakręcić. Nie spodziewałam się tego usłyszeć.

Po kilku jeszcze taktach ckliwa melodyjka ucichła. Anna przyglądała się w milczeniu biżuterii, pochylając ze smutkiem głowę. Otworzywszy niechętnie jedną z wyściełanych aksamitem przegródek, wyjęła łańcuszek.

Rizzoli poczuła przyspieszone bicie serca, gdy wzięła go do ręki. Delikatny złoty łańcuszek z małymi wisiorkami w kształcie zamka i kluczyka. Ten sam, który widziała na szyi Eleny w kostnicy. Odwróciwszy miniaturowy zameczek, zobaczyła, że jest z osiemnastokaratowego złota.

— Skąd pani siostra wzięła ten łańcuszek?

— Nie wiem.

— Od jak dawna go miała?

— Musiał być nowy. Tamtego dnia zobaczyłam go pierwszy raz...

— To znaczy kiedy?

Anna powiedziała cicho:

— W dniu, w którym odebrałam go w kostnicy. Razem z resztą jej biżuterii.

— Miała też kolczyki i pierścioneł. Widziała je pani wcześniej?

— Tak. Nosła te rzeczy od lat.

— Z wyjątkiem łańcuszka.

— Dlaczego pani wciąż o niego pyta? Co to ma wspólnego z... — Anna urwała w pół zdania z przerażeniem w oczach. - O Boże. Myśli pani, że on jej go założył?

Dzieciak siedzący na stołku, wyczuwając, że dzieje się coś złego, wybuchnął płaczem. Anna posadziła na podłodze swego synka i pospieszyła do kwilącego niemowlęcia. Przytuliwszy je, odwróciła się plecami do łańcuszka, jakby chciała uchronić dziecko od widoku złowrózbnego talizmanu.

— Niech pani zabierze ten łańcuszek — wyszeptała. — Nie chcę mieć go w domu.

Rizzoli wsunęła łańcuszek do torby.

— Wypiszę pani pokwitowanie.

— Nie, proszę po prostu go wziąć! Może go pani zatrzymać.

Rizzoli mimo wszystko wypisała jej kwit i położyła go na kuchennym stole obok talerza ze szpinakiem.

— Muszę zadać pani jeszcze jedno pytanie — oznajmiła łagodnie.

Anna przechadzała się po kuchni, uspokajając dziecko.

— Proszę sprawdzić, czy w szkatułce z biżuterią siostry niczego nie brakuje.

— Zrobiłam to już zeszłym tygodniu.

— Niełatwo jest zauważyć brak jakiejś rzeczy. Koncentrujemy zwykle uwagę na tym, czego jest za dużo. Niech pani przejrzy wszystko ponownie. Bardzo proszę.

Anna usiadła niechętnie, trzymając dziecko na kolanach, i zajrzała do szkatułki. Wyciągała kolejno wszystkie kosztowności i kładła je na stole. Była to mizerna kolekcja tanich błyskotek.

Górskie kryształy, paciorki, sztuczne perły. Elena gustowała w kolorowych świecidełkach.

Anna położyła na stół ostatni przedmiot, pierścionek z turkusem. Potem siedziała przez chwilę zamyślona, marszcząc brwi.

— Bransoletka — powiedziała w końcu.

— Jaka bransoletka?

— Powinna tu być bransoletka z malutkimi konikami. Nosiła ją codziennie w średniej szkole.

Miała bzika na punkcie koni... — Anna uniosła głowę z wyrazem zdumienia na twarzy. — Była bezwartościowa! Zrobiona z cyny. Po co miałby ją zabierać?

Rizzoli spojrzała na torbę, do której schowała łańcuszek.

Była już teraz pewna, że należał kiedyś do Diany Sterling. Dobrze wiem, gdzie znajdziemy bransoletkę Eleny, pomyślała. Na przegubie kolejnej ofiary.

Rizzoli stanęła na ganku przed domem Moore'a, machając triumfalnie przezroczystą plastikową torbą, w której był łańcuszek.

— Należał do Diany Sterling. Rozmawiałam właśnie z jej rodzicami. Nie zdawali sobie sprawy, że zginął, póki do nich nie zadzwoniłam.

Moore wziął do ręki torbę, ale jej nie otworzył. Trzymał ją przed sobą, patrząc na widoczny w środku zwinięty złoty łańcuszek.

— To materialny dowód na istnienie związku między tymi dwoma sprawami — stwierdziła Rizzoli. — Sprawca zabiera przedmiot należący do jednej ofiary i zostawia go przy zwłokach drugiej.

— Nie mogę uwierzyć, że przeoczyliśmy ten szczegół.

— Hej, wcale nie!

— Ty go nie przeoczyłaś. — Spojrzał na nią z takim podziwem, że poczuła się o metr wyższa. Moore nie był facetem, który miał zwyczaj klepać kogoś po plecach czy głośno wychwalać. W istocie nie przypominała sobie, by kiedykolwiek podnosił głos z gniewu czy podniecenia. Ale gdy widziała takie spojrzenie — brew uniesioną z wyrazem aprobaty i usta wykrzywione w lekkim uśmiechu — stanowiło to dla niej najwyższą pochwałę.

Czerwieniąc się z zadowolenia, sięgnęła po torbę z jedzeniem na wynos, którą przyniosła.

— Chcesz coś zjeść? Wpadłam po drodze do chińskiej restauracji.

— Nie musiałaś tego robić.

— Owszem. Chyba jestem ci winna przeprosiny.

— Za co?

— Za dzisiejsze popołudnie. Za tę idiotyczną historię z tamponem. Stałaś w mojej obronie i próbowałaś mi pomóc. Głupio się zachowałam.

Zaległo niezręczne milczenie. Stali obok siebie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, dwoje ludzi, którzy mało się znają i próbują przełamać pierwsze lody.

W końcu Moore uśmiechnął się i jego surowa zwykle twarz nabrała nagle znacznie młodszego wyglądu.

— Umieram z głodu — oznajmił. — Dawaj jedzenie.

Śmiejąc się, weszła do jego domu. Była tam po raz pierwszy, więc rozejrzała się ciekawie, zauważając wszystkie elementy wystroju, które świadczyły o kobiecej ręce. Perkalowe zasłony, akwarele z kwiatami na ścianie. Nie tego się spodziewała. Do diabła, to mieszkanie miało bardziej kobiecego charakter niż jej własne.

— Wejdzmy do kuchni — powiedział. — Mam tam swoje papiery.

Poprowadził ją przez salon, w którym stał klawesyn.

— O, grasz? — spytała zaintrygowana.

— Nie, należy do Mary. Ja nie mam słuchu.

„Należy do Mary”. Użył czasu teraźniejszego. Uzmysłowiła sobie nagle, dlaczego w tym domu wyczuwało się tak bardzo obecność kobiety. Wszystko czekało tu na jej powrót. Na klawesynie stało zdjęcie, na którym widniała opalona twarz o uśmiechniętych oczach i z rozwianymi na wietrze włosami.

Twarcz Mary. Jej perkalowe zasłony wisiały nadal w domu, do którego miała już nigdy nie wrócić.

Znalazłszy się w kuchni, Rizzoli postawiła torbę zjedzeniem „a stole, obok sterty

skoroszytów. Moore poszperał w nich i znalazł ten, którego szukał.

— Protokół z oględzin lekarskich Eleny Ortiz — oznajmił, wręczając go jej.

— Doktor Cordell to wygrzebała?

Moore uśmiechnął się ironicznie.

— Otaczają mnie kobiety bardziej kompetentne niż ja.

Rizzoli otworzyła skoroszyt i zobaczyła fotokopię nabazg-ranej odręcznie notatki.

— Masz tłumaczenie tych gryzmołów?

— Mówiłem ci już przez telefon. Niezgłoszony gwałt. Nie pobrano wymazu, nie ma DNA sprawcy. Nawet rodzina Eleny o niczym nie wiedziała.

Rizzoli zamknęła skoroszyt i odłożyła go na stertę papierów.

— Chryste, Moore. Ten stół jest tak samo zawalony jak mój. Nie ma gdzie zjeść obiadu.

— Tobie też ta sprawa wypełnia całe życie, prawda? - stwierdził, odsuwając na bok skoroszyty, by zrobić miejsce.

— Co to za życie? Sen. jedzenie, praca. Jeśli mam szczęście, spędzam wieczorem godzinę ze starym kumplem, Dave'em Lettermanem.

— Nie chodzisz na randki?

— Randki? — Prychnęła pogardliwie, wyciągając kartony z jedzeniem i rozkładając na stole serwetki i pałeczki. — O, tak. Muszę się oganiać od facetów. — Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to jak skarga — zupełnie wbrew jej intencjom. Dodała więc szybko: — Wcale się nie użalam. Jeśli muszę pracować w weekend, nikt mi przynajmniej nie marudzi z tego powodu. Nie cierpię mazgajów.

— Nic dziwnego. Jesteś ich przeciwieństwem. Dobitnie mi tego dziś dowiodłaś.

— Tak, tak. Już cię chyba przeprosiłam.

Wyjął z lodówki dwa piwa i usiadł naprzeciwko niej. Miał podwinięte rękawy koszuli i

wydawał się odprężony jak nigdy. Podobał jej się. Nie był teraz posępnym świętym Tomaszem, lecz facetem, z którym mogła sobie pogawędzić i pożartować. Facetem, który — gdyby tylko zechciał — mógł zawrócić dziewczynie w głowie.

— Nie musisz być zawsze twardsza niż wszyscy — stwierdził.

— Owszem, muszę.

— Dlaczego?

— Bo oni mnie nie doceniają.

— Kto?

— Tacy faceci jak Crowe i porucznik Marquette.

Wzruszył ramionami.

— Zawsze się paru takich znajdzie.

— Czemu akurat ja muszę na nich trafiać? — Otworzyła piwo i pociągnęła łyk. — Właśnie dlatego tobie pierwszemu powiedziałam o tym łańcuszku. Nie będziesz przypisywał sobie zasługi.

— To przykra chwila, gdy ludzie zaczynają się licytować, kto czym się wykazał.

Wzięła do ręki pałeczki i wetknęła je do kartonu z kurczakiem kung pao. Był diabelnie pikantny, taki, jak lubiła. W kwestii ostrych potraw Rizzoli też nie okazywała się mazgajem.

— Kiedy pracowałam nad pierwszą dużą sprawą w obyczajówce i narkotykach — powiedziała — byłam jedyną kobietą w sześciuosobowym zespole. Po zakończeniu śledztwa zwołano konferencję prasową. Były kamery, tłum dziennikarzy. I wiesz co? Wymieniono z nazwiska wszystkich detektywów oprócz mnie. — Pociągnęła kolejny łyk piwa. — Postaram się, żeby to się nigdy nie powtórzyło. Wy, faceci, możecie skoncentrować całą uwagę na sprawie i dowodach, a ja tracę mnóstwo energii tylko na to, by ktoś zechciał mnie wysłuchać.

— Ja cię słucham, Rizzoli.

— To miła odmiana.

— A Frost? Masz z nim problemy?

— Frost jest w porządku — stwierdziła. — Żona dobrze go wyszkoliła.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Słyszając, jak Barry Frost mówi do żony przez telefon: „Tak, kochanie; nie, kochanie”, nie miało się cienia wątpliwości, kto rządzi w ich domu.

— Dlatego nie zajdzie zbyt wysoko — stwierdziła. — Nie ma w sobie ognia. Jest domatorem.

— Nic w tym złego. Też chciałbym mieć rodzinę. Podniosła wzrok znad kartonu i zauważyła, że nie patrzy na nią, tylko wpatruje się w łańcuszek. W jego głosie pobrzmiwała nuta goryczy i Rizzoli nie wiedziała, co odpowiedzieć. Uznała, że najlepiej będzie milczeć. Odetchnęła z ulgą, gdy powrócił do sprawy śledztwa. W ich świecie zabójstwo było zawsze bezpiecznym tematem.

— Coś tu nie gra — oznajmił. — Ta historia z biżuterią nie ma sensu.

— Sprawca zabiera kosztowności na pamiątkę. To dość typowe.

— Ale po co je zabierać i potem rozdawać?

— Niektórzy przestępcy kradną biżuterię ofiarom i obdarowują nią swoje żony lub dziewczyny. Podnieca ich, gdy widzą na szyi kochanki łańcuszek, którego pochodzenie znają tylko oni.

— Ale nasz sprawca robi co innego. Zostawia pamiątkę na miejscu kolejnej zbrodni. Nie czerpie nieustannej przyjemności z oglądania swej zdobyczy. Jaką ma więc z tego korzyść?

— Może chodzi o symbol władzy? Znaczy swoje terytorium jak pies, pozostawiając cudzą biżuterię przy ciele następnej ofiary.

— To nie to. — Moore podniósł torbę z łańcuszkiem i ważył ją w dłoni, jakby zastanawiając się nad jego przeznaczeniem.

— Najważniejsze, że mamy już pewien wzorzec zachowania sprawcy — stwierdziła. —

Wiemy dokładnie, czego oczekiwać w następnym miejscu zbrodni.

Moore spojrzał na nią.

— Odpowiedziałas właśnie na moje pytanie.

— Jakie?

— On nie znakuje ofiary, tylko miejsce zbrodni.

Rizzoli zamilkła, uświadamiając sobie nagle sens tych słów.

— Jezu. Skoro oznacza miejsce...

— To nie żadna pamiątka ani symbol własności. — Odłożył cieniutki złoty łańcuszek, który zdobił szyje dwóch martwych kobiet.

Rizzoli przeszedł dreszcz.

— To jego wizytówka — powiedziała cicho.

Moore skinął głową.

— Chirurg do nas przemawia.

Strefa silnych wiatrów i niebezpiecznych przyływów.

Tak Edith Hamilton opisuje w swojej książce *Mitologia* grecki port Aulida. Są tam ruiny starożytnej świątyni Artemidy, bogini lasów i gór, dzikich zwierząt i łowów. Wiośnie w Aulidzie zgromadziło się tysiąc czarnych greckich okrętów, by zaatakować Troję. Ale wiał północny wiatr i nie mogły wypłynąć w morze. Żołnierze greckiej armii, dowodzonej przez króla Agamemnona, byli z dnia na dzień coraz bardziej rozdrażnieni i zniecierpliwieni. Wróżbita wyjawiał powód niepomyślnych wiatrów: bogini Artemida gniewała się, gdyż Agamemnon zabił jedno z jej ulubionych zwierząt, dzikiego zająca. Nie pozwoli Grekom wyruszyć w drogę., dopóki król nie złoży jej w ofierze swej córki, Ifigenii.

Agamemnon posłał więc po córkę, udając, że zamierza wyprawić jej wspaniały ślub z

Achillesem. Nie wiedziała, że czeka ją śmierć.

Porywisty północny wiatr nie wiał tego dnia, gdy szliśmy plażą w pobliżu Aulidy. Było spokojnie, lustro wody miało zielony kolor, a piasek pod naszymi nogami przypominał gorący biały popiół. Jakże zazdrościliśmy miejscowym chłopakom, którzy biegali bosy po spalonym słońcem wybrzeżu! Piasek parzył nam blade stopy, ale rozkoszowaliśmy się nim, bo chcieliśmy być do nich podobni i mieć tak jak oni zahartowaną skórę. Osiąga się to tylko przez ból i poświęcenie.

Wieczorem, gdy się ochłodziło, poszliśmy do świątyni Artemidy.

Spacerując wśród coraz dłuższych cieni, dotarliśmy do ołtarza, na którym ofiarowano Ifigenię. Pomimo jej modlitw i krzyków „Ojcze, oszczędź mnie!”, wojownicy przywiedli dziewczynę do ołtarza i położyli na kamieniu, obnażając jej białą szyję. Starożytny dramaturg, Eurypides, pisze, że żołnierze Atreusa, podobnie jak cała armia, patrzyli w ziemię, żeby nie oglądać przelewu jej dziewiczej krwi. Nie chcieli być świadkami tego straszliwego spektaklu.

Och, a ja bym patrzył! I ty także. I to z rozkoszą

Wyobraziłem sobie zgromadzonych tam milczących, posępnych żołnierzy, warkot bębnow, zwiastujący zamiast wesela ponury orszak śmierci. Zobaczyłem procesję, wkraczającą do zagajnika. Dziewczynę, białą jak łabędź, otoczoną przez żołnierzy i kapłanów. Dźwięk bębnow nagle milknie.

Niosą ją. krzyczącą przeraźliwie, do ołtarza.

W mojej wizji sam Agamemnon bierze do ręki nóż, bo cóż by to była za ofiara, gdyby nie on ją złożył? Widzą, jak podchodzi do ołtarza, na którym leży na oczach tłumu jego córka, próżno błagając o darowanie życia.

Kapłan chwyta ją za włosy i odchyła do tyłu jej głowę, odsłaniając nagą szyję. Pod białą skórą pulsuje tętnica, znacząc miejsce, gdzie należy przytknąć ostrze. Agamemnon stoi obok

córki i patrzy na twarz, którą kocha. W żyłach dziewczyny płynie jego krew. Jej oczy są jak jego własne. Podcinając jej gardło, zatopi ostrze w swoim ciele.

Unosi nóż. Żołnierze stoją jak milczące posągi w świątyni zagajniku. Tętnica na szyi dziewczyny pulsuje gwałtownie.

Artemida żąda ofiary i Agamemnon musi ją złożyć.

Przytyka ostrze do szyi dziewczyny i wykonuje głębokie cięcie.

Gorąca krew tryska strumieniem, obryzgując mu twarz.

Ifigenia nadal żyje, wywracając oczami z przerażenia. Ludzkie ciało zawiera pięć litrów krwi i trzeba trochę czasu, by wypłynęła ona przez pojedynczą uszkodzoną arterię. Jest tłoczona, dopóki bije serce. Co najmniej przez kilka sekund, a może nawet minutę lub dłużej, funkcjonuje mózg i drgają kończyny. Gdy serce przestaje bić, Ifigenii niebo ciemnieje przed oczyma i czuje na twarzy ciepło własnej krwi.

Starożytni powiadają że północny wiatr ustał niemal natychmiast. Artemida była usatysfakcjonowana. Greckie okręty wypłynęły wreszcie z portu, armie ruszyły do walki i Troja padła. Wobec morza przelanej krwi śmierć jednej młodej dziewicy nic nie znaczy.

Wojna trojańska nie kojarzy mi się jednak z drewnianym koniem, szczękiem mieczy ani tysiącem czarnych okrętów z rozpostartymi żaglami. Kiedy o niej myślę., widzę ciało dziewczyny, zbielełe od upływu krwi, i stojącego obok niej ojca, który ściska w ręce zakrwawiony nóż.

Szlachetny Agamemnon ma łzy w oczach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Ten pręt się porusza! — oznajmiła pielęgniarka.

Catherine przyglądała się, mając sucho w ustach z przerażenia, mężczyźnie leżącemu na stole w urazówce. Z jego piersi sterczał trzydziestocentymetrowy żelazny pręt. Jeden ze studentów

medycyny zemdłał już na ten widok, a trzy pielęgniarki stały z rozdziawionymi szeroko ustami.

Pręt, osadzony głęboko w klatce piersiowej mężczyzny, unosił się i opadał w rytm uderzeń jego serca.

— Jakie mamy ciśnienie? — zapytała Catherine.

Jej stanowczy głos pobudził wszystkich do działania. Rękaw aparatu do pomiaru ciśnienia krwi napęłnił się na chwilę powietrzem, po czym zwiótchał.

— Siedemdziesiąt na czterdzieści. Tętno sto pięćdziesiąt!

— Kroplówka na maksimum!

— Otwieram zestaw do torakotomii.

— Niech ktoś wezwie tu natychmiast doktora Falco. Będę potrzebowała pomocy. —

Catherine włożyła sterylny fartuch i wciągnęła rękawiczki. Miała już dłonie śliskie od potu. Skoro pręt się poruszał, jego koniec znajdował się blisko serca - albo, co gorsza, był w nim osadzony. Absolutnie nie mogła go wyciągać. Otwarłaby ranę, przez którą pacjent wykrwawiłby się w ciągu paru minut.

Sanitariusze podjęli na miejscu wypadku właściwą decyzję: założyli kroplówkę, intubowali ranego i przywieźli go na ostry dyżur, nie ruszając pręta. Reszta należała do niej.

Sięgała właśnie po skalpel, gdy drzwi otworzyły się szeroko. Podniosła wzrok i odetchnęła z ulgą, ujrawszy Petera Falco. Lekarz przystanął, wpatrując się w klatkę piersiową pacjenta, z której sterczał pręt, wyglądający jak kołek wbity w serce wampira.

— Nie co dzień widuje się coś takiego — stwierdził.

— Spada ciśnienie! — zawołała pielęgniarka.

— Nie ma czasu na bypass — oświadczyła Catherine. - Wchodzę.

— Zaraz ci pomogę. — Peter odwrócił się i powiedział niemal od niechcienia: — Mogę prosić o fartuch?

Catherine zrobiła szybko przednio-boczne nacięcie, dające jej dostęp do narządów w klatce piersiowej. Była spokojniejsza, mając przy sobie Petera. Nie chodziło tylko o dodatkową parę zręcznych rąk. Peter był niezwykłym człowiekiem. Zjawiając się w sali, potrafił jednym spojrzeniem ocenić sytuację. Nigdy nie podnosił głosu, nie okazywał zdenerwowania. O pięć lat dłużej niż ona walczył na froncie chirurgii urazowej i właśnie w takich koszmarnych przypadkach okazywał się niezastąpiony.

Zajął miejsce za stołem operacyjnym naprzeciwko Catherine, przyglądając się swymi niebieskimi oczami nacięciu, które zrobiła.

— W porządeczku. Dobrze się bawimy?

— Jak w lunaparku.

Zabrał się od razu do dzieła. Ich ręce pracowały zgodnie, otwierając z niemal brutalną siłą klatkę piersiową pacjenta. Operowali wspólnie już tyle razy, że potrafili instynktownie przewidywać swoje potrzeby i kolejne posunięcia.

— Co to za historia? — zapytał Peter. Gdy trysnęła krew, spokojnie ją zatamował.

— Robotnik budowlany. Potknął się i nadział na pręt.

— To ci zepsuje dzień. Rozwieracz Burforda, siostró.

— Proszę.

— Jak stoimy z krwią?

— Czekamy na zero minus — odparła pielęgniarka.

— Czy doktor Murata jest na miejscu?

— Jego zespół od bypassów wkrótce się zjawi.

— Więc musimy tylko trochę zyskać na czasie. Jak rytm pracy serca?

— Częstoskurcz zatokowy, sto pięćdziesiąt. Kilka PVC...

— Ciśnienie skurczowe spadło do pięćdziesięciu!

Catherine rzuciła Peterowi pytające spojrzenie, mówiąc:

— Nie doczekamy się bypassa.

— No to zobaczymy, co da się zrobić.

Zaległo nagle milczenie, gdy zajrzał w głąb rany.

— O Boże — powiedziała Catherine. — On tkwi w przedsionku.

Koniec pręta przebił ścianę serca i z każdym jego uderzeniem tryskała w tym miejscu z rany świeża krew. W jamie klatki piersiowej zebrała się jej już spora ilość.

— Jeśli go wyciągniemy, będziemy tu mieli niezły gejzer — stwierdził Peter.

— Już i tak mocno krwawi.

— Ciśnienie skurczowe ledwo wyczuwalne! — ostrzegła pielęgniarka.

— No dobra — powiedział Peter. W jego głosie nie było cienia paniki ani strachu. Zwrócił się do jednej z sióstr: - Może mi pani zdobyć cewnik Foleya, szesnastkę, z balonikiem o pojemności trzydziestu centymetrów sześciennych?

— Słucham, doktorze Falco? Powiedział pan: cewnik Foleya?

— Tak. Cewnik moczowy.

— Będzie nam też potrzebna strzykawka z dziesięcioma centymetrami sześciennymi roztworu soli — oznajmiła Catherine. — Proszę być z nią w pogotowiu. — Catherine i Peter nie musieli sobie niczego wyjaśniać. Rozumieli oboje, o co chodzi Peterowi wręczono cewnik Foleya — rurkę, której używano do odciągania moczu z pęcherza. Zamierzali wykorzystać ją do zupełnie innego celu.

— Jesteś gotowa? — zapytał, spojrzawszy na Catherine.

— Do dzieła.

Patrzyła w napięciu, jak Peter chwyta żelazny pręt i wyciąga w ostrożnie ze ściany serca pacjenta. Gdy krew trysnęła strumieniem, Catherine wsunęła natychmiast do otwartej rany

końcówkę cewnika.

— Napełnić balonik! — polecił Peter.

Pielęgniarka wtłoczyła za pomocą strzykawki dziesięć centymetrów sześciennych roztworu soli do przewodu napinającego balonik.

Peter pociągnął za cewnik, zaklinowując balonik w wewnętrznej ścianie przedsionka.

Krwotok ustał. Z rany sączyła się tylko strużka krwi.

— Jak podstawowe funkcje? — zawołała Catherine.

— Ciśnienie skurczowe nadal pięćdziesiąt. Mamy już krew grupy zero minus. Wieszamy ją.

Czując wciąż przyspieszone bicie serca, Catherine spojrzała na Petera i zobaczyła, że mruga do niej zza ochronnych gogli.

— Czyż to nie była świetna zabawa? — zapytał, sięgając po igłę chirurgiczną. — Zechcesz pełnić honory?

— Jasne.

Wręczył jej pojemnik z igłą. Miała zszyć krawędzie rany, wyciągając cewnik, zanim dokończy ten zabieg. Zakładając głęboko szwy, czuła przez cały czas pełne aprobaty spojrzenie Petera. Miała wypieki na twarzy z emocji. Wyczuwała już intuicyjnie, że ten pacjent będzie żył.

— Wspaniały początek dnia, prawda? — stwierdził Peter. - Włamywanie się do cudzego serca.

- Tych urodzin nigdy nie zapomnę. – Moja propozycja na dzisiejszy wieczór jest nadal aktualna. Co ty na to?

- Mam dyżur.

— Ames cię zastąpi. Daj się namówić. Zapraszam na kolację i dansing.

— Myślałam, że na wycieczkę samolotem.

— Co tylko sobie życzysz. Do diabła, zrobmy kanapki z masłem orzechowym i lećmy.

— Ha! Zawsze wiedziałam, że jesteś rozrzutny.

— Catherine, mówię poważnie.

Słyszając zmianę w tonie głosu Petera, uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie. Zauważyła, że w sali zaległa nagle cisza i wszyscy czekali, czy niedostępna doktor Cordell ulegnie w końcu czarowi doktora Falco.

Zakładając kolejny szew, myślała o tym, jak bardzo lubi Petera jako kolegę i jak się wzajemnie szanują. Nie chciała, aby to się zmieniło. Wołała nie narażać tego cennego związku, wdając się w romans.

Ale z drugiej strony, jakże tęskniła za czasami, gdy chodziła na randki, gdy perspektywa wieczoru z mężczyzną budziła w niej radość, a nie lęk.

W sali panowała nadal pełna wyczekiwania cisza.

W końcu Catherine spojrzała na Petera i powiedziała:

— Wpadnij po mnie o ósmej.

Catherine nalała sobie kieliszek merlota i stanęła przy oknie, sącząc wino i wpatrując się w mrok. Słyszała śmiechy i widziała ludzi, spacerujących po Commonwealth Avenue. Wytworna ulica Newbury Street była zaledwie o przecznicę dalej i w letnią piątkową noc ta część dzielnicy Back Bay przyciągała turystów. Catherine właśnie dlatego tam zamieszkała. Czuła się pewniej, wiedząc, że w okolicy przebywa wielu ludzi, choćby i nieznajomych. Odgłosy muzyki i śmiechu oznaczały, że nie jest samotna i opuszczona.

Siedziała teraz za zamkniętymi szczelnie oknami, popijając wino i próbując przekonać samą siebie, że jest już gotowa wyjść na świat.

Świat, który ukradł mi Andrew Capra.

Przytknęła dłoń do szyby czubkami palców, jakby chciała się przez nią przebić i wydostać ze swego sterylnego więzienia.

Dopiwszy jednym haustem wino, odstawiła kieliszek na parapet. Nie będę wieczną ofiarą, pomyślała. Nie pozwolę mu wygrać.

Weszła do sypialni i przejrzawszy rzeczy w szafie, włożyła zieloną jedwabną sukienkę. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni miała ją na sobie.

Z sąsiedniego pokoju rozległ się optymistyczny komunikat z komputera „Masz wiadomość!”.

Nie zwracając na niego uwagi, poszła do łazienki, by zrobić sobie makijaż. To barwy wojenne, pomyślała, malując oczy i usta. Maską, która dodawała jej odwagi, by mogła stawić czoło światu.

Pudrując twarz, nabierała coraz większej pewności siebie. Zobaczyła nagle w lustrze kobietę, którą z trudem rozpoznawała. Kobietę, której nie widziała od dwóch lat.

— Witaj — mruknęła, uśmiechając się pod nosem.

Zgasiwszy światło w łazience, poszła do salonu, przyzwyczajając na nowo stopy do wysokich obcasów. Petersię spóźniał. Był już kwadrans po ósmej. Przypomniawszy sobie komunikat, który słyszała z sypialni, podeszła do komputera, by odebrać pocztę.

Wiadomość pochodziła od nadawcy o kryptonimie Sprytny Doktorek. Była opatrzona nagłówkiem Raport laboratoryjny. Otworzyła pocztę i przeczytała:

Doktor Cordell!

Załączam zdjęcia z patologii, które panią zainteresują.

Wiadomość nie była podpisana.

Przesunęła kursor do ikony odczytaj plik, ale zawahała się, trzymając palec na myszce. Nie znała nadawcy, a zazwyczaj nie odbierała załączników od obcych. Ta wiadomość miała najwyraźniej związek z jej pracą i była adresowana do niej osobiście.

Kliknęła odczytaj.

Na ekranie pojawiła się kolorowa fotografia. Catherine zerwała się jak oparzona, przewracając krzesło na podłogę. Cofnęła się z przerażeniem, zasłaniając usta ręką. A potem

pobiegła do telefonu.

Thomas Moore stał w drzwiach, przyglądając się jej z uwagą.

— Czy to zdjęcie jest jeszcze na ekranie?

— Niczego nie ruszałam.

Moore wszedł do mieszkania, oficjalny jak zawsze, i dostrzegł od razu mężczyznę, stojącego przy komputerze.

— To doktor Peter Falco — wyjaśniła Catherine. — Kolega ze szpitala.

— Miło mi — powiedział Moore, ściskając mu dłoń.

— Catherine i ja zamierzaliśmy wyjść dziś razem na kolację — oznajmił Peter. —

Zatrzymano mnie w szpitalu. Dotarłem tu tuż przed panem i... — Zamilkł i spojrzał na Catherine.

- Chyba nici z kolacji?

Odpowiedziała skinieniem głowy.

Moore usiadł przy komputerze. Włączony był wygaszacz ekranu i na monitorze widniała jaskrawa tropikalna ryba.

Gdy kliknął myszką, ukazała się ściągnięta z poczty fotografia.

Catherine odwróciła się natychmiast i podeszła do okna. Skrzyżowała ręce na piersiach, próbując wymazać z pamięci obraz, który właśnie ujrzała. Słyszała, jak Moore stuka w klawiaturę, a potem mówi do telefonu: „Przesłałem wam właśnie ten plik. Macie go?”. Za oknem, w ciemnościach, zrobiło się dziwnie cicho. Zastanawiała się, czy jest już tak późno.

Patrząc w dół, na opustoszałą ulicę, nie mogła niemal uwierzyć, że zaledwie przed godziną była gotowa wyjść nocą z domu i powrócić do świata.

Teraz pragnęła jedynie zaryglować drzwi i się ukryć.

— Kto, do cholery, przesyła ci coś takiego? — spytał Peter. — To chorobliwe.

— Wolałabym o tym nie mówić.

— Zdarzało się to już wcześniej?

— Nie.

— Więc dlaczego wezwałaś policję?

— Błagam cię, Peter. Przestań! Nie chcę rozmawiać na ten temat.

Na chwilę zaległa cisza.

— Nie chcesz rozmawiać ze mną?

— Nie teraz.

— Ale policji wszystko powiesz?

— Doktorze Falco — odezwał się Moore — byłoby naprawdę lepiej, żeby pan wyszedł.

— Catherine? Życzysz sobie tego?

Słyszała urazę w jego głosie, ale nie odwróciła głowy, by na niego spojrzeć.

— Wyjdź, proszę.

Nic nie odpowiedział. Tylko odgłos zamykanych drzwi świadczył o tym, że opuścił jej mieszkanie. Zapanowała niezręczna cisza.

— Nie powiedziała mu pani, co zaszło w Savannah? - spytał Moore.

— Nie. Nie potrafię się na to zdobyć. — Gwałt to zbyt intymny, zbyt wstydliwy temat, by o nim rozmawiać. Nawet z kimś, komu na tobie zależy. — Kim jest ta kobieta na zdjęciu? — zapytała.

— Miałem nadzieję, że pani ją rozpozna.

Pokręciła głową.

— Nie wiem też, kto mi to przysłał.

Usłyszała skrzypienie krzesła, gdy podnosił się z miejsca, i poczuła na ramieniu przez zieloną jedwabną sukienkę ciepło Jego dłoni. Nie przebrała się i miała na sobie nadal wieczorowy strój. Pomysł wyjścia z domu wydawał jej się teraz żałosny. Co sobie wyobrażała?

Że może znów być taka jak wszyscy? Taka Jak dawniej?

— Catherine — powiedział Moore — musimy porozmawiać o tym zdjęciu.

Zacisnął palce na jej ramieniu. Uzmysłowała sobie nagle, że zwrócił się do niej po imieniu.

Stał na tyle blisko, że muskał ciepłym oddechem jej włosy, lecz nie czuła się zagrożona. Dotyk innego mężczyzny byłby aktem agresji, ale ten działał na nią uspokajająco.

Skinęła głową.

— Spróbuję.

Przystawił drugie krzesło i usiedli oboje przed ekranem komputera. Zmusiła się, by skoncentrować uwagę na zdjęciu.

Widoczna na nim kobieta o kręconych włosach, rozrzuconych jak spiralki na poduszce, miała usta zaklejone srebrną taśmą, ale jej oczy były szeroko otwarte i przytomne, a ich siatkówki lśniły czerwono w świetle lampy błyskowej. Fotografia przedstawiała ją od pasa w górę. Była naga i przywiązana do łóżka.

— Rozpoznaje ją pani? — zapytał Moore.

— Nie.

— Czy coś na tym zdjęciu wydaje się pani znajome? Pokój, umeblowanie?

— Nie, ale...

— Tak?

— Andrew Capra zachowywał się podobnie — wyszeptała. — Robił mi zdjęcia, kiedy byłam przywiązana do łóżka... - Przełknęła z trudem ślinę, czując takie upokorzenie, jakby Moore oglądał na monitorze jej nagie ciało. Mimo woli skrzyżowała ręce na piersiach, wstydliwie je zasłaniając.

— Ten plik przesłano o dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć. Rozpoznaje pani kryptonim nadawcy?

— Nie. — Skupiła znów uwagę na twarzy kobiety z szerokorozwartymi źrenicami. — Ona jest przytomna. Wie, co się stanie. On tego właśnie oczekuje. Chce, żeby była przytomna, żeby czuła ból. W przeciwnym razie nie sprawi mu to przyjemności... — Miała na myśli Andrew Caprę, ale używała czasu teraźniejszego, jakby Capra wciąż żył.

— Skąd on miał adres pani poczty elektronicznej?

— Nie wiem nawet, kim on jest.

— Wysłał to do pani, Catherine. Wie, co zdarzyło się w Sayannah. Ma pani jakieś podejrzenia, kto mógł to zrobić?

Tylko jedna osoba, pomyślała. Andrew Capra. Ale on nie żyje. W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Moore'a i Catherine podskoczyła jak oparzona.

— Chryste! — szepnęła, opadając na krzesło z bijącym sercem.

Moore powiedział do aparatu:

— Tak, jestem tu z nią... — Słuchał przez chwilę i nagle spojrział na Catherine tak dziwnie, że poczuła niepokój.

— O co chodzi? — zapytała.

— Dzwoni detektyw Rizzoli. Ustaliła, skąd nadeszła ta wiadomość.

— Kto ją wysłał?

— Pani.

Miała wrażenie, jakby dostała w twarz. Pokręciła tylko głową, zbyt zaszokowana, by odpowiedzieć.

— Nadano ją dziś wieczorem z pani konta pocztowego America Online — wyjaśnił Moore.

— Mam dwa osobne konta. Jedno prywatne...

— A drugie?

— Służbowe, z którego korzystają... — Urwała w pół zdania. — On użył komputera w moim

biurze!

Moore podniósł telefon do ucha.

— Słyszałaś, Rizzoli? — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Zaraz tam będziemy.

Detektyw Rizzoli czekała na nich tuż obok gabinetu Catherine. W korytarzu zebrała się już spora grupka: ochroniarz budynku, dwóch oficerów policji i kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach. Detektywi, domyśliła się Catherine.

— Przeszukaliśmy biuro — oznajmiła Rizzoli. — Już dawno się ulotnił.

— A więc był tutaj? — spytał Moore.

— Oba komputery są włączone. Kryptonim nadawcy Sprytny Doktorek jest ciągle na ekranie.

— Jak on się tu dostał?

— Na drzwiach nie ma śladów włamania. Pomieszczenia biurowe sprzątają wynajęci ludzie, którzy dysponują własnymi kluczami. Podobnie jak pracownicy biura.

— Mamy tu fakturzystkę, recepcjonistkę i dwóch asystentów — wyjaśniła Catherine.

— Poza tym jest pani i doktor Falco.

— Zgadza się.

— Cóż, to znaczy, że jest sześć kluczy, które, w dodatku, ktoś mógł zgubić lub pożyczyć — stwierdziła opryskliwie Rizzoli. Catherine nie darzyła tej kobiety sympatią i zastana wiała się, czy ona odwzajemnia to uczucie.

Rizzoli wskazała ręką na gabinet.

— Wejdzmy do środka, doktor Cordell, i zobaczmy, czy coś nie zginęło. Proszę tylko niczego nie dotykać, dobrze? Ani drzwi, ani komputerów. Musimy zdjąć odciski palców. Catherine spojrzała na Moore'a, który położył jej uspokajająco rękę na ramieniu. Weszli razem do biura.

Rzuciła tylko okiem na poczekalnię dla pacjentów i przeszła do recepcji, gdzie pracował personel biurowy. Komputer używany do fakturowania był włączony. Intruz wyjął jednak dyskietkę ze stacji dysków.

Moore nacisnął piórem myszkę, aby wyłączyć wygaszacz ekranu i na monitorze pojawiło się okno poczty elektronicznej American Online. W rubryce „wybrane imię” figurował nadal kryptonim Sprytny Doktorek.

— Czy coś tu się zmieniło? — zapytała Rizzoli.

Catherine pokręciła głową.

— W porządku. Chodźmy do pani gabinetu.

Serce zaczęło jej bić mocniej, gdy szła korytarzem, mijając dwie izby przyjęć. Wszedłszy do gabinetu, spojrzała natychmiast na sufit i cofnęła się przerażona, wpadając niemal na Moore’a.

Chwycił ją w ramiona i przytrzymał.

— Tu go właśnie znaleźliśmy — oznajmiła Rizzoli, wskazując na zwisający z lampy stetoskop. — Zakładam, że pani go tu nie zostawiła.

Catherine znów pokręciła głową i powiedziała zdławionym głosem:

— Ten człowiek już tu wcześniej był.

Rizzoli przeszła ją wzrokiem.

— Kiedy?

— W ciągu ostatnich kilku dni. Ginęły mi różne rzeczy.

Albo znajdowałam je w innym miejscu.

— Jakie rzeczy?

— Stetoskop, fartuch...

— Proszę się dobrze rozejrzeć. Czy coś tu się jeszcze zmieniło?

Catherine rzuciła okiem na półki, biurko, szafkę z kartotekami. To była jej prywatna

przestrzeń, którą sama zorganizowała. Wiedziała dokładnie, gdzie co się powinno znajdować.

— Komputer jest włączony — oznajmiła. — Zawsze go wyłączam, gdy wychodzę.

Rizzoli kliknęła myszką i na ekranie pojawiło się okno American Online z używanym przez Catherine kryptonimem CCORD.

— W ten sposób zdobył adres pani poczty — stwierdziła Rizzoli. — Wystarczyło, że włączył komputer.

Catherine patrzyła na klawiaturę. Stukałeś w te klawisze. Siedziałeś na moim krześle. Głos Moore'a wyrwał ją nagle z zamyślenia.

— Czy czegoś brakuje? — spytał. — Jakiegoś osobistego drobiazgu?

— Dlaczego miałby coś takiego zabierać?

— To w jego stylu.

A więc spotkało to już inne kobiety, pomyślała. Inne ofiary.

- Może chodzić o rzecz, którą nosi pani przy sobie — ^sugerował Moore. — Coś, czego tylko pani używa. Biżuterię, grzebień, breloczek...

— O Boże! — Sięgnęła natychmiast do górnej szuflady biurka.

— Hej! — ostrzegła Rizzoli. — Powiedziałam, żeby niczego nie dotykać!

Ale Catherine przetrząsała już szufladę, szukając czegoś gorączkowo wśród piór i ołówków.

— Nie ma go tutaj.

— Czego?

— Trzymam w biurku zapasowy breloczek.

— Z kluczami?

— Tak. Od samochodu, od szpitalnej szafki... —Przerwała, czując, jak zasycha jej w gardle.

— Jeśli zaglądał do niej w ciągu dnia, miał dostęp do mojej torebki. — Spojrzała na Moore'a. —

I do kluczy do mieszkania.

Technicy zdejmowali już linie papilarne, gdy Moore wrócił do gabinetu.

— Położyłeś ją spać? — spytała Rizzoli.

— Pośpi w dyżurce pogotowia. Nie chcę, żeby jechała do domu, póki nie jest tam bezpiecznie.

— Osobiście zmienisz jej zamki?

Zmarszczył brwi, widząc drwiące spojrzenie partnerki.

— Masz jakiś problem?

— To atrakcyjna kobieta.

Wiem, do czego zmierzasz, pomyślał, wzdychając ciężko.

— Jest taka skrzywdzona i bezbronna — ciągnęła Rizzoli. - Jezu, każdy facet chce od razu otoczyć ją opieką!

— Przecież to nasz obowiązek!

— Taki jesteś obowiązkowy?

— Nie chcę o tym rozmawiać — stwierdził, wychodząc z gabinetu.

Rizzoli podążyła za nim na korytarz jak buldog, chwytający go za kostki.

— Ona jest uwikłana w tę sprawę, Moore. Nie wiemy, czy czegoś nie ukrywa. Nie mów mi, że się w niej zadurzyłeś.

— Bzdura!

— Nie jestem ślepa.

— A co dokładnie widzisz?

— Widzę, jak na siebie patrzycie. Widzę gliniarza, który traci obiektywizm. Który może się sparzyć — dodała po chwili milczenia.

Gdyby podniosła głos, gdyby mówiła to wrogim tonem, odpowiedziałby tak samo. Jednak jej głos brzmiał łagodnie i Moore nie mógł się zdobyć na ostrą ripostę.

— Nie każdemu bym to powiedziała — stwierdziła Rizzoli. — Uważam cię za porządnego faceta. Gdyby chodziło o Crowe’a albo jakiegoś innego dupka, gównem bym się przejmowała, że ktoś złamie im serce. Ale nie chcę, żeby tobie się to przydarzyło.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Moore poczuł się zawstydzony, że dostrzegał w Rizzoli tylko przeciętność. Choć podziwiał jej bystry umysł i ambicje, koncentrował zawsze uwagę na jej pospolitej twarzy i bezkształtnych garsonkach. Pod pewnymi względami nie był lepszy niż Darren Crowe i ci idioci, którzy wsadzali jej tampony do butelki z wodą. Nie zasługiwał na jej szacunek.

Usłyszeli, jak ktoś chrząka znacząco, i odwróciwszy głowy, zobaczyli w drzwiach technika z wydziału kryminalnego.

— Nie ma żadnych odcisków — oznajmił. — Sprawdziłem oba komputery. Klawiatury, myszy, stacje dysków — wszystko zostało wyczyszczone.

Zadzwonił telefon komórkowy Rizzoli. Sięgając po niego, powiedziała:

— A czego mogliśmy się spodziewać? Nie mamy do czynienia z kretydem.

— A co z drzwiami? — zapytał Moore.

— Jest na nich kilka częściowych odcisków — odparł technik. — Zważywszy na to, ile osób się tu przewija — pacjenci, personel — nie będziemy w stanie niczego zidentyfikować.

— Hej, Moore — powiedziała Rizzoli, zamykając klapkę telefonu. — Jedziemy.

— Dokąd?

— Do centrali. Brody chce nam zademonstrować magię pikseli.

— Poddałem to zdjęcie analizie fotoskopowej — wyjaśnił Sean Brody. — Zajmuje trzy megabajty pamięci, co oznacza, że jest bardzo wyraźne. Sprawca nie uznaje zamazanych konturów. Przesłał obraz wysokiej jakości, na którym widać nawet rzęsy ofiary.

Brody był komputerowym geniuszem bostońskiej policji, dwudziestotrzyletnim

młodzieńcem o bladej cerze, który siedział teraz skupiony przed ekranem monitora z ręką niemal przyklejoną do myszy. Moore, Rizzoli, Frost i Crowe stali za nim, patrząc mu przez ramię.

Irytujący śmiech Brody'ego przypominał chichot szakala. Manipulując obrazem na ekranie, co chwila rechotał z zadowolenia.

— To cała fotografia — oznajmił. — Ofiara przywiązana do łóżka. Jest przytomna, ma otwarte oczy. Ich czerwony kolor to efekt błysku lampy. Usta zalepione taśmą. Tutaj, w lewym dolnym rogu, widać krawędź nocnej szafki i budzik, stojący na dwóch książkach. Zrobimy zbliżenie i można odczytać godzinę.

— Druga dwadzieścia — powiedziała Rizzoli.

— Właśnie. Pytanie tylko, czy jest noc, czy popołudnie? Przejdźmy do górnej części zdjęcia, gdzie widać narożnik okna. Zastony są zaciągnięte, ale jest między nimi wąska szpara, przez którą nie prześwituje światło słoneczne. Jeśli więc zegarek wskazuje właściwy czas, zdjęcie zrobiono o drugiej dwadzieścia w nocy.

— Tak, ale którego dnia? — spytała Rizzoli. — To mogło być zeszłej nocy albo w ubiegłym roku. Cholera, nie wiemy nawet, czy zrobił je Chirurg.

Brody rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Jeszcze nie skończyłem.

— W porządku. Słucham.

— Spójrzmy trochę niżej, na prawy przegub ofiary. Przesłania go taśma klejąca. Widzicie tę małą ciemną plamkę? Jak myślicie, co to jest? — Kliknął myszką, powiększając ten szczegół na ekranie.

— Nadal niewiele widać — stwierdził Crowe.

— Dobra. Powiększymy go jeszcze bardziej. — Kliknął ponownie myszką. Ciemna plama nabrała rozpoznawalnego kształtu.

— Jezu! — odezwała się Rizzoli. — Mały konik! To bransoletka Eleny Ortiz!

Brody uśmiechnął się do niej szeroko.

— Dobry jestem?

— To on! — oznajmiła z przekonaniem Rizzoli. — To Chirurg.

— Wróć do nocnej szafki — poprosił Moore.

Brody ściągnął ponownie na ekran całą fotografię i przesunął kursor do lewego dolnego narożnika.

— Co pana interesuje?

— Pod budzikiem leżą dwie książki. Zobaczmy ich grzbiety.

Widzisz, jak ta u góry odbija światło?

— Tak.

— Jest oprawiona w przezroczystą folię.

— W porządku... — Brody najwyraźniej nie rozumiał, do czego Moore zmierza.

— Zrób zbliżenie jej grzbietu. Zobaczmy, czy da się odczytać tytuł.

Brody kliknął myszką.

— Składa się chyba z jednego słowa — stwierdziła Rizzoli.

Brody zrobił jeszcze większe zbliżenie.

— Zaczyna się od litery J — zauważył Moore. — Spójrzcie na to. — Postukał w ekran. —

Widzicie ten mały biały kwadracik u dołu grzbietu?

— Wiem, co masz na myśli — powiedziała Rizzoli podnieconym głosem. — Odczytajmy ten cholerny tytuł!

Brody kliknął myszką po raz ostatni. Moore wpatrywał się w słowo widoczne na grzbiecie książki. Nagle odwrócił się i sięgnął po telefon.

— Czy coś przeoczyłem? — zapytał Crowe.

— Książka nosi tytuł Jaskółka — wyjaśnił Moore, wystukując zero. — A ten kwadracik na obwolucie... Założę się, że jest na nim numer katalogowy.

— To książka z biblioteki — oznajmiła Rizzoli.

W telefonie odezwał się głos.

— Centrala.

— Mówi detektyw Thomas Moore z bostońskiej policji.

Muszę się pilnie skontaktować z miejską biblioteką.

— To książka o jezuitach w kosmosie — oznajmił Frost z tylnego siedzenia samochodu.

Pędzili po Centre Street z włączonymi światłami, pilotowani przez dwa radiowozy. Moore siedział za kierownicą.

— Moja żona należy do kółka czytelniczego — wyjaśnił Frost. — Pamiętam, że wspominała o tej Jaskółce.

— To powieść science fiction? — spytała Rizzoli.

— Nie, raczej traktat religijny. O naturze Boga i tego typu sprawach.

— Więc nie muszę tego czytać — stwierdziła Rizzoli. - Znam już wszystkie odpowiedzi.

Jestem katoliczką.

Moore rzucił okiem w boczną ulicę i oznajmił:

— Zbliżamy się.

Dom, którego szukali, znajdował się w dzielnicy Jamaica Plain w zachodnim Bostonie, między Franklin Park a sąsiednim miasteczkiem Brookline. Kobieta nazywała się Nina Peyton.

Tydzień temu pożyczyła egzemplarz książki Jaskółka z lokalnej filii miejskiej biblioteki. I spośród wszystkich osób, które wypożyczyły ten tytuł w Bostonie, tylko ona nie podnosiła teraz, o drugiej w nocy, słuchawki telefonu.

— To tutaj — powiedział Moore, gdy jadący przed nimi radiowóz skręcił w prawo w Eliot

Street. Podążył za nim i zatrzymał się przecznicę dalej.

Niebieskie światła na dachu radiowozu błyskały surrealistycznie w mroku, gdy Moore, Rizzoli i Frost przeszli przez frontową furtkę w kierunku domu. Wewnątrz widzieli tylko nikłe światelko.

Moore spojrzął na Prosta, który skinął głową i ruszył na tyły domu.

Rizzoli zapukała do drzwi, krzyząc:

— Policja!

Odczekali kilka sekund.

Rizzoli zapukała ponownie, tym razem mocniej.

— Pani Peyton! Proszę otworzyć! Policja!

Nastała chwila ciszy. Nagle usłyszeli w nadajnikach głos Prosta:

— W oknie z tyłu jest wyłamana żaluzja.

Moore i Rizzoli wymienili spojrzenia i bez słowa powzięli decyzję.

Moore stukł rękojeścią latarki szybką obok frontowych drzwi, sięgnął do środka i odciągnął zasuwę.

Rizzoli weszła pierwsza do domu, poruszając się w pół-przysiadzie i zakreślając w powietrzu łuk bronią. Moore był tuż za nią. Czuł przyływ adrenaliny, rejestrując błyskawicznie kolejne obrazy. Drewniane schody. Otwarta szafa. Kuchnia na wprost, salon po prawej. Pojedyncza lampa, zapalona na stole w głębi pokoju.

— Sypialnia — powiedziała Rizzoli.

— Szybko!

Ruszyli korytarzem. Rizzoli szła przodem, rozglądając się Bujnie na prawo i lewo, gdy mijali łazienkę i pokój gościnny. Nikogo tam nie zobaczyli. Drzwi na końcu korytarza były lekko uchylone. Za nimi znajdowała się pogrążona w mroku sypialnia.

Moore, ściskając w spoconych dłoniach broń i czując przyspieszone bicie serca, zbliżył się do nich ostrożnie i trącił je nogą.

Owionął go duszny i mdlący zapach krwi. Odnalazł na ścianie przełącznik i zapalił światło.

Jeszcze nim jego wzrok zarejestrował obraz na siatkówce oka, wiedział już, co zobaczy. A jednak nie był w pełni przygotowany na szok, który go czekał.

Na łóżku leżała kobieta z rozciętym brzuchem. Cienkie zwoje jelit zwisały jej z boku jak groteskowe serpentyny. Krew, kapiąca z otwartej rany na szyi, tworzyła coraz większą kałużę na podłodze.

Moore potrzebował całej wieczności, by uzmysłwić sobie, co widzi. Dopiero gdy dotarły w pełni do jego świadomości szczegóły obrazu, pojął ich znaczenie. Z rany wypływała ciągle świeża krew. Ściana nie była nią obryzgana. Kałuża ciemnej, niemal czarnej krwi na podłodze nadal się powiększała.

Podszedł natychmiast do ofiary, wdeptując wprost w tę kałużę.

— Hej! — krzyknęła Rizzoli. — Niszczysz ślady!

Moore przytknął palce do szyi ofiary w miejscu, gdzie nie była zraniona.

Kobieta otworzyła oczy.

Dobry Boże! Ona jeszcze żyje!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Catherine usiadła nagle wyprostowana na łóżku. Serce waliło jej jak młotem, a nerwy miała napięte niczym postronki. Wpatrywała się w ciemność, próbując opanować strach.

Ktoś dobijał się do drzwi dyżurki.

— Doktor Cordell? — Catherine rozpoznała głos pielęgniarki z pogotowia. — Doktor Cordell!

— Słucham?

— Wiozą nam pacjentkę na urazówkę! Duża utrata krwi, rany brzucha i szyi. Wiem, że ma dziś dyżur doktor Ames, ale spóźni się. Doktor Kimball potrzebuje pani pomocy!

— Proszę mu powiedzieć, że już idę.

Catherine zapaliła światło i spojrzała na zegarek. Była druga czterdzieści pięć. Spała tylko trzy godziny. Zielona jedwabna sukienka leżała nadal na krześle. Wyglądała obco, jakby należała do innej kobiety.

Odzież, w której położyła się spać, była wilgotna od potu, ale nie miała czasu się przebierać. Związała splątane włosy w koński ogon i podeszła do umywalki, by ochłapać twarz zimną wodą. Zobaczyła w lustrze śmiertelnie przerażoną kobietę. Skoncentruj się. Czas zapomnieć o strachu i wziąć się do Pracy, nakazała sobie w duchu. Wsunęła bose stopy w tenisówki, wyjęte ze szpitalnej szafki, i wciągnąwszy głęboko powietrze, wyszła z dyżurki.

— Będą tu za jakieś dwie minuty! — krzyknęła recepcjonistka. — Załoga karetki podaje, że ciśnienie skurczowe spadło do siedemdziesięciu!

— Doktor Cordell, stanowisko przygotowane w urazówce numer jeden.

— Kogo mamy w zespole?

— Doktora Kimballa i dwóch stażystów. Dzięki Bogu, że już pani jest! Doktor Ames ma awarię samochodu i nie mógł przyjechać...

Catherine weszła do urazówki. Wystarczył jej rzut oka, by stwierdzić, że zespół przygotował się na najgorsze. Na trzech statywach wisiały plastikowe torebki z mleczanem Ringera. Zwinięte w spirale rurki kroplówki były gotowe do podłączenia. Kurier czekał w gotowości, by przekazać do laboratorium próbki krwi. Dwaj stażyści stali po obu stronach stołu, ściskając w rękach dożylnie cewniki, a Ken Kimball, dyżurny lekarz pogotowia, rozpieczętował już pojemnik z zestawem do lapa-rotomii.

Catherine włożyła chirurgiczny czepek i wsunęła ręce w rękawy sterylne go fartucha.

Pielęgniarka zawiązała go jej na plecach i podała pierwszą rękawiczkę. Każdy kolejny fragment ubioru zwiększał jej autorytet, dawał poczucie siły i panowania nad sytuacją. W tej sali była wybawczynią, a nie ofiarą.

— Co wiemy o pacjentce? — zapytała doktora Kimballa.

— Została napadnięta. Urazy szyi i brzucha.

— Rany postrzałowe?

— Nie, cięte.

Catherine znieruchomiała nagle, wciągając drugą rękawiczkę. Poczowała skurcz w żołądku.

Rany cięte szyi i brzucha.

— Wjeżdża karetka! — krzyknęła przez drzwi pielęgniarka.

— Czas na krwawe zmagania — stwierdził Kimball, wychodząc na spotkanie pacjentce.

Catherine, ubrana już w sterylną odzież, została na miejscu.

Na sali zaległa nagle cisza. Stojący po obu stronach stołu stażyści i pielęgniarka, która miała podawać Catherine narzędzia chirurgiczne, nie odzywali się ani słowem. Koncentrowali uwagę na tym, co działo się za drzwiami. Usłyszeli, jak doktor Kimball krzyczy:

— Szybciej, szybciej!

Drzwi otworzyły się na oścież i do sali wjechały nosze na kółkach. Catherine dostrzegła nasiąknięte krwią prześcieradło, zmierzwione kasztanowe włosy kobiety i jej twarz, przesłoniętą taśmą, przytrzymującą rurkę respiratora.

Na „Raz, dwa, trzy” przesunięto pacjentkę na stół.

Kimball ściągnął prześcieradło, odsłaniając tors ofiary.

W panującym zamieszaniu nikt nie usłyszał, jak Catherine chwyta gwałtownie powietrze.

Nikt nie zauważył, jak uginają się pod nią kolana. Wpatrywała się w szyję ofiary, przewiazaną nasiąkniętym krwią bandażem. Patrzyła na jej brzuch, gdzie spod innego założonego pośpiesznie

opatrunku, który już się odklejał, strużki krwi spływały po nagim boku. Choć wszyscy przystąpili energicznie do działania, podłączając kroplówkę, uruchamiając aparaturę kardiologiczną i włączając powietrze do płuc pacjentki, Catherine stała z boku, zmartwiała z przerażenia. Kimball ściągnął opatrunek z brzucha pacjentki. Skręcone spiralnie jelita opadły na blat stołu.

— Ciśnienie skurczowe sześćdziesiąt, ledwo wyczuwalne!

Częstoskurcz zatokowy...

— Nie mogę założyć wkłucia! Ma niedrożną żyłę!

— Spróbuj pod obojczykiem!

— Podaj mi inny cewnik!

— Cholera, wszystko tu jest skażone...

— Doktor Cordell? Doktor Cordell?!

Catherine, nadal półprzytomna, spojrzała na pielęgniarkę, która się do niej zwracała, i zobaczyła za chirurgiczną maską JeJ zmarszczone brwi.

— Potrzebne pani tampony?

Catherine przełknęła głośno ślinę i wzięła głęboki oddech.

— Tak. Tampony. I odsysanie...

Skoncentrowała ponownie uwagę na pacjentce. Była młodą kobietą. Przemknęło jej przez głowę wspomnienie nocy w Sa-vannah, gdy to ona leżała na stole zabiegowym.

Nie pozwolę ci umrzeć. Nie będziesz jego ofiarą.

Chwyciła z tacy z narzędziami garść gąbek i hemostat. Była już w pełni skoncentrowana.

Odzyskała panowanie nad sytuacją, jak przystało na profesjonalistkę. Lata doświadczeń sprawiły, że działała niemal automatycznie. Skupiła najpierw uwagę na ranie szyi. Gdy zdjęła opatrunek, trysnęła spod niego ciemna krew, obryzgując podłogę.

— Tętnica szyjna! — krzyknął jeden ze stażystów.

Catherine przyłożyła gąbkę do rany i wzięła głęboki oddech.

— Nie. Gdyby to była tętnica, już by nie żyła. — Spojrzała na pielęgniarkę. — Poproszę skalpel.

Siostra podała jej narzędzie. Catherine znieruchomiała na moment, szykując się psychicznie do delikatnego zabiegu, po czym przytknęła ostrze skalpela do szyi pacjentki. Utrzymując nacisk na ranę, nacięła zręcznie skórę aż do szczęki i odsłoniła żyłę.

— Nie sięgnął dość głęboko, by uszkodzić tętnicę — potwierdziła — ale przeciął żyłę. Ten koniec jest wciśnięty w miękką tkankę. — Rzuciła skalpel i sięgnęła po kleszcze. - Niech pan przyłoży tu gąbkę — poleciła stażysty. — Ostrożnie!

— Zamierza pani zespolić żyłę?

— Nie, po prostu ją podwiążemy. Zastąpi ją boczny obieg.

Muszę odsłonić żyłę na tyle, by założyć szew. Poproszę zacisk.

Natychmiast podano jej potrzebne narzędzie. Catherine zacisnęła odkryte naczynia krwionośne, po czym westchnęła głęboko i spojrzała na Kimballa.

— Ten krwotok mamy z głowy. Żyłę podwiążę później.

Skupiła teraz uwagę na brzuchu pacjentki. Kimball i drugi ze stażystów zdążyli już oczyścić pole za pomocą odsysacza i tamponów. Rana była całkowicie odsłonięta. Catherine przesunęła ostrożnie na bok cienkie zwoje jelit i spojrzała w otwartą jamę brzuszną. To, co zobaczyła, wzbudziło w niej głuchy gniew. Napotkała nad stołem zdumiony wzrok Kimballa.

— Kto zrobił coś takiego? — spytał cicho. — Z kim my, do diabła, mamy do czynienia?

— Z potworem — odparła Catherine.

— Ofiara jest nadal operowana. Jeszcze żyje. — Rizzoli zamknęła klapkę telefonu

komórkowego i spojrzała na Moore'a i doktora Zuckera. — Mamy teraz świadka. Nasz sprawca

zaczyna być nieostrożny.

— Niezupełnie — poprawił ją Moore. — Po prostu się spieszył. Nie miał czasu dokończyć tego, co zaczął. — Stał przy drzwiach sypialni, przyglądając się śladom krwi na podłodze. Była jeszcze świeża, połyskująca. Nie zdążyła wyschnąć.

Chirurg niedawno stąd wyszedł, pomyślał.

— Zdjęcie zostało wysłane do doktor Cordell pocztą elektroniczną o dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć — oznajmiła Rizzoli. — Widoczny na nim zegarek wskazuje drugą dwadzieścia. Chodzi dobrze — dodała, patrząc w kierunku nocnej szafki. - A to oznacza, że sprawca zrobił zdjęcie ubiegłej nocy. Utrzymywał ofiarę przy życiu w tym stanie przez ponad dobę.

Przedłużał sobie przyjemność, dodał w duchu Moore.

— Zaczyna mieć tupet — stwierdził doktor Zucker z niepokojącą nutą podziwu w głosie, jakby przyznawał, że trafił na godnego siebie przeciwnika. — Nie dość, że przez cały dzień Pozostawia ofiarę przy życiu, to jeszcze wychodzi stąd na jakiś czas, by wysłać wiadomość. Koleś sobie z nami pogrywa.

— Albo z Catherine Cordell — wtrącił Moore.

Torebka ofiary leżała na toalecie. Moore przejrzał jej zawartość, włożywszy rękawiczki.

— Portfel z trzydziestoma czterema dolarami. Dwie karty kredytowe. Karta klubu automobilowego. Identyfikator pracownika działu sprzedaży firmy Lawrence Scientific Supplies. Prawo jazdy na nazwisko Nina Peyton, dwadzieścia dziewięć lat, sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, sześćdziesiąt pięć kilogramów. — Spojrzał na drugą stronę dokumentu. — Dawczyńni narządów.

— Myślę, że właśnie nią została — stwierdziła Rizzoli.

Moore rozpiął boczną kieszeń torebki.

— Jest tutaj kalendarz.

Rizzoli okazała zainteresowanie.

— Tak?

Otworzył go na bieżącym miesiącu. Nie było żadnych notatek. Przerzucił kilkanaście kartek, aż znalazł zapis sprzed prawie ośmiu tygodni Zapłacić czynsz. Na wcześniejszych stronach były też inne Urodziny Sida. Pralnia. Koncert o 8:00. Zebranie. Przyziemne, codzienne sprawy, z których składa się życie. Dlaczego osiem tygodni temu Nina Peyton przestała nagle robić notatki? Pomyślał o kobiecie, która kaligrafowała słowa w kalendarzu niebieskim atramentem. Która tęskniła zapewne za grudniem, marząc o białym Bożym Narodzeniu i mając wszelkie powody wierzyć, że doczeka świąt.

Zamknął kalendarz, czując takie przygnębienie, że przez chwilę nie mógł mówić.

— Absolutnie niczego tu nie ma — oznajmił Frost, przykucnąwszy przy łóżku. — Żadnych chirurgicznych nici ani narzędzi.

— Jak na faceta, który podobno się spieszył, dokładnie po sobie posprzątał — stwierdziła Rizzoli. — Zobaczcie. Zdążył nawet poskładać jej garderobę. — Wskazała na bawełnianą nocną koszulę, złożoną starannie na krześle. — Nie wygląda na to, żeby brakowało mu czasu.

— Ale pozostawił ofiarę przy życiu — zauważył Moore. - Popęłnił kardynalny błąd.

— To bez sensu, Moore. Składa w kostkę nocną koszulę, sprząta po sobie i okazuje się na tyle nieostrożny, by pozostawić świadka? Jest za sprytny na taki błąd.

— Nawet najsprytniejszym może powinąć się noga — stwierdził Zucker. — Ted Bundy też w końcu stał się nieostrożny.

Moore spojrzał na Prosta.

— To ty dzwoniłeś do ofiary?

— Tak. Sprawdzaliśmy po kolei numery telefonów, które podano nam w bibliotece.

Dzwoniłem tutaj około drugiej, drugiej piętnaście. Włączyła się automatyczna sekretarka. Nie zostawiłem żadnej wiadomości.

Moore rozejrzał się po pokoju, ale nie zauważył automatycznej sekretarki. Przeszedłszy do salonu, zobaczył na stole aparat telefoniczny. Miał funkcję identyfikowania rozmówcy. Przycisk pamięci był zaplamiony krwią.

Wcisnął go końcem ołówka i na wyświetlaczu pojawił się numer ostatniego rozmówcy.

Wydział Policji w Bostonie, godz. 2:14

— Czy to go spłoszyło? — spytał Zucker, który podążył za Moore'em do salonu.

— Był tu, gdy zadzwonił Frost. Na przycisku są ślady krwi.

— A więc ten telefon przeszkodził mu w osiągnięciu satysfakcji. Musiał go zaniepokoić.

Poszedł do salonu i zobaczył na wyświetlaczu numer bostońskiej policji. — Zucker zawiesił głos.

— Co pan by zrobił na jego miejscu?

— Wyniósłbym się stąd.

Zucker skinął głową i uśmiechnął się drwiąco.

Dla ciebie to tylko gra, pomyślał Moore. Podszedł do okna i wyrzał na ulicę, na której roilo się teraz od błyskających niebieskich świateł. Przed domem stało kilka policyjnych radiowozów.

Zjawili się też dziennikarze i lokalna telewizja.

— Sprawca nie doznał zaspokojenia — stwierdził Zucker.

— Wyciął macicę.

— To tylko symboliczna pamiątka. Nie chodziło mu o zdobycie fragmentu ciała kobiety.

Chciał doświadczyć najwyższej przyjemności: poczuć, jak ulatuje z niej życie. Tym razem mu przeszkodzono. Przestraszył się policji. Nie miał czasu się przyglądać, jak jego ofiara umiera. —

Zucker zamilkł na chwilę. — Wkrótce znów zaatakuje. Jest sfrustrowany i musi rozładować

napięcie. A to oznacza, że szuka następnej ofiary.

— Albo już ją znalazł — stwierdził Moore i pomyślał o Catherine Cordell.

Zaczynało świtać. Moore nie spał już prawie dobę, pracował na pełnych obrotach przez większość nocy i trzymał się na nogach tylko dzięki kawie. Patrząc na jaśniejące niebo, nie czuł jednak zmęczenia, lecz podniecenie. Istniał jakiś niezrozumiały dla niego związek między Catherine a Chirurgiem. Łączyła ją z tym potworem jakaś niewidzialna nić.

— Moore?

Odwróciwszy się do Rizzoli, zobaczył natychmiast jej podekscytowane spojrzenie.

— Dzwonili z wydziału kryminalnego — oznajmiła. - Nasza ofiara ma wyjątkowego pecha.

— Dlaczego?

— Dwa miesiące temu Nina Peyton została zgwałcona.

Moore był oszołomiony tą wiadomością. Pomyślał o pustych stronach w kalendarzu dziewczyny. Od ośmiu tygodni nie robiła żadnych notatek. Jej życie zawisło w próżni.

— Jest raport w aktach? — spytał Zucker.

— Nie tylko raport — odparła Rizzoli. — Pobrano próbki.

— Dwie ofiary gwałtu? — zdziwił się Zucker. — Czy to nie za proste?

— Myśli pan, że gwałciciel wraca i dokonuje zabójstw?

— To nie przypadek. Dziesięć procent seryjnych gwałcicieli kontaktuje się później ze swoimi ofiarami. Przedłużają w ten sposób ich udrękę. Mają obsesję na tym punkcie.

— Gwałt jako gra wstępna przed zabójstwem. — Rizzoli prychnęła pogardliwie. — Pięknie.

Moore'owi zaświtała nagle pewna myśl.

— Powiedziałaś, że pobrano próbki. Chodzi o wymaz pochwy?

— Tak. Badania DNA są w toku.

— Gdzie pobierano te próbki? Na pogotowiu? — Był niemal pewien, że usłyszy: W Pilgrim

Medical Center.

Rizzoli pokręciła głową.

— Zgłosiła się do kliniki dla kobiet w Forest Hills. To niedaleko stąd.

Na ścianie w poczekalni kliniki wisiał kolorowy plakat z żeńskimi narządami płciowymi i napisem: Kobieta — zadziwiające piękno. Choć Moore zgadzał się, że kobiece ciało jest cudowne, czuł się jak podglądacz, patrząc na ten rysunek. Zauważył, że obecne w poczekalni kobiety przyglądają mu się jak gazy, obserwujące przyczajonego drapieżnika. Był niepożądanym w tym miejscu samcem i fakt, że towarzyszyła mu Rizzoli, niczego nie zmienił. Poczł ulgę, gdy recepcjonistka oznajmiła w końcu:

— Mogą państwo wejść. Ostatni pokój po prawej.

Rizzoli poprowadziła go korytarzem, mijając wiszące na ścianie plakaty z napisami: 10 symptomów, że partner cię wykorzystuje, Skąd wiadomo, czy doszło do gwałtu? Z każdym krokiem czuł się coraz bardziej winny, że jest mężczyzną. Poczucie winy przywierało do niego jak błoto do ubrania. Rizzoli nie miała tych problemów. Była na swoim terenie. Na terytorium kobiet. Zapukała do drzwi z wywieszką: Sarah Daly, pielęgniarka.

— Proszę.

Kobieta, która wstała zza biurka, by ich powitać, była młoda i nosiła się młodzieżowo. Pod białym fartuchem miała dzinsy i czarny podkoszulek, a jej chłopięca fryzura podkreślała ciemne oczy, łobuzerskie spojrzenie i szlachetne rysy. Moore nie Potrafił odwrócić uwagi od niewielkiego złotego pierścienia, który miała w nosie. Przez większą część rozmowy odnosił wrażenie, że mówi do tego pierścienia.

— Po państwa telefonie przejrzałam jej kartę — oznajmiła Sarah. — Wiem, że policja sporządziła raport.

— Czytaliśmy go — powiedziała Rizzoli.

— A więc o co chodzi?

— Ninę Peyton napadnięto wczorajszej nocy w jej domu. Jest w krytycznym stanie.

Sarah Daly była najpierw zaszokowana, ale ta początkowa reakcja szybko przerodziła się w gniew. Moore widział, jak unosi się jej podbródek i błyszczą oczy.

— Czy to zrobił on?

— Kto?

— Człowiek, który ją zgwałcił.

— Rozważamy taką możliwość — przyznała Rizzoli. - Niestety, ofiara jest w stanie śpiączki i nie może nam nic powiedzieć.

— Proszę nie nazywać jej ofiarą. Ona ma imię!

Rizzoli też zadrżał podbródek i Moore wyczuł, że jest zirytowana. Nie był to dobry sposób na zaczynanie rozmowy.

— Pani Daly — zagaił — doszło do niewiarygodnie brutalnej zbrodni i musimy...

— Nic nie jest niewiarygodne, gdy mówimy o tym, co mężczyźni robią z kobietami — odparowała Sarah. Wzięła z biurka skoroszyt i podała mu go. — To karta Niny Peyton.

Gdy została zgwałcona, zgłosiła się rano do kliniki. Ja ją przyjmowałam.

— Czy pani ją również badała?

— Zajmowałam się wszystkim. Wywiadem, badaniem jamy miednicy, pobraniem wymazu z pochwy. Potwierdziłam pod mikroskopem obecność spermy. Przeczesałam jej włosy łonowe, zebrałam fragmenty paznokci i dałam tabletkę zabezpieczającą przed ciążą.

— Nie robiono jej innych testów na pogotowiu?

— Ofiara gwałtu, która się u nas zjawia, nie opuszcza tego budynku i jest cały czas pod opieką jednej osoby. Oszczędzamy jej widoku zmieniających się twarzy. Sama pobieram krew i wysyłam ją do laboratorium. I dzwonię na policję, jeśli ofiara sobie tego życzy.

Moore otworzył skoroszyt i zobaczył kartę informacyjną pacjentki. Były tam dane Niny Peyton: data urodzenia, adres, numer telefonu i miejsce pracy. Następną kartkę zapisano odręcznie drobnym maczkiem. Pierwsza notatka została opatrzona datą 17 maja.

Powód wizyty: gwałt.

Historia choroby: 29-letnia biała kobieta twierdzi, że została zgwałcona. Pijąc zeszłej nocy alkohol w Gramercy Pub, poczuła zawroty głowy i poszła do toalety. Niczego więcej nie pamięta.

— Obudziła się w domu, we własnym łóżku — ciągnęła Sarah. — Nie pamiętała, jak tam dotarła, jak się rozebrała i kiedy rozdarła sobie bluzkę. Była naga, a jej uda lepiły się od czegoś, co wyglądało na spermę. Miała podpuchnięte oko i siniaki na obu przegubach. Szybko zorientowała się, co zaszło.

I zareagowała tak samo jak inne ofiary gwałtów. Pomyślała: To moja wina. Powinnam być ostrożniejsza. Takie już są kobiety. — Spojrzała wymownie na Moore'a. — Obwiniamy się o wszystko, nawet wtedy, gdy mężczyźni nas rzną.

W obliczu takiej uszczypliwości Moore nic nie mógł odpowiedzieć. Spojrzał na kartę i czytał dalej.

Pacjentka wygląda niedbale, jest oszołomiona, mówi monotonnym głosem. Doszła do kliniki z domu na piechotę.

— Mówiła cały czas o kluczykach do samochodu — kontynuowała Sarah. — Była posiniaczona, jedno oko miała całkiem zapuchnięte, a interesowało ją tylko to, że zgubiła kluczyki i musi je znaleźć, bo inaczej nie dojedzie do pracy. Dopiero po dłuższej chwili nakłoniłam ją, by przestała to w kółko powtarzać. Porozmawiała ze mną. Tej kobiety nigdy w życiu nie spotkało nic złego. Była wykształcona, niezależna. Pracowała w dziale sprzedaży firmy Lawrence Scientific Supplies. Codziennie miała do czynienia z ludźmi. I nagle siedzi tu przede

mną jak sparaliżowana, owładnięta obsesją, by znaleźć te idiotyczne kluczyki do samochodu.

Otworzyłyśmy w końcu jej torebkę i przeszukałyśmy wszystkie kieszenie. Kluczyki tam były.

Dopiero wtedy zdołała się skoncentrować i opowiedzieć mi, co zaszło.

— I co powiedziała?

— Poszła do Gramercy Pub około dziewiątej wieczorem spotkać się z przyjaciółką. Czekała na nią bezskutecznie, piła martini i gawędziła z kilkoma facetami. Znam to miejsce. Jest tam zawsze tłoczno i kobieta może czuć się bezpiecznie. — Po chwili dodała z goryczą: — O ile w ogóle gdziekolwiek jest bezpiecznie.

— Czy pamiętała mężczyznę, który zabrał ją do domu? — spytała Rizzoli. — Tego przede wszystkim musimy się dowiedzieć.

Sarah spojrzała na nią.

— Interesuje was tylko przestępca, prawda? Dwaj policjanci z wydziału kryminalnego też wyłącznie o to pytali. Sprawca skupia na sobie całą uwagę.

Moore czuł, że Rizzoli zaraz eksploduje. Wtrącił więc szybko:

— Detektywi mówili, że nie potrafiła opisać tego mężczyzny.

— Byłam w gabinecie, kiedy składała zeznania. Poprosiła, żebym została, więc słyszałam całą historię dwa razy. Policjanci dopytywali się, jak wyglądał sprawca, a ona nie umiała nic powiedzieć. Naprawdę niczego nie pamiętała.

Moore spojrzał na kolejną stronę dokumentacji.

— Widziała ją pani ponownie w lipcu. Zaledwie tydzień temu.

— Wróciła zrobić powtórne badanie krwi. Dopiero po sześciu tygodniach od zakażenia test na HIV daje wynik pozytywny. To jest najbardziej okrutne. Najpierw zostajesz zgwałcona, a potem dowiadujesz się, że napastnik zaraził cię śmiertelną chorobą. Te kobiety przeżywają sześć tygodni udręki, czekając na wiadomość, czy mają AIDS; zastanawiając się, czy w ich krwi nie

mnożą się zabójcze wirusy. Kiedy przychodzą na powtórny test, muszą dodawać im otuchy. I przysięgać, że zadzwonię do nich natychmiast, gdy tylko dostanę wyniki.

— Nie robicie analiz tutaj?

— Nie. Wysyłamy próbki do laboratorium. Do Interpath Labs.

Moore odczytał na ostatniej stronie wyniki badań. Test na HIV: negatywny. Choroby weneryczne (syfilis): negatywny. Papier był cienki jak bibuła. Pomyślał, że najważniejsze informacje dotyczące naszego życia otrzymujemy często na takim papierze. Telegramy, oceny z egzaminów, wyniki badań...

Zamknął skoroszyt i odłożył go na stół.

— Jakie wrażenie sprawiała Nina Peyton, kiedy widziała ją pani po raz drugi, gdy przyszła powtórzyć badanie krwi?

— Chodzi panu o to, czy była nadal w szoku?

— Nie mam co do tego wątpliwości.

Jego spokojna odpowiedź rozbroiła Sarah. Złość uszła z niej jak powietrze z balonu. Opadła na krzesło, jakby z tego powodu utraciła nagle całą energię. Zastanawiała się przez chwilę nad pytaniem.

— Kiedy zobaczyłam Ninę ponownie, wyglądała jak żywy trup.

— To znaczy?

— Siedziała tam, gdzie siedzi teraz detektyw Rizzoli, i odniosłam wrażenie, że mogę przejrzeć ją na wskroś. Jakby była przezroczysta. Odkąd została zgwałcona, nie chodziła do pracy. Myślę, że ciężko jej było znosić obecność ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Paraliżowały ją różne dziwne fobie. Bała się pić wodę z kranu i z otwartych pojemników. Uznawała tylko zamknięte butelki i puszki, do których nikt nie mógł wsypać lrucizny ani narkotyku. Bała się, by patrzący na nią mężczyźni nie domyślili się, że została zgwałcona. Była przekonana, że

pozostawił spermę na jej pościeli i odzieży, prała je więc codziennie całymi godzinami. Dawna Nina Peyton umarła. Zamiast niej zobaczyłam ducha. — Sarah zamilkła. Siedziała nieruchomo, patrząc w kierunku Rizzoli i widząc na jej miejscu inną kobietę. Wiele kobiet o różnych twarzach. Całą procesję zranionych dusz.

— Czy wspominała, że ktoś ją prześladował? Że napastnik pojawił się ponownie?

— Gwałciciel nigdy nie znika z życia kobiety. Zawsze już do niego należy. — Sarah zamyśliła się i po chwili dodała z goryczą: — Może wrócił po swoją własność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wikingowie nie składali w ofierze dziewic, lecz nierządnic.

W roku pańskim 922 arabski dyplomata Ibn Fadlan był świadkiem takiego rytuału wśród ludzi, których nazywał Rusinami. Opisał ich jako wysokich, jasnowłosych, dobrze zbudowanych mężczyzn, którzy przybywali z północy, wzdłuż rosyjskich rzek, na południowe rynki Kazarii i Kalifatu, gdzie wymieniali bursztyn i skóry na jedwab i srebro z Bizancjum. Waśnie na tym szlaku handlowym, w miejscu o nazwie Bulgar, w zakolu Wołgi, zmarły wielki wiking był przygotowywany do ostatniej podróży do Walhalli.

Ibn Fadlan uczestniczył w jego pogrzebie.

Łódź zmarłego wyciągnięto na brzeg i umieszczono na słupach z brzozy. Na pokładzie wzniesiono namiot, w którym „stawiono łożo, pokryte greckim brokatem. Zwłoki, pochowane już od dziesięciu dni, wydobyto z ziemi.

Ku zaskoczeniu Ibn Fadlana, poczerniałe ciało wcale nie cuchnęło.

Świeżo wykopane zwłoki odziano w bogaty strój: nogawice, Pończochy, buty, tuniką i kaftan z brokatu z.e złotymi guzikami, Poczym ułożono je na materacu w namiocie i podparto poduszką, by zmarły zajmował pozycję, siedzącą. Wokół siebie miał chleb, mięso, cebulą, odurzający napój i pachnące słodko rośliny. Zabito psa, dwa konie, koguta i kurą, umieszczając je również

wewnątrz namiotu, aby zaspokajały jego potrzeby w Walhalli.

Na końcu przyprowadzono niewolnicą.

Przez dziesięć dni, gdy zmarły leżał pogrzebany w ziemi, dziewczyna oddawała się prostytucji. Oszłamiona alkoholem, była ciągnięta od namiotu do namiotu, by służyć wszystkim mężczyznom w obozie. Leżała z rozłożonymi nogami pod spoconymi, chrząkającymi samcami.

Jej ciało było naczyniem, do którego spływało nasienie wszystkich współplemieńców. W ten sposób została splugawiona, zhańbiona i przygotowana na ofiarę.

Dziesiątego dnia sprowadzono ją w towarzystwie starej kobiety, którą nazywano Aniołem Śmierci. Dziewczyna zdjęła bransoletki i pierścionki. Wypiła dużą ilość odurzającego napoju, po czym weszła do namiotu, w którym znajdował się zmarły.

Tam, na okrytym brokatem materacu, znów ją zbezczeszczono. Sześciu mężczyzn raczyło się nią jak kawałkiem mięsa. Kiedy skończyli, gdy nasycili głód, dziewczyną położono u boku zmarłego. Dwaj mężczyźni trzymali jej stopy, dwaj ręce, a Anioł Śmierci zawiązał jej sznur wokół szyi. Gdy mężczyźni naciągnęli sznur, Anioł uniósł sztylet o szerokim ostrzu i wbił go w pierś dziewczyny.

Metalowe ostrze uderzało jeszcze wiele razy. Krew tryskała jak nasienie z prącia pomrukującego mężczyzny. Sztylet odtwarzał wcześniejszy akt gwałtu, wnikając w miękkie ciało.

Ostatnie pchnięcia brutalnej rui niosły ekstazę śmierci.

— Potrzebowała transfuzji krwi i świeżej plazmy — oznajmiła Catherine. — Ciśnienie ma stabilne, ale nadal jest nieprzytomna i pod respiratorem. Musi pan być cierpliwy i mieć nadzieję, że się ocknie.

Catherine i detektyw Darren Crowe stali obok izolatki Niny Peyton na oddziale intensywnej terapii i przyglądali się trzem przesuwającym się liniom na monitorze aparatury, rejestrującej

pracę; serca. Crowe czekał przy drzwiach stacji pogotowia, kiedy przywieziono pacjentkę, był cały czas w pobliżu, gdy znalazła się na sali operacyjnej, a później w izolatce. Nie chodziło tylko o zapewnienie jej ochrony. Chciał wydobyć z dziewczyny zeznania i od kilku godzin dawał się wszystkim we znaki, żądając co chwila raportów na temat stanu jej zdrowia i kręcąc się po korytarzu.

Teraz powtórzył raz jeszcze pytanie, które zadawał całe rano:

— Czy ona przeżyje?

— Mogę tylko powiedzieć, że jej stan jest stabilny.

— Kiedy będę mógł z nią porozmawiać?

Catherine westchnęła.

— Pan chyba nie rozumie, że ta dziewczyna była bliska śmierci. Zanim tu dotarła, straciła ponad jedną trzecią krwi. Jej mózg mógł być pozbawiony tlenu. Kiedy odzyska przytomność — jeśli w ogóle to nastąpi — może niczego nie pamiętać.

Crowe spojrział przez szybę w głąb izolatki.

— A więc jest dla nas bezużyteczna.

Catherine patrzyła na niego z coraz większą niechęcią. Ani razu nie okazał troski o Ninę Peyton. Była dla niego tylko świadkiem, kimś, kogo można wykorzystać. Przez cały ranek nie wymienił jej imienia. Nazywał ją ciągle ofiarą albo świadkiem. Zaglądając do izolatki, nie widział kobiety, lecz środek do realizacji swoich celów.

— Kiedy zostanie zabrana z oddziału intensywnej terapii? — spytał.

— Za wcześnie o tym mówić.

— Można by ją przenieść do oddzielnego pomieszczenia? Gdyby zamknąć tam drzwi i ograniczyć dostęp personelu, nikt nie musiałby wiedzieć, że nie może zeznawać.

Catherine wiedziała dokładnie, do czego Crowe zmierza.

— Nie pozwolę wykorzystywać pacjentki jako przynęty. Musi tu pozostać na całodobowej obserwacji. Widzi pan te linie na monitorze? To EKG, ciśnienie żyłne i tętnicze. Muszę kontrolować na bieżąco jej stan. Można to robić tylko tutaj.

— Zastanawiała się pani, ile kobiet moglibyśmy ocalić, gdybyśmy go teraz zatrzymali? Chyba pani wie najlepiej, doktor Cordell, przez co przeszły jego ofiary.

Catherine ogarnęła wściekłość. Trafił w jej najczulszy punkt. Koszmar, który przeżyła z powodu Andrew Capry, był czymś tak intymnym i osobistym, że nie potrafiła o tym rozmawiać nawet z własnym ojcem. Detektyw Crowe otworzył na nowo jej ranę.

— Być może tylko dzięki niej zdołamy go złapać — stwierdził.

— Nic lepszego nie przychodzi panu do głowy? Chce pan wykorzystać na przynętę kobietę w stanie śpiączki? Narazić na niebezpieczeństwo innych pacjentów szpitala, zachęcając zabójcę, by się tu zjawił?

— A nie pomyślała pani, że on może już tu być? — zapytał Crowe, oddalając się.

„On może już tu być”. Catherine rozejrzała się mimo woli. Zobaczyła pielęgniarki krzątające się między pacjentami, grupę chirurgów, zgromadzoną przy monitorach, laborantkę niosącą tacę z probówkami na krew i strzykawkami. Ile osób kręciło się codziennie po szpitalu? Ile z nich naprawdę знаła? Nikogo. Tego nauczył ją Andrew Capra: nigdy do końca nie wiadomo, co człowiek kryje w sercu.

— Doktor Cordell! Telefon do pani! — oznajmiła oddziałowa.

Catherine przeszła do dyżurki pielęgniarek i podniosła słuchawkę. Dzwonił Moore.

— Podobno ją pani z tego wyciągnęła.

— Tak, jeszcze żyje — odparła bezceremonialnie Catherine. — Nie jest w stanie zeznawać.

W słuchawce zaległa cisza.

— Chyba dzwonię w nieodpowiednim momencie.

Catherine opadła na krzesło.

— Przepraszam. Rozmawiałam właśnie z detektywem Crowe’em i nie jestem w najlepszym nastroju.

— Zdaje się, że on działa w ten sposób na kobiety.

Oboje zaśmiali się gorzko, rozładowując napiętą atmosferę.

— Jak pani sobie radzi, Catherine?

— Mieliśmy parę trudnych chwil, ale myślę, że jej stan jest stabilny.

— Chodzi mi o panią. Dobrze się pani czuje?

Nie było to tylko grzecznościowe pytanie. Słyszała w jego głosie autentyczną troskę i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zrobiło jej się miło, że ktoś o niej pamięta. Poczowała, że się czerwieni.

— Proszę nie wracać do domu, dopóki nie zostaną zmienione zamki.

— To doprowadza mnie do szału. Odebrał mi jedyne miejsce, w którym czułam się bezpieczna.

— Zabezpieczymy na nowo drzwi. Sprowadzę ślusarza.

— W sobotę? Jest pan cudotwórcą!

— Po prostu mam znajomości.

Oparła się o krzesło, czując ustępujące napięcie. Na oddziale intensywnej terapii wrzało jak w ulu, a ona koncentrowała całkowicie uwagę na człowieku, którego głos działał na nią w tym momencie tak kojąco.

— A co u pana? — zapytała.

— Obawiam się, że dopiero zaczynam dzień. — Przerwał na chwilę, wyjaśniając komuś, który dowód rzeczowy ma zapakować. W tle słyszała także inne głosy. Wyobraziła go sobie w sypialni Niny Peyton, w otoczeniu koszmarnych dowodów zbrodni. Był jednak spokojny i

opanowany. — Zadzwoń pani do mnie, gdy ona odzyska przytomność? — zapytał.

— Detektyw Crowe czai się tutaj jak sęp. Jestem pewna, że będzie to wiedział wcześniej niż ja.

— Sądzi pani, że ona się ocknie?

— Szczerze? — spytała Catherine. — Nie mam pojęcia.

Powtarzam to panu Crowe, ale też nie przyjmuje tego do wiadomości.

— Doktor Cordell? — Pielęgniarka Niny Peyton wzywała Catherine z izolatki. Ton jej głosu brzmiał niepokojąco.

— O co chodzi?

— Musi pani przyjść.

— Czy coś się stało? — zapytał przez telefon Moore.

— Proszę zaczekać. Zaraz sprawdzę. — Odłożyła na bok słuchawkę i poszła do izolatki.

— Myłam ją ściereczką — oznajmiła pielęgniarka. — Przywieźli ją z pogotowia całą zakrwawioną. Gdy obróciłam ją na bok, zobaczyłam, co ma z tyłu na lewym udzie.

— Niech mi pani pokaże.

Pielęgniarka chwyciła pacjentkę za ramię i biodro i odwróciła na bok.

— O, tutaj — powiedziała cicho.

Strach przykuł Catherine do ziemi. Wpatrywała się w słowa, wypisane czarnym flamastrem na skórze Niny Peyton.

NAJLEPSZE ŻYCZENIA URODZINOWE! PODOBA CI SIĘ MÓJ PREZENT?

Moore zastał Catherine w szpitalnej kafejce. Siedziała przy stoliku w rogu, plecami do ściany, jak osoba, która wie, że grozi jej niebezpieczeństwo, i chce widzieć zbliżającego się napastnika. Miała na sobie nadal chirurgiczny fartuch, a związane w koński ogon włosy uwydatniały jej uderzająco ostre rysy, twarz pozbawioną makijażu i lśniące oczy. Musiała być

równie wykończona jak on, ale strach wzmógł jej czujność i wyglądała jak dziki kot, obserwując każdy jego ruch, gdy podchodził do stolika. Zobaczył przed nią opróżnioną do połowy filiżankę kawy. Zastanawiał się, ile ich już wcześniej wypila-Zauważył, że drży jej ręka. Nie była to dłoń opanowanego chirurga, lecz przerażonej kobiety.

Usiadł naprzeciwko.

— Pod pani domem będzie stał przez całą noc policyjny radiowóz. Dostała pani nowe klucze?

Skinęła głową.

— Ślusarz mi je podrzucił. Powiedział, że zamki są nie do sforsowania.

— Wszystko będzie dobrze, Catherine.

Spojrzała na filiżankę kawy.

— Ta wiadomość była przeznaczona dla mnie.

— Nie wiadomo.

— Wczoraj miałam urodziny. On o tym wiedział. Wiedział też, że będę na dyżurze.

— Zakładając, że on to napisał.

— Pieprzenie. Dobrze pan wie, że to on.

Moore skinął w milczeniu głową.

Siedzieli przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Było już późne popołudnie i większości stolików nikt nie zajmował. Za ladą obsługa kafejki uprzątała naczynia. W górę unosiły się smużki pary. Samotna kasjerka rozpieczętowała nowy rulon monet, wsypując je do szuflady kasy.

— Co znaleźliście w moim gabinecie? — spytała Catherine.

— Nie zostawił odcisków palców.

— Więc nic na niego nie macie.

— Nic — przyznał Moore.

— Pojawia się w moim życiu jak duch. Nikt go nie widzi. Nikt nie wie, jak wygląda.

Mogłabym wstawić kraty w oknach, a i tak bałabym się zasnąć.

— Nie musi pani wracać do domu. Zawiozę panią do hotelu.

— Nie zdołam się ukryć. On będzie wiedział, gdzie jestem.

Z jakiegoś powodu wybrał właśnie mnie. Dał mi do zrozumienia, że jestem następną.

— Nie sądzę. To byłoby z jego strony niewiarygodnie głupie posunięcie, gdyby ostrzegął kolejną ofiarę. Chirurg nie jest idiotą.

— Ale dlaczego kontaktował się ze mną? Dlaczego adresuje do mnie... — Urwała.

— Może rzuca wyzwanie policji.

— Łajdak powinien więc napisać do was! — Jej głos zabrzmiał tak donośnie, że pielęgniarka, nalewająca sobie kawę, odwróciła głowę.

Catherine zaczerwieniła się i wstała od stolika. Była zażenowana, że dała się ponieść nerwom. Moore chciał wziąć ją za rękę, ale pomyślał, że się odsunie, uznając to za protekcyjny gest. Wolał nie ryzykować takiej reakcji. Szanował ją bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę.

Siedząc w jego samochodzie, powiedziała cicho:

— Poniosło mnie trochę. Przepraszam.

— Zważywszy na okoliczności, trudno się dziwić.

— Panu by się to nie zdarzyło.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Ja, oczywiście, zawsze zachowuję zimną krew.

— Tak, zauważyłam.

Co właściwie miała na myśli? — zastanawiał się, jadąc do Back Bay. Czyżby uważała, że

jest odporny na burze, które rozpuszczają się w ludzkim sercu? Odkąd to trzeźwość ocen oznaczała brak uczuć? Wiedział, że koledzy z wydziału zabójstw nazywają go świętym Tomaszem.

Zwracali się do niego, gdy trzeba było załagodzić jakąś wybuchową sytuację. Nie znali drugiego oblicza Thomasa Moore'a, człowieka, który stawał nocą przed szafą z rzeczami żony, wdychając ich coraz bardziej ulotny zapach. Dostrzegali tylko maskę, którą pozwalał im widzieć.

— Łatwo panu spokojnie o tym mówić — stwierdziła z wyrzutem Catherine. — On nie ma obsesji na pańskim punkcie.

— Podejdźmy do tego racjonalnie...

— Do sprawy mojej śmierci? Ależ oczywiście!

— Chirurg działa według pewnego schematu, który mu odpowiada. Atakuje nocą, nie w ciągu dnia. W głębi duszy jest tchórzem, niezdolnym do stawienia czoła kobiecie na zasadach równości. Szuka łatwej zdobyczy. Kogoś, kto śpi i nie stawia oporu.

— A więc nie powinnam zasypiać? To proste rozwiązanie.

— Chcę powiedzieć, że unika atakowania kogokolwiek przy dziennym świetle, gdy ofiara może się bronić. Dopiero po zmroku wszystko się zmienia.

Zatrzymał samochód przed jej domem. Budynkowi brakowało uroku starych ceglanych kamienic przy Commonwealth Avenue, ale dysponował za to zamykanym i jasno oświetlonym podziemnym garażem. Aby otworzyć frontowe drzwi, należało mieć klucz i wystukać odpowiedni kod.

Weszli do holu, ozdobionego lustrami i lśniącymi marmurami. Był elegancki, ale zimny i odpychający. Poruszająca się bezszelestnie winda zawiozła ich błyskawicznie na pierwsze piętro.

Dotarłszy do drzwi mieszkania, Catherine zawahała się, ściskając w dłoni nowy klucz.

— Mogę wejść pierwszy i rozejrzeć się, jeśli poprawi to pani samopoczucie — stwierdził Moore.

Miał wrażenie, że odebrała tę propozycję jako osobistą zniewagę. W odpowiedzi włożyła energicznie klucz do zamka, otworzyła drzwi i weszła do środka, jakby musiała sobie udowodnić, że Chirurg jej nie pokonał. Że panuje nadal nad własnym życiem.

— Może zajrzemy po kolei do pokoi, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku — zaproponował Moore.

Skinęła głową.

Weszli razem do salonu i kuchni, a potem do sypialni. Catherine wiedziała, że Chirurg zabierał zawsze coś na pamiątkę z mieszkań innych kobiet, przejrzała więc skrupulatnie szkatułkę z biżuterią i szuflady toaletki, szukając śladu obecności intruza. Moore stał w drzwiach, przyglądając się, jak przerzuca bluzki, swetry i bieliznę. Nagle naszło go bolesne wspomnienie garderoby innej kobiety, złożonej w walizce i nie tak eleganckiej. Przypomniał sobie szary sweter, spłowiałą różową bluzkę i bawełnianą nocną koszulę w chabry. Wszystko tanie i niemodne. Dlaczego nigdy nie kupował Mary ekstrawaganckich rzeczy!

Na co właściwie oszczędzali? Wydali w końcu odłożone pieniądze na lekarzy, terapeutów i rachunki z hospicjum.

Przeszedł z sypialni do salonu i usiadł na kanapie. Wpadające przez okno promienie popołudniowego słońca raziły go w oczy. Przetarł je i ukrył twarz w dłoniach z poczuciem winy, że przez cały dzień nie myślał o Mary. Wstydził się z tego powodu. Poczł jeszcze większy wstyd, gdy uniósł głowę i zobaczywszy Catherine, natychmiast zapomniał o zmarłej żonie. Pomyślał, że nie spotkał nigdy równie pięknej kobiety.

I równie odważnej.

— Niczego nie brakuje — oznajmiła. — Przynajmniej tak mi się wydaje.

— Na pewno chce pani tutaj zostać? Chętnie zawiozę panią do hotelu.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Żłociste promienie zachodzącego słońca oświetliły

jej profil.

— Od dwóch lat żyję w strachu. Zamykam się przed światem, sprawdzam ciągle, czy ktoś nie stoi za drzwiami albo w szafie. Mam już tego dość. — Spojrzała na niego. — Chcę wrócić do normalnego życia. Tym razem nie pozwolę mu wygrać.

Powiedziała „tym razem”, jakby chodziło o bitwę w długotrwałej wojnie. Jakby Chirurg i Andrew Capra stali się jedną osobą, którą udało jej się poskromić przed dwoma laty, ale nie pokonać naprawdę. Capra i Chirurg. Dwie głowy tej samej hydry.

— Powiedział pan, że pod domem będzie stał w nocy radiowóz?

— Tak.

— Może mi pan to zagwarantować?

— Oczywiście.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, zdobywając się na uśmiech, który był aktem odwagi.

— A więc nie mam się czym przejmować, prawda?

Poczucie winy sprawiło, że pojechał tego wieczoru do Newton, zamiast wrócić prosto do domu. Był poruszony tym, jakie wrażenie zrobiła na nim Catherine Cordell i jak całkowicie zawładnęła jego myślami. Przez półtora roku od śmierci Mary żył jak mnich, nie interesując się w ogóle kobietami, ogarnięty żałobą. Nie wiedział, jak poradzić sobie z tą nową iskrą namiętności. Wiedział jedynie, że — zważywszy na sytuację — postępuje niewłaściwie. Jest niełojalny wobec kobiety, którą kochał.

Pojechał więc do Newton, by wszystko naprawić. Żeby uspokoić sumienie.

Wszedł na dziedziniec z bukietem stokrotek w rękę, zamykając za sobą żelazną furtkę.

Pomyślał, że niesie drewno do lasu, rozglądając się po ogrodzie, który zasnuwały już wieczorne cienie. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżał, na niewielkiej działce rosło coraz więcej kwiatów. Winorośl i róże pięły się również po ścianie domu, więc ogród zdawał się sięgać aż do nieba.

Czuł się niemal zażenowany, że przynosi skromne stokrotki. Były to jednak ulubione kwiaty Mary i miał zwyczaj zawsze je dla niej kupować. Kochała ich radosną prostotę, ich białe płatki wokół żółtych słoneczek, ich zapach — nie słodki i intensywny, jak w przypadku innych kwiatów, lecz ostry. Z charakterem. Lubiła je za to, że zakwitają w szczerym polu i przy drogach, udowadniając, że prawdziwe piękno jest spontaniczne i nieujarzmione.

Jak sama Mary.

Nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko i zobaczył uśmiechniętą twarz kobiety, tak podobnej do Mary, że poczuł bolesny skurcz. Rosę Connelly miała niebieskie oczy i okrągłe policzki swojej córki i pomimo jej siwych włosów i zmarszczek nie można było żywić wątpliwości, że jest matką Mary.

— Co za miła niespodzianka, Thomas! — powiedziała. - Dawno cię nie widziałam.

— Przepraszam, Rosę. Brak mi ostatnio czasu. Nieraz nie wiem, jaki jest dzień tygodnia.

— Słyszałam w telewizji o tych zabójstwach. Co za koszmar!

Wszedł do domu i wręczył jej stokrotki.

— Co prawda, masz już chyba dość kwiatów... — stwierdził z przekąsem.

— Nigdy nie jest ich za dużo. Wiesz, jak kocham stokrotki.

Napijesz się mrożonej herbaty?

— Chętnie, dziękuję.

Usiedli w salonie, popijając herbatę. Była słodka i aromatyczna, taka, jaką pito w Karolinie Południowej, skąd Rosę pochodziła. Nie smakowała zupełnie jak gorzki napój z Nowej Anglii, który Moore znał z dzieciństwa. Pokój także był słodki i beznadziejnie staroświecki jak na bostońskie standardy, przeładowany perkalem i ozdóbkami. Ale jakże przypominał mu Mary! Była tam wszechobecna. Na ścianach wisały jej zdjęcia, a półki zdobiły trofea z zawodów pływackich. W salonie stał fortepian, na którym grała jako dziecko. Duch tego dziecka był nadal

obecny w domu, w którym się wychowała. Rosę, strażniczką płomienia, była tak podobna do swej córki, że Moore odnosił czasem wrażenie, jakby to Mary patrzyła na niego swymi niebieskimi oczami.

— Wyglądasz na zmęczonego — stwierdziła.

— Czyżby?

— Nie miałeś urlopu, prawda?

— Odwołali mnie. Byłem już w samochodzie. Wybierałem się do Maine, z wędkami w bagażniku. Kupiłem nowy sprzęt. - Westchnął ciężko. — Brakuje mi jeziora. To jedyne, za czym tęsknię przez cały rok.

Mary dzieliła jego tęsknoty. Spojrzał na trofea na półce. Była dzielną syrenką, która chętnie spędziłaby życie w wodzie, gdyby urodziła się ze skrzelami. Pamiętał, z jaką łatwością przepłynęła kiedyś w poprzek jezioro. I jak w hospicjum jej silne ramiona przypominały uschnięte gałązki.

— Kiedy wyjaśnicie tę sprawę, możesz jeszcze pojechać nad jezioro — stwierdziła Rosę.

— Nie wiem, czy potrafimy.

— Skąd ten pesymizm? To do ciebie niepodobne.

— Mamy do czynienia z nietypowym przestępstwem. Rosę. Popołnionym przez człowieka, którego nie jestem w stanie zrozumieć.

— Zawsze ci się udawało.

— Zawsze? — Pokręcił głową z uśmiechem. — Przeceniasz mnie.

— To słowa Mary. Lubiła się tobą przechwalać i powtarzała: „On złapie w końcu, kogo trzeba”. Ale jakim kosztem? — pomyślał, przestając się uśmiechać. Przypomniawszy sobie noce spędzone poza domem w miejscach zbrodni, stracone kolacje, weekendy, podczas których absorbowowała go tylko praca. A Mary cierpliwie na niego czekała. Gdybym mógł przeżyć na nowo

choćby jeden dzień, spędziłbym z tobą każdą chwilę, obejmując cię w łóżku i szepcząc ci do ucha czułe słówka pod ciepłą pościelą, pomyślał. Bóg jednak nie daje nam powtórnych szans.

— Była taka z ciebie dumna — powiedziała Rosę.

— A ja z niej.

— Spędziliście razem dwadzieścia pięknych lat. Mało kto otrzymał od losu tyle szczęścia.

— Jestem zachłanny, Rosę. Chciałem więcej.

— I wściekasz się, że los cię tego pozbawił.

— Właśnie. Jestem zły, że to akurat ona musiała mieć tętniaka. Że nie mogli jej uratować.

Szlag mnie trafia, że... - Urwał, biorąc głęboki oddech. — Przepraszam. Źle to znoszę. Wszystko jest teraz takie trudne.

— Dla nas obojga — powiedziała cicho.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Oczywiście, że wdowie, która straciła jedyną córkę, musiało być nawet ciężiej niż jemu. Zastanawiał się, czyby mu wybaczyła, gdyby powtórnie się ożenił.

Czy uznałaby, że dopuścił się zdrady? Że złożył głęboko do grobu pamięć o Mary?

Stwierdziwszy nagle, że nie wytrzyma jej spojrzenia, od-Wrócił głowę z poczuciem winy.

Podobnie czuł się tego popołudnia, gdy widok Catherine Cordell nieomylnie wzbudził w nim pożądanie.

Odstawił pustą filiżankę i wstał.

— Powinienem już iść.

— Wracasz do pracy?

— Nie odpocznę, dopóki go nie złapiemy.

Odprowadziła go do wyjścia i stała w progu, gdy podążał przez ogródek do frontowej furtki.

Odwróciwszy się, powiedział:

— Zamknij dokładnie drzwi, Rosę.

— Och, zawsze mi to powtarzasz.

— Nie bez powodu. — Szczególnie dziś, pomyślał, machając jej ręką na pożegnanie.

„Bywamy w miejscach, które znamy, a znamy miejsca, w których bywamy”.

Zdanie to powracało do Jane Rizzoli jak irytująca dziecięca wyliczanka, gdy przyglądała się mapie Bostonu, umieszczonej na dużej korkowej tablicy w jej mieszkaniu. Powiesiła ją tam dzień po znalezieniu zwłok Eleny Ortiz. W miarę postępów śledztwa wbijała w mapę coraz więcej kolorowych szpilek. Trzy różne kolory symbolizowały trzy kobiety: biały — Elenę Ortiz, niebieski — Dianę Sterling, a zielony — Ninę Peyton. Szpilki określały rejon, w którym poruszała się dana osoba: jej miejsce zamieszkania i pracy, usytuowanie domów krewnych i przyjaciół, przychodni, którą odwiedzała — krótko mówiąc, naturalne środowisko ofiary. W którymś momencie w trakcie swych codziennych zajęć każda z tych kobiet zetknęła się z Chirurgiem.

„Bywamy w miejscach, które znamy, a znamy miejsca, w których bywamy”.

Gdzie bywał Chirurg? — zastanawiała się. Co stanowiło jego świat?

Jadła na kolację kanapki z tuńczykiem i chipsy, popijając je piwem, i przyglądała się mapie.

Powiesiła ją obok stołu i co rano, gdy piła kawę, a także co wieczór przy kolacji — o ile dotarła na czas do domu — przyciągały jej wzrok kolorowe szpilki. Podczas gdy inne kobiety wieszały na ścianach obrazy z kwiatami, piękne pejzaże lub plakaty filmowe, ona wpatrywała się w mapę śmierci, śledząc ruchy ofiar zbrodni.

Oto, do czego sprowadzało się jej życie: do jedzenia, snu i pracy. Zajmowała to mieszkanie już od trzech lat, ale ściany były niemal gołe. Nie miała kwiatów (kto by je podlewał?), ozdóbek ani nawet zasłon. Tylko żaluzje w oknach. Jej dom, podobnie jak całe życie, był podporządkowany pracy. Kochała ją i dla niej żyła. Zapragnęła zostać policjantką w wieku dwunastu lat, gdy podczas lekcji o wyborze zawodu odwiedziła ich szkołę pani detektyw.

Najpierw wystąpili pielęgniarzka i prawnik, potem piekarz i inżynier. Uczniowie zachowywali się coraz głośniejsze, strzelając z gumek i rzucając papierowe kulki. Kiedy stanęła przed nimi policjantka z kaburą u boku, w klasie zrobiło się nagle cicho.

Rizzoli zapamiętała to na zawsze. Nigdy nie zapomniała, z jakim podziwem nawet chłopcy patrzyli na tę kobietę.

Teraz sama jest policjantką i choć budzi respekt u dwunastolatków, z dorosłymi mężczyznami nie idzie jej tak łatwo.

Przyjęła strategię: bądź najlepsza! Pracuj więcej niż oni, osiągaj spektakularne sukcesy.

Pracowała więc nawet podczas kolacji. Myślała o zabójstwach przy kanapkach z tuńczykiem.

Pociągnęła łyk piwa i oparła się o krzesło, patrząc wciąż na mapę. Cierpła jej skóra na widok tej geografii śmierci, miejsc, w których żyły i przebywały ofiary zbrodni. Na zebraniu poprzedniego

dnia doktor Zucker — specjalista od psychologii kryminalnej — rzucał fachowymi terminami:

punkt zaczepienia, przestrzeń życiowa, warunki środowiska. Cóż, nie potrzebowała jego

wymyślnej terminologii ani programów komputerowych, by wiedzieć, na co patrzy i jak

interpretować to, co widzi. Wpatrując się w mapę, wyobrażała sobie pełną zwierzyny sawannę.

Kolorowe szpilki oznaczały tereny bytowania trzech Pechowych gazel. Diana Sterling obracała

się głównie na północy, w rejonie Back Bay i Beacon Hill, Elena Ortiz w okolicach South End, a

Nina Peyton na południowym zachodzie, w położonej na przedmieściach dzielnicy Jamaica

Plain. Trzy odrębne środowiska, nie mające punktów stykowych.

A gdzie ty bytujesz?

Próbowała spojrzeć na miasto oczami Chirurga. Widziała kaniony wieżowców, zielone parki,

przypominające rozległe pastwiska, ścieżki, którymi podążały stada ogłupiałych zwierząt,

nieświadomych, że obserwuje je myśliwy. Podróżujący drapieżnik, który zabijał, nieograniczony

czasem i przestrzenią.

Nagle zadzwonił telefon. Drgnęła raptownie, przewracając butelkę z piwem. Cholera!

Chwyciła rolkę papierowych ręczników i przyłożyła je do mokrego stołu, mówiąc do aparatu:

— Słucham, Rizzoli.

— Cześć, Janie!

— O, cześć, mammo.

— Nie oddzwoniłaś do mnie.

— Hm?

— Rozmawialiśmy parę dni temu. Obiecałaś zadzwonić.

— Wyleciało mi to z głowy. Haruję jak wół.

— Frankie przyjeżdża do domu w przyszłym tygodniu. Cieszysz się?

— Tak. — Rizzoli westchnęła. — Bardzo.

— Widujesz się z bratem raz do roku. Mogłabyś okazać większą radość.

— Mammo, jestem zmęczona. Zajmujemy się bez przerwy sprawą Chirurga.

— Policja jeszcze go nie złapała?

— Ja pracuję w policji.

— Wiesz, co mam na myśli.

Tak, dobrze wiedziała. Mama wyobrażała sobie zapewne, że jej mała Janie odpowiada tylko na telefony i robi kawę wszystkim tym ważnym panom detektywom.

— Przyjdź na kolację, dobrze? — powiedziała matka, unikając rozmowy na temat pracy córki. — W przyszły piątek.

— Nie obiecuję. To zależy od przebiegu śledztwa.

— Och, możesz poświęcić się dla brata.

— Jeśli zrobi się gorąco, będę musiała przyjechać innego dnia.

— To niemożliwe. Mikę umówił się już z nami na piątek.

Oczywiście. Dostosujmy się do drogiego Michaela.

— Janie?

— Dobrze, mamó. Niech będzie w piątek.

Skończyła rozmowę, czując znajomy ucisk w żołądku z powodu tłumionej złości. Boże, jakim cudem zdołała przeżyć dzieciństwo?

Sięgnęła po piwo i łyknąwszy kilka kropli, które zostały w butelce, spojrzała znowu na mapę.

W tym momencie pragnęła schwytać Chirurga bardziej niż kiedykolwiek. Skoncentrowała na nim cały gniew wiecznie ignorowanej siostry i lekceważonej dziewczyny.

Kim jesteś? Gdzie cię szukać?

Znieruchomiała na chwilę, głęboko zamyślona, po czym wzięła do ręki pudełko ze szpilkami i wybrawszy nowy kolor — czerwony — oznaczyła dwa miejsca: Commonwealth Avenue i Pilgrim Medical Center w dzielnicy South End.

Było to środowisko Catherine Cordell, zazębiające się z obszarami życia Diany Sterling i Eleny Ortiz. Cordell stanowiła wspólny mianownik. Poruszała się w świecie obu ofiar.

A życie trzeciej z nich, Niny Peyton, spoczywa teraz w jej rękach, powiedziała sobie w duchu Jane.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nawet w poniedziałkowe popołudnie w Gramercy Pub roiło się od klienteli. Była siódma wieczorem i młodzi ludzie, którzy wyszli na miasto, żeby się zabawić, odwiedzali swój ulubiony lokal.

Rizzoli siedziała przy stoliku blisko wejścia, czując podmuch gorącego powietrza z ulicy za każdym razem, gdy drzwi otwierały się szeroko przed kolejnym sklonowanym yuppie albo biurową Barbie, chwiejącą się na dziesięciocentymetrowych obcasach. Ona sama, ubrana w zwykłą garsonkę i buty na płaskiej podeszwie, czuła się jak przyzwoitka z pensji. Zobaczyła dwie

wchodzące kobiety, zwinne jak kocice, za którymi unosił się zapach perfum. Rizzoli nigdy ich nie używała. Miała jedną szminkę, ukrytą gdzieś w głębi szafki w łazience, wyschnięty tusz do rzęs i buteleczkę podkładu Dewy Satin. Kupiła te kosmetyki pięć lat temu w domu towarowym, łudząc się, że dzięki odpowiedniemu makijażowi nawet ona może wyglądać jak Elizabeth Hurley, dziewczyna z okładki. Ekspedientka ze stoiska kosmetycznego smarowała ją kremem, pudrowała, masowała i malowała, a gdy skończyła, podała jej triumfalnym gestem lusterko, pytając z uśmiechem: „I co pani sądzi o swoim nowym wizerunku?”.

Zobaczywszy się w lustrze, Rizzoli znenawidziła Elizabeth Hurley za to, że daje kobietom złudną nadzieję. Brutalna prawda była taka, że niektóre kobiety nigdy nie będą piękne i Rizzoli do nich należała.

Siedziała więc niezauważona, sącząc bezalkoholowe piwo i przyglądając się, jak pub wypełnia się stopniowo hałaśliwym tłumem. Słyszała brzęk szkła i kostek lodu i nieco za głośny, wymuszony śmiech.

Wstała od stolika, przecisnęła się do baru i pokazawszy barmanowi odznakę, powiedziała:

— Mam kilka pytań.

Rzucił tylko okiem na jej plakietkę, kasując należność za drinka.

— W porządku. O co chodzi?

— Widział pan tutaj tę kobietę? — Położyła na ladzie zdjęcie Niny Peyton.

— Tak. I nie pani pierwsza o nią pyta. Była już tu z miesiąc temu jakaś inna policjantka.

— Z wydziału kryminalnego?

— Chyba tak. Chciała wiedzieć, czy ktoś próbował tę dziewczynę poderwać.

— I co pan jej powiedział?

Barman wzruszył ramionami.

— Tu wszyscy po to przychodzą. Nie kontroluję sytuacji.

— Ale pamięta pan tę kobietę? Nazywa się Nina Peyton.

— Widziałem ją kilka razy, zwykle w towarzystwie koleżanki. Nie znam jej nazwiska. Od dawna się nie pojawiła.

— A wie pan dlaczego?

— Nie. — Sięgnął po ścierkę i zaczął wycierać ladę, przestając zwracać na nią uwagę.

— Więc panu powiem — oznajmiła Rizzoli, podnosząc Stos. — Ponieważ jakiś dupek postanowił się zabawić. Przyszedł tu szukać ofiary. Rozejrzał się, zobaczył Ninę Peyton i pomyślał:

Niezły kociak! Nie dostrzegł w niej z pewnością ludzkiej istoty, tylko przedmiot, który można wykorzystać i wyrzucić.

— Nie musi mi pani tego mówić.

— Owszem. A pan powinien posłuchać, bo zdarzyło się to pod pańskim nosem, lecz pan wolał niczego nie zauważyć. Jakiś dupek wsypuje Ninie Peyton do kieliszka narkotyk.

Dziewczyna wkrótce dostaje mdłości i idzie chwiejnym krokiem do toalety. Dupek bierze ją pod rękę i wyprowadza na zewnątrz. Nic takiego pan nie widział?

— Nie — odparował barman. — Nie widziałem.

W pubie zaległa cisza. Rizzoli spostrzegła, że wszyscy na nią patrzą. Bez słowa wróciła do stolika.

Po chwili znowu zrobiło się gwarno.

Widziała, jak barman podsuwa jakiemuś mężczyźnie dwie szklanki whisky, a ten podaje jedną z nich kobiecie. Obserwowała ludzi, unoszących do ust kieliszki z margaritą zlizujących sól z ich krawędzi, ludzi popijających wódkę, tequilę i piwo.

Widziała, jak mężczyźni patrzą na kobiety. Sączyła bezalkoholowe piwo i czuła się odurzona gniewem. Siedząc samotnie w kącie, dostrzegała z szokującą wyrazistością, czym jest naprawdę

to miejsce. Wodopojem, do którego ściągały drapieżniki i ich ofiary.

Odezwał się brzęczyk pagera. Szukał jej Barry Frost.

— Co to za hałas? — zapytał, gdy zadzwoniła do niego z komórki. Ledwo go słyszała.

— Siedzę w barze. — Odwróciła się, ciskając piorunujące spojrzenie w kierunku sąsiedniego stolika, przy którym gruchnęła właśnie salwa śmiechu. — Co powiedziałaś?

— ...zgłosiła się na badania na Marlborough Street. Mam kopię jej karty.

— Czyjej?

— Diany Sterling.

Rizzoli natychmiast pochyliła się do przodu, koncentrując całą uwagę na słowach Prosta.

— Powtórz to jeszcze raz. Do kogo Sterling się zgłosiła?

— Do doktor Bonnie Gillespie. Ma gabinet ginekologiczny przy Marlborough Street.

Jego słowa zagłuszył kolejny wybuch śmiechu. Rizzoli osłoniła ucho dłonią, aby lepiej go słyszeć, i wrzasnęła:

— Po co do niej poszła?

Pytała, ale znała już odpowiedź. Domyślała się jej, spoglądając w kierunku baru, gdzie dwaj mężczyźni osaczali kobietę jak lwy tropiące zebkę.

— Diana Sterling także została zgwałcona — powiedział Frost.

— Wszystkie trzy były ofiarami gwałtu — stwierdził Moore. — Ani Elena Ortiz, ani Diana Sterling nie zawiadomiły tym policji. Dowiedzieliśmy się o zgwałceniu Sterling tylko dzięki temu, że zrobiliśmy wywiad w miejscowych klinikach i gabinetach ginekologicznych. Nie powiedziała nawet rodzicom, co ją spotkało. Kiedy zadzwoniłem do nich dziś rano, byli zaszokowani tą wiadomością.

Mimo wczesnej pory Moore widział wokół stołu w sali konferencyjnej same zmęczone twarze. Wszystkim brakowało snu, a czekał ich kolejny długi dzień pracy.

— A więc jedyną osobą, która wiedziała o tym, że Sterling zgwałcono, była lekarka z gabinetu ginekologicznego przy Marlborough Street? — zapytał porucznik Marquette.

— Doktor Bonnie Gillespie. Diana Sterling odwiedziła ją tylko raz. Bała się, że napastnik mógł ją zarazić AIDS.

— Co doktor Gillespie wiedziała na temat tego gwałtu?

Odpowiedział na to pytanie Frost, który rozmawiał z lekarką.

Otworzywszy skoroszyt z kartą Diany Sterling, oznajmił:

— Oto, co napisała doktor Gillespie. Trzydziestoletnia biała kobieta prosi o test na HIV.

Stosunek seksualny bez zabezpieczenia przed pięcioma dniami. Nie wiadomo, czy mężczyzna był zarażony. Zapytana, czy jej partner należy do grupy wysokiego ryzyka, pacjentka zaczyna płakać. Przyznaje, że stosunek był wymuszony i że nie zna napastnika. Nie chce składać zeznań.

Odmawia skorzystania z pomocy dla ofiar gwałtu. - Frost podniósł wzrok. — To wszystko, czego dowiedziała się od niej doktor Gillespie. Zbadała pacjentkę, przeprowadziła testy na syfilis, rzeżączkę i HIV, po czym powiedziała jej, że powinna zgłosić się po dwóch miesiącach na kontrolne badanie krwi. Nie przyszła, bo została zamordowana.

— Doktor Gillespie nie zawiadomiła policji? Nawet po zabójstwie?

— Nie wiedziała o śmierci pacjentki. Nie czytała o tym w gazetach.

— Czy pobrano próbki nasienia?

— Nie. Pacjentka... — Frost zaczerwienił się z zażenowania. Chociaż był żonaty, czuł się niezręcznie, mówiąc o pewnych sprawach. — Tuż po napadzie Diana Sterling wzięła kilka razy prysznic.

— Ma pan jej to za złe? — zaperzyła się Rizzoli. — Cholera, ja miałabym ochotę opłukać się lizolem.

— Trzy ofiary gwałtu — stwierdził Marquette. — To nie przypadek.

— Znajdźcie gwałciciela — powiedział Zucker — a prawdopodobnie będziecie mieli sprawcę. Jak tam próbka kodu DNA, pobrana od Niny Peyton?

— Czeka na zbadanie — wyjaśniła Rizzoli. — Laboratorium ma próbkę nasienia od prawie dwóch miesięcy, ale jeszcze nic z nią nie zrobili. Musiałam ich trochę przycisnąć. Trzymajmy kciuki, żeby nasz sprawca figurował już w CODIS.

Kartoteka CODIS stanowiła ogólnokrajową bazę danych FBI, zawierającą kody DNA sprawców przestępstw. Była jeszcze w powijakach i profile genetyczne pięciuset tysięcy skazanych nie zostały na razie wprowadzone do systemu. Istniały niewielkie szanse, że trafią na kod poszukiwanego.

Marquette spojrzał na Zuckera.

— A więc nasz sprawca najpierw gwałci ofiarę, a po paru tygodniach wraca, by ją zabić?

Czy to ma jakiś sens?

— Może nie dla nas — odparł Zucker. — Dla niego owszem. Nic w tym nowego, że gwałciciel powtórnie atakuje ofiarę. Uważa, że jest jego własnością. Istnieje między nimi swego rodzaju patologiczna więź. Rizzoli prychnęła pogardliwie.

— Pan to nazywa więzią?

— Między napastnikiem i ofiarą. To brutalna prawda. Najpierw kobieta zostaje ubezwłasnowolniona, sprowadzona do roli przedmiotu. Sprawca o tym wie i — co ważniejsze — jego ofiara także. Właśnie fakt, że została okaleczona i upokorzona, podnieca go i skłania do powrotu. Najpierw znakuje ofiarę, gwałcąc ją, a potem wraca, by pokazać, że ma nad nią pełną władzę.

Okaleczone kobiety, pomyślał Moore. Były nimi wszystkie ofiary. Zaświtało mu nagle, że Catherine także.

— Catherine Cordell nigdy nie zgwałcił — powiedział na głos.

— Ale ona też jest ofiarą gwałtu.

— Mężczyzna, który ją zaatakował, nie żyje od dwóch lat.

W jaki sposób Chirurg wpadł na jej trop? Jakim cudem ją namierzył? Nigdy nie mówiła nikomu o napadzie.

— Rozmawiała o tym w sieci, prawda? W tym prywatnym okienku czatowym... — Zucker przerwał nagle. — Chryste.

Czyżby znajdował ofiary poprzez Internet?

— Badaliśmy taką możliwość — stwierdził Moore. — Nina Peyton nie ma nawet komputera.

A doktor Cordell nie ujawniała w okienku czatowym swego nazwiska. Wracamy więc do pytania: dlaczego Chirurg się nią interesuje?

— Rzeczywiście ma obsesję na jej punkcie — przyznał Zucker. — Wyraźnie z niej drwi.

Naraża się na ryzyko, by wysłać jej pocztą elektroniczną zdjęcie Niny Peyton. Ma to dla niego katastrofalne skutki. W mieszkaniu Niny Peyton zjawia się policja. Musi się spieszyć. Nie zabija ofiary i nie osiąga satysfakcji. Co gorsza, pozostawia świadka. Popelnia poważny błąd.

— To nie był błąd — wtrąciła Rizzoli. — Chciał, żeby przeżyła.

Jej uwaga spotkała się ze sceptycznym przyjęciem.

— Jak inaczej wyjaśnić jego postępowanie? — ciągnęła. - Zdjęcie, które wysłał do Catherine Cordell, miało ściągnąć policję. Czekał na nas. Spodziewał się, że zadzwonimy do Niny Peyton.

Wiedział, że do niej przyjedziemy. I dopiero wtedy podciął jej gardło, ponieważ chciał, żebyśmy znaleźli ją żywą.

— O, tak — prychnął Crowe. — Wszystko to zaplanował.

— Ale właściwie po co? — zapytał Zucker.

— Wyjaśnia to napis na udzie Niny Peyton — odparła Rizzoli. — Miała być podarunkiem dla Catherine Cordell.

Chciał ją śmiertelnie wystraszyć.

Zaległa chwila ciszy.

— Jeśli tak, udało mu się — stwierdził Moore. — Doktor Cordell jest przerażona.

Zucker oparł się o krzesło, rozważając teorię Rizzoli.

— Dużo ryzykował, by ją zastraszyć. To przejaw megalomanii. Być może oznaka dekompensacji. Jeffrey Dahmer i Ted Bundy także padli jej ofiarą. Stracili kontrolę nad swoją wyobraźnią. Stali się nieostrożni i zaczęli popełniać błędy.

Zucker wstał i podszedł do tablicy na ścianie. Figurowały tam nazwiska trzech ofiar. Pod nazwiskiem Niny Peyton napisał czwarte: Catherine Cordell.

— Nie jest jego ofiarą — na razie. Ale wyraźnie się nią interesuje. Z jakiego powodu? —

Zucker rozejrzał się po sali. — Rozmawialiście z jej współpracownikami? Czy któryś wzbudza podejrzenia?

— Sprawdziliśmy doktora Kennetha Kimballa, lekarza pogotowia — oznajmiła Rizzoli. —

Miał dyżur tej nocy, gdy napadnięto Ninę Peyton. Przesłuchaliśmy też większość pozostałych lekarzy z chirurgii.

— A co z partnerem Cordell, doktorem Falco?

— Mamy tu pewne wątpliwości.

Rizzoli wzbudziła w tym momencie zainteresowanie Zucker-a. Popatrzył na nią z dziwnym błyskiem w oczach. Policjanci z wydziału zabójstw określali to jako „spojrzenie bazyliuszka”.

— Proszę o szczegóły — powiedział cicho.

— Doktor Falco ma znakomite referencje. Absolwent Wydziału Lotnictwa Politechniki w Massachusetts. Doktor medycyny z Harvardu. Chirurg kliniki Peter Bent Brigham. Wychowany przez matkę, ukończył studia, równocześnie pracując.

Ma własny samolot. Jest przystojny. Nie aż tak jak Mel Gibson, ale kobiety zwracają na

niego uwagę.

Darren Crowe roześmiał się.

— Hej, Rizzoli ocenia podejrzanych po wyglądzie! Czy policjantki zawsze tak robią?

Rizzoli rzuciła mu złowrogie spojrzenie.

— Mówię tylko — kontynuowała — że ten facet mógłby otaczać się wielbicielkami, a jak słyszę od pielęgniarek, interesuje go wyłącznie doktor Cordell. Nie jest tajemnicą, że wciąż próbuje się z nią umówić, a ona go odtrąca. Może zaczyna się wkurzać.

— Trzeba mieć go na oku — stwierdził Zucker. — Nie zawężajmy jednak za wcześnie listy podejrzanych. Skoncentrujmy się na doktor Cordell. Z jakich jeszcze powodów Chirurg mógł wybrać ją na ofiarę?

Moore postawił sprawę inaczej.

— A może ona nie jest tylko kolejną ofiarą? Może chodziło mu zawsze właśnie o nią? Każdy z tych napadów stanowił odtworzenie tego, co przydarzyło się kobietom w Georgii. I co omal nie spotkało Catherine Cordell. Nie zdołaliśmy wyjaśnić, dlaczego sprawca naśladuje Andrew Caprę.

Dlaczego tropi jego jedyną ocalałą ofiarę. — Wskazał na listę. — Może te inne kobiety — Sterling, Ortiz, Peyton — stanowią tylko substytut jego właściwego celu?

— Teoria kompensacji? — stwierdził Zucker. — Sprawca nie może zabić kobiety, której nienawidzi, bo jest zbyt silna i budzi jego lęk, więc zabija inną, która tamtą symbolizuje.

— Twierdzi pan, że jego faktycznym celem zawsze była doktor Cordell? — spytał Frost. — I że się jej boi?

— Z tego samego powodu matka Edmunda Kempera stała się ostatnią ofiarą serii popełnionych przez niego zabójstw — oznajmił Zucker. — Przez cały czas to ona była rzeczywistym celem, kobietą, której nienawidził. Ale wyładowywał agresję na innych ofiarach. Atakując każdą z nich, niszczył w symboliczny sposób swoją matkę. Nie mógł jej zabić,

przynajmniej na początku, bo za bardzo nad nim dominowała. W pewnym sensie się jej bał. Z każdym zabójstwem nabierał coraz większej pewności siebie. Zyskiwał poczucie siły. W końcu osiągnął zamierzony cel. Zgwałcił matkę, zmiążdżył jej głowę i ją obciął, a na koniec wyrwał krtań, wyrzucając ją do śmieci. Rzeczywisty obiekt jego nienawiści został wreszcie unicestwiony. I wtedy seria zabójstw ustała. Edmund Kemper oddał się w ręce policji. Barry Frost, któremu zwykle robiło się niedobrze na miejscu zbrodni, poczuł mdłości na myśl o brutalnym czynie Kempera.

— A więc te pierwsze trzy napady — powiedział — mogą stanowić tylko preludium do zasadniczego uderzenia?

Zucker skinął głową.

— Do zabójstwa Catherine Cordell.

Moore poczuł ukłucie w sercu, zobaczywszy uśmiech na twarzy Catherine, gdy weszła do poczekalni kliniki, aby go przywitać, gdyż wiedział, że zaraz zepsuje jej dobry nastrój. Patrząc na nią teraz, nie widział ofiary przestępstwa, lecz piękną, pełną ciepła kobietę. Natychmiast wzięła go za rękę i najwyraźniej nie miała ochoty jej puścić.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? — powiedział.

— Dla ciebie zawsze znajdę czas. — Znow pośląła mu czarujący uśmiech. — Może kawy?

— Nie, dziękuję.

— Wejdźmy do mojego gabinetu.

Usadowiła się za biurkiem, czekając, co ma jej do przekazania. W ciągu ostatnich kilku dni nauczyła się mu ufać. Widział jej jasne, bezbronne spojrzenie. Traktowała go jak przyjaciela, a on musiał ją zawieść.

— Jest dla wszystkich oczywiste, że Chirurg na ciebie poluje — oznajmił.

Catherine skinęła głową.

— Zastanawiamy się tylko, z jakiego powodu? Dlaczego naśladuje Andrew Caprę? Skąd to zainteresowanie twoją osobą?

— Nie mam pojęcia — odparła oszołomiona.

— Jesteśmy innego zdania.

— Sądysz, że czytam w jego myślach?

— Catherine, mógł upatrzeć sobie jakąkolwiek kobietę w Bostonie. Wybrać osobę, która niczego nie podejrzewa. Postąpiłby zgodnie ze swoją logiką, tropiąc bezbronną ofiarę. Jesteś dla niego najtrudniejszym łupem, gdyż zachowujesz czujność, obawiając się ataku. A teraz utrudnia sobie jeszcze zadanie, ostrzegając cię i drażniąc. Dlaczego?

Z oczu Catherine zniknął przyjazny uśmiech. Zgarbiła się i zacisnęła dłonie w pięści na blacie biurka.

— Powtarzam ci, że nie wiem!

— Jesteś jedynym ogniwem łączącym Andrew Caprę i Chirurga — stwierdził. — Ich wspólną ofiarą. To tak, jakby Capra nadal żył i kontynuował swoje dzieło. Wrócił po ciebie, bo mu się wymknęłaś.

Catherine wpatrywała się w biurko, w poukładane równo akta i sporządzone starannym pismem notatki. Siedziała nieruchomo, z dłońmi zwiniętymi w pięści, a kostki przybrały barwę kości słoniowej.

— Czy zataiłaś przede mną coś, co dotyczy Andrew Capry? — spytał cicho.

— Powiedziałam ci wszystko.

— Po co przyszedł do twojego domu tej nocy, gdy cię napadł?

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Byłaś jego jedyną ofiarą, którą osobiście znał. Pozostałe kobiety podrywał w barach. Okazałaś się wyjątkiem. On cię wybrał.

— Mógł być na mnie zły.

— Przeszedł w sprawie czegoś, co zdarzyło się w pracy. Jakiegoś błędu, który popełnił. Tak powiedziałaś detektywowi Singerowi.

Skinęła głową.

— Nie chodziło o pojedynczy błąd, lecz całą serię medycznych pomyłek. Nie wykonał też powtórnych badań krwi, które wykazały odchylenia od normy. Był nieodpowiedzialny. Już wcześniej tego dnia doszło między nami w szpitalu do wymiany zdań.

— Co mu powiedziałaś?

— Radziłam, żeby poszukał sobie innej specjalności, bo nie otrzyma mojej rekomendacji na drugi rok praktyki.

— Groził ci? Okazał zdenerwowanie?

— Nie. To było właśnie dziwne. Przyjął to ze spokojem. I... uśmiechnął się do mnie.

— Uśmiechnął się?

Skinęła głową.

— Właśnie. Jakby to nie miało dla niego żadnego znaczenia.

Moore'a przeszedł dreszcz. Catherine nie mogła wtedy wiedzieć, że uśmiech Capry maskował zwierzęcą furję.

— Tamej nocy, gdy zaatakował cię w domu... — zaczął Moore.

— Opowiedziałam to już szczegółowo. Wszystko jest w moich zeznaniach.

Moore przerwał na chwilę, lecz nie dał za wygraną.

— Są sprawy, o których nie wspomniałaś Singerowi, które przemilczałaś.

Podniosła wzrok, czerwona z gniewu.

— Niczego nie przemilczałam!

Moore nie chciał maltretować jej dalszymi pytaniami, ale nie miał wyboru.

— Przejrzałem raport z sekcji zwłok Capry — oznajmił. - Nie zgadza się z zeznaniami, które złożyłaś na policji w Savannah.

— Zrelacjonowałam detektywowi Singerowi dokładnie, co się wydarzyło.

— Powiedziałaś, że wisząc na skraju łóżka, sięgnęłaś po leżącą pod nim broń i w tej pozycji strzeliłaś do Capry.

— To prawda. Przysięgam.

— Zgodnie z wynikami sekcji pocisk przeszył od dołu brzuch Capry i trafił go w kręgosłup na wysokości piersi, powodując paraliż. To zgadza się z twoimi zeznaniami.

— Dlaczego więc twierdzisz, że kłamałam?

Moore znowu przerwał, czując niemal mdłości, że musi sprawiać jej ból.

— Pozostaje kwestia drugiego pocisku — wyjaśnił. — Ugodził go z bliskiej odległości wprost w lewe oko. A ty leżałaś przecież na podłodze.

— Zapewne się pochylił i wtedy strzeliłam...

— Zapewne?

— Nie wiem. Nie pamiętam.

— Nie pamiętasz, jak strzelałaś po raz drugi?

— Nie. To znaczy tak...

— Jak było naprawdę? — Powiedział to cicho, ale z naciskiem.

Catherine zerwała się z krzesła.

— Nie pozwolę traktować się w ten sposób. Byłam ofiarą!

— Staram się ocalić ci życie. Muszę poznać prawdę.

— Powiedziałam ci prawdę! Chyba powinieneś już iść. - Podeszła do drzwi i otworzywszy je na oścież, cofnęła się przestraszona.

Na progu stał Peter Falco, zamierzając właśnie zapukać.

— Wszystko w porządku, Catherine? — zapytał.

— Jak najbardziej — burknęła.

Peter rzucił Moore'owi ostre spojrzenie.

— Co to, szykanowanie świadka?

— Zadałem tylko doktor Cordell kilka pytań.

— Z korytarza brzmiało to trochę inaczej. — Peter spojrzał na Catherine. — Czy mam go wyprowadzić?

— Sama sobie poradzę.

— Nie masz obowiązku odpowiadać na żadne pytania.

— Jestem tego świadoma, dziękuję.

— W porządku. Gdybyś mnie potrzebowała, będę obok.

Rzucił Moore'owi jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie i wrócił do swojego gabinetu.

Catherine zauważyła, że z końca korytarza przyglądają jej się Helen i fakturzystka. Zaczerwieniła się i zamknęła ponownie drzwi. Przez chwilę stała tyłem do Moore'a, ale zaraz wyprostowała się i odwróciła. Bez względu na to, czy odpowie mu teraz, czy później, zawsze pozostaną wątpliwości.

— Niczego przed tobą nie ukrywam — oznajmiła. — Jeśli nie mówię ci wszystkiego, co się wtedy wydarzyło, to dlatego, że sama nie pamiętam.

— A więc zeznania, które złożyłaś na policji w Savannah, nie były do końca prawdziwe?

— Detektyw Singer przesłuchiwał mnie w szpitalu. Pomagał mi odtworzyć przebieg wydarzeń. Wtedy wydawało mi się, że powiedziałam mu całą prawdę.

— Ale teraz nie jesteś pewna.

Pokręciła głową.

— Trudno stwierdzić, co jest tylko urojeniem. Wielu rzeczy nie pamiętam z powodu

narkotyku, który dał mi Capra. Co jakiś czas mam przebłycki wspomnień, ale może to chora wyobraźnia.

— Nadal się zdarzają?

— Tak. Powtórzyły się ubiegłej nocy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy. A już myślałam, że się ich pozbyłam. - Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Widok przesłaniała betonowa ściana budynku szpitala. Rzędy okien, przez które można było zajrzeć do prywatnego świata chorych i umierających.

— Dwa lata to na pozór szmat czasu — zaczęła. — Dostatecznie dużo, by zapomnieć. W istocie to niewiele. Po tamtej nocy nie mogłam wrócić do domu. Nie chciałam oglądać miejsca, w którym to się stało. Ojciec musiał spakować moje rzeczy i przeprowadzić mnie do innego mieszkania. Ja, doświadczona lekarka, przyzwyczajona do widoku krwi i wnętrzności, oblewałam się zimnym potem na myśl, że miałabym przejść korytarzem i otworzyć drzwi do mojej dawnej sypialni. Ojciec usiłował mnie zrozumieć, ale jako stary wojskowy nie toleruje słabości. Potraktował to jak wojenną ranę, która w końcu się zabliznia i człowiek wraca do normalnego życia. Kazał mi wydorosnąć i o wszystkim zapomnieć. — Pokręciła głową i zaśmiała się gorzko. — Zapomnieć! Łatwo powiedzieć. Nie miał pojęcia, co przeżywałam, wychodząc z domu, idąc do samochodu, pokazując się gdziekolwiek. Po pewnym czasie po prostu przestałam z nim rozmawiać, bo wiedziałam, że gardzi moją słabością. Nie dzwoniłam do niego przez wiele miesięcy... Dopiero po dwóch latach zaczęłam panować nad strachem i względnie normalnie funkcjonować, nie obawiając się, że zza każdego krzaka może mi grozić niebezpieczeństwo. Odżyłam. — Przesunęła dłonią po oczach, jakby ocierała ze złością łzy, i zniżyła głos do szeptu. — A teraz wszystko wróciło...

Drżała z wysiłku, by się nie rozplakać i zapanować nad sobą, krzyżując ręce i wpijając palce w ramiona. Moore wstał z krzesła, podszedł do niej i stanął za jej plecami, zastanawiając się, co

by zrobiła, gdyby jej dotknął. Czyby się odsunęła? Czy wzdrygnęłyby się, czując rękę mężczyzny? Patrzył bezradnie, jak się kuli, i pomyślał, że jest na skraju załamania.

Dotknął delikatnie jej ramienia. Nie wzdrygnęła się ani nie cofnęła. Odwrócił ją ku sobie, objął i przytulił. Był zaszokowany głębią jej cierpienia. Czuł, jak cała drży. Nie wydawała z siebie głosu, ale wiedział, że z trudem powstrzymuje szloch. Przytknął wargi do jej włosów. Nie potrafił się pohamować. Ujął jej twarz w dłonie, całując ją w czoło i brwi.

Gdy znieruchomiała w jego ramionach, pomyślał, że posunął się za daleko. Puścił ją szybko, mówiąc:

— Przepraszam. Nie powinienem.

— Rzeczywiście.

— Możesz o tym zapomnieć?

— A ty? — spytała cicho.

— Tak. — Wyprostował się i powtórzył dobitniej, jakby chciał przekonać samego siebie: — Tak.

Spojrzała na jego rękę. Wiedział, że patrzy na obrączkę.

— Przez wzgląd na twoją żonę mam nadzieję, że tak będzie — stwierdziła. Chciała wzbudzić w nim poczucie winy i to się jej udało.

Zerknął na obrączkę, którą nosił tak długo, że wydawała się przyrośnięta do jego palca.

— Miała na imię Mary — powiedział. Catherine przypuszczała pewnie, że zdradza żonę.

Poczuł się w obowiązku wszystko jej wyjaśnić, zrehabilitować się w jej oczach. — To zdarzyło się dwa lata temu. Miała wylew krwi do mózgu. Nie zmarła od razu. Przez sześć miesięcy żyłem nadzieją, że odzyska przytomność... — Pokręcił głową. — Lekarze nazywali to chronicznym stanem wegetatywnym. Boże, jakże nienawidziłem tego określenia. Mówili o niej jak o jakiejś roślinie albo drzewie. Stała się karykaturą kobiety, którą była. Zanim umarła, zmieniła się nie do

poznania. Nie przypominała ani trochę mojej dawnej Mary.

Catherine dotknęła go nieoczekiwanie. Wzdrygnął się mimo woli. Patrzyli na siebie w milczeniu w szarym świetle. Pomyślał, że żaden uścisk ani pocałunek nie mógłby ich bardziej zbliżyć. Ból łączy dwoje ludzi o wiele silniej niż miłość czy namiętność.

Brzęczyk interkomu sprawił, że czar prysł. Catherine zamrugała powiekami, jakby przypominając sobie nagle, gdzie jest. Odwróciła się do biurka i wcisnęła klawisz.

— Słucham?

— Doktor Cordell, dzwonili właśnie z oddziału intensywnej terapii. Wzywają panią pilnie na górę.

Moore zorientował się po spojrzeniu Catherine, że pomyśleli natychmiast o tym samym: Coś się stało z Niną Peyton.

— Czy chodzi o pacjentkę z łóżka numer dwanaście? - spytała Catherine.

— Tak. Odzyskała przytomność.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W szeroko otwartych oczach Niny Peyton malowało się przerażenie. Przeguby i kostki miała przywiązane pasami do poręczy łóżka. Widać było, jak napręża mięśnie, by uwolnić ręce.

— Ocknęła się pięć minut temu — wyjaśniła Stephanie, pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii. — Najpierw wzrosło jej ciśnienie, a potem zobaczyłam, że ma otwarte oczy. Próbowałam ją uspokoić, ale ciągle się szarpie.

Catherine spojrzała na monitor i stwierdziła, że serce pacjentki bije szybko, ale nie wykazuje arytmii. Oddech miała także przyspieszony i od czasu do czasu słychać było chrapliwy świst, gdy przez wsuniętą do jej tchawicy rurkę intubacyjną wylatywała flegma.

— To ta rurka tak ją przeraża — stwierdziła Catherine.

— Dać jej valium?

— Powinna być przytomna — odezwał się Moore, stojąc w drzwiach. — Jeśli zaśnie, nie nam nie powie.

— Z rurką w tchawicy i tak nie może mówić. — Catherine spojrzała na Stephanie. — Jak z poziomem gazów we krwi? Możemy usunąć rurkę?

Stephanie zajrzała do notatek.

— Wartości graniczne. PO₂ sześćdziesiąt pięć, pCO₂ trzydzieści dwa. Przy założonej rurce intubacyjnej z czterdziesto-procentowym tlenem.

Catherine zmarszczyła brwi, nie wiedząc, co zrobić. Chciała, żeby Nina Peyton była przytomna i mogła zeznawać, ale musiała wziąć pod uwagę kilka spraw. Wsunęta do gardła rurka intubacyjna mogłaby u każdego wywołać panikę, a Ninę tak przerażała, że otarła już sobie do krwi związane paskami przeguby. Jednak usunięcie rurki wiązało się także z pewnym ryzykiem. Po operacji w jej płucach zgromadził się płyn i chociaż oddychała powietrzem z zawartością czterdziestu procent tlenu — dwukrotnie wyższą od normalnej — jego poziom we krwi był zaledwie wystarczający. Dlatego właśnie Catherine pozostawiła rurkę intubacyjną. Jeśli ją usuną, stracą margines bezpieczeństwa. Jeśli zostawią, pacjentka będzie nadal histeryzować i szarpać się. Jeśli dostanie środki nasenne, Moore nie uzyska odpowiedzi na swoje pytania.

Catherine spojrzała na Stephanie.

— Wyjmę jej rurkę.

— Nie boi się pani?

— Jeśli stan pacjentki się pogorszy, włożymy ją ponownie. - Łatwo powiedzieć, wyczytała w oczach Stephanie. Po kilku dniach stosowania rurki intubacyjnej krtań mogła okazać się zbyt opuchnięta, by to zrobić. Jedynym wyjściem byłaby tracheotomia.

Catherine stanęła za głową pacjentki i delikatnie ujęła w dłonie jej twarz.

— Nino, jestem doktor Cordell. Wyjmę ci rurkę intubacyjną. Czy chcesz tego?

Pacjentka skinęła rozpaczliwie głową.

— Musisz leżeć bardzo spokojnie, dobrze? Żebyśmy nie uszkodzili ci strun głosowych. —

Catherine podniosła wzrok. - Maska jest gotowa?

Stephanie trzymała już w ręce plastikową maskę tlenową.

Catherine uściśnęła ramię Niny, dodając jej otuchy. Odkleiła taśmę mocującą rurkę i wypuściła powietrze z podobnego do balonu rękawa aparatu tlenowego.

— Oddychaj głęboko — powiedziała i gdy klatka piersiowa Niny zaczęła opadać, wyciągnęła jej rurkę z tchawicy.

Dziewczyna zaczęła kaszleć i charczeć, prychając śluzem. Catherine pogładziła ją po włosach, mrużąc uspokajająco, a Stephanie założyła jej maskę tlenową.

— Wszystko w porządku — powiedziała Catherine.

Monitor nadal wykazywał przyspieszoną akcję serca. Nina utkwiała przerażony wzrok w Catherine, jakby bała się spuścić ją z oka. Patrząc na nią, Catherine odniosła nieprzyjemne wrażenie, że przeżywała coś podobnego. Tak było przed dwoma laty, gdy ocknąłam się w szpitalu w Savannah, uświadomiła sobie. Skończył się jeden koszmar i zaczął następny...

Spojrząwszy na paski, krępujące przeguby i kostki Niny, przypomniała sobie, jakie to przerażające uczucie być związaną.

— Niech pani ją rozwiąże — poleciła pielęgniarce.

— Ale może zerwać przewody!

— Proszę zrobić, co mówię.

Stephanie zaczerwieniła się i bez słowa rozwiązała paski. Nie rozumiała, o co chodzi. Mogła to zrozumieć tylko Catherine, która jeszcze dwa lata po tym, co zaszło w Savannah, nie potrafiła znieść rękawów z ciasnymi makietami. Gdy ostatni pasek został rozpięty, wargi Niny poruszyły się w bezgłośnym podziękowaniu.

Stopniowo wykres EKG wrócił do normy. Serce Niny zaczęło bić równomiernie. Obie kobiety wymieniły spojrzenia. Catherine rozpoznawała siebie w oczach Niny, ale i odwrotnie. Łączyła je duchowa więź.

Jest nas więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

— Możecie panowie już wejść — oznajmiła pielęgniarka.

Znalazłszy się w izolatce, Moore i Frost zobaczyli, że Catherine siedzi przy łóżku Niny Peyton i trzyma ją za rękę.

— Prosiła, żebym została — oświadczyła Catherine.

— Mogę wezwać policjantkę — zaproponował Moore.

— Nie, zależy jej na mojej obecności — stwierdziła Catherine.

Spojrzała Moore'owi prosto w oczy. Uświadomił sobie, że nie jest już tą samą kobietą, którą kilka godzin wcześniej trzymał w ramionach. Ujrzał jej drugie oblicze. Była stanowcza i opiekuńcza. Wiedział, że w tej sprawie nie ustąpi.

Skinął głową i usiadł. Frost nastawił magnetofon i ulokował się dyskretnie w nogach łóżka.

Moore wybrał go do tej rozmowy właśnie dlatego, że był spokojny i opanowany. Nynie Peyton należało oszczędzić kontaktu z agresywnym policjantem.

Zdjęto jej maskę tlenową, zastępując ją podłączonymi do nosa rurkami, przez które płynęło z sykiem powietrze. Spoglądała trwożnie na obu mężczyzn, reagując na każdy gwałtowniejszy ruch. Moore przedstawił siebie i Barry'ego Prosta. Starał się nie podnosić głosu. Zaczął od rutynowego wstępu, prosząc, by podała swoje nazwisko, wiek i adres. Posiadali już te informacje, ale nagrywając odpowiedzi na taśmie, potwierdzali jej poczytalność i udowadniali, że jest w stanie zeznawać. Odpowiadała na pytania ochryłym, beznamiętnym głosem. Jej apatia wytrącała go z równowagi. Miał wrażenie, że rozmawia z martwą kobietą.

— Nie słyszałam, jak wszedł do mieszkania — oznajmiła. — Obudziłam się dopiero, gdy

stał nad moim łóżkiem. Nie powinnam była zostawiać otwartych okien. Ani brać tabletek...

— Jakich tabletek? — spytał łagodnie Moore.

— Nie mogłam spać z powodu... — Głos uwiązał jej w gardle.

— Z powodu gwałtu?

Odwróciła wzrok, unikając jego spojrzenia.

— Śniły mi się koszmary. W klinice dali mi tabletki. Żebym mogła zasnąć.

Tymczasem prawdziwy koszmar dopadł ją w sypialni, pomyślała Catherine.

— Widziałaś jego twarz? — zapytał Moore.

— Było ciemno. Słyszałam jego oddech, ale nie mogłam się poruszyć. Ani krzyknąć.

— Związał cię?

— Nie pamiętam, kiedy to zrobił. Nie wiem, jak to się stało.

Chloroform, pomyślał Moore. Musiał ją odurzyć, nim całkiem się obudziła.

— Co było potem, Nino?

Zaczęła gwałtowniej oddychać. Podłączony do aparatury monitor zarejestrował szybszą akcję serca.

— Usiadł na krześle obok łóżka. Widziałam jego cień.

— I co robił?

— Przemawiał do mnie.

— Co mówił?

— Powiedział... — Przełknęła z wysiłkiem ślinę. — Powiedział, że jestem brudna. Plugawa.

Że powinnam czuć do siebie odrazę. Że on mnie oczyści, wycinając mi to, co zostało skalane. —

Przerwała, dodając po chwili szeptem: — Wtedy zrozumiałam, że umrę.

Catherine zbladła jak ściana, ale Nina sprawiała wrażenie opanowanej, jakby opisywała

koszmar, który przydarzył się innej osobie, a nie jej samej. Nie patrzyła już na Moore'a, lecz w

jakiś punkt za nim, jakby znajdowała się tam przywiązana do łóżka kobieta, a obok siedział na krześle ukryty w mroku mężczyzna, mówiący spokojnie o okrucieństwach, które zaplanował. Moore pomyślał, że dla Chirurga to gra wstępna. Podnieca go zapach drżącej ze strachu kobiety. Syci się nim. Siedzi przy łóżku i roztacza przed nią wizje śmierci. Jej skóra robi się wilgotna od potu, wydzielającego kwaśną woń. To egzotyczny aromat, którym się upaja. Wciąga go w nozdrza i odczuwa podniecenie.

— Co działo się potem? — spytał Moore.

Nie otrzymał odpowiedzi.

— Nino?

— Skierował lampę na moją twarz. Świecił mi nią prosto w oczy, żebym go nie widziała. Oślepił mnie snopem światła.

I zrobił mi zdjęcie.

— A potem?

Spojrzała na Moore'a.

— Potem zniknął.

— Zostawił cię samą w domu?

— Nie. Słyszałam, jak chodzi po mieszkaniu. Przez całą noc był włączony telewizor.

Zmienił się schemat, pomyślał Moore. Wymienili z Frostem zdumione spojrzenia. Chirurg zrobił się bardziej pewny siebie. Odważniejszy. Zamiast dokonać zabójstwa w ciągu kilku godzin, zwlekał. Trzymał ofiarę przywiązaną do łóżka przez całą noc i kolejny dzień, żeby miała czas rozmyślać nad tym, co ją czeka. Nie bacząc na ryzyko, czerpał rozkosz z jej udręki.

Monitor wykazał znowu szybszą akcję serca. Głos Niny Peyton brzmiał obojętnie, lecz pod maską spokoju nadal czaił się strach.

— Co zdarzyło się później, Nino? — spytał Moore.

— Po południu musiałam zasnąć. Gdy się obudziłam, było znowu ciemno. Strasznie chciało mi się pić. Myślałam tylko o tym, by napić się wody...

— Byłaś przez jakiś czas sama w domu?

— Nie wiem. Słyszałam tylko telewizor. Gdy go wyłączył, wiedziałam, że zaraz wróci do sypialni.

— Kiedy przyszedł, zapalił światło?

— Tak.

— Widziałaś jego twarz?

— Tylko oczy. Był w masce. Takiej, jaką noszą lekarze.

— Ale oczy widziałaś?

— Tak.

— Rozpoznałaś go? Spotkałaś już kiedyś tego człowieka?

Zaległo długie milczenie. Moore czuł, jak wali mu serce, gdy czekał na odpowiedź, którą miał nadzieję usłyszeć. W końcu Nina powiedziała cicho:

— Nie.

Moore oparł się o krzesło. Napięcie nagle opadło. Dla ofiary Chirurg był nieznajomym, człowiekiem bez nazwiska, i pozostawało zagadką, dlaczego ją wybrał.

— Opisz go nam, Nino — poprosił Moore, starając się ukryć rozczarowanie.

Wciągnęła głęboko powietrze i zamknęła oczy, jakby próbując sobie wszystko przypomnieć.

— Miał... krótkie włosy. Starannie przycięte...

— Jakiego koloru?

— Kasztanowe. W jasnym odcieniu.

Zgadzało się to z kolorem włosów, które znaleźli w ranie Eleny Ortiz.

— A więc był biały? — spytał Moore.

— Tak.

— Jakie miał oczy?

— Jasne. Niebieskie albo szare. Bałam się w nie patrzeć.

— Jakiego kształtu miał twarz? Okrągłą, owalną?

— Podłużną. — Zastanawiała się przez moment. — Zwyczajną.

— Wzrost i waga?

— Trudno powiedzieć...

— Spróbuj to określić.

— Przeciętne — odparła z westchnieniem.

Zwyczajny. Przeciętny. Potwór, który wyglądał jak normalny człowiek. Moore zwrócił się do Prosta.

— Pokażmy jej szóstki.

Frost podał mu pierwszy album z fotografiami. Nazywali je „szóstkami”, bo na każdej stronie było sześć zdjęć. Moore położył go na ruchomej tacy i podsunął Ninie przed oczy.

Przez następne pół godziny patrzyli z gasnącą nadzieją, jak przerzuca kolejne strony. Nikt się nie odzywał. Słysząc tylko syk aparatu tlenowego i szelest odwracanych kartek. Fotografie przedstawiały znanych policji gwałcicieli. Gdy Nina oglądała je po kolei, Moore odnosił wrażenie, że nigdy nie dojdzie do końca, że ta galeria wizerunków symbolizuje mroczną stronę duszy każdego człowieka, instynkt gada ukryty pod ludzką twarzą.

Usłyszał pukanie do okna izolatki i odwróciwszy głowę, zobaczył, że Jane Rizzoli daje mu jakieś znaki.

Wyszedł, aby z nią pomówić.

— Macie coś? — spytała.

— Nie ustalimy jego tożsamości. Miał na twarzy chirurgiczną maskę.

Rizzoli zmarszczyła brwi.

— Po co?

— Może to jakiś rytuał. Rajcuje go udawanie lekarza. Powiedział, że usunie jej narząd, który został skalany. Wiedział, że padła ofiarą gwałtu. I co jej wyciął? Macicę.

Rizzoli spojrzała w głąb izolatki i oznajmiła cicho:

— Mógł założyć maskę z jeszcze innego powodu.

— Co masz na myśli?

— Nie chciał, żeby widziała jego twarz i mogła go zidentyfikować.

— Ale to by znaczyło...

— Cały czas tak uważałam. — Rizzoli odwróciła się i spojrzała na Moore'a. — Chirurg celowo pozwolił Ninie Peyton przeżyć.

Jak mało wiemy naprawdę o ludzkim sercu, pomyślała Catherine, oglądając zdjęcia rentgenowskie klatki piersiowej Niny Peyton. Stała w półmroku i wpatrywała się w kliszę, zawieszoną na podświetlonym ekraniku, analizując zarysy kości i narządów. Widziała żebra, przeponę, a nad nią serce. Nie było siedzibą duszy, a jedynie zbudowaną z mięśni pompą, niepełniącą bardziej mistycznej funkcji niż płuca czy nerki. Nawet Catherine, ze swym naukowym podejściem do rzeczywistości, patrząc na serce Niny Peyton, czuła się poruszona jego symboliką.

Należało do kobiety, która cudem uniknęła śmierci.

Usłyszała głosy w sąsiednim pokoju. Peter prosił archiwistę o wyniki rentgena pacjenta. Po chwili wszedł do czytelnicy i przystanął, zobaczywszy ją przy stanowisku do odczytu zdjęć.

— Jeszcze tu jesteś? — zdziwił się.

— Ty też.

— Ja mam dyżur. Czemu nie wracasz do domu?

Catherine odwróciła się do zdjęcia rentgenowskiego klatki piersiowej Niny.

— Chcę się najpierw upewnić, że stan pacjentki jest stabilny.

Peter stanął przy niej, tak wysoki i dominujący, że omal się nie cofnęła. Obejrzał zdjęcie i stwierdził:

— Poza niedodmą nie ma się tu czym martwić. — Zwrócił uwagę na litery N.N. w rogu kliszy. — Czy to kobieta z łóżka numer dwanaście, przy której kręcą się policjanci?

— Tak.

— Widzę, że wyjęłaś jej rurkę intubacyjną.

— Kilka godzin temu — przyznała niechętnie. Nie miała ochoty rozmawiać o Ninie Peyton i ujawniać swego osobistego zaangażowania w tę sprawę. Jednak Peter nadal zadawał pytania.

— Jaki ma poziom gazów we krwi?

— Wystarczający.

— Stan ogólny stabilny?

— Tak.

— Czemu więc nie idziesz do domu? Zastąpię cię.

— Chciałabym sama mieć na oku tę pacjentkę.

Położył jej dłoń na ramieniu.

— Od kiedy to nie ufasz swojemu partnerowi?

Znieruchomiała, gdy jej dotknął. Wyczuł to i cofnął rękę. Po chwili milczenia odszedł na bok i zaczął wieszać swoje klisze. Była to cała seria zdjęć rentgenowskich jamy brzusznej. Kiedy skończył, stanął w bezruchu. Jego oczy były niewidoczne, gdyż w okularach odbijały mu się obrazy ze zdjęć.

— Nie jestem twoim wrogiem, Catherine — oznajmił cicho, nie patrząc na nią, lecz na podświetlone klisze. — Chciałbym, żebyś w to uwierzyła. Mam wrażenie, że coś się między

nami popsulo. — W końcu na nią spojrział. — Kiedyś sobie ufaliśmy. Przynajmniej wspólnie pracując. Do cholery, przecież operując tego faceta, praktycznie trzymaliśmy razem ręce w jego klatce piersiowej! A teraz nie chcesz nawet, żebym zaopiekował się twoją pacjentką? Czyżbyś jeszcze za mało mnie znała, żeby mi zaufać?

— Żadnemu chirurgowi nie ufam bardziej niż tobie.

— Więc co się dzieje? Przychodzę rano do pracy i dowiaduję się, że mieliśmy włamanie. A ty nie chcesz ze mną o tym rozmawiać. Pytam o twoją pacjentkę — znowu coś ukrywasz.

— Policja prosiła mnie o dyskrecję.

— Ostatnio bardzo się tobą interesują. Dlaczego?

— Nie wolno mi o tym mówić.

— Nie jesteśmy tylko partnerami, Catherine. Uważałem się zawsze za twojego przyjaciela.

— Postąpił krok w jej kierunku.

Był roslym mężczyzną i jego bliskość przyprawiła ją niemal o klaustrofobię. — Widzę, że jesteś przerażona. Zamykasz się w gabinecie. Wyglądasz, jakbyś nie spała od wielu dni. Nie mogę obojętnie na to patrzeć.

Catherine ściągnęła z podświetlacza zdjęcie klatki piersiowej Niny Peyton i wsunęła je do koperty.

— To nie ma nic wspólnego z tobą.

— Ma, jeśli dotyczy ciebie.

Jej defensywna postawa przemieniła się natychmiast w gniew.

— Postawmy sprawę jasno, Peter. Owszem, pracujemy razem, cenię cię jako chirurga i darzę sympatią. Jednak nie dzielę z tobą życia ani moich sekretów.

— Dlaczego? — spytał cicho. — Co boisz się mi powiedzieć?

Patrzyła na niego, zbita z tropu łagodnym brzmieniem jego głosu. W tym momencie

zapraǳnęła zrzucić z siebie straszliwy ciężar i opowiedzieć mu ze wszystkimi wstydnliwymi szczegółami, co przydarzyło się jej w Savannah. Zdawała sobie jednak sprawę z konsekwencji takich wyznań. Rozumiała, że zgwałcona kobieta nigdy już nie może pozbyć się piętna ofiary. Nie zniosłaby współczucia, zwłaszcza ze strony Petera, którego szacunek ceniła nade wszystko. — Catherine? — powiedział, wyciągając do niej rękę.

Popatrzyła na nią przez łzy jak tonący, który wybiera czarną otchłań oceanu zamiast ratunku, i odwróciwszy się, wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

N.N. została przeniesiona.

Trzymam w ręce próbkę z jej krwią i czuję rozczarowanie, że jest chłodna w dotyku. Stała zbyt długo w laboratorium i emanujące przez szkło ciepło rozproszyło się w powietrzu. Zimna krew jest martwa, nie ma mocy ani duszy i nie porusza mnie. Zwracam uwagę na przyklejoną do próbki etykietę, biały prostokąt z wydrukowanym nazwiskiem pacjentki, numerem pokoju i szpitalnym kodem. Napisali tam „N.N.”, ale ja wiem, czyja to krew. Nie jest już na oddziale intensywnej terapii. Przeniesiono ją do pokoju 538. Na chi-rurgię.

Wkładam próbkę z powrotem do stojaka, obok dwudziestu innych, zamkniętych niebieskimi, purpurowymi, czerwonymi i zielonymi gumowymi zatyczkami. Każdy kolor oznacza inny rodzaj badania. W próbkach z purpurowymi zatyczkami trzeba określić liczbę ciałek krwi, z niebieskimi — czas krzepnięcia, a Z czerwonymi — skład chemiczny i elektrolity. W niektórych Probówkach z czerwonymi zatyczkami krew ścięła się już w słup-,,’ ciemnej żelatyny. Przeglądam zlecenia dla laboratorium i znajduję karteczkę z literami „N.N. „, zamiast nazwiska. Tego ranka doktor Cordell zamówiła dwa testy: na liczbę ciałek krwi i elektrolity w surowicy. Szperam głębiej w zleceniach Z ubiegłej nocy i znajduję jeszcze jedno podpisane przez tę samą lekarkę.

„Dwa litry tlenu do krwi tętniczej po intubacji. Pilne!”

A więc Ninie Peyton wyjęto z tchawicy rurkę. Oddycha już samodzielnie, bez pomocy aparatury.

Siedzę nieruchomo przy moim stanowisku, myśląc nie o niej, lecz o Catherine Cordell.

Sądzi, że wygrała tę rundę. Że ocaliła Ninę Peyton. Trzeba nauczyć ją pokory.

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do szpitalnej dietetyczki. Kobieta, z którą rozmawiam, wyraźnie się spieszy. Słyszę brzęk tac. Zbliża się pora posiłku i nie ma czasu na pogawędkę.

— Tu zachodnie skrzydło, piąty poziom — oznajmiam. - Zdaje się, że pomyliliśmy diety dwojga pacjentów. Może mi

pani powiedzieć, jakie są zalecenia dla pokoju pięćset trzydzieści osiem?

Następuje chwila ciszy, gdy kobieta sprawdza dane na komputerze.

— Tylko płyny — odpowiada. — Zgadza się?

— Tak. Dziękuję. — Odkładam słuchawkę.

W porannej gazecie pisano, że Nina Peyton jest w stanie śpiączki. To nieprawda. Odzyskała przytomność.

Catherine Cordell ocaliła jej życie. Tak jak się spodziewałem.

Laborantka podchodzi do mojego stanowiska i stawia na blacie tacę pełną probówek z krwią.

Uśmiechamy się do siebie przyjaźnie jak co dzień. Nie znając się wzajemnie, mamy o sobie jak

najlepsze zdanie. Dziewczyna jest młoda. Jej jędrne piersi sterczą jak melony spod białego

fartucha. Ma piękne, proste zęby. Zabiera plik nowych zleceń i odchodzi, kołysząc biodrami.

Zastanawiam się, czy jej krew ma słony smak.

Aparatura szumi i bulgocze usypiająco.

Podchodzę do komputera i sprawdzam listę pacjentów z pil' tego poziomu zachodniego

skrzydła. Na oddziale, mający kształt litery H, jest dwadzieścia sal, a dyżurka pielęgniarek

znajduje się w jego centrum. Przeglądam listę trzydziestu trzech pacjentów, zwracając uwagę na ich wiek i diagnozę lekarską. Zatrzymuję się przy dwunastym nazwisku. Sala 521.

Herman Gwadowski, lat 69. Lekarz prowadzący: doktor Catherine Cordell. Diagnoza: laparotomia z powodu rozległych urazów jamy brzusznej.

Z sali 521 nie widać izolatki Niny Peyton, do której wchodzi się z usytuowanego równolegle korytarza.

Klikam myszką na nazwisku Hermana Gwadowskiego i otrzymuję wyniki jego badań laboratoryjnych. Jest w szpitalu od dwóch tygodni i zapis na ekranie ciągnie się w nieskończoność. Wyobrażam sobie jego ręce, posiniaczone od wkłuć do żył. Z poziomu cukru we krwi wnioskuję, że jest diabetykiem. Duża liczba białych krwinek wskazuje na jakiś stan zapalny. Zauważam też, że wykryto obecność bakterii w ranie na nodze. Cukrzyca osłabiła krążenie w kończynach, powodując martwicę. Kultury bakterii stwierdzono też w centralnej żyłę.

Skupiam teraz uwagę na poziomie elektrolitów. Poziom potasu powoli rośnie. 4,5 dwa tygodnie temu, 4,8 w zeszłym tygodniu, 5,1 wczoraj. Nerki diabetyka w podeszłym wieku z trudem radzą sobie z usuwaniem gromadzących się we krwi substancji. Takich jak potas. Nie trzeba wiele, by go wykończyć.

Nie spotkałem nigdy Hermana Gwadowskiego — przynajmniej osobiście. Podchodzę do stojaka z próbkami krwi i spoglądam na etykiety. W otworach są dwadzieścia cztery próbki <piątego poziomu wschodniego i zachodniego skrzydła. Znajduję tę z czerwoną zatyczką z pokoju 521. To krew pana Gwadowskiego.

Biorę do ręki próbkę i przyglądam się jej uważnie pod światło. Znajdująca się w niej ciecz nie krzepnie. Ma ciemną barwę i wygląda tak, jakby igła strzykawki nie trafiła w żyłę, tylko w kałużę ze stojącą wodą. Otwieram próbkę i wącham jej zawartość. Czuję mdlącą starczą woń mocznika i infekcji. Zapach ciała, które zaczęło się już rozkładać, choć mózg nie chce tego

jeszcze zaakceptować.

W ten sposób zapoznałem się z Hermanem Gwadowskim. Nie będzie to długotrwała znajomość.

Angela Robbins była sumienną pielęgniarką i denerwowała się, że nie dotarła jeszcze przedpołudniowa porcja antybiotyków dla Hermana Gwadowskiego. Poszła do recepcjonistki z piątego poziomu zachodniego skrzydła i oświadczyła:

— Czekam nadal na leki dla pana Gwadowskiego. Możesz zadzwonić jeszcze raz do punktu aptecznego?

— Sprawdzalas w dostawie, która przyszła o dziewiątej?

— Nic tam dla niego nie było. Potrzebuje pilnie dożylną dawkę zosynu.

— Och, właśnie sobie przypomniałam. — Recepcjonistka wstała i podeszła do sąsiedniej lady. — Przyniósł to jakiś czas temu asystent z czwartego poziomu.

— Z czwartego poziomu?

— Przesyłkę dostarczono na niewłaściwe piętro. — Recepcjonistka sprawdziła nalepkę. — Gwadowski, sala pięćset dwadzieścia jeden.

— Zgadza się — potwierdziła Angela, zabierając niewielką plastikową torebkę. W drodze do sali przeczytała etykietę, sprawdzając nazwisko pacjenta, składającego zamówienie lekarza i dawkę zosynu, którą dodano do roztworu soli. Wszystko się zgadzało. Osiemnaście lat temu, gdy Angela rozpoczynała pracę jako świeżo upieczona pielęgniarka, można było po prostu wejść do magazynu, wziąć torebkę z płynem dożylnym i dodać do niego odpowiedni lek. Wystarczyło jednak kilka błędów, które popełniły przemęczone pielęgniarki, i parę nagłośnionych przez media procesów, by wszystko się zmieniło. Teraz nawet zwykłą torebkę solanki z dodatkiem potasu należało zamawiać w szpitalnej aptece. Był to kolejny tryb w i tak już dość zbiurokratyzowanej maszynie opieki zdrowotnej. Angela pomyślała z niechęcią, że spowodował godzinne opóźnienie

w dostawie leku.

Przymocowała rurkę, do której podłączony był Herman Gwa-dowski, do nowej torebki i powiesiła ją na statywie. Pacjent leżał cały czas nieruchomo. Od dwóch tygodni był w stanie śpiączki i emanował już zapachem śmierci. Angela była wystarczająco długo pielęgniarką, by rozpoznać tę kwaśną woń, stanowiącą preludium agonii. Gdy ją wyczuła, szeptała do innych pielęgniarek: Ten już długo nie pociągnie. To samo pomyślała w tej chwili, zwiększając szybkość przepływu kroplówki i sprawdzając oznaki życia pacjenta. Ten już długo nie pociągnie.

Zajmowała się nim jednak z taką samą troską, jak innymi chorymi.

Teraz musiała go umyć. Postawiła obok łóżka naczynie z ciepłą wodą, zamoczyła szmatkę i zaczęła wycierać mu twarz. Leżał z otwartymi ustami. Miał wyschnięty i pomarszczony język. Powinni pozwolić mu umrzeć. Uwolnić go od tego piekła. Jego syn nie chciał się na to zgodzić, więc staruszek żył dalej, o ile można nazwać życiem taki stan, gdy serce bije jeszcze w martwym niemal ciele.

Podciągnęła nocną koszulę pacjenta, sprawdzając wkłucie w centralnej żyły. Zmartwiło ją, że rana jest nieco zaczerwieniona. Pacjent miał już tak pokłute ręce, że teraz mogli podawać mu kroplówkę tylko w tym miejscu i Angela bardzo dbała, by często zmieniać opatrunek i nie dopuścić do zakażenia. Teraz też zamierzała założyć mu nowy bandaż.

Przemyśla pacjentowi szmatką klatkę piersiową. Nigdy nie był zapewne muskularnym mężczyzną, a teraz pozostały z niego tylko skóra i kości.

Usłyszawszy kroki, nie była zachwycona, gdy do sali wszedł syn Hermana Gwadowskiego. Jednym spojrzeniem zmusił ją do defensywnej postawy. Był typem człowieka, który zawsze wytyka innym błędy. Często postępował tak wobec siostry. Kiedyś Angela była świadkiem ich kłótni i z trudem się powstrzymała, żeby nie stanąć w obronie dziewczyny. Nie mogła sobie jednak pozwolić na zwracanie mu uwagi, na powiedzenie, co myśli o jego zachowaniu. Nie

musiała też być dla niego zanadto uprzejma. Skinęła więc tylko głową i robiła swoje.

— Jak on się czuje? — spytał Ivan Gwadowski.

— Nic się nie zmieniło. — Jej głos brzmiał chłodno i rzeczowo. Chciała, żeby wyszedł, przestał udawać, że troszczy się o ojca, i pozwolił jej pracować. Była dość spostrzegawcza, by rozumieć, że nie chodzi tu o synowską miłość. Ten człowiek wziął sprawy w swoje ręce, bo miał zwyczaj tak postępować.

Nie pozwalał nikomu przejąć kontroli. Nawet śmierci.

— Czy badał go lekarz?

— Doktor Cordell przychodzi tu codziennie.

— Jak wyjaśnia fakt, że jest nadal w stanie śpiączki?

Angela włożyła szmatkę do naczynia i spojrzała na niego.

— Nie wiem, co mam odpowiedzieć, panie Gwadowski.

— Jak długo to potrwa?

— To zależy od pana.

— Jak mam to rozumieć?

— Nie sądzi pan, że byłoby lepiej pozwolić mu odejść?

Ivan Gwadowski zmierzył ją wzrokiem.

— Tak, to wszystkim ułatwiłoby życie, prawda? Zwolniłoby się łóżko.

— Nie to miałam na myśli.

— Wiem, jak wygląda finansowanie szpitali. Zbyt długi pobyt pacjenta naraża was na koszty.

— Chodzi mi wyłącznie o dobro pańskiego ojca.

— Najlepiej będzie, jeśli zrobicie, co do was należy.

Angela odwróciła się i sięgnąwszy do naczynia po szmatkę, wycisnęła ją drżącymi rękami,

aby nie powiedzieć czegoś, czego musiałaby potem żałować. Nie dyskutuj z nim, nakazała sobie w duchu. Rób swoje. To facet, który nie popuści.

Przytknęła wilgotną szmatkę do brzucha pacjenta i w tym momencie zdała sobie sprawę, że staruszek nie oddycha.

Natychmiast przyłożyła mu rękę do szyi, żeby zbadać puls.

— Co się dzieje? — zaniepokoił się Ivan Gwadowski.

Czy wszystko w porządku?

Nic nie odpowiedziała. Przechodząc obok niego, wybiegła na korytarz.

— Niebieski alert! — krzyknęła. — Ogłosić niebieski alert dla pokoju pięćset dwadzieścia jeden!

Catherine wybiegła z pokoju Niny Peyton i skręciła w sąsiedni korytarz. W sali 521 był już tłum lekarzy i pielęgniarek, a zza drzwi zaglądali tam z przejęciem studenci medycyny.

Catherine przedarła się do środka i zawołała, przekrzykując hałas:

— Co się stało?!

Angela, pielęgniarka Gwadowskiego, wyjaśniła:

— Właśnie przestał oddychać. Nie ma tętna.

Catherine przecisnęła się do łóżka i zobaczyła, że inna pielęgniarka założyła już pacjentowi maskę i włacza mu tlen do płuc. Stażysta uciskał mu rękami klatkę piersiową, pompując krew z serca do tętnic, aby utrzymać przy życiu narządy wewnętrzne i mózg.

— EKG podłączone! — krzyknął ktoś z personelu.

Catherine rzuciła okiem na monitor. Obraz wykazywał migotanie komór serca. Nie kurczyły się już. Drgały tylko pojedyncze mięśnie. Serce stało się zwiotczalym workiem.

— Elektrody naładowane? — spytała Catherine.

— Sto dzuli.

— Zaczynamy!

Pielęgniarka przyłożyła elektrody defibrylatora do torsu pacjenta i krzyknęła:

— Odsunąć się!

Elektryczny impuls wstrząsnął ciałem pacjenta. Podskoczył na łóżku jak kot na gorącym palenisku.

— Nadal migotanie komór!

— Podać dożylnie jeden miligram epinefryny i powtórzyć elektrowstrząsy — poleciła Catherine.

Dawka epinefryny trafiła do żyły pacjenta.

— Wszyscy do tyłu!

Torsem chorego wstrząsnął kolejny impuls.

Wykres EKG na monitorze wykazał raptowny skok, a potem już tylko lekkie drgania. Były to ostatnie uderzenia umierającego serca.

Catherine spojrzała na pacjenta, myśląc: Jak mam wskrzesić tę mumię?

— Chce pani... kontynuować? — spytał stażysta, wykonujący masaż serca. Po policzku spłynęła mu kropla potu.

Wcale nie chciałam utrzymywać go przy życiu, pomyślała i zamierzała powiedzieć mu, żeby przestał, gdy Angela szepnęła jej do ucha:

— Jest tu jego syn. Pilnie wszystko obserwuje.

Catherine rzuciła okiem na stojącego w drzwiach Ivana Gwadowskiego. Nie miała już teraz wyboru. Musieli zrobić wszystko, co się da, bo inaczej ten człowiek obedrze ich ze skóry.

Wykres na monitorze przypominał obraz wzburzonego morza.

— Spróbujmy ponownie — poleciła Catherine. — Tym razem dwieście dzuli. Pobrać natychmiast krew do sprawdzenia poziomu elektrolitów!

Słyszała, jak otwiera się z brzękiem szuflada wózka ze sprzętem reanimacyjnym. Pojawiły się probówki i strzykawka.

— Nie mogę znaleźć żyły!

— Użyj wkłucia od kroplówki.

— Cofnąć się!

Wszyscy zrobili krok w tył, gdy nastąpił kolejny elektrowstrząs.

Catherine wpatrywała się w monitor, mając nadzieję, że szok elektryczny przywróci akcję serca. Tymczasem linia wykresu na monitorze ledwo drgała.

Pacjentowi zaaplikowano przez kroplówkę kolejną dawkę epinefryny.

Stażysta, spocony i czerwony z wysiłku, zaczął uciskać ponownie jego klatkę piersiową.

Ktoś nowy zajął się tłoczeniem tlenu do płuc, ale przypominało to próby ożywienia wyschniętej skorupy. Catherine wyczuwała już zmianę tonu w głosach otaczających ją ludzi. Przestali się spieszyć. Ich słowa brzmiały obojętnie i mechanicznie. Robili swoje, ale wiedzieli, że porażka jest nieunikniona. Rozejrzała się po twarzach stłoczonych wokół łóżka kilkunastu osób i zobaczyła, że nie mają już wątpliwości. Czekali tylko na jej decyzję.

— Alert odwołany — oznajmiła w końcu. — Jedenasta trzynaście.

Wszyscy cofnęli się i patrzyli w milczeniu na Hermana Gwadowskiego, którego ciało stygło w plątaninie przewodów i rurek. Pielęgniarka wyłączyła monitor EKG i obraz z oscyloskopu zniknął.

— A co z rozrusznikiem serca?

Catherine, podpisująca właśnie szpitalny formularz, odwróciła głowę i zobaczyła, że do sali wszedł syn Gwadowskiego.

— Nie ma już dla niego ratunku — oznajmiła. — Bardzo mi przykro. Nie zdołaliśmy przywrócić akcji serca.

— Czy nie używa się do tego rozrusznika?

— Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy...

— Poddaliście go tylko elektrowstrząsom.

Tylko? Rozejrzała się po sali pełnej dowodów ich wysiłków: zużytych strzykawkach, pustych fiolek i zgniecionych opakowań. Takie pobojuwisko pozostawało po każdej walce o życie pacjenta. Wszyscy obecni na sali patrzyli z uwagą, czekając, jak sobie poradzi.

Odłożyła podkładkę, na której pisała, szykując gniewną ripostę. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, rzuciła się do drzwi.

Z oddziału dochodził przeraźliwy krzyk kobiety.

Catherine wybiegła natychmiast z sali, a pielęgniarki pospieszyły za nią. Pędząc po korytarzu, zauważyła salową, która szlochała i wskazywała w kierunku pokoju Niny. Stojące przy drzwiach krzesło było puste.

Powinien tu siedzieć policjant. Gdzie on się podział?

Catherine pchnęła drzwi i zmartwiała.

Zobaczyła najpierw spływające po ścianie strużki krwi, a potem pacjentkę, leżącą twarzą do ziemi. Nina upadła w połowie drogi od łóżka do drzwi, jakby zdołała przejść przedtem kilka kroków. Kroplówka była odłączona i strumień solanki spływał z otwartej rurki na podłogę, tworząc przezroczystą kałużę tuż obok większej kałuży krwi.

To był Chirurg. Zjawił się tutaj.

Miała ochotę natychmiast uciec, ale zmusiła się, by wejść do środka i uklęknąć obok Niny.

Krew, która przesiąkała jej przez spodnie, była jeszcze ciepła. Odwróciła Ninę na plecy.

Wystarczył rzut oka na jej bladą twarz i nieruchome oczy, by wiedzieć, że dziewczyna nie żyje. A jeszcze przed chwilą słyszałam, jak bije ci serce, pomyślała.

Otrząsając się powoli z szoku, Catherine uniosła głowę i zobaczyła wokół siebie przerażone

twarze.

— Gdzie jest policjant? — zapytała.

— Nie wiemy...

Podniosła się niepewnie. Wszyscy rozstąpili się, by ją przepuścić. Nie zważając na to, że zostawia za sobą ślady krwi, wyszła na korytarz i zaczęła gorączkowo się rozglądać.

— O, mój Boże — powiedziała pielęgniarka.

Na końcu korytarza widać było na podłodze powiększającą się ciemną plamę. Spod drzwi magazynu sączyła się krew.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rizzoli spojrzała zza policyjnej taśmy w głąb izolatki Niny Peyton. Zastygłe na ścianie strużki tętniczej krwi wyglądały jak serpentyny. Przeszła korytarzem do magazynu, w którym znaleziono zwłoki policjanta. Wejście zostało również zagrodzone policyjną taśmą. Wewnątrz znajdowało się mnóstwo statywów do kroplówek, półek z kaczkami i basenami oraz pudeł z rękawiczkami. Wszystko było zbryzgane krwią. W tym pomieszczeniu zginął jeden z ich ludzi i dla każdego policjanta z Bostonu polowanie na Chirurga stało się teraz sprawą osobistą.

Rizzoli zwróciła się do stojącego w pobliżu funkcjonariusza.

— Gdzie jest detektyw Moore?

— Na dole, w administracji. Przeglądają taśmy wideo, nagrane przez ochronę szpitala.

Rizzoli rozejrzała się po korytarzu, ale nie zauważyła żadnych kamer. Na tym korytarzu nie mieli podglądu.

Zszedłszy na dół, wślizgnęła się do sali konferencyjnej, gdzie Moore i dwie pielęgniarki oglądali taśmy. Byli tak wpatrzeni w ekran, że w ogóle nie zwrócili na nią uwagi.

Kamera była skierowana na windy na piątym poziomie zachodniego skrzydła. Gdy w jednej z nich otworzyły się drzwi, zatrzymał obraz.

— To pierwsi ludzie wychodzący z windy po ogłoszeniu alertu — poinformował. —

Naliczyłem jedenaście osób. Wszyscy bardzo się spieszą.

— Nic dziwnego — stwierdziła pielęgniarka oddziałowa. — Niebieski alert ogłasza się przez głośniki. Każdy, kto jest wolny, powinien przyjść z pomocą.

— Proszę dobrze się przyjrzeć tym twarzom — powiedział Moore. — Rozpoznaje pani kogoś? Czy któraś z tych osób nie powinna tu być?

— Nie widzę wszystkich twarzy. Wychodzą w grupie.

— A pani, Sharon? — Moore zwrócił się do drugiej pielęgniarki.

Sharon pochyliła się w kierunku monitora.

— Te trzy kobiety to pielęgniarki. Ci dwaj młodzi mężczyźni z boku są studentami medycyny. Rozpoznaję też tego trzeciego mężczyznę... — Pokazała postać u góry ekranu. — To sanitariusz. Pozostali wyglądają znajomo, ale nie znam ich nazwisk.

— W porządku — powiedział Moore znużonym głosem. - Obejrzyjmy resztę taśmy. Potem zajmiemy się kamerą z klatki schodowej.

Rizzoli podsunęła się bliżej i stanęła tuż za pielęgniarką oddziałową.

Moore cofnął taśmę i znów ją włączył. Widoczne na ekranie drzwi windy zasunęły się, a po chwili otworzyły ponownie. Na korytarz wyszło pośpiesznie jedenaście osób. Wyglądali razem jak stwór o wielu nogach. Rizzoli widziała napięcie na ich twarzach i nawet przy wyłączonym dźwięku było jasne, że dzieje się coś dramatycznego. Zniknęli z lewej strony ekranu. Drzwi windy zamknęły się i po chwili otworzyły na nowo. Naliczyła tym razem trzynaście osób. W ciągu niecałych trzech minut na piętro przybyły więc dwadzieścia cztery osoby — i to tylko windą. Ile dostało się tam klatką schodową? Oglądała taśmę z narastającym zdumieniem.

Sprawca wybrał idealny moment. Ogłoszenie niebieskiego alertu przypominało wywołanie lawiny. Gdy dziesiątki osób z całego szpitala spieszyły na piąty poziom zachodniego skrzydła,

ktokolwiek w białym fartuchu mógł się tam wślizgnąć niezauważony. Sprawca stał niewątpliwie w głębi windy, za innymi. Uważał, by nie zarejestrowała go kamera. Mieli do czynienia z kimś, kto orientował się dokładnie w funkcjonowaniu szpitala.

Rizzoli patrzyła, jak znika z ekranu druga grupa ludzi wychodzących z windy. Dwie twarze pozostawały przez cały czas zasłonięte.

Moore zmienił taśmy i zobaczyli inny obraz. Oglądali teraz drzwi prowadzące na klatkę schodową. Przez chwilę nic się nie działo. Nagle drzwi otworzyły się szeroko i wyłonił się przez nie mężczyzna w białym fartuchu.

— Znam go — oznajmiła Sharon. — To Mark Noble, jeden ze stażystów.

Rizzoli wyciągnęła notatnik i zapisała jego nazwisko. Drzwi znów się otworzyły i pojawiły się dwie kobiety w białych fartuchach.

— To Yeronica Tam — powiedziała pielęgniarka oddziałowa, wskazując na niższą z nich. — Pracuje na piątym poziomie.

Miała przerwę, kiedy ogłoszono alert.

— A ta druga kobieta?

— Nie wiem. Nie widać zbyt dobrze jej twarzy.

Rizzoli zanotowała:

10:48, kamera przy klatce schodowej: Yeronica Tam, pielęgniarka, piąty poziom. Nieznana kobieta, brunetka, biały fartuch.

Przez drzwi klatki schodowej przeszło w sumie siedem osób. Pielęgniarki rozpoznały pięć z nich. Rizzoli naliczyła dotychczas trzydzieści jeden osób, które dotarły na piąty poziom zachodniego skrzydła windą lub schodami. Jeśli dodać do tego znajdujący się tam już wcześniej personel, mieli do czynienia z co najmniej czterdziestoma osobami.

— Przyjrzyjmy się teraz ludziom wychodzącym w trakcie alertu i po nim — powiedział

Moore. — Teraz się już nie spieszą. Może uda się ustalić jeszcze parę nazwisk. — Przewinął nagranie osiem minut do przodu. Alert nadal trwał, ale niepotrzebny już personel zaczął opuszczać oddział. Kamera pokazywała tylko plecy ludzi, idących w kierunku klatki schodowej: najpierw dwóch studentów medycyny, a chwilę później trzeciego, niezidentyfikowanego mężczyzny. Potem przez długi czas nic się nie działo, więc Moore przewinął taśmę. O 11:14 wyszła na klatkę schodową grupa czterech mężczyzn. O tej porze było już po alercie. Herman Gwadowski nie żył.

Moore zmienił taśmy. Oglądali znowu windę.

Gdy obejrzeliby wszystko jeszcze raz, Rizzoli miała trzy strony notatek i wyliczyła dokładnie, ile osób dotarło na piąty poziom w czasie alertu. Na wezwanie odpowiedziało trzynastu mężczyzn i siedemnaście kobiet. Teraz sprawdzała, ile osób opuściło oddział po alercie. I coś jej się nie zgadzało.

W końcu Moore wyłączył taśmę i obraz zniknął z ekranu. Wpatrywali się w monitor przez ponad godzinę i obie pielęgniarki były jak odurzone.

Wzdrygnęły się, gdy ciszę przerwał nagle głos Rizzoli.

— Czy podczas waszej zmiany pracują na oddziale jacyś mężczyźni? — spytała.

Pielęgniarka oddziałowa spojrzała na nią, zaskoczona najwyraźniej obecnością nowej osoby.

— O trzeciej przychodzi pielęgniarz, ale na dziennej zmianie nie ma mężczyzn.

— A więc kiedy ogłoszono niebieski alert, na oddziale pracowały same kobiety?

— Mogli tam być stażyści z chirurgii. Ale nie pielęgniarze.

— Jacy stażyści? Pamięta pani?

— Robią obchód. Przychodzą i odchodzą. Nie interesuję się tym. Mamy swoją pracę. —

Spojrzała na Moore'a. — Naprawdę musimy już wracać na oddział.

Moore skinął głową.

— W porządku. Dziękuję.

Rizzoli zaczekała, aż obie pielęgniarki wyjdą, po czym powiedziała do Moore'a:

— Chirurg był na oddziale, zanim ogłoszono alert, prawda?

Moore wstał i podszedł do magnetowidu. Widziała po jego gwałtownych ruchach, że jest wściekły. Wyciągnął z odtwarzacza kasetę i włożył następną.

— Na oddział przybyło trzynastu mężczyzn, a wyszło czternastu. Jeden z nich musiał przez cały czas tam być.

Moore włączył odtwarzanie. Na monitorze pojawił się znów obraz klatki schodowej.

— Niech to szlag, Moore. Crowe odpowiadał za ochronę.

Straciliśmy jedyne świadka.

Nadal nic nie mówił, wpatrując się w ekran i znajome już postacie, pojawiające się w drzwiach klatki schodowej.

— Facet przenika chyba przez ściany — stwierdziła Rizzoli. — Rozpływa się w powietrzu.

Na tym piętrze pracowało dziewięć pielęgniarek i żadna go nie zauważyła. Przecież, do cholery, przez cały czas tam był!

— To tylko jedna z możliwości.

— Więc jak poradził sobie z policjantem? Jakim cudem skłonił go, by pozostawił bez opieki pacjentkę i wszedł do magazynu?

— To musiał być człowiek, którego znał. Albo ktoś, kto nie stanowił zagrożenia.

W zamieszaniu spowodowanym alertem, gdy wszyscy spieszyli ratować ludzkie życie, byłoby rzeczą naturalną, gdyby któryś z pracowników szpitala zwrócił się do stojącego w korytarzu policjanta, by pomógł mu zrobić coś w magazynie.

Moore zatrzymał taśmę.

— Jest — powiedział cicho. — Myślę, że to ten człowiek.

Rizzoli wpatrzyła się w ekran. Był to samotny mężczyzna, który wyszedł na klatkę schodową zaraz po ogłoszeniu alertu. Widzieli go od tyłu. Miał na sobie biały fartuch i czepek, spod którego wystawało pasemko krótko przyciętych kasztanowych włosów. Był szczupłej budowy, dość wąski w ramionach i lekko przygarbiony.

— Widać go tylko tutaj — stwierdził Moore. — Nie wysiadał z windy ani nie wchodził schodami. Ale wychodzi tędy.

Zauważ, jak otwiera biodrem drzwi, nie dotykając ich rękami.

Założę się, że nie zostawił nigdzie odcisków palców. Jest zbyt ostrożny. Zobacz, jak się pochyla, jakby wiedział, że filmuje go kamera. Wie, że go szukamy.

— Znamy jego tożsamość?

— Żadna z pielęgniarek go nie rozpoznała.

— Cholera, był na ich oddziale!

— Jak wiele innych osób. Wszyscy ratowali Hermana Gwadowskiego. Wszyscy oprócz niego.

Rizzoli podeszła do monitora, wpatrując się w samotną postać na korytarzu. Nie widziała twarzy tego człowieka, lecz przeszły ją ciarki, jakby spoglądała w oczy diabłu. Czy to ty jesteś Chirurgiem?

— Nikt go nie pamięta — powiedział Moore. — Nikt nie widział go w windzie. A jednak tu był. Jak duch, który pojawia się i znika, kiedy chce.

— Wyszedł osiem minut po ogłoszeniu alertu — stwierdziła Rizzoli, patrząc na licznik czasu na ekranie. — Dwaj studenci medycyny opuścili oddział tuż przed nim.

— Tak, rozmawiałem z nimi. Mieli wykład o jedenastej.

Dlatego wcześniej wyszli. Nie zauważyli nikogo za sobą.

— A więc nie mamy żadnych świadków.

— Tylko to nagranie.

Rizzoli nadal wpatrywała się w licznik na ekranie. Minęło osiem minut od ogłoszenia alertu. To sporo czasu. Próbowwała wyobrazić sobie, jak wykorzystuje go sprawca. Podchodzi do policjanta: dziesięć sekund. Przekonuje go, by poszedł z nim do oddalonego o parę metrów magazynu: trzydzieści sekund. Podcina mu gardło: dziesięć sekund. Wychodzi, zamyka drzwi, wchodzi do pokoju Niny Peyton: piętnaście sekund. Rozprawia się z drugą ofiarą, wychodzi: trzydzieści sekund. Potrzebuje więc na to wszystko najwyżej dwóch minut. Pozostaje jeszcze sześć. Na co wykorzystał ten czas? Żeby się umyć? Na miejscu zbrodni było dużo krwi. Mógł być nią zbryzgany.

Miał dużo czasu do dyspozycji. Salowa znalazła ciało Niny dopiero dziesięć minut po tym, jak wyszedł na klatkę schodową. Do tego czasu mógł ujechać samochodem parę kilometrów. Idealnie wszystko zaplanował. Działa z precyzją szwajcarskiego zegarka.

Nagle wyprostowała się na krześle, czując się tak, jakby przeszedł ją prąd.

— On wiedział! Chryste, on wiedział, że zostanie ogłoszony niebieski alert. —Widząc chłodną reakcję Moore'a, pojęła, że on też doszedł już do tego wniosku. — Czy Hermana Gwadowskiego ktoś odwiedzał?

— Jego syn. Pielęgniarka była cały czas w sali aż do chwili, gdy pacjent przestał oddychać.

— Co działo się tuż przed ogłoszeniem alertu?

— Zmieniła pojemnik z kroplówką. Posłaliśmy ją do analizy.

Rizzoli spojrzała ponownie na ekran monitora, gdzie widoczny był wciąż obraz zastygłego w bezruchu mężczyzny w białym fartuchu.

— To bez sensu. Po co podejmowałby takie ryzyko?

— Chciał pozbyć się świadka.

— Co Nina Peyton właściwie widziała? Zamaskowaną twarz. Wiedział, że nie potrafi go

zidentyfikować, że nie stanowi dla niego zagrożenia. A jednak zadał sobie wiele trudu, by ją zabić. Mógł zostać schwytyany. Co przez to zyskał?

— Satysfakcję. Dokończył swój rytuał.

— Mógł to zrobić w jej domu. Moore, on tamtej nocy celowo pozostawił ją przy życiu. Co oznacza, że planował uśmiercić ją później.

— W szpitalu?

— Tak.

— W jakim celu?

— Nie wiem. Zastanawia jednak, że chcąc odwrócić od siebie uwagę, wybrał spośród wszystkich chorych na tym oddziale akurat Hermana Gwadowskiego, pacjenta Catherine Cordell. Brzęczyk pagera przerwał ich rozmowę. Moore sięgnął po telefon, a Rizzoli skupiła znów uwagę na monitorze. Włączyła odtwarzanie i patrzyła, jak mężczyzna w białym fartuchu zbliża się do drzwi. Wysunął biodro, by je pchnąć, i wyszedł na klatkę schodową. Nie pozwolił ani przez moment, by kamera uchwyciła choćby fragment jego twarzy. Rizzoli cofnęła taśmę i obejrzała tę sekwencję ponownie. Tym razem, gdy zakręcił lekko biodrem, dostrzegła wyrzuszenie pod białym fartuchem. Było widoczne po prawej stronie, na wysokości talii. Co tam ukrywał? Zmianę odzieży? Narzędzia zbrodni?

Słyszała, jak Moore mówi do telefonu:

— Niczego nie ruszaj! Zostaw wszystko tak, jak jest! Już jadę.

Gdy skończył, Rizzoli zapytała:

— Kto to był?

— Catherine. Dostała właśnie kolejną wiadomość.

— Przyszła z wewnętrzną korespondencją — oznajmiła Catherine. — Jak tylko zobaczyłam kopertę, wiedziałam, że to od niego.

Rizzoli patrzyła, jak Moore wkłada rękawiczki. Pomyślała, że to zbędne środki ostrożności, gdyż Chirurg nigdy nie zostawiał odcisków. Na dużej brązowej kopercie widniał u góry wykaligrafowany niebieskim atramentem napis Dla Catherine Cordell z życzeniami urodzinowymi. A.C.

Andrew Capra, pomyślała Rizzoli.

— Nie otwierałaś tego? — spytał Moore.

— Nie. Położyłam kopertę na biurku i zadzwoniłam do ciebie.

— Grzeczna dziewczynka.

Zdaniem Rizzoli zabrzmiało to protekcyjnie, ale Catherine najwyraźniej nie poczuła się urażona i posłała Moore'owi niepewny uśmiech. Rizzoli wyczuła z bolesną nutą zazdrości pulsujące między nimi wibracje. Sprawy zaszły dalej, niż sądziłam, uznała.

— Wygląda na pustą — stwierdził Moore, otwierając kopertę. Rizzoli podsunęła mu kartkę białego papieru, aby wysypał na nią zawartość przesyłki.

Gdy odwrócił kopertę do góry nogami, wyleciały z niej jedwabiste i lśniące rudobrązowe loki. Rizzoli przeszedł po plecach dreszcz.

— To chyba ludzkie włosy.

— O Boże. O Boże...

Rizzoli zobaczyła, że Catherine cofa się z przerażeniem. Spojrzała na nią, a potem na zawartość koperty. To przecież jej włosy, pomyślała.

— Catherine — powiedział Moore cichym, uspokajającym głosem — może to wcale nie twoje.

Spojrzała na niego z paniką w oczach.

— A jeśli tak? W jaki sposób on...

— Trzymasz szczotkę do włosów w szpitalnej szafce? Albo w gabinecie?

— Moore — wtrąciła Rizzoli. — Sprawdźcie te włosy. Nie pochodzą ze szczotki. Mają poobcinane cebulki. — Zwróciła się do Catherine. — Kto ostatnio panią strzygł, doktor Cordell? Catherine podeszła powoli do leżących na blacie włosów, przyglądając się im jak jadowitej żmii.

— Wiem, kiedy to zrobił — oznajmiła cicho. — Przypomniałam sobie.

— Kiedy?

— Tamtej nocy... W Savannah. — Rizzoli zobaczyła na jej twarzy wyraz zdumienia.

— Detektyw Singer potwierdza, że doktor Cordell obciął kosmyk włosów — powiedziała Rizzoli, odkładając słuchawkę i patrząc na Moore'a.

— Czemu nie wspomniał o tym w swoim raporcie?

— Doktor Cordell zauważyła to dopiero w drugim dniu pobytu w szpitalu, gdy spojrzała w lustro. Ponieważ Capra nie żył, a na miejscu zbrodni nie znaleziono włosów, Singer zakładał, że obciął je jej ktoś z personelu medycznego. Może wtedy, gdy trafiła na ostry dyżur. Miała posiniaczoną twarz, pamiętasz? Mogli skrócić jej włosy, opatrując głowę.

— Czy Singer to potwierdził?

Rizzoli rzuciła ołówek i odparła z westchnieniem:

— Nie. Nawet nie próbował.

— Pozostawił sprawę niewyjaśnioną? Nie wspomniał o tym w raporcie, bo nie było sensu.

— Rzeczywiście. Dlaczego nie znaleziono tych włosów na miejscu zbrodni, obok ciała Capry?

— Catherine niewiele pamięta z tamtej nocy. Była pod działaniem rohypnolu. Capra mógł wyjść z domu, a później wrócić.

— W porządku. A więc podstawowe pytanie brzmi: skoro Capra nie żyje, w jaki sposób ten kosmyk trafił w ręce Chirurga?

Moore nie potrafił na to odpowiedzieć. Co łączyło ze sobą dwóch zabójców, żywego i martwego? Nie chodziło tylko o duchowy związek. Miał on teraz fizyczny wymiar. Widzialny i namacalny.

Spojrzał na torebki z materiałem dowodowym. Na jednej widniał napis: Niezidentyfikowane kosmyki włosów. W drugiej była próbka kasztanowych włosów Catherine. Sam je obciął i umieścił w przezroczystym woreczku. Włosy stanowiły rzeczywiście kuszącą pamiątkę. Były czymś bardzo osobistym, z czym kobieta nie rozstawała się nawet nocą. Co miało charakterystyczny dla niej zapach i kolor, co stanowiło esencję kobiecości. Nic dziwnego, że Catherine była przerażona, dowiedziawszy się, iż obcy mężczyzna wszedł w ich posiadanie, gładził je i napawał się ich wonią jak kochanek.

Chirurg musiał już dobrze znać jej zapach, uznał.

Dochodziła północ, ale w mieszkaniu Catherine nadal paliły się światła. Moore widział jej sylwetkę za zaciągniętymi zasłonami.

Podszedł do zaparkowanego przed domem radiowozu i pochyliwszy się, zapytał dwóch siedzących w nim policjantów:

— Coś się dzieje?

— Od powrotu do domu nigdzie nie wychodziła. Kręci się wciąż po mieszkaniu. Zdaje się, że czeka ją bezsenna noc.

— Pójdę z nią porozmawiać — oznajmił Moore, zamierzając przejść przez ulicę.

— Zostanie pan do rana?

Moore przystanął i odwrócił się do policjanta, mierząc go wzrokiem.

— Słucham?

— Pytam, czy zostanie pan do rana? Bo jeśli tak, zawiadomimy następnego patrol. Żeby wiedzieli, że jest z nią nasz człowiek.

Moore stłumił w sobie gniew. Pytanie policjanta było logiczne, więc czemu tak impulsywnie zareagował?

Ponieważ wiem, jak to musi wyglądać. Ostatecznie wchodzę o północy do jej mieszkania.

Wiem, co sobie myślą. To samo co ja.

Catherine powitała go pytającym spojrzeniem. Skinął ponuro głową, mówiąc:

— Niestety, laboratorium potwierdziło, że to twoje włosy.

Przyjęła tę wiadomość w milczeniu.

W kuchni zagwizdał czajnik. Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Zamykając za sobą drzwi, Moore zauważył nowy lśniący zamek. Nawet stalowy rygiel wydawał się mało skuteczny wobec przeciwnika, który potrafił przenikać przez ściany. Podążył za Catherine do kuchni i patrzył, jak wyłącza gaz pod czajnikiem. Sięgając do pudełka z torebkami herbaty, rozsypała je na blacie. Ten drobny incydent wyprowadził ją z równowagi.

Opuściła głowę, zaciskając dłonie na blacie. Starła się pohamować płacz, nie chcąc rozkleić się na jego oczach, ale przychodziło jej to z trudem. Widział, jak wciąga głęboko powietrze, Jak kuli ramiona, tłumiąc szloch.

Nie mógł tego dłużej znieść. Podeszedł do niej i przygarnął ją do siebie. Drżała w jego objęciach. Przez cały dzień myślał, żeby ją przytulić. Marzył o tym. Nie chciał, żeby stało się to w ten sposób, by popchnął ją w jego ramiona strach. Pragnął stać się dla niej czymś więcej niż bezpieczną przystanią.

Ale teraz tego właśnie potrzebowała. Wziął ją więc w ramiona, osłaniając przed koszmarami nocy.

— Czemu to się powtarza? — wyszeptała.

— Nie wiem, Catherine.

— To Capra...

— Nie. On nie żyje. — Ujął w dłonie jej wilgotną twarz, by spojrzeć mu w oczy. — Andrew Capra nie żyje.

Znieruchomiała nagle w jego objęciach.

— Więc dlaczego Chirurg wybrał właśnie mnie?

— Tylko ty możesz to wiedzieć.

— Nie wiem.

— Może sobie tego nie uświadamiasz. Sama mi mówiłaś, że nie pamiętasz wszystkiego, co zdarzyło się w Savannah. Nie pamiętasz, jak oddałaś drugi strzał, ani kto i kiedy obciął ci włosy.

Czego jeszcze sobie nie przypominasz?

Pokręciła głową i wzdrygnęła się nagle na dźwięk pagera.

Dlaczego nie dadzą mi spokoju? — pomyślał Moore, podchodząc do telefonu w kuchni, by odpowiedzieć na wezwanie.

Rizzoli powitała go słowami, które brzmiały niemal jak oskarżenie:

— Jesteś u niej.

— Zgadłaś.

— Nie. Mam na wyświetlaczu numer, z którego dzwonisz.

Jest północ. Zastanowiłeś się, co robisz?

— Czego właściwie chcesz? — spytał z rozdrażnieniem.

— Czy ona słucha?

— Nie.

Widział, jak Catherine wychodzi z kuchni. Bez niej zrobiło się tam nagle pusto i nieciekawie.

— Myślałam o tych obciętych włosach. Widzę jeszcze jedno wyjaśnienie, skąd się wzięły.

— A mianowicie? .

— Sama je sobie przysłała.

— Chyba nie mówisz poważnie.

— A ja się dziwię, że tobie nie przyszło to do głowy.

— Po co miałyby to robić?

— Z tego samego powodu, dla którego ludzie przychodzą z ulicy i przyznają się do zabójstw, których nie popełnili.

Zobacz, jak skupia teraz na sobie uwagę! Także twoją. Jest północ, a ty tam siedzisz i się nad nią trzęsiesz. Nie twierdzę, że Chirurg jej nie śledził. Jednak ta historia z włosami daje mi do myślenia. Pora się zastanowić, co tu się jeszcze dzieje.

W jaki sposób Chirurg zdobył te włosy? Czy dał mu je dwa lata temu Capra? Jak to możliwe, skoro leżał martwy na podłodze w sypialni? Zauważyłeś niezgodność jej zeznań z raportem z sekcji zwłok Capry. Oboje wiemy, że nie powiedziała całej prawdy.

— Do zeznań nakłaniał ją detektyw Singer.

— Sądzisz, że je spreparował?

— Pomyśl, pod jaką był presją. Cztery zabójstwa. Wszyscy żądają aresztowania winnego.

Nagle pojawia się wymarzone rozwiązanie: sprawca zostaje zastrzelony przez niedoszłą ofiarę.

Dzięki Catherine Singer zamknął śledztwo, nawet jeśli musiał włożyć w jej usta odpowiednie zeznania. — Moore zamilkł na chwilę. — Musimy się dowiedzieć, co naprawdę zaszło tamtej nocy w Savannah.

— Była tam tylko ona, a twierdzi, że niczego nie pamięta.

— Na razie — powiedział Moore, spoglądając na Catherine, która wróciła właśnie do kuchni.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

— Jest pan pewien, że doktor Cordell się zgadza? — spytał Alex Polocek.

— Czeka obok — odparł Moore.

— Nie zmuszał jej pan? Hipnoza nie zadziała, jeśli pacjent nie chce się jej poddać. Musi w pełni współpracować, inaczej będzie to tylko strata czasu.

Zdaniem Rizzoli tak właśnie było i zgadzało się z nią wielu detektywów z wydziału. Uważali hipnozę za teatralny spektakl, pokaz magii rodem z Las Vegas. Moore podzielał kiedyś ich zdanie.

Do czasu gdy zetknął się z przypadkiem Meghan Florence.

31 października 1998 roku dziesięcioletnia Meghan wracała ze szkoły do domu, gdy zatrzymał się obok niej samochód. Odtąd nie widziano jej żywej.

Jedynym świadkiem porwania był stojący w pobliżu dwunastoletni chłopiec. Widział wyraźnie samochód, opisał jego kształt i kolor, ale nie zapamiętał numeru rejestracyjnego. Po wielu tygodniach, gdy śledztwo nie posuwało się naprzód, rodzice dziewczynki postanowili wynająć hipnotyzera, aby przeprowadził z chłopcem seans. Policja, wyczerpawszy już wszystkie inne możliwości, niechętnie na to przystała.

Moore był obecny podczas tego seansu. Patrzył, jak Alex Polochek delikatnie wprawia małego pacjenta w stan hipnozy, i słuchał ze zdumieniem, jak chłopiec recytuje spokojnie numer rejestracyjny samochodu.

Ciało Meghan Florence znaleziono dwa dni później, zakopane na podwórku obok domu porywacza.

Moore miał nadzieję, że Polochek w równie magiczny sposób przywróci teraz pamięć Catherine Cordell.

Obaj mężczyźni stali obok sali terapeutycznej, patrząc przez lustrzaną szybę na Catherine i Rizzoli. Catherine wydawała się niespokojna. Kręciła się na krześle i spoglądała w lustro, jakby wiedziała, że jest obserwowana. Na stoliku obok niej stała nietknięta filiżanka herbaty.

— Ma bolesne wspomnienia — stwierdził Moore. — Może i chce współpracować, ale nie

będzie to dla niej przyjemne.

Gdy została napadnięta, była jeszcze pod działaniem rohypnolu.

— Mgliste wspomnienia sprzed dwóch lat? W dodatku, jak pan twierdzi, jeszcze potem zniekształcone.

— Detektyw z Savannah mógł jej zasugerować parę rzeczy podczas przesłuchania.

— Wie pan, że nie jestem cudotwórcą. To, co tu usłyszymy, nie może być uznane za dowód w sądzie. Jej przyszłe zeznania byłyby nieważne.

— Wiem.

— Mimo wszystko pan się decyduje?

— Tak.

Moore otworzył drzwi i weszli razem do sali terapeutycznej.

— Catherine — powiedział. — Oto człowiek, o którym ci opowiadałem. Alex Polochek, hipnotyzer z Wydziału Policji w Bostonie.

Catherine zaśmiała się nerwowo, podając mu rękę.

— Przepraszam — rzekła. — Nie bardzo wiedziałam, czego się spodziewać.

— Myślała pani, że będę miał czarny kapelusz i czarodziejską różdżkę? — spytał Polochek.

— To idiotyczne, ale chyba tak.

— A tymczasem zjawił się pulchny, łysy facet.

Roześmiała się znowu, trochę już rozluźniona.

— Nigdy nie była pani poddawana hipnozie? — zapytał.

— Nie. Szczerze mówiąc, wątpię, czy to się uda.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie bardzo w to wierzę.

— Jednak zgodziła się pani spróbować.

— Detektyw Moore uznał, że powinnam.

Polocek usiadł na krześle naprzeciw Catherine.

— Doktor Cordell. Nie musi pani wierzyć w hipnozę, żeby sesja się udała. Ale musi pani tego chcieć. Proszę mi zaufać, odprężyć się i pozwolić się wprowadzić w hipnotyczny trans.

Przypomina bardzo pierwszą fazę snu. Obiecuję, że pani nie zaśnie i będzie świadoma tego, co się dzieje. Zrelaksowawszy się, potrafi pani sięgnąć do zakamarków pamięci, do których normalnie nie ma dostępu. To tak jakby otwierała pani szufladki w mózgu i wyciągała schowane w nich dokumenty.

— W to właśnie nie wierzę — że hipnoza przywróci mi pamięć.

— Nie przywróci. Odświeży.

— No dobrze, odświeży. Wydaje mi się nieprawdopodobne, że przypomnę sobie w ten sposób coś, czego nie potrafię odtworzyć świadomie.

Polocek skinął głową.

— Pani sceptycyzm jest uzasadniony. To brzmi mało wiarygodnie, prawda? Dam pani przykład, w jaki sposób blokowana jest pamięć. Nazywa się to „prawem odwrotnej reakcji. Im bardziej próbujemy coś sobie przypomnieć, tym rzadziej się nam udaje. Na pewno sama pani tego doświadczyła. Jak wszyscy. Widzimy, na przykład, w telewizji, sławną aktorkę i wiemy, że znamy jej nazwisko, ale umknęło nam z pamięci. Doprowadza nas to do szału. Męczymy się przez godzinę i zastanawiamy, czy nie mamy choroby Alzheimera. Zdarza się to pani, prawda.

— Regularnie — odparła z uśmiechem Catherine. Polocek najwyraźniej wzbudził jej sympatię. To był dobry początek.

— W końcu przypomina pani sobie nazwisko aktorki? - zapytał.

— Tak.

— A kiedy to się dzieje?

— Kiedy przestaję się nad tym głowić. Gdy się odprężę i myślę o czymś innym. Albo gdy leżę w łóżku przed zaśnięciem.

— Właśnie. Kiedy się pani zrelaksuje, ta zamknięta szuflada w mózgu w magiczny sposób sama się otwiera. Czy teraz jest pani bardziej przekonana do hipnozy?

Catherine skinęła głową.

— Pomożemy się pani odprężyć i sięgnąć do tej szuflady.

— Nie wiem, czy zdołam się dostatecznie rozluźnić.

— Co pani nie odpowiada? Ten pokój? Niewygodny fotel?

— Nie. — Spojrzała niepewnie na kamerę wideo. — Chodzi o widownię.

— Detektywi Moore i Rizzoli wyjdą stąd. A co do kamery, to tylko martwy przedmiot.

Mechaniczne urządzenie. Proszę traktować ją w ten sposób.

— Dobrze...

— Coś jeszcze panią dręczy?

Milczała przez chwilę, po czym powiedziała cicho:

— Boję się.

— Mnie?

— Nie. Przeżywania wszystkiego od nowa.

— Nigdy bym do tego nie dopuścił. Detektyw Moore po wiedział mi, co panią spotkało. Nie będziemy wskrzeszać przeszłości. Podejmiemy do tego w inny sposób, żeby strach nie blokował pani wspomnień.

— Skąd pewność, że będą rzeczywiste, a nie zmyślone?

Polocek zastanawiał się przez moment.

— Jest to pewien problem. Minęło dużo czasu. Musimy zrobić, co się da. Powiem szczerze, że niewiele wiem o pani przypadku. Dzięki temu nie będę mógł niczego sugerować. Powiedziano

mi tylko, że do zdarzenia doszło dwa lata temu, że została pani napadnięta i odurzona rohypnolem. Poza tym poruszam się po omacku. Będę słuchał tego, co pani powie. Mam jedynie pomóc w otwarciu zamkniętej szuflady.

— Chyba jestem gotowa — stwierdziła z westchnieniem.

Polocek spojrział na parę detektywów.

Moore skinął głową i wyszedł razem z Rizzoli z pokoju.

Patrzyli zza szyby, jak Polocek wyciąga pióro i kartkę papieru, kładąc je na stole obok siebie. Zadał Catherine jeszcze kilka pytań. Co robiła, chcąc się odprężyć? Czy jest jakieś miejsce albo wspomnienie, które szczególnie ją uspokaja?

— W dzieciństwie jeździłam latem do dziadków w New Hampshire — powiedziała. — Mieli domek nad jeziorem.

— Proszę mi go dokładnie opisać.

— Był mały, pograżony w ciszy, z wielkim gankiem wychodzącym na jezioro. Obok rosły krzaki dzikich malin. Lubiłam je zrywać. A przy ścieżce prowadzącej na przystań babcia sadziła liliowce.

— A więc pamięta pani maliny i kwiaty.

— Tak. I wodę. Uwielbiam wodę. Kąpałam się zawsze na przystani.

— Dobrze wiedzieć. — Zanotował coś, po czym odłożył pióro. — W porządku. Proszę trzy razy wciągnąć głęboko powietrze i powoli je wypuścić. Świetnie. A teraz niech pani zamknie oczy i skoncentruje uwagę na moim głosie.

Moore widział, jak Catherine opadają powoli powieki.

— Zaczynaj nagrywać — powiedział do Rizzoli.

Włączyła magnetowid i taśma zaczęła się przesuwać.

W sąsiednim pokoju Polocek starał się całkowicie zrelaksować Catherine. Czuła ustępujące

napięcie najpierw w palcach u nóg, a potem w łydkach.

— Naprawdę wierzysz w te bzdury? — spytała Rizzoli.

— Widziałem, że to działa.

— Może i tak. Już chce mi się spać.

Spojrzał na Rizzoli, która stała z założonymi rękami, wydymając sceptycznie dolną wargę.

— Lepiej patrz — powiedział.

— Kiedy zaczniesz unosić się w powietrzu?

Polocek rozluźniał stopniowo coraz wyższe partie ciała Catherine: uda, plecy i ramiona.

Ręce zwisały jej już swobodnie u boków. Twarz miała spokojną i pogodną. Oddychała równomiernie i głęboko.

— Wyobraźmy sobie teraz twoje ulubione miejsce — powiedział. — Domek dziadków nad jeziorem. Stoisz na wielkim ganku i patrzysz na jezioro. Jest ciepły, bezwietrzny dzień.

Słychać tylko świergot ptaków. Jest cicho i spokojnie. Słońce skrzy się w wodzie...

Na twarzy Catherine pojawił się wyraz takiej błogości, że Moore z trudem ją poznawał.

Emanowało z niej ciepło i dziecięca bez troska. Pomyślał, że widzi dziewczynkę, którą kiedyś była. Zanim utraciła niewinność i przeżyła rozczarowania dojrzałego wieku. Zanim Andrew Capra wycisnął swe piętno na jej duszy.

— Woda jest taka kusząca, taka piękna — mówił Polocek. — Schodzisz po schodach z ganku i idziesz ścieżką w kierunku jeziora.

Catherine siedziała nieruchomo, całkowicie odprężona, z rękami na brzuchu.

— Masz pod stopami miękką ziemię, słońce ogrzewa ci plecy, ptaki śpiewają na gałęziach.

Jesteś zupełnie rozluźniona. Ogarnia cię coraz większy spokój. Po obu stronach ścieżki rosną kwiaty. Liliowce. Upajasz się ich słodkim zapachem. To niezwykła, magiczna woń, która cię usypia. Z każdym krokiem twoje nogi stają się coraz bardziej ociężałe. Zapach kwiatów działa

jak narkotyk. Odpręża cię. Słoneczne promienie po zbawiają twoje mięśnie resztek napięcia.

Zbliżasz się do brzegu jeziora i widzisz na przystani małą łódkę. Podchodzisz do niej.

Tafla jeziora jest gładka jak szkło. Jak lustro. Łódka unosi się spokojnie na wodzie. Jest magiczna. Może zabrać cię, dokąd tylko zechcesz. Musisz tylko do niej wsiąść. Podnieś prawą nogę i zrób to.

Moore zobaczył, że Catherine rzeczywiście unosi prawą stopę kilkanaście centymetrów nad podłogę.

— W porządku. Wejdź prawą nogą do łodzi. Jest stabilna i bezpieczna. Ani trochę się nie boisz. Teraz wsadź także lewą nogę.

Catherine uniosła znad podłogi lewą stopę i opuściła ją powoli.

— Jezu, aż trudno uwierzyć — powiedziała Rizzoli.

— Widzisz to na własne oczy.

— Tak, ale skąd mam wiedzieć, czy jest naprawdę zahipnotyzowana? Może tylko udaje?

— Może.

Polocek nachylił się w kierunku Catherine, ale nie dotykał jej, operował tylko głosem, by oddziaływać na nią w transie.

— Odcumowujesz łódkę. Kołysz się teraz swobodnie na wodzie. Panujesz nad sytuacją.

Musisz tylko pomyśleć o jakimś miejscu, a magiczna łódź cię tam zabierze.

Polocek spojrział w lustrzaną szybę i skinął głową.

— Teraz cofnie się w czasie — wyjaśnił Moore.

— W porządku, Catherine. — Polocek zanotował na kartce, o której godzinie wprowadził ją w trans hipnotyczny. — Przeniesiesz się teraz w inne miejsce i czas. Panujesz całkowicie nad sytuacją. Widzisz, jak nad wodą unosi się mgła, ciepła i delikatna. Czujesz ją na twarzy. Łódź wpływa w tę mgłę.

Dotykasz wody. Jest jak jedwab. Mgła zaczyna się podnosić i tuż przed sobą widzisz na brzegu dom. Ma tylko jedne drzwi.

Moore przyłgął w napięciu do szyby. Czuł, jak mocno bije mu serce.

— Łódka przybija do brzegu. Wsiadasz, idziesz ścieżką w kierunku domu i otwierasz drzwi. W środku znajduje się pojedynczy pokój, z ładnym grubym dywanem i fotelem. Zasiadasz w nim. Jest nadzwyczaj wygodny. Czujesz się całkowicie odprężona. I panujesz nad sytuacją. Catherine westchnęła głęboko, jakby rozciągnęła się na miękkich poduszkach.

— Patrzysz teraz na ścianę przed sobą i widzisz ekran. Ma magiczne właściwości, bo może odtwarzać sceny z twojego życia. Pozwala ci cofnąć się w czasie. Sama to kontrolujesz. Przesuwasz obraz do przodu lub do tyłu. Możesz zatrzymać go w dowolnym momencie. Jak tylko chcesz. Spróbujmy, jak to działa. Wróćmy do twego szczęśliwego dzieciństwa. Do domku dziadków nad jeziorem. Zrywasz maliny. Widzisz to na ekranie?

Catherine długo nie odpowiadała. Gdy wreszcie się odezwała, jej głos był tak cichy, że Moore ledwie go usłyszał.

— Tak. Widzę.

— Co teraz robisz? — spytał Polochek.

— Trzymam w rękach papierową torebkę. Wkładam do niej maliny.

— Zjadasz je?

Na jej twarzy pojawił się rozmarzony uśmiech.

— O, tak. Są słodkie. I ciepłe od słońca.

Moore zmarszczył brwi. Tego się nie spodziewał. Czuła smak i dotyk, a to znaczyło, że przeżywała na nowo zdarzenia z przeszłości. Nie patrzyła jedynie na obraz na ekranie. Brała udział w tym, co się działo. Zauważył, że Polochek spogląda z niepokojem w jego kierunku.

Wybrał tę metodę, by Catherine mogła podejść z dystansem do swych traumatycznych

doświadczeń. Ale jego rachuby zawiodły. Zastanawiał się, co robić dalej.

— Catherine — powiedział — skoncentruj uwagę na fotelu, na którym siedzisz. Opierasz się o niego wygodnie plecami i patrzysz na ekran. Zauważ, jaki jest miękki. Czujesz to?

— Tak — odparła po chwili.

— W porządku. Zostaniesz w tym fotelu. Nie opuścisz go.

Obejrzymy na magicznym ekranie inną scenę z twojego życia. Będziesz ciągle siedziała i czuła pod plecami miękkie oparcie.

A to, co zobaczysz, to tylko film. Jasne?

— Tak.

— A więc zaczynamy. — Polocek wziął głęboki oddech. - Wrócimy do tego, co zaszło nocą piętnastego czerwca w Savannah. Wtedy, gdy Andrew Capra zapukał do twoich frontowych drzwi. Powiedz mi, co dzieje się na ekranie.

Moore patrzył w napięciu, wstrzymując niemal oddech.

— On stoi na moim ganku — powiedziała Catherine. - Mówi, że musi ze mną porozmawiać.

— O czym?

— O błędach, które popełnił w szpitalu.

Jej dalsza relacja zgadzała się z tym, co usłyszał w Savannah detektyw Singer. Niechętnie zaprosiła Caprę do domu. Była upalna noc. Powiedział, że chce mu się pić, więc poczęstowała go piwem. Sobie też otworzyła butelkę. Był zdenerwowany, zmartwiony o swoją przyszłość.

Przyznał, że popełniał błędy. Ale czy nie zdarzało się to wszystkim lekarzom? Zmarnuje swoje zdolności, jeśli zostanie skreślony. Znał studenta medycyny z Emory, zdolnego młodego człowieka, który musiał pożegnać się z karierą z powodu jednego tylko uchybienia. To niesprawiedliwe, że Catherine ma moc decydowania o czyimś losie. Ludziom należy dawać szansę.

Próbowała przekonać go do swoich racji, ale słyszała, że narasta w nim gniew, i widziała, jak drżą mu ręce. W końcu wyszła do toalety, aby miał czas się uspokoić.

— A co się działo, gdy wróciłaś? — spytał Polocek. — Co widzisz na filmie?

— Andrew jest spokojniejszy. Mniej zdenerwowany. Mówi, że rozumie mój punkt widzenia.

Uśmiecha się do mnie, gdy dopijam piwo.

— Uśmiecha się?

— Jakoś tak dziwnie. Podobnie jak wtedy, w szpitalu...

Moore słyszał jej przyspieszony oddech. Nawet jako postronny widz nie potrafiła patrzeć obojętnie na zbliżający się koszmar.

— Co następuje potem?

— Zasypiam.

— Widzisz to na ekranie?

— Tak.

— A później?

— Nie widzę już nic. Ekran jest czarny.

To przez rohypnol. Ma luki w pamięci.

— W porządku — stwierdził Polocek. — Przewińmy ten fragment. Przejdź do następnej części filmu. Do kolejnej sceny, która pojawia się na ekranie.

Catherine zaczęła nagle dyszeć.

— Co widzisz?

— Leżę na łóżku... w mojej sypialni. Nie mogę poruszać rękami ani nogami.

— Czemu?

— Jestem przywiązana do łóżka. Zupełnie naga. A on leży na mnie. Czuję go w sobie. Czuję, jak się porusza...

— Andrew Capra?

— Tak. Tak... — Oddychała teraz nierównomiernie. Strach ścisnął ją za gardło.

Moore miał także przyspieszony oddech. Zacisnął dłonie w pięści i chciał walić nimi w szybę, aby natychmiast przerwać ten seans. Nie mógł tego słuchać. Nie powinni jej zmuszać, żeby przeżywała na nowo sceny gwałtu.

Polocek był świadomy zagrożenia i odciągnął ją szybko od bolesnych wspomnień.

— Siedzisz nadal w fotelu i patrzysz na ekran — powiedział. — To tylko film, Catherine. To się przydarza komuś innemu. Jesteś bezpieczna. Spokojna. Nic ci nie grozi.

Zaczęła znowu równomiernie oddychać. Moore także.

— W porządku. Oglądajmy film. Zwracaj uwagę na to, co ty robisz, a nie Andrew. Powiedz mi, co się dalej dzieje.

— Ekran znów jest czarny. Nic nie widzę.

Rohypnol ciągle jeszcze działa.

— Przewiń taśmę do następnej sceny. Co tam widać?

— Światło. Widzę światło...

Polocek milczał przez chwilę.

— Obejmij wzrokiem cały pokój. Co widzisz teraz na ekranie?

— Na nocnej szafce leżą różne przedmioty.

— Jakie?

— Narzędzia. Skalpel. Widzę skalpel.

— Gdzie jest Andrew?

— Nie wiem.

— Nie ma go w pokoju?

— Wyszedł. Słyszę, jak leje się woda.

— Co się dalej dzieje?

Oddychała znów szybko i drżał jej głos.

— Szarpię więzy. Próbuję się uwolnić. Nie mogę poruszać nogami. Ale na prawym przegubie sznur jest luźny. Rozciągam go z całej siły, chociaż krwawi mi ręka.

— Andrew nadal nie ma w pokoju?

— Słyszę jego głos i śmiech, ale jest w innej części domu.

— Co się dzieje ze sznurem?

— Robi się śliski od krwi i udaje mi się uwolnić rękę...

— I co wtedy?

— Sięgam po skalpel. Przycinam sznur na drugim przegubie.

Wszystko trwa tak długo. Czuję mdłości. Ręce odmawiają mi posłuszeństwa. Są ociężałe.

Robi mi się na przemian ciemno i jasno przed oczami. Słyszę ciągle jego głos. Uwalniam z więzów lewą stopę. W tym momencie rozlegają się jego kroki.

Próbuję podźwignąć się z łóżka, ale mam ciągle skrępowaną prawą kostkę. Przewracam się na bok i upadam na podłogę.

Twarzą w dół.

— A potem?

— Andrew stoi w drzwiach. Jest zaskoczony. Sięgam pod łóżko i znajduję broń.

— Była tam schowana?

— Tak. To pistolet ojca. Ale mam zdrętwiałą rękę i nie mogę go utrzymać. Znów ciemnieje mi w oczach.

— Gdzie jest Andrew?

— Idzie w moim kierunku...

— I co się dzieje, Catherine?

— Trzymam w ręku broń. Rozlega się huk.

— Pistolet wypalił?

— Tak.

— Ty z niego strzeliłaś?

— Tak.

— Co robi Andrew?

— Upada. Trzyma się za brzuch. Przez palce cieknie mu krew.

— Co dzieje się potem?

Nie ma odpowiedzi.

— Catherine? Co widzisz na ekranie?

— Znowu zrobił się czarny.

— A jaka jest następna scena?

— W sypialni widać tłum ludzi.

— Co to za ludzie?

— Policjanci...

Moore omal nie jęknął z rozczarowania. Catherine miała poważną lukę w pamięci. Uderzenie w głowę, w połączeniu z działaniem rohypnolu, pozbawiło ją ponownie przytomności. Nie pamiętała, kiedy strzeliła po raz drugi. Nadal nie wiedzieli, w jaki sposób Andrew Capra skończył z kulą w głowie.

Polocek spojrzał pytająco w kierunku szyby. Czy ma kontynuować?

Ku zaskoczeniu Moore'a, Rizzoli otworzyła nagle drzwi i dała mu znak, żeby wszedł do sąsiedniego pokoju. Polocek zostawił Catherine na chwilę samą.

— Niech przypomni sobie, co się działo, zanim do niego strzeliła. Kiedy leżała jeszcze na łóżku — powiedziała Rizzoli. — Proszę się skoncentrować na tym, co słyszała z sąsiedniego

pokoju: odgłos lejącej się wody, śmiech Capry. Chcę dokładnie wszystko wiedzieć.

— Z jakiegoś szczególnego powodu?

— Niech pan po prostu spróbuje.

Polocek skinął głową i wrócił do sali terapeutycznej. Catherine siedziała nieruchomo, jak na zatrzymanym kadrze.

— Chcę, żebyś cofnęła taśmę — powiedział cicho. — Powrócimy do momentu, zanim padł strzał. Zanim uwolniłaś rękę i stoczyłaś się na podłogę. Leżysz jeszcze na łóżku, a Andrew nie ma w pokoju. Mówiłaś, że słyszysz, jak leci woda.

— Tak.

— Opowiedz mi to dokładnie.

— Słyszę jak syczy, bulgocze i spływa rurami do kanalizacji.

— Andrew leje wodę do umywalki?

— Tak.

— Podobno słyszałaś też śmiech?

— To on się śmieje.

— Mówi coś?

— T...tak.

— Co?

— Nie wiem. Jest zbyt daleko.

— Masz pewność, że to on? Może telewizor?

— Nie. To Andrew.

— Dobrze. Zwolnij taśmę. Oglądaj ją klatka po klatce i opowiadaj, co słyszysz.

— Woda ciągle leci. Andrew mówi: „Spokojnie”.

— Nic więcej?

— Mówi jeszcze „Wypatrz ją, dopadnij i daj jej nauczkę”.

— To jego słowa?

— Tak.

— Co jeszcze słyszysz?

— „Teraz moja kolej, Capra”.

Polocek na chwilę zamilkł.

— Możesz to powtórzyć?

— „Teraz moja kolej, Capra”.

— To mówi Andrew?

— Nie. To nie on.

Moore zamarł, patrząc na siedzącą nieruchomo w fotelu kobietę.

Polocek rzucił zdumione spojrzenie w kierunku szyby i odezwał się znowu:

— Kto wypowiada te słowa, Catherine? Kto mówi „Teraz moja kolej, Capra”?

— Nie wiem. Nie znam tego głosu.

Moore i Rizzoli spojrzeli na siebie.

W domu był jeszcze ktoś.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

On jest teraz z nią.

Rizzoli siekała niezdarnie cebulę na desce do krojenia, rozsypując jej kawałki na podłogę. W sąsiednim pokoju ojciec i dwaj bracia oglądali telewizję. Odbiornik ryczał, jak zawsze, na cały regulator i trzeba było go przekrzykiwać. W domu Franka Rizzoli człowiek musiał wrzeszczeć, żeby go słyszano, i zwykła rodzinna rozmowa brzmiała jak kłótnia. Rizzoli zgarnęła pokrojoną cebulę do miski i zaczęła siekać czosnek, czując pieczenie w oczach i nie mogąc pozbyć się natrętnych myśli na temat Moore'a i Catherine Cordell.

Po seansie hipnotycznym Moore zabrał doktor Cordell do domu. Rizzoli widziała, jak idą razem do windy i jak obejmuje ją ramieniem. Nie był to tylko opiekuńczy gest. Widziała jego roziskrzony wzrok, gdy na nią patrzył. Nie jak policjant na służbie, lecz jak zakochany mężczyzna.

Rizzoli rozdzieliła ząbki czosnku, zmiażdżyła je kolejno krawędzią noża i ściągnęła skórkę. Nóż uderzał tak głośno o deskę do krojenia, że matka stojąca przy kuchence spojrzała na nią podejrzliwie, nic jednak nie mówiąc.

Jest teraz z nią. W jej mieszkaniu. Może nawet w łóżku.

Siekała energicznie czosnek, by rozładować złość. Nie rozumiała, dlaczego świadomość, że Moore jest z Catherine, tak bardzo ją drażni. Może dlatego, że uważała go za jednego z niewielu żyjących świętych, ludzi, którzy zawsze trzymali się zasad. Dawał jej nadzieję, że nie cała ludzkość jest zepsuta, a teraz ją zawiódł.

Może obawiała się, że jego uczuciowe zaangażowanie będzie przeszkadzało w śledztwie. Człowiek w takim stanie nie potrafi myśleć ani działać racjonalnie.

A może jesteś po prostu o nią zazdrosna. Zazdrosna o kobietę, która jednym spojrzeniem potrafi zawrócić mężczyźni w głowie. Faceci lecieli zawsze na babki potrzebujące pocieszenia.

W sąsiednim pokoju jej ojciec i bracia wznosili głośne okrzyki przed telewizorem. Pragnęła wrócić do swego spokojnego mieszkania i szukała wymówki, by jak najszybciej wyjść. Musiała jednak zostać co najmniej na kolację. Mama ciągle jej powtarzała, że Frank junior nieczęsto wpada do domu, a jakże Janie mogłaby nie chcieć spędzić trochę czasu z bratem? Znów będzie musiała wysłuchiwać przez cały wieczór jego opowieści o szkoleniu rekrutów: jaki to nieudany rocznik, jacy zniewieściali są młodzi Amerykanie i ile musi się natrudzić, żeby zrobić z nich żołnierzy. Mama i ojciec wsłuchiwali się w każde jego słowo. Jej pracą nikt się jakoś nie interesował. Twardziel Frankie dotychczas bawił się tylko w wojnę. Ona brała na co dzień udział

w prawdziwej walce z bandytami.

Frankie wszedł pewnym krokiem do kuchni i wziął z lodówki piwo.

— Kiedy kolacja? — zapytał, otwierając puszkę. Traktował ją jak służącą.

— Za godzinę — odpowiedziała matka.

— Chryste, mamó. Już wpół do ósmej. Umieram z głodu.

— Nie przeklinaj, Frankie.

— Jedlibyśmy o wiele wcześniej — odezwała się Rizzoli - gdyby mężczyźni choć trochę nam pomogli.

— Mogę poczekać — stwierdził Frankie. Wracając do pokoju z telewizorem, przystanął na progu. — A, byłbym zapomniał. Masz wiadomość.

— Co?

— Dzwonił do ciebie jakiś Prosty.

— Barry Frost?

— Tak, tak się nazywa. Chciał, żebyś oddzwoniła.

— Kiedy to było?

— Jak przedstawiałaś samochody.

— Cholera, Frankie! Minęła już godzina!

— Janie! — zganiała ją matka.

Rizzoli rozwiązała fartuch i rzuciła go na blat.

— To moja praca, mamó! Dlaczego, do diabła, nikt tego nie uszanuje? — Chwyciła za telefon w kuchni i wystukała numer komórki Barry'ego Frosta.

Odebrał po pierwszym sygnale.

— To ja — powiedziała. — Dopiero dostałam wiadomość, że dzwoniłeś.

— Ominie cię zatrzymanie podejrzanego.

— Co?

— Mamy pozytywny wynik badania DNA z wymazu pobranego z pochwy Niny Peyton.

— Kod z próbki nasienia jest w CODIS?

— Należy do niejakiego Karla Pacheco. Został aresztowany w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku i oskarżony o gwałt, ale go uniewinniono. Twierdził, że stosunek nie był wymuszony. Przysięgli mu uwierzyli.

— To on zgwałcił Ninę Peyton?

— Dowodzi tego badanie DNA.

Rizzoli wykonała triumfalny gest zaciśniętą pięścią.

— Macie adres?

— Czterdzieści pięć, siedemdziesiąt osiem Columbus Avenue. Jesteśmy prawie na miejscu.

— Jadę!

Już w drzwiach usłyszała wołanie matki:

— Janie! A co z kolacją?

— Muszę lecieć, mamó.

— Ale Frankie jutro wyjeżdża!

— Dokonujemy aresztowania.

— Nie mogą się obejść bez ciebie?

Rizzoli przystanęła, trzymając rękę na klamce i czując, że wszystko się w niej gotuje.

Dostrzegła z przerażającą wyrazistością, że bez względu na to, co osiągnie i jak olśniewającą zrobi karierę, dla rodziny pozostanie na zawsze pogardzaną małolatą. Dziewczyną.

Wyszła bez słowa, trzaskając drzwiami.

Columbus Avenue znajdowała się na północnych obrzeżach Roxbury, w samym centrum terenów łowieckich Chirurga. Na południe od niej była usytuowana dzielnica Jamaica Plain,

miejsce zamieszkania Niny Peyton, na południowy wschód — dom Eleny Ortiz, a na północny wschód — Back Bay, gdzie mieszkały Diana Sterling i Catherine Cordell. Patrząc na obsadzone drzewami ulice, Rizzoli widziała rzędy ceglanych domów, zajmowanych przez studentów i pracowników pobliskiego Uniwersytetu Northeastern. Mieszkało tam wiele młodych kobiet. Był to wymarzony teren polowań.

Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na żółte. Czując przyływ adrenaliny, wcisnęła pedał gazu i popędziła naprzód. Powinna dostąpić zaszczytu dokonania tego aresztowania. Od tygodni myślała o Chirurgu dzień i noc. Był obecny w jej życiu na jawie i we śnie. Nikt nie pracował ciężiej, żeby go schwytać. Pędziła teraz po należną jej nagrodę.

Zatrzymała się z piskiem opon za radiowozem, stojącym Jedną przecznicę przed domem Karla Pacheco. Wzdłuż ulicy parkowane były bezładnie jeszcze cztery samochody.

Za późno, pomyślała, biegnąc w kierunku budynku. Weszli już do środka.

Słyszała na klatce schodowej krzyki i tupot nóg. Kierując się tymi odgłosami, popędziła na pierwsze piętro i wpadła do mieszkania Karla Pacheco.

Panował tam totalny bałagan. Na progu leżały połamane kawałki drzwi, a wewnątrz przewracane krzesła i rozbita lampa, jakby przez pokój przegalopowało stado bizonów. Powietrze przenikał ostry zapach testosteronu, wydzielany przez rozsierdzonych policjantów, żądnych krwi człowieka, który przed kilkoma dniami zamordował jednego z ich ludzi.

Na podłodze leżał twarzą do ziemi jakiś mężczyzna. Czarnoskóry, a więc nie był to Chirurg. Crowe przyciskał mu brutalnie obcasem kark.

— Zadałem ci pytanie, dupku — wrzeszczał. — Gdzie jest Pacheco?

Murzyn zaskomlał, niepotrzebnie próbując unieść głowę. Crowe przydepnął mu ją tak mocno, że mężczyzna uderzył podbródkiem o podłogę i wydawszy zdławiony okrzyk, zaczął się szarpać.

— Puść go! — zawołała Rizzoli.

— Będzie się awanturował!

— Zejdź z niego, to może z tobą porozmawia! — Rizzoli odepchnęła Crowe'a na bok.

Zatrzymany odwrócił się na plecy, chwytając powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

— Gdzie jest Pacheco? — wrzasnął Crowe.

— Ni...nie wiem..

— To jego mieszkanie!

— On wyszedł.

— Kiedy?

Mężczyzna zaczął się krztusić. Brzmiało to tak, jakby kaszel rozrywał mu płuca.

Zgromadzeni wokół policjanci patrzyli na niego z nieukrywaną nienawiścią. Był kumplem zabójcy gliniarza.

Rizzoli odwróciła się z odrazą i przeszła korytarzem do sypialni. Drzwi szafy były otwarte, a garderoba leżała na podłodze. Mieszkanie dokładnie zrewidowano, przeszukuj[^] wszystkie zakamarki. Włożywszy rękawiczki, zaczęła trząsać szuflady toaletki i obmacywać kieszenie, mając nadzieję znaleźć jakiś notes czy kalendarz z adresem, pod którym mógł się ukryć Pacheco.

Uniosła wzrok, gdy do sypialni wszedł Moore.

— Ty odpowiadasz za ten bałagan? — zapytała.

Pokręcił głową.

— Przesłał nas tu Marquette. Dostaliśmy informację, że Pacheco jest w tym budynku.

— Więc gdzie się podział? — Zatrzasnęła szufladę i podeszła do okna. Było zamknięte, ale niezaryglowane. Tuż za nim znajdowały się schody przeciwpożarowe. Otworzyła okno i wychyliła głowę. W alejce poniżej stał zaparkowany wóz policyjny z włączoną radiostacją, a jeden z funkcjonariuszy świecił latarką w głąb pojemnika na śmieci.

Miała już cofnąć głowę, gdy poczuła, że coś posypało jej się na kark i usłyszała szmer spadających na schody ziarenek piasku. Spojrzała zdziwiona w górę. Nocne niebo rozświetlała luna miejskich świateł i gwiazdy były prawie niewidoczne. Wpatrywała się przez chwilę w kontur dachu, ale nic się tam nie poruszało.

Wyszła przez okno na schody przeciwpożarowe i zaczęła się wspinać na drugie piętro.

Przystanęła na kolejnym podejściu, by sprawdzić okno w mieszkaniu u góry. Żaluzja była przybita gwoździami, a wewnątrz panowały ciemności.

Spojrzała ponownie w kierunku dachu. Niczego nie widziała ani nie słyszała, ale włosy jeżyły jej się na karku.

— Rizzoli? — zawołał z okna Moore. W milczeniu wskazała na dach, dając mu do zrozumienia, co zamierza.

Wytarła o spodnie wilgotne dłonie i zaczęła wchodzić powoli po drabinie do góry. Na ostatnim stopniu przystanęła, wzięła głęboki oddech i wysunęła ostrożnie głowę ponad krawędź dachu.

W bezksiężycową noc widać tam było las cieni. Zobaczyła kontury stołu i krzesel, a także płataninę gałęzi. Na dachu był ogród. Wdrapała się na pokrytą papą płaszczyznę i wyciągnęła broń. Zrobiwszy dwa kroki, kopnęła butem jakiś przedmiot, który potoczył się z łoskotem.

Poczuwszy intensywny zapach pelargonii, zdała sobie sprawę, że wszędzie stoją doniczki z kwiatami. Miała je także pod nogami.

Po lewej stronie coś się poruszyło.

Starła się dostrzec w tym gąszczu cieni ludzką sylwetkę. Zobaczyła w końcu skulonego mężczyznę. Wyglądał jak czarny karzeł.

Uniosła broń i powiedziała:

— Nie ruszać się!

Nie zauważyła, co trzymał w ręce, czym zamierzał w nią rzucić.

Poczuła tylko podmuch powietrza, usłyszała w mroku złowrogi świst i ułamek sekundy później metalowa łopatka uderzyła ją w lewy policzek z taką siłą, że zobaczyła gwiazdy.

Upadła na kolana, czując tak przejmujący ból, że nie mogła złapać tchu.

— Rizzoli? — To był Moore. Nie słyszała nawet, jak wchodził na dach.

— W porządku. Nic mi się nie stało... — Spojrzała z ukosa na miejsce, gdzie czaił się nieznajomy. Nikogo tam nie było. — On tu jest — szepnęła. — Chcę dorwać tego sukinsyna.

Moore zniknął w mroku. Rizzoli trzymała się za głowę, starając się całkiem oprzytomnieć i przeklinając swoją nieostrożność. Z trudem podźwignęła się na nogi. Gniew dodał jej sił. Po chwili stała już pewnie, ściskając w ręce broń.

Moore znajdował się kilka metrów na prawo od niej. Widziała jego sylwetkę na tle stołu i krzesel.

Ruszyła w lewo, obchodząc dach w przeciwnym kierunku. Pulsujący ból w policzku przypominał jej, że spieprzyła sprawę. Tym razem tak nie będzie. Obserwowała czujnie mroczne kontury rosnących w doniczkach drzewek i krzewów.

Usłyszawszy nagle łoskot i tupot nóg, obróciła się w prawo i zobaczyła, że ktoś biegnie po dachu prosto w jej kierunku.

Moore wrzasnął:

— Stać! Policja!

Mężczyzna nie zatrzymał się.

Rizzoli przykucnęła, celując do niego z broni. Czuła narastający ból. Pałała żądzą zemsty za wszystkie upokorzenia, jakich doznawała, codzienne uszczypliwości i zniewagi, których nie szczydzili jej ludzie pokroju Darrena Crowe'a.

Tym razem cię mam, kanalio, pomyślała. Mężczyzna stanął nagle przed nią i podniósł ręce

do góry, ale jej decyzja była nieodwołalna.

Nacisnęła spust.

Mężczyzna zachwiał się.

Strzeliła do niego po raz drugi i trzeci. Szarpnięcia broni sprawiały jej nieklamana satysfakcję.

— Rizzoli! Przestań!

Krzyk Moore'a dotarł w końcu do jej uszu. Zastygła z bronią w ręku, czując ból i napięcie w mięśniach.

Mężczyzna leżał nieruchomo. Wyprostowała się i podeszła powoli do skulonego ciała. Z każdym krokiem narastało w niej przerażenie na myśl o tym, co zrobiła.

Moore klęczał już przy boku mężczyzny, sprawdzając mu puls. Nie widziała w ciemnościach jego twarzy, ale wyczuwała, że rzuca jej oskarżycielskie spojrzenie.

— On nie żyje, Rizzoli.

— Miał coś... w ręce...

— Nieprawda.

— Widziałam. Jestem tego pewna!

— Podniósł ręce do góry.

— Do cholery, Moore! Miałam prawo strzelać! Powinieneś to potwierdzić!

Usłyszawszy nagle głosy innych policjantów, którzy wchodzili na dach, nie zamienili już ze sobą ani słowa.

Crowe oświetlił leżącego latarką. Rizzoli zobaczyła upiorny widok: martwy mężczyzna miał otwarte oczy, a jego koszula była przesiąknięta krwią.

— Hej, to Pacheco! — oznajmił Crowe. — Kto go załatwił?

— Ja — odparła beznamiętnie Rizzoli.

Ktoś poklepał ją po plecach.

— Dzielna policjantka!

— Zamknij się! — odparowała. — Po prostu się zamknij! - Zeszła oszołomiona po schodach przeciwpożarowych i wróciła do samochodu. Usiadła za kierownicą i poczuła mdłości. Wciąż odtwarzała w pamięci to, co zdarzyło się na dachu. Pacheco biegł w jej kierunku. Widziała tylko jego sylwetkę. Nagle się zatrzymał. Tak, stanął i spojrzał na nią.

Chryste, niech znajdą na dachu broń!

Ale przecież on nie był uzbrojony. Zanim strzeliła, znieruchomiał i podniósł ręce do góry.

Ten obraz wrył jej się w pamięć.

Ktoś zapukał w okno samochodu. Barry Frost. Opuściła szybę.

— Marquette cię szuka — oznajmił.

— W porządku.

— Czy coś się stało? Rizzoli, dobrze się czujesz?

— Jakby po twarzy przejechała mi ciężarówka.

Frost pochylił się i spojrzał na jej spuchnięty policzek.

— O kurczę! Dupek sam się prosił, żeby go stuknąć.

Rizzoli też pragnęła wierzyć, że Pacheco zasługiwał na śmierć. Niepotrzebnie się zadreęczała.

Czyż jej twarz nie stanowiła przekonującego dowodu? Zaatakował ją. Był potworem. Strzelając do niego, wymierzyła od ręki sprawiedliwość. Elena Ortiz, Nina Peyton i Diana Sterling z pewnością by to pochwały. Nikt nie opłakuje takich kanalii.

Wysiadła z samochodu. Dzięki Frostowi poczuła się lepiej. Odzyskała siły. Poszła w stronę

budynku i zobaczyła, że Marquette stoi przy frontowych schodach. Rozmawiał z Moore'em.

Obaj odwrócili się do niej. Zauważyła, że Moore unika jej wzroku. Był przybity.

— Musisz mi oddać broń, Rizzoli — oznajmił Marquette.

— Strzelałam w samoobronie. On mnie zaatakował.

— Rozumiem, ale znasz zasady.

Spojrzała na Moore'a. Lubiłam cię i darzyłam zaufaniem. Odpięła kaburę i rzuciła ją w kierunku Marquette'a.

— Zastanawiam się czasem, kto tu jest, do cholery, moim wrogiem — powiedziała i odwróciwszy się, poszła z powrotem do samochodu.

Przyglądając się szafie Karla Pacheco, Moore pomyślał, że coś tu nie gra. Na podłodze leżało kilka par butów numer jedenaście, o szerokiej podeszwie. Na półce znajdowały się zakurzone swetry, pudełko ze zużytymi bateriami i drobniakami oraz plik egzemplarzy Penthouse'a.

Usłyszał, jak ktoś otwiera szufladę, i odwróciwszy się, zobaczył Prosta, który — pracując w rękawiczkach — przetrząsał garderobę Pacheco.

— Znalazłeś coś? — spytał Moore.

— Żadnych skalpeli, chloroformu ani nawet taśmy klejącej.

— Bingo! — obwieścił z łazienki Crowe i wyszedł po chwili, machając przezroczystą torebką z plastikowym fiolkami, zawierającymi brunatny płyn. — Ze słonecznego Meksyku, narkotycznego raj.

— Środki odurzające? — spytał Frost.

— Coś w tym rodzaju. — Moore spojrzał na hiszpańskojęzyczną etykietę. — GHB. Gamma-hydroxybutyrat.

Crowe potrząsnął torebką.

— Wystarczyłoby na co najmniej sto gwałtów. Pacheco musiał być napalony — dodał ze śmiechem.

Moore'a drażniło jego zachowanie. Pomyślał, ile szkód wyrządził Pacheco i jakich dokonał spustoszeń, nie tylko w sensie fizycznym, lecz także duchowym. Ile złamał serc. Pamiętał, co

powiedziała mu Catherine: życie ofiary gwałtu dzieliło się na Przed i po. Świat zgwałconej kobiety jest pełen niepewności i lęku. Każdy uśmiech i każda radosna chwila są naznaczone rozpaczą. Kilka ty godni wcześniej nie zwróciłby uwagi na śmiech Crowe'a. Tego wieczoru dźwięczał mu w uszach i brzmiał odrażająco.

Wszedł do salonu, gdzie detektyw Sleeper przesłuchiwał czarnoskórego mężczyznę.

— Mówię panu, że tylko do niego wpadłem.

— Z sześcioma stówami w kieszeni?

— Człowieku, lubię mieć przy sobie gotówkę.

— Co przyszedłeś kupić?

— Nic.

— Skąd znasz Pacheco?

— Po prostu znam.

— To twój przyjaciel? Co sprzedawał?

GHB, pomyślał Moore. Środek odurzający. Po to właśnie przyszedł. Jeszcze jeden napaleniec.

Gdy znalazł się na zewnątrz, oślepiły go natychmiast pulsujące światła radiowozów.

Samochodu Rizzoli już nie było. Patrzył na puste miejsce, które po nim pozostało, i poczuł nagle na barkach straszliwy ciężar z powodu tego, co musiał zrobić. Nigdy jeszcze nie stanął wobec tak trudnego wyboru. Wiedział w głębi duszy, że postąpił słusznie, ale przeżywał udrękę. Szanował Rizzoli, widział jednak, co stało się na dachu. Mógł jeszcze skorygować to, co usłyszał od niego Marquette. Rzeczywiście było ciemno i Rizzoli mogła sądzić, że Pacheco ma broń. Może dostrzegła jakiś gest czy ruch, który Moore przeoczył. Mimo usilnych starań nie potrafił jednak przypomnieć sobie niczego, co by usprawiedliwiało jej postępowanie. Był świadkiem, jak z zimną krwią dokonała egzekucji.

Gdy zobaczył ją ponownie, siedziała skulona przy biurku, przykładając lód do policzka. Było już po północy i Moore nie miał ochoty na rozmowę. Gdy przechodził obok niej, zmierzyła go wzrokiem i zapytała:

— Co powiedziałeś Marquette'owi?

— To, co chciał wiedzieć. W jaki sposób zginął Pacheco.

Niczego nie ukrywałem.

— Ty sukinsynu!

— Myślisz, że sprawiło mi to przyjemność?

— Miałeś wybór.

— Ty też. Postąpiłaś niewłaściwie.

— Ty nigdy nie podejmujesz niewłaściwej decyzji, prawda? Nigdy nie popełniasz błędów?

— Przynajmniej umiem się do nich przyznać.

— O, tak. Pieprzony święty Tomasz!

Podszedł do jej biurka i spojrzał na nią z góry.

— Jesteś znakomitą policjantką. Jednak dziś byłem świadkiem, jak z zimną krwią zastrześliłaś człowieka.

— Nie musiałeś tego widzieć.

— Ale widziałem.

— Co tam naprawdę można było zobaczyć, Moore? Poruszające się cienie. Trudno wtedy odróżnić, co jest słuszne, a co nie. Wszelkie wątpliwości powinniśmy rozstrzygać na naszą korzyść.

— Staralem się.

— Za mało.

— Nie będę kłamał, żeby cię chronić.

— Nie zapominajmy, że to nie my jesteśmy bandziorami.

— Jeśli zaczniemy kłamać, czym się od nich będziemy różnili? Do czego to doprowadzi?

Odsłoniła policzek, do którego przytykała torebkę z lodem. Jedno oko miała całkiem podpuchnięte, a lewa strona jej twarzy wyglądała jak cętkowany balon. Widok był szokujący.

— Pacheco tak mnie urządził — powiedziała. — Trudno to nazwać przyjacielskim gestem, prawda? Skoro mówisz o nich i o nas, po czyjej stronie był on? Przysłużyłam się światu, eliminując Chirurga. Nikt go nie będzie żałował.

— Karl Pacheco nie był Chirurgiem. Sprzątnęłaś niewłaściwego człowieka.

Wpatrywała się w niego intensywnie. Jej posiniaczona twarz przypominała na pół groteskowy, na pół realistyczny obraz Picassa.

— Przecież mieliśmy pozytywny wynik badań DNA! Był tym, który...

— Zgwałcił Ninę Peyton. Zgadza się. Ale to nie Chirurg. - Rzucił jej na biurko raport z laboratorium.

— Co to jest?

— Wyniki badań mikroskopowych włosów Pacheco. Są innego koloru i mają inne parametry niż włos znaleziony w ranie Eleny Ortiz. Nie wyglądają jak pręty bambusa.

Rizzoli siedziała nieruchomo, wpatrując się w raport.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Wiemy na pewno tylko tyle, że to Pacheco zgwałcił Ninę Peyton.

— Sterling i Ortiz także zostały zgwałcone...

— Nie możemy udowodnić, że on to zrobił. Już nigdy nie dowiemy się prawdy, ponieważ nie żyje.

Spojrzała na niego. Nieopuchniętą część jej twarzy wykrzywił gniew.

— To musiał być on. Jakie jest prawdopodobieństwo, że wybierając trzy przypadkowe

kobiety w tym mieście, trafisz tylko na takie, które zostały zgwałcone? Chirurgowi się to udało. Jeśli nie on je zgwałcił, jak znajdował swoje ofiary? Może Chirurgiem jest jakiś kumpel Pacheco, sęp, który żywi się pozostawioną przez niego padliną. — Cisnęła na biurko raport z laboratorium. — Facet, którego zastrzeliłam, tak czy inaczej był kanalią. Wszyscy jakoś o tym zapominają. Pacheco był łajdakiem! Dostanę medal? — Wstała i przysunęła energicznie krzesło do biurka. — Muszę zająć się papierami. Marquette zrobił ze mnie biurwę. Wielkie dzięki. Patrzył w milczeniu, jak odchodzi, i nie wiedział, co powiedzieć, żeby przestała być na niego wściekła.

Wrócił na swoje stanowisko i opadł na krzesło. Uznał, że jest dinozaurem w świecie, w którym gardzi się prawdomównością. Nie mógł teraz myśleć o Rizzoli. Sprawa Pacheco została zakończona i znaleźli się znowu w punkcie wyjścia, polując na nieznanego zabójcę.

Trzy zgwałcone kobiety. Do tego wszystko się sprowadzało. W jaki sposób Chirurg trafił na ich ślad? Tylko Nina Peyton zgłosiła gwałt na policję. Elena Ortiz i Diana Sterling nie zrobiły tego. O tym, co zaszło, wiedzieli jedynie gwałciciele, ich ofiary i lekarze, którzy udzielali im pomocy. Przy czym każda z tych kobiet zgłosiła się na badania w inne miejsce: Sterling do gabinetu ginekologicznego w Back Bay, Ortiz na ostry dyżur w Pilgrim Medical Center, a Nina Peyton do kliniki w Forest Hills. Z żadną z nich nie mieli kontaktu ci sami lekarze, pielęgniarki ani recepcjonistki.

A jednak Chirurg dowiedział się w jakiś sposób, co te kobiety spotkało, i pociągało go ich cierpienie. Zabójcy, dokonujący morderstw na tle seksualnym, wypatrują najbardziej bezbronnej zdobyczy. Szukają kobiet, które mogą zdominować i upokorzyć, które im nie zagrażają. Ofiara gwałtu stanowi wymarzony cel.

Wychodząc z biura, Moore rzucił okiem na ścianę, gdzie wisiły zdjęcia Sterling, Ortiz i Peyton. Trzech zgwałconych kobiet.

Była jeszcze czwarta. Catherine zgwałcono przecież w Savannah.

Zamrugał oczami, przywołując nagle w pamięci jej wizerunek i umieszczając go mimo woli obok fotografii na ścianie.

To wszystko ma związek z tamtą nocą w Savannah. I z And-rew Caprą.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W sercu stolicy Meksyku ludzka krew płynęła kiedyś strumieniami. Pod fundamentami współczesnej metropolii leżą ruiny Templo Mayor, wielkiej świątyni Azteków, która dominowała nad starożytnym miastem Tenochtitlan. Złożono tam w ofierze bogom dziesiątki tysięcy nieszczęśników.

W dniu, gdy stąpałem po tej ziemi, rozbawił mnie fakt, że w pobliżu wznosi się katedra, w której katolicy zapalają świece i szepczą modlitwy do miłosiernego Boga w niebie. Klękają tuż obok miejsca, gdzie kamienie były kiedyś śliskie od krwi. Trafiłem tam w niedzielę, nie wiedząc, że w ten dzień tygodnia wstęp do muzeum Templo Mayor jest bezpłatny, i roiło się w nim od dzieci, których głosy odbijały się gromkim echem od murów. Nie przepadam za dziećmi i zamieszaniem, jakie powodują. Jeśli tam kiedyś wrócę, będę pamiętał, żeby unikać odwiedzania muzeów w niedzielę.

Przebywałem jednak w stolicy ostatni dzień, musiałem więc pogodzić się z tym drażniącym zgiełkiem. Chciałem zobaczyć wykopaliska i odwiedzić Salę Numer Dwa. Salę rytualnych ofiar. Aztekowie wierzyli, że śmierć jest niezbędna dla życia. Aby zachować świętą energię świata, zapobiec katastrofie i sprawie, by słońce nadal wschodziło, należało składać bogom w ofierze ludzkie serca. Stałem w sali ofiar i widziałem w szklanej gablocie rytualny nóż, którym krojono ciało. Nosił nazwę. Tecpatl Ixcuahua, czyli Nóż o Szerokim Ostrzu. Był zrobiony z krzemienia, a rękojeść miała kształt klęczącej postaci.

Zastanawiałem się, w jaki sposób można wykroić ludzkie serce, dysponując tylko

kamiennym nożem?

To pytanie dręczyło mnie, gdy szedłem po południu ulicą Alameda, nie zwracając uwagi na brudnych wyrostków, którzy wlekli się za mną, żebrząc o pieniądze. Gdy zrozumieli, że nie wzbudzą mojej litości swymi piwnymi oczami i szerokimi uśmiechami, przestali mi towarzyszyć. Miałem wreszcie trochę spokoju — o ile w hałaśliwym Meksyku jest to w ogóle możliwe.

Znalazłem kafejkę i usiadłem przy stoliku na powietrzu, sącząc mocną kawę. Byłem jedynym klientem, który nie uciekał przed słońcem. Uwielbiam upał. Przynosi ulgę mojej spękanej skórze. Pożądam go jak gad gorącego kamienia. Tak więc w ten skwarny dzień piłem kawę, analizując budowę ludzkiej klatki piersiowej i rozmyślając, jak się najlepiej dostać do pulsującego w jej wnętrzu skarbu.

Aztekowie uśmiercali podobno swe ofiary szybko, nie zadając im zbędnych cierpień, i to stanowi pewien problem. Wiem, że trudno jest uporać się z mostkiem, który chroni serce jak tarcza. Kardiochirurdzy robią pionowe nacięcie przez środek klatki piersiowej i tną go na pół piłą. Mają asystentów, którzy pomagają im rozdzielić na dwie połowy kości, i korzystają z wymyślnych narzędzi z nierdzewnej stali, by poszerzyć rozstęp między nimi.

Aztecki kapłan, dysponując tylko kamiennym nożem, miałby trudności ze stosowaniem takich metod. Musiałby rozłupywać mostek dłutem, a ofiara wrywałaby się wtedy i krzyczała. Nie, serce wydobywano w jakiś inny sposób.

Może robiono poziome nacięcie z boku, między żebrami? Z tym także byłyby problemy.

Ludzki szkielet ma mocną konstrukcję, potrzeba więc siły i specjalistycznych narzędzi, chcąc rozsunąć dwa żebra na tyle szeroko, by włożyć między nie rękę. Może sensowniej byłoby spróbować od dołu? Kapłan mógł błyskawicznie rozciąć brzuch ofiary i sięgnąć przez przeponę do serca. Ale wtedy wnętrzności wylałyby się na ołtarz, a tego nie widać na żadnym z rysunków przedstawiających rytualne obrzędy Azteków.

Książki to cudowna rzecz. Można dowiedzieć się z nich wszystkiego, nawet tego, jak bez szczególnych trudności wykroić serce za pomocą kamiennego noża. Znalazłem odpowiedź na nurtujące mnie pytanie w podręczniku zatytułowanym Ofiary z ludzi i sztuka wojenna. Napisał go naukowiec (cóż, na uniwersytetach zajmują się teraz ciekawymi sprawami!), niejaki Sherwood Clarke, którego bardzo bym chciał kiedyś poznać.

Moglibyśmy wiele się od siebie wzajemnie nauczyć.

Aztekowie, jak twierdzi pan Clarke, wycinali serce, stosując poprzeczną torakotomię. Nacina się klatkę piersiową zaczynając między drugim a trzecim żebrzem, po jednej stronie mostka i przechodzi na jego drugą stronę. Kość zostaje złamana poprzecznie, najprawdopodobniej wskutek silnego uderzenia dłutem. Powstaje ziejąca rana. Płuca ulegają natychmiast zapaści pod działaniem powietrza. Ofiara szybko traci przytomność, ale jej serce nadal bije. Kapłan sięga do klatki piersiowej, przecinając tętnice i żyły. Chwyta pulsujące ciągle, zakrwawione serce i unosi je w górę.

Tak opisał to Bemardino de Sahagun w swojej Historii Nowej Hiszpanii:

Składający ofiarę kapłan przynosił trzcinę, Wtykał ją do piersi jeńca w miejscu, gdzie było serce, i zanurzał we krwi.

Później unosił ją w górę, ku słońcu.

Mówiono, że gasi jego pragnienie.

Zwycięzca zabierał potem krew jeńca

W zielonej czarze o zdobionych piórami brzegach.

Wlewali mu ją tam kapłani,

Wkładając do środka pustą trzcinę, także ozdobioną piórami,

I zwycięzca odchodził, aby nakarmić demony.

Nakarmić demony.

Jakże bogata jest symbolika krwi.

Myślę o tym, zasysając pipetką jej cienką jak igła strużkę. Mam wokół siebie stojaki z probówkami. Słyszę szum aparatury. Starożytni uważali krew za świętą substancję, źródło życia, pokarm dla upiórów. Podzielam ich fascynację, choć wiem, że to tylko biologiczny płyn, komórki zawieszony w plazmie, materiał, z którym codziennie pracuję.

W ciele przeciętnego, ważącego siedemdziesiąt kilogramów człowieka, jest zaledwie pięć litrów krwi. Z tego czterdzieści pięć procent stanowią komórki, a resztę plazma, chemiczna zawiesina, złożona w dziewięćdziesięciu pięciu procentach z wody, a w pozostałych pięciu z protein, elektrolitów i odżywek. Można by rzec, że analizując poszczególne składniki krwi, pozbawia się ją mistycznego charakteru, ale nie podzielam tej opinii. Właśnie w ten sposób odkrywa się jej cudowne właściwości.

Brzęczyk sygnalizuje, że test został wykonany. Odbieram wydruk i przyglądam się wynikom.

Już na pierwszy rzut oka dowiaduję się wielu rzeczy o niejakej Susan Carmichael, której nigdy nie spotkałem. Ma niski hematokryt — zaledwie 28, gdy powinno być 40. Cierpi na anemię, bo brakuje jej czerwonych krwinek, które dostarczają tlenu. Właśnie hemoglobina, zawarta w tych komórkach o kształcie krążka, nadaje naszej krwi czerwony kolor, zabarwia na różowo paznokcie i powoduje piękny rumieniec na twarzy dziewczyny. Paznokcie pani Carmichael są żółtawe, a uniósłszy jej powiekę, można by zobaczyć bladą spojówkę. Z powodu anemii jej serce musi pracować intensywniej, tłocząc do tętnic rozrzedzoną krew, przystaje więc ciągle na schodach, aby zaczerpnąć tchu. Wyobrażam sobie, jak idzie pochylona, chwytając się ręką za gardło i ciężko dysząc. Każdy, kto ją mija, widzi, że jest chora.

Mnie wystarczy spojrzeć na jej wyniki.

To jeszcze nie wszystko. Na podniebieniu ma czerwone plamki. Pękają jej naczynia

krwionośne w błonie śluzowej. Może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Być może zauważyła takie wybroczyny w innych miejscach na ciele, pod paznokciami albo na nogach. Może odkrywa dziwne siniaki na rękach i udach i nie rozumie, skąd się wzięły? Czyżby uderzyła się o drzwi samochodu? Albo dziecko szturchnęło ją piąstką? Szuka zewnętrznych przyczyn, gdy w istocie winna jest jej krew.

Ma liczbę trombocytów na poziomie dwudziestu tysięcy. Powinno ich być dziesięć razy więcej. Bez płytek krwi — drobnych komórek, które ułatwiają krzepnięcie — po najlżejszym uderzeniu zostaje siniak.

Z tego skrawka cienkiego papieru można odczytać jeszcze o wiele więcej.

Patrząc na liczbę białych krwinek i znajduję wyjaśnienie jej problemów. Aparatura wykryła obecność mieloblastów, prymitywnych komórek, które nie należą do krwiobiegu. Susan Carmichael ma mieloblastyczną białaczkę.

Wyobrażam sobie jej życie w ciągu najbliższych miesięcy. Widzę, jak leży na stole zabiegowym, zamykając oczy z bólu, gdy wbijają jej igłę w szpik kości biodrowej.

Widzę, jak wypadają jej garściami włosy, aż pogodzi się z tym, co nieuchronne, i pozwoli ogolić sobie głowę.

Widzę, jak klęczy rano nad miską klozetową i wpatruje się całymi dniami w sufit, żyjąc w świecie ograniczonym do czterech ścian sypialni.

Krew jest magicznym płynem, który utrzymuje nas przy życiu. Ale dla Susan Carmichael stała się wrogiem. Płynie w jej żyłach jak trucizna.

Wiem o niej to wszystko, choć nigdy się nie spotkaliśmy.

Dostarczam natychmiast faksem wyniki badań jej lekarzowi, umieszczam raport z laboratorium w koszu z dokumentami do wysyłki i sięgam po następną probówkę. Kolejny pacjent, kolejna porcja krwi.

Związek między krwią a życiem znano od zarania dziejów—Starożytni nie wiedzieli, że krew powstaje w szpiku i że składa się w większości z wody, ale doceniali jej znaczenie dla rytualnych ofiar. Aztekowie używali szpikulców z kości i igieł z agawy do przebijania skóry i upuszczania krwi. Przekłuwali sobie wargi, język lub tors, by ofiarowywać ją bogom. Dziś takie samookaleczenie uznano by za coś chorobliwego i groteskowego, za przejaw obłądu.

Ciekawe, co Aztekowie pomyśleliby o nas.

Siedzę w sterylnej pracowni, w białym fartuchu i ochronnych rękawiczkach. Jakże daleko odeszliśmy od natury! Niektórzy ludzie mdleją na widok krwi. Kiedy zdarzy się wypadek, natychmiast spłukujemy wodą jej ślady. Gdy telewizja pokazuje brutalne sceny, rodzice zasłaniają dzieciom oczy. Straciliśmy kontakt z naszymi korzeniami.

Ale nie wszyscy.

Zdarzają się jeszcze tacy ludzie jak ja. Poruszamy się w tłumie, normalni pod każdym względem — może nawet bardziej niż inni, bo nie daliśmy się owinać jak mumie sterylnymi bandażami cywilizacji. Nie odwracamy głowy na widok krwi. Dostrzegamy jej kuszące piękno. Czujemy, jak nas przyciąga.

Zrozumie to każdy, kto przejeżdżając obok miejsca wypadku, mimo woli wypatruje krwi.

Pokusa, by spojrzeć, jest silniejsza niż odraza.

Wszyscy chcemy patrzeć, ale nie każdy się do tego przyznaje.

Czuję się samotny wśród ludzi, którzy są jak w letargu. Przechadzam się po południu po mieście, oddychając powietrzem tak gęstym, że niemal je widzę. Rozgrzewa mi płuca jak gorący syrop. Przyglądam się twarzom ludzi na ulicy i zastanawiam się, z którym z nich łączy mnie braterstwo krwi, tak jak kiedyś z tobą? Czy istnieje jeszcze ktoś, kto nie zatracił drzemiącego w każdym z nas pierwotnego instynktu? Ciekawe, czy rozpoznalibyśmy się w tłumie. Obawiam się, że nie, bo ukrywamy się zbyt głęboko pod maską normalności.

Podążam więc samotnie, myśląc o tobie, jedynym człowieku, który kiedykolwiek mnie rozumiał.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jako lekarz Catherine stykała się tyle razy ze śmiercią, że zdążyła do niej przywyknąć.

Widywała, jak oczy pacjenta zachodzą mgłą i stają się szkliste, jak szarzeje mu skóra, a dusza uchodzi z ciała niczym krew. Pracując w tym zawodzie, ma się równie często do czynienia ze śmiercią, jak z ratowaniem życia i Catherine dawno już oswoiła się z widokiem stygnących zwłok. Nie bała się nieboszczyków.

Gdy jednak Moore skręcił w Albany Street i zobaczyła urzędowy ceglany budynek, poczuła, że poca jej się dłonie.

Stanęli na parkingu, obok białego mikrobusu z napisem „Stan Massachusetts, Biuro Koronera”. Nie chciała wysiadać z samochodu i zdecydowała się na to dopiero wtedy, gdy Moore otworzył jej drzwi.

— Jesteś gotowa? — zapytał.

— Myślę o tym bez entuzjazmu — przyznała. — Ale nie ma rady.

Uczestniczyła dziesiątki razy w przeprowadzaniu sekcji, a jednak nie była w pełni przygotowana na zapach krwi i poszarpanych jelit, który uderzył ją, gdy weszli do laboratorium.

Po raz pierwszy w swej lekarskiej karierze obawiała się, że zwymiotuje na widok zwłok.

Starszy mężczyzna z plastikową osłoną na oczach odwrócił się w ich kierunku. Rozpoznała

w nim doktora Ashforda Tierneya, którego spotkała pół roku wcześniej na konferencji patologów. Porażki specjalistów od chirurgii urazowej stawały się często przedmiotem jego badań. Zaledwie przed miesiącem rozmawiała z nim na temat niejasnych okoliczności śmierci dziecka, spowodowanej pęknięciem śledziony.

Łagodny uśmiech doktora Tierneya kontrastował jaskrawo z zakrwawionymi gumowymi

rękawiczkami, które miał na rękach.

— Miło panią znów widzieć, doktor Cordell... — Urwał, uświadomiwszy sobie nagle gorzką ironię tych słów. — Choć moglibyśmy się spotkać w przyjemniejszych okolicznościach.

— Zacząłeś już sekcję — zauważył z niepokojem Moore.

— Porucznik Marquette chce natychmiast mieć wyniki - stwierdził Tierney. — Gdy policja do kogoś strzela, prasa rzuca mu się do gardła.

— Specjalnie dzwoniłem wcześniej, żeby doktor Cordell mogła zobaczyć zwłoki.

— Bywała już obecna przy sekcji. To dla niej nic nowego. Dokończę tylko to cięcie i może spojrzeć na twarz denata.

Tierney skoncentrował uwagę na brzuchu zmarłego. Odciął skalpelem fragment jelita i wrzucił go do stalowego pojemnika. Potem odsunął się od stołu i skinął na Moore'a, mówiąc:

— Proszę!

Moore dotknął ramienia Catherine. Podeszła niechętnie do zwłok. Najpierw spojrzała na otwartą ranę. Było to znajome terytorium. Narządy wewnętrzne nie miały indywidualnych cech i mogła na nie patrzeć bez emocji. Przyglądała im się chłodnym okiem profesjonalisty, zauważając, że żołądek, trzustka i wątroba są nadal na miejscu; czekały na usunięcie. Nacięcie w kształcie litery Y, wykonane od szyi do podbrzusza, odsłoniło zarówno klatkę piersiową, jak i jamę brzuszną. Serce i płuca zostały już wycięte; pozostała po nich pusta przestrzeń. W ścianie klatki piersiowej widać było dwie rany od kul: jedną tuż nad lewym sutkiem, a drugą kilka żeber poniżej. Oba pociski musiały przebić klatkę piersiową, uszkadzając serce lub płuca. W lewym boku była jeszcze trzecia rana. W tym miejscu kula trafiła w śledzionę. Również ten strzał miał katastrofalne skutki. Ktokolwiek strzelał do Karla Pacheco, zamierzał go zabić.

— Catherine? — odezwał się Moore. Zdała sobie sprawę, że zbyt długo milczała.

Wzięła głęboki oddech, wciągając w nozdrza zapach krwi i wychłodzonego ciała. Zdażyła

się już zapoznać z wnętrznościami Karla Pacheco. Nadeszła pora, by spojrzeć na jego twarz.

Zobaczyła czarne włosy, smukłe policzki, ostry jak brzytwa nos, zwiotczałe mięśnie podbródka i otwarte usta z równymi zębami. W końcu skupiła uwagę na jego oczach. Moore nie powiedział jej niemal niczego o tym człowieku. Podał tylko jego nazwisko i wyjaśnił, że został zastrzelony, bo stawiał opór podczas aresztowania. Czy to ty jesteś Chirurgiem? — pomyślała.

Jego oczy, przesłonięte mgłą śmierci, nie budziły w niej żadnych wspomnień. Przyglądała się martwej twarzy, próbując wyczuć czające się jeszcze w zwłokach fluidy zła, ale bezskutecznie. Leżąca przed nią śmiertelna powłoka była pusta i nie pozostał żaden ślad po tym, kto ją wypełniał.

— Nie znam tego człowieka — oświadczyła i wyszła z sali.

Czekała już przy samochodzie, gdy Moore wyłonił się z budynku. Czowała w płucach nieprzyjemny odór prosektorium i — jakby chcąc je oczyścić — oddychała głęboko dusznym, gorącym powietrzem. Pociła się z powodu upału, ale przenikał ja nadal do szpiku kości chłód klimatyzowanego pomieszczenia.

— Kim był Karl Pacheco? — zapytała.

Moore odwrócił wzrok w kierunku szpitala, nasłuchując syreny nadjeżdżającego ambulansu.

— Był gwałcicielem — wyjaśnił. — Mężczyzną, który polował na kobiety.

— Czy to Chirurg?

Moore westchnął.

— Wygląda na to, że nie.

— Miałeś takie podejrzenia?

— Badania DNA potwierdziły, że dwa miesiące temu zgwałcił Ninę Peyton. Brakuje dowodów jego winy w sprawach Eleny Ortiz i Diany Sterling. Nic nie wskazuje, żeby miał z nimi coś wspólnego.

— Albo ze mną.

— Czy na pewno nigdy nie spotkałaś tego człowieka?

— Wiem tylko tyle, że go nie pamiętam.

Samochód był nagrзany od słońca jak piekarnik, stali więc przy otwartych drzwiach, czekając, aż się przewietrzy. Spoglądając na Moore'a przez dach wozu, Catherine dostrzegła, jak bardzo jest zmęczony. Koszulę miał mokrą od potu. Trafiła mu się rozrywka na sobotnie popołudnie: przejażdżka ze świadkiem do kostnicy. Pod wieloma względami policjanci i lekarze wiedli podobne życie. Mieli nienormowane godziny pracy, poznawali najmroczniejsze zakamarki ludzkiej natury, byli świadkami koszmarów i uczyli się żyć z ponurymi wspomnieniami.

Jakie on ma wspomnienia? — zastanawiała się, gdy odwoził ją do domu. Ile twarzy ofiar i miejsc zbrodni utrwaliło mu się w pamięci? Była tylko jednym z wielu przypadków. Myślała o tych wszystkich kobietach, żyjących i zmarłych, które próbowały zwrócić jego uwagę.

Zatrzymał się przed jej domem i wyłączył silnik. Spojrzała w okno swego mieszkania, ale nie miała ochoty wysiadać z samochodu i opuszczać Moore'a. W ciągu ostatnich paru dni spędzili tyle czasu razem, że nauczyła się polegać na jego sile i uprzejmości. Gdyby poznali się w bardziej fortunnych okolicznościach, zwróciłyby z pewnością uwagę na to, że jest przystojny. Teraz jednak nie liczył się jego wygląd ani nawet inteligencja, lecz uczucia. Był mężczyzną, któremu mogła zaufać.

Zastanawiała się, co powiedzieć i co może z tego wyniknąć. Uznawszy, że cholernie mało ją to obchodzi, zapytała cicho:

— Wejdiesz się czegoś napić?

Nie odpowiedział od razu. Poczwała, że się czerwieni, gdy jego milczenie stało się niezręczne.

Wahał się. On także wyczuwał, co między nimi się dzieje, i nie był pewien, jak zareagować.

Gdy spojrział na nią wreszcie i powiedział: „Tak, chętnie wejdę”, oboje wiedzieli, że nie

chodzi jedynie o drinka.

Kiedy podeszli do drzwi, objął ją czule. Był to właściwie tylko opiekuńczy gest, ale Catherine przeszedł taki dreszcz, że z trudem wystukała numer kodowy przy zamku. Była jak odurzona. U góry otworzyła drżącymi rękami drzwi mieszkania i znaleźli się w cudownym chłodzie. Moore zamknął i zarygłował drzwi, a potem wziął ją w ramiona.

Od dawna już nikt jej tak nie obejmował. Kiedyś myśl o dotyku mężczyzny przejmowała ją strachem. W ramionach Moore'a niczego się nie obawiała. Odwzajemniała jego pocałunki z żarliwością, która zaskoczyła ich oboje. Tak długo była pozbawiona miłości, że przestała za nią tęsknić. Dopiero teraz, ocknąwszy się z letargu, przypomniała sobie, czym jest pożądanie, i jej wargi szukały gorączkowo jego ust. Zaciągnęła go przez korytarz do sypialni, obsypując pocałunkami, rozpięła mu koszulę i pasek u spodni. Wyczuwał intuicyjnie, że powinien pozostać bierny, by nie wystraszyć Catherine. Że do ich pierwszego zbliżenia musi dojść z jej inicjatywy. Nie potrafił jednak ukryć podniecenia. Czowała je, rozsuwając mu zamek błyskawiczny w spodniach.

Sięgnął do guzików jej bluzki, ale zawahał się. Jej spojrzenie i przyspieszony oddech nie pozostawiały jednak wątpliwości, czego pragnie. Bluzka zsunęła się powoli z ramion. Stanik opadł na podłogę. Moore nie pozbawiał jej poczucia bezpieczeństwa, lecz uwalniał z więzów. Zamknęła oczy i westchnęła z rozkoszy, gdy pochylił głowę, całując jej pierś. Nie był to akt agresji, lecz uwielbienia.

I tak, po raz pierwszy od dwóch lat, Catherine oddała się mężczyźnie. Kiedy szła z Moore'em do łóżka, nie dręczyły jej myśli o Andrew Caprze. Nie powróciły żadne koszmarne wspomnienia, gdy zrzucali z siebie resztki garderoby i gdy przygniótł ją swym ciężarem do materaca. Brutalny czyn innego mężczyzny nie miał nic wspólnego z tą chwilą. Gwałt to nie seks, a seks to nie miłość. Miłością było to, co czowała, gdy Moore w nią wszedł, obejmując dłońmi

jej twarz i patrząc jej głęboko w oczy. Zapomniała już, jaką rozkosz może dać kobiecie mężczyzna, i zatraciła się w ekstazie, doświadczając takiej radości, jakby kochała się pierwszy raz.

Było ciemno, gdy obudziła się w jego ramionach. Poczuła, że się poruszył, i usłyszała, jak pyta:

— Która godzina?

— Kwadrans po ósmej.

— O! — Zaśmiał się leniwie i odwrócił na plecy. — Nie dowiary, że przespaliśmy całe popołudnie. Chyba mnie zmogło.

— Ostatnio niewiele sypiałeś.

— Kto potrzebuje snu?

— Mówisz jak lekarz.

— Mamy dużo wspólnego — stwierdził, muskając palcami jej skórę. — Obojgu nam od dawna tego brakowało...

Leżeli przez chwilę w milczeniu. Potem Moore zapytał cicho:

— Jak było?

— Chcesz wiedzieć, czy jesteś dobrym kochankiem?

— Nie. Chodzi mi o ciebie. O to, że cię dotykałem.

Uśmiechnęła się.

— To było miłe.

— Nie zrobiłem nic niewłaściwego? Nie przestraszyłem cię?

— Czuję się przy tobie bezpieczna. Przede wszystkim tego potrzebuję. Jesteś chyba jedynym mężczyzną, który to rozumie. Któremu mogę zaufać.

— Zdarzają się mężczyźni godni zaufania.

— Nie wiem, jak ich rozpoznać.

— Nie dowiesz się, póki nie będziesz w potrzebie. Wtedy zobaczysz, kto cię nie opuści.

— Więc chyba nigdy kogoś takiego nie spotkałam. Słyszałam, jak inne kobiety mówiły, że gdy tylko wspomnimy mężczyznom, co nam się przytrafiło, gdy padnie słowo „gwałt”, natychmiast się od nas odwracają. Jakbyśmy były wybrakowanym towarem. Nie chcą o tym słyszeć. Wolą milczenie niż zwierzenia. Milczenie zatacza jednak coraz szersze kręgi. W końcu nie można już o niczym mówić. Wszystko staje się tematem tabu.

— Nie da się tak żyć.

— Ludzie znoszą nas w swoim otoczeniu tylko wtedy, gdy zachowujemy milczenie. Ale my i tak pamiętamy.

Pocałował ją i ten spontaniczny gest był bardziej intymny niż zmysłowe zbliżenie.

— Zostaniesz ze mną na noc? — szepnęła.

Poczuła we włosach jego ciepły oddech, gdy odparł:

— Jeśli dasz się zaprosić na kolację...

— Och, zupełnie zapomniałam o jedzeniu.

— To podstawowa różnica między kobietami a mężczyznami. Mężczyzna nigdy o tym nie zapomina.

Usiadła na łóżku, uśmiechając się.

— Więc przygotuj coś do picia, a ja zrobię ci kolację.

Sączyli oboje martini, gdy Catherine przyrządzała sałatkę i steki. Męska kuchnia, pomyślała z rozbawieniem. Mięso z rusztu dla nowego mężczyzny w jej życiu. Gotowanie nigdy nie było równie przyjemne. Moore uśmiechał się, podając jej sól i pieprz. Czowała przyjemny szum w głowie. Dawno już jedzenie nie smakowało jej tak bardzo. Miała wrażenie, jakby została wypuszczona z zalakowanej butelki, i doświadczała po raz pierwszy całego bogactwa zapachów i

smaków.

Jedli kolację przy kuchennym stole, popijając wino. W kuchni, gdzie królowały białe kafelki i białe szafki, zrobiło się nagle kolorowo od rubinowego wina, zielonej sałaty i serwetek w niebieską kratkę. Moore siedział naprzeciw niej. Uważała kiedyś, że jest bez wyrazu, jak wszyscy inni mężczyźni, których mija się na ulicy. Dopiero teraz dostrzegła jego czerstwą cerę i zmarszczki wokół oczu — wszystkie urocze defekty sympatycznej twarzy.

Mamy przed sobą całą noc, pomyślała i ta perspektywa wywołała jej uśmiech. Wstała, wyciągając do niego rękę.

Doktor Zucker zatrzymał taśmę wideo z nagraniem seansu hipnotycznego doktora Polocheka i zwrócił się do Moore'a i Marquette'a:

— To może być fikcyjne wspomnienie. Cordell mogło się tylko wydawać, że słyszy drugi głos. Na tym właśnie polega problem z hipnozą. Pamięć często zawodzi. Można nią manipulować według potrzeb. Doktor Cordell przysłała na sesję, wierząc, że Capra miał współnika. I proszę! Pojawił się głos drugiego mężczyzny! — Zucker pokręcił głową. — To mało wiarygodne.

— Są też inne poszlaki, wskazujące na istnienie drugiego sprawcy — powiedział Moore. — Włosy, które przysłała doktor Cordell, mogły zostać jej obcięte tylko w Savannah.

— To ona tak twierdzi — zauważył Marquette.

— Pan też jej nie wierzy?

— Porucznik ma rację — oznajmił Zucker. — Chodzi o nieźrównoważoną emocjonalnie kobietę. Nawet dwa lata po napadzie może jeszcze mieć zaburzenia.

— Jest wybitnym chirurgiem.

— Tak, i w pracy świetnie się spisuje. Ale została okaleczona. Dobrze pan o tym wie. Gwałt wycisnął na niej piętno.

Moore zamilkł, przypominając sobie dzień, gdy poznał Catherine. Pamiętał jej powściągliwe, opanowane ruchy. Nie przypominała zupełnie bawiącej się w słońcu na przystani beztroskiej dziewczynki, którą ujrzał podczas seansu hipnotycznego. Zeszłej nocy ta radosna, młodziutka Catherine ożyła w jego ramionach. Czekwała długo, by ktoś uwolnił ją ze skorupy, w której zamknęła się przed światem.

— Jakie wnioski wyciągamy z tego seansu? — spytał Marquette.

— Nie twierdzę, że ona nie wierzy w to, co mówi - oświadczył Zucker. — I że nie ma tego wszystkiego w pamięci. Jeśli powie się dziecku, że na podwórku był słoń, po jakimś czasie uwierzy w to tak mocno, że potrafi opisać jego trąbę, kawałki słomy na grzbiecie, złamany kiel. Wytwór wyobraźni staje się rzeczywistością.

— Nie możemy całkowicie dyskredytować jej wspomnień — stwierdził Moore. — Może pan jej nie wierzyć, ale nasz sprawca wyraźnie się nią interesuje. To, co zapoczątkował Capra, ma swój dalszy ciąg.

— Ktoś go naśladuje? — spytał Marquette.

— Albo miał współnika — powiedział Moore. — Zdarzały się już podobne przypadki.

Zucker skinął głową.

— Wśród morderców dość często się to zdarza. Uważamy zwykle, że seryjni zabójcy to samotne wilki, ale sprawcami jednej czwartej tego typu zabójstw są przestępcy działający wspólnie. Zarówno Henry Lee Lucas, jak i Kenneth Bianchi mieli partnerów. W ten sposób łatwiej im działać; schwytać ofiarę i kontrolować sytuację. Polują razem, aby mieć gwarancję powodzenia.

— Jak wilki — zauważył Moore. — Może Capra brał z nich przykład?

Marquette wziął do ręki pilota do magnetowidu, przewinął taśmę do tyłu i włączył ją. Na ekranie pojawiła się Catherine. Siedziała z zamkniętymi oczami i opuszczonymi ramionami.

„Kto wypowiada te słowa, Catherine? Kto mówi: «Teraz moja kolej, Capra»? Nie wiem. Nie znam tego głosu”.

Marquette zatrzymał taśmę i twarz Catherine zastygła na ekranie. Spojrzał na Moore’a, mówiąc:

— Minęły ponad dwa lata, odkąd została napadnięta w Savannah. Dlaczego wspólnik Capry miałby czekać tyle czasu.

Dlaczego zaczął działać właśnie teraz?

Moore pokiwał głową.

— Też się nad tym zastanawiałem. Chyba znam odpowiedź. — Otworzył skoroszyt, który przyniósł na spotkanie i wyjął artykuł wydarty z Boston Globe. — To ukazało się siedemnaście dni przed zabójstwem Eleny Ortiz. Reportaż o kobietach-chirurgach z Bostonu. Poświęcony w jednej trzeciej doktor Cordell, jej karierze i osiągnięciom. Z załączonym kolorowym zdjęciem. — Podał fragment gazety Zuckerowi.

— To interesujące — przyznał Zucker. — Co pan widzi, Moore, patrząc na tę fotografię?

— Atrakcyjną kobietę.

— A poza tym? Co wyraża jej postawa, spojrzenie?

— Pewność siebie. — Moore zawahał się. — I dystans.

— Właśnie. To kobieta sukcesu. Z założonymi rękami i podniesioną dumnie głową.

Nietykalna. Niedostępna dla większości śmiertelników.

— Do czego pan zmierza? — spytał Marquette.

— Proszę pomyśleć, co podnieca naszego sprawcę. Okaleczone kobiety, skażone przez gwałt. W symboliczny sposób pokonane. I oto widzi Catherine Cordell, kobietę, która zabiła jego wspólnika, Andrew Caprę. Nie przypomina okaleczonej ofiary.

Na tym zdjęciu wygląda jak zdobywczyni. Jak pan sądzi, co on czuł, kiedy to zobaczył? —

Zucker spojrział pytająco na Moore' a.

— Gniew.

— Raczej dziką, niepohamowaną wściekłość. Gdy opuściła Savannah, wyruszył za nią do Bostonu, ale nie mógł jej dopaść, bo dobrze się zabezpieczyła. W oczekiwaniu na stosowną chwilę zabija inne kobiety. Wyobraża sobie zapewne, że Cordell jest słabą, okaleczoną istotą, i gdy nadejdzie pora, stanie się jego łupem. Pewnego dnia rozkłada gazetę i zamiast ofiary widzi na zdjęciu tę wyniosłą sukę. — Zucker oddał artykuł Moore' owi. — Nasz chłopaczek próbuje ją zastraszyć, aby straciła pewność siebie.

— Jaki ma w tym cel? — spytał Marquette.

— Chce sprowadzić ją do takiego poziomu, żeby była dla niego dostępna. Atakuje tylko kobiety, które zachowują się jak ofiary. Które są tak okaleczone i upokorzone, że nie czuje się przez nie zagrożony. Jeśli rzeczywiście Andrew Capra był jego współnikiem, nasz sprawca kieruje się jeszcze jednym: żądzą zemsty za to, co Cordell zniszczyła.

— Do czego prowadzi nas zatem teoria o istnieniu tajemniczego współnika? — spytał Marquette.

— Jeśli Capra nie działał sam — stwierdził Moore — musimy wrócić do tego, co zaszło w Savannah. Znaleźliśmy się w ślepych zaułku. Przesłuchaliśmy prawie tysiąc osób i nie mamy żadnych podejrzanych. Chyba pora przyjrzeć się ludziom z otoczenia Andrew Capry. Sprawdzić, czy ktoś z nich nie pojawił się w Bostonie. Frost rozmawia już przez telefon z detektywem Singerem z Savannah. Może tam polecieć i przejrzeć materiał dowodowy.

— Dlaczego Frost?

— A czemu nie?

Marquette spojrział na Zuckera.

— Błądzimy po omacku?

— Czasem i w ten sposób odnajduje się drogę.

Marquette skinął głową.

— W porządku. Niech będzie Savannah.

Moore zamierzał wyjść, lecz zatrzymał się, gdy Marquette powiedział:

— Może pan chwilę zostać? Musimy porozmawiać. — Gdy Zucker wyszedł z gabinetu,

Marquette zamknął drzwi i oznajmił: — Nie chcę, żeby do Savannah leciał detektyw Frost.

— Mogę spytać dlaczego?

— Chcę tam wysłać pana.

— Frost jest już przygotowany do wyjazdu.

— Nie chodzi o niego. Chcę, żeby pan na jakiś czas stąd zniknął.

Moore milczał, wiedząc, do czego porucznik zmierza.

— Spędzał pan ostatnio wiele czasu z Catherine Cordell - stwierdził Marquette.

— Odgrywa w tym dochodzeniu kluczową rolę.

— Za długo pan z nią przebywa. We wtorek był pan u niej o północy.

To Rizzoli. Ona o tym wiedziała, pomyślał Moore.

— W sobotę byliście razem do rana. Co się właściwie dzieje?

Moore milczał. Cóż mógł odpowiedzieć? Owszem, posunąłem się za daleko, ale nie mogłem się oprzeć.

Marquette oparł się o krzesło z wyrazem głębokiego rozczarowania.

— Trudno mi uwierzyć, że właśnie z panem o tym rozmawiam. — Westchnął ciężko. —

Musi się pan wycofać. Zajmie się nią ktoś inny.

— Ale ona mi ufa.

— Czy tylko tyle was łączy? Zaufanie? Słyszałem, że o wiele więcej. Nie muszę chyba panu mówić, jakie to niestosowne. Widzieliśmy obaj, jak takie rzeczy zdarzały się innym policjantom.

To zawsze źle się kończy. Teraz jest pan jej potrzebny. Wasze szaleństwo potrwa dwa tygodnie, może miesiąc. Potem obudzicie się któregoś ranka i będzie po wszystkim. Pozostanie rozgoryczenie i żal, że do tego doszło. — Marquette przerwał, czekając na odpowiedź, ale Moore milczał. Po chwili dodał: - Poza tym komplikuje to śledztwo. I jest cholernie żenujące dla całego wydziału. — Machnął wymownie ręką w kierunku drzwi. — Niech pan leci do Savannah i trzyma się z daleka od doktor Cordell.

— Muszę jej wyjaśnić...

— Proszę nawet do niej nie dzwonić. Dopilnujemy, żeby się wszystkiego dowiedziała.

Zastąpi pana Crowe.

— Tylko nie on! — zaprotestował stanowczo Moore.

— Więc kto?

— Frost — odparł z ciężkim westchnieniem. — Niech będzie Frost.

— W porządku. Proszę jechać na lotnisko. Wyjazd z miasta dobrze panu zrobi. Jest pan pewnie na mnie wściekły, ale to najlepsze rozwiązanie.

Moore zdawał sobie z tego sprawę. Czuł się tak, jakby pokazano mu lustro, w którym zobaczył upadłego świętego Tomasza, powalonego przez własne żądze. Był zły, bo nie mógł się wyprzeć swojej winy. Zachowywał milczenie, dopóki nie opuścił gabinetu Marquette'a, ale gdy tylko zobaczył siedzącą przy biurku Rizzoli, nie potrafił powstrzymać eksplozji.

— Gratuluję! — wybuchnął. — Odegrałaś się. Przyjemnie jest się mścić, prawda?

— Słucham?

— Powiedziałaś Marquette'owi.

— Cóż, nawet jeżeli, nie byłam pierwszą osobą, która donosi na partnera.

Była to cięta riposta i odniosła zamierzony skutek. Moore odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Opuszczając budynek, przystanął w holu, zrozpaczony, że nie zobaczy tej nocy Catherine.

Marquette miał jednak rację. Tak musiało być. Od początku powinni byli trzymać się od siebie z daleka i nie ulegać emocjom. Wydawała się taka bezbronna, a on, jak ostatni głupiec, próbował otoczyć ją opieką. Po latach twardego trzymania się zasad znalazł się nagle na obcym terytorium, gdzie rządziły namiętności, a nie rozum. Czuł się tam niepewnie. Nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

Catherine siedziała w samochodzie, zbierając się na odwagę, by wejść do Schroeder Plaza. Przez całe popołudnie uśmiechała się do pacjentów, rozmawiała z innymi lekarzami i załatwiała różne bieżące sprawy. Jednak pod maską optymizmu czaiła się rozpacz. Moore nie odpowiadał na telefony. Nie wiedziała dlaczego. Spędzili ze sobą tylko jedną noc, a już coś się między nimi popsuło.

Wysiadła wreszcie z samochodu i weszła do Komisariatu Policji w Bostonie.

Była tam już kiedyś, na seansie hipnotycznym doktora Polocheka, ale budynek ten wydawał jej się nadal ponurą fortecą, w której czuła się obco. Wrażenie to pogłębił jeszcze umundurowany strażnik, spoglądający na nią z dyżurki.

— W czym mogę pomóc? — zapytał beznamiętnym tonem.

— Szukam detektywa Thomasa Moore'a z wydziału zabójstw.

— Zadzwoń na górę. Poproszę o pani nazwisko.

— Catherine Cordell.

Czekała w holu, czując się nieswojo wśród lśniących granitów i wścibskich spojrzeń umundurowanych i ubranych po cywilnemu policjantów. To był świat Moore'a, świat twardych, uzbrojonych mężczyzn, w którym okazywała się intruzem. Zdała sobie nagle sprawę, że popełniła błąd i nie powinna tu przychodzić. Ruszyła do wyjścia. Gdy znalazła się przy drzwiach, ktoś zawołał:

— Doktor Cordell?

Odwróciwszy się, rozpoznała mężczyznę o jasnych włosach i miłej, łagodnej twarzy, który wysiadł właśnie z windy. Był to detektyw Frost.

— Może pojedziemy na górę? — zaproponował.

— Chciałam zobaczyć się z Moore'em.

— Tak, wiem. Dlatego zjechałem. — Wskazał na windę. - Zapraszam.

Na pierwszym piętrze poprowadził ją korytarzem do wydziału zabójstw. Była tam pierwszy raz i nie kryła zaskoczenia, że miejsce to wygląda jak zwykłe biuro, ze stanowiskami komputerów i biurkami. Frost posadził ją na krześle. Był bardzo uprzejmy. Widział, że czuje się niezręcznie w obcym miejscu.

— Może kawy? — zapytał.

— Nie, dziękuję.

— Albo szklanek wody?

— Nie trzeba.

Usiadł naprzeciwko niej.

— O czym chciała pani porozmawiać, doktor Cordell?

— Miałam nadzieję, że spotkam detektywa Moore'a. Operowałam przez cały ranek i sądziłam, że może próbował się ze mną skontaktować...

— Prawdę mówiąc, to ja zostawiłem dla pani około południa wiadomość w sekretariacie — oznajmił Frost, wyraźnie zmieszany. — Od teraz proszę zwracać się z wszelkimi problemami do mnie, a nie do detektywa Moore'a.

— Tak, dostałam wiadomość. Chcę tylko wiedzieć... — Starła się pohamować łzy. — Chcę wiedzieć, co się zmieniło.

— Chodzi o dobro śledztwa.

— Co to znaczy?

— Moore musi się skoncentrować na innych aspektach sprawy.

— Kto tak postanowił?

Frost czuł się coraz bardziej niezręcznie.

— Naprawdę nie wiem, doktor Cordell.

— Czy to była decyzja Moore'a?

— Nie — odparł po chwili milczenia.

— A więc nie chodzi o to, że nie chce mnie widzieć?

— Z całą pewnością.

Nie wiedziała, czy mówi prawdę, czy tylko próbuje ją pocieszyć. Zauważyła, że dwaj detektywi z sąsiedniego stanowiska spoglądają w jej kierunku, i poczerwieniała ze złości. Czyżby wszyscy znali prawdę oprócz niej? Czy dostrzegała w ich oczach współczucie? Przez cały ranek upajała się wspomnieniami minionej nocy. Czekwała na telefon od Moore'a, pragnęła usłyszeć jego głos, wiedziała, że o niej myśli. Tymczasem on nie zadzwonił.

W południe otrzymała wiadomość od Prosta, że w przyszłości ma się kontaktować bezpośrednio z nim.

Unosząc głowę i z trudem powstrzymując płacz, spytała:

— Dlaczego nie mogę z nim porozmawiać?

— Niestety, wyjechał z miasta. Dziś po południu.

— Rozumiem. — Zdawała sobie sprawę, że nic jej więcej nie powie. Nie pytała, dokąd

Moore wyjechał ani jak mogłaby się z nim skontaktować. Czowała się już wystarczająco zażenowana, że przysłała do jego biura, i дума wzięła w niej górę. Przez ostatnie dwa lata to właśnie дума stanowiła główne źródło jej siły. Dzięki niej zdołała się podźwignąć i odrzucić rolę ofiary. Wszyscy widzieli jedynie jej chłodny profesjonalizm i powściągliwość, bo tylko to pozwalała im dostrzec.

Moore przekonał się, jaka jestem naprawdę: okaleczona i bezbronna. I oto skutek. Dlatego już nigdy nie mogę być słaba.

Kiedy wstała z krzesła, była wyprostowana i opanowana. Wychodząc, zobaczyła na jednym z biurek plakietkę z nazwiskiem Moore' a. Przystanąła na chwilę, by przyjrzeć się fotografii uśmiechniętej kobiety ze słońcem we włosach.

Potem zostawiła świat Moore' a za sobą, powracając ze smutkiem do swego własnego.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Moore żył w przekonaniu, że upał w Bostonie jest nie do zniesienia. Nie był przygotowany na klimat, który zastał w Savannah. Wychodząc późnym popołudniem z lotniska, czuł się tak, jakby zanurzał ciało w gorącej kąpeli. Wilgotne powietrze falowało nad asfaltem, gdy szedł na nogach jak z gumy w kierunku parkingu wypożyczalni samochodów. Zanim zameldował się w hotelu, koszulę miał już przesiąkniętą potem. Zrzucił z siebie ubranie i położywszy się tylko na kilka minut, by odpocząć, przespał cały wieczór.

Kiedy się ocknął, było już ciemno. Drżał z zimna w wychłodzonym pokoju. Usiadł na skraju łóżka, czując pulsowanie w głowie.

Wyciągnął z walizki czystą koszulę, ubrał się i wyszedł z hotelu.

Nawet nocą powietrze było parne, jechał jednak z opuszczoną szybą, wdychając wilgotne zapachy Południa. Nigdy jeszcze nie był w Savannah, słyszał jednak o uroku tego miasta, o jego starych domach i żelaznych płotach, o Północy w ogrodzie Dobra i Zła. Tej nocy nie szukał turystycznych atrakcji. Jechał pod konkretny adres w północno-wschodniej części miasta. Była to spokojna dzielnica schludnych domków z gankami od frontu, ogródkami i rozłożystymi drzewami. Odnalazłszy Ronda Street, zatrzymał się przed jedną z posiadłości.

Wewnątrz paliły się światła i widać było błękitną poświatę od telewizora.

Zastanawiał się, kto tam teraz mieszka i czy obecni lokatorzy znają historię tego domu. Czy

gasząc światła i kładąc się spać, myślą o tym, co zdarzyło się kiedyś w ich sypialni? Czy leżąc w ciemnościach, słyszą rozbrzmiewające nadal wśród ścian echa tamtej koszmarnej nocy?

Zobaczył na tle okna sylwetkę kobiety. Była szczupła i miała długie włosy. Bardzo przypominała Catherine.

Wyobraził sobie, jak to wtedy musiało wyglądać. Na ganku stoi młody mężczyzna i puka do drzwi. Catherine otwiera mu, otoczona blaskiem złotego światła, i zaprasza do środka młodszego kolegę, którego zna ze szpitala, nie podejrzewając, jakie ma wobec niej zamiary.

A ten drugi głos? Drugi mężczyzna? Skąd on się wziął?

Moore siedział przez jakiś czas w samochodzie, obserwując dom, przyglądając się oknom i krzewom. W końcu wysiadł z wozu i przeszedł się chodnikiem, by zobaczyć budynek z boku. Zarośla były gęste i nie widział przez nie posesji.

Po drugiej stronie ulicy zapaliło się światło na werandzie.

Z okna przypatrywała mu się otyła kobieta, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu.

Wrócił do samochodu i odjechał. Chciał odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Znajdowało się kilka kilometrów na południe, w pobliżu State College. Zastanawiał się, jak często Catherine jeździła tą trasą, czy bywała w tej małej pizzerii po lewej albo w pralni chemicznej po prawej. Gdziekolwiek spojrzał, widział jej twarz. Był tym zaniepokojony. Uleganie emocjom podczas dochodzenia nie wróżyło niczego dobrego.

Dotarł w końcu na właściwą ulicę. Minał kilka przecznic i zatrzymał się w miejscu, którego szukał. Rosły tam jedynie chwasty. Spodziewał się zobaczyć dom, należący do Stelli Poole, pięćdziesięcioośmioletniej wdowy. Trzy lata temu pani Poole wynajmowała mieszkanie na piętrze stażycie o nazwisku Andrew Capra, spokojnemu młodemu człowiekowi, który zawsze płacił czynsz w terminie.

Moore wysiadł z samochodu i stanął na chodniku, po którym musiał chodzić Capra.

Rozejrzał się po ulicy. Znajdowała się niedaleko State College, wiele okolicznych domów wynajmowano więc z pewnością studentom — czasowym lokatorom, którzy mogli nie znać historii swego niesławnego sąsiada.

Podmuch wiatru zmaćcił gęste powietrze, roznosząc nieprzyjemny zapach. Był to wilgotny fetor rozkładu. Spojrzawszy na drzewo, rosnące kiedyś przed domem, w którym mieszkał Andrew Capra, zobaczył zwisającą z konaru kępę mchu. Przeszedł go dreszcz. Przypomnił sobie pewne Halloween z dzieciństwa, kiedy to sąsiad, chcąc odstraszyć chodzące po domach dzieciaki, powiesił za szyję na gałęzi stracha na wróble. Ojciec Moore'a wściekł się, kiedy to zobaczył. Wpadł na działkę sąsiada i nie bacząc na jego protesty, odciął wisielca.

Moore miał teraz ochotę zrobić to samo: wdrapać się na drzewo i strącić zwisający mech. Wsiadł jednak do samochodu i wrócił do hotelu.

Detektyw Mark Singer postawił na stole kartonowe pudło i otrzepał ręce z kurzu.

— To już ostatnie. Zajęło nam to cały weekend, ale mamy wszystko.

Moore spojrział na kilkanaście stojących rzędem pudeł z materiałem dowodowym i stwierdził:

— Powiniennem przynieść śpiwór i zamieszkać tutaj.

Singer roześmiał się.

— Dobry pomysł, skoro zamierza pan przejrzeć te wszystkie papiery. Nie wolno niczego wnosić z budynku, jasne? Fotokopiarkę znajdzie pan w głębi korytarza. Proszę tylko wpisać swoje nazwisko i nazwę agencji. Łazienka jest tam. W biurze są na ogół pączki i kawa. Jeśli chciałby się pan poczęstować, dobrze byłoby wrzucić do słoika parę dolców. — Singer mówił to wszystko z uśmiechem, ale Moore słyszał w jego wypowiedzianych z miękkim południowym akcentem słowach przestrozę: Mamy tu swoje zasady i nawet wy, ważniacy z Bostonu, musicie ich przestrzegać.

Catherine nie darzyła sympatią tego policjanta i Moore rozumiał dlaczego. Singer, nie mający jeszcze czterdziestki, był muskularnym, ambitnym facetem, który źle znosił krytykę. W stadzie wilków mógł być tylko jeden przywódca i na razie Moore pozwalał mu pełnić tę rolę.

— W tych czterech pudłach są akta dotyczące śledztwa - wyjaśnił Singer. — Może zechce pan od nich zacząć. Tu mamy materiały uzupełniające. — Szedł wzdłuż stołu, pokazując kolejne pudła. — A tutaj dokumenty z Atlanty na temat Dory Ciccone. Same fotokopie.

— Oryginały ma policja w Atlancie?

Singer skinął głową.

— Była pierwszą ofiarą Capry. Jedyłą, którą zabił tam.

— Skoro to fotokopie, czy mogę przejrzeć je w hotelu?

— Byle tylko wróciły. — Singer westchnął, patrząc na pudła. — Nie wiem, czego pan właściwie szuka. To zamknięta sprawa. Winę Capry potwierdziły badania kodu DNA i włókien. W czasie też wszystko się zgadza. Dora Ciccone została zamordowana w Atlancie, gdy Capra tam mieszkał. Kiedy przeniósł się do Savannah, zaczęły się tutaj zabójstwa kobiet. Zawsze znajdował się w odpowiednim miejscu.

— Nie wątpiłem ani przez chwilę w jego winę.

— Więc po co pan się w tym grzebie? Te akta mają po trzy, cztery lata.

Moore słyszał niepokój w głosie Singera i wiedział, że musi postępować bardzo dyplomatycznie. Jeśli da do zrozumienia, że detektyw popełnił błędy w dochodzeniu, że przeoczył istotny fakt, iż Capra miał współnika, zniknie nadzieja na pomoc ze strony policji w Savannah.

Moore wybrał odpowiedź, która nie mogła Singera urazić.

— Przypuszczamy, że Capra ma naśladowcę — oznajmił. — Sprawca z Bostonu bierze chyba z niego wzór. Z zadziwiającą dokładnością odtwarza jego zbrodnie.

— Skąd zna szczegóły?

— Mogli ze sobą korespondować, gdy Capra jeszcze żył.

Singer jakby się rozluźnił. Nawet zaczął się śmiać.

— Fanklub zboczeńców? Ładnie!

— Ponieważ nasz sprawca orientuje się dokładnie w działalności Capry, ja też muszę się z nią zapoznać.

Singer wskazał ręką na stół.

— Proszę bardzo.

Gdy Singer wyszedł z pokoju, Moore przejrzał etykiety na pudłach z materiałem dowodowym. Otworzył to, na którym figurował napis AS #1. Akta śledztwa. Wewnątrz znajdowały się trzy skoroszyty z kieszeniami. Każda była całkowicie wypełniona. A miał do przejrzenia cztery takie pudła. Pierwszy skoroszyt zawierał raporty na temat trzech napadów na kobiety, do których doszło w Savannah, zeznania świadków i nakazy rewizji. W drugim były kartoteki podejrzanych, wyciągi z rejestru przestępstw i wyniki badań laboratoryjnych. Dość lektury na cały dzień.

A na stole stało jeszcze jedenaście pudeł.

Moore zaczął od sporządzonego przez Singera podsumowania. Uderzyło go ponownie, jak wyraźnie wszystkie dowody świadczyły przeciwko Caprze. Miał na swoim koncie w sumie pięć napadów na kobiety, w tym cztery ze skutkiem śmiertelnym. Pierwszą ofiarą była Dora Ciccone, zamordowana w Atlancie. Rok później zaczęły się zabójstwa w Savannah. Zginęły tam trzy kobiety: Lisa Fox, Ruth Yoorhees i Jennifer Torregrossa.

Morderstwa ustały, gdy Capra został zastrzelony w sypialni

Catherine Cordell.

W każdym z tych przypadków w pochwie ofiary znajdowano spermę, której badania

potwierdzały obecność kodu DNA Capry. W miejscach zabójstw Lisy Fox i Jennifer Torregrossa znaleziono jego włosy. Pierwsza ofiara, Ciccone, została zamordowana w Atlancie w tym samym roku, gdy Capra kończył studia medyczne w tamtejszym Uniwersytecie Emory.

Do kolejnych zabójstw doszło, gdy pojawił się w Savannah.

Łamigłówka układała się w logiczną całość, ale Moore miał świadomość, że czyta jedynie podsumowanie sprawy, które zawierało elementy potwierdzające wnioski Singera. Niepasujące do jego teorii szczegóły mogły zostać pominięte. Właśnie te szczegóły — drobne, lecz istotne nieścisłości — miał nadzieję wydobyć z pudeł. Wierzył, że Chirurg musiał zostawić gdzieś swoje ślady.

Otworzył pierwszy skoroszyt i zagłębił się w lekturę.

Gdy trzy godziny później podniósł się wreszcie z krzesła i rozprostował obolałe plecy, było już południe, a sterta papierów pozostała niemal nietknięta. Nie zwęszył tropu Chirurga. Obszedł stół, przyglądając się etykietom na zamkniętych jeszcze pudłach, i zauważył na jednym z nich napis #72 Fox/Torreg-rossa/Voorhees/Cordell. Wycinki prasowe/taśmy wideo/różne materiały.

Otworzył pudło i znalazł na grubym pliku teczek kilka kaset wideo. Na jednej z nich była adnotacja Mieszkanie Capry i data 16 czerwca. Dzień po napadzie na Catherine.

Zastał Singera przy biurku. Jadł właśnie ogromnego hamburgera z rostbefem. Samo biurko mówiło wiele o jego właścicielu. Panował tam nieskazitelny porządek. Sterty papierów leżały równiutko poukładane. Singer był sumiennym policjantem, ale współpraca z nim musiała przyprawiać o ból głowy.

— Macie tu jakiś magnetowid, z którego mógłbym skorzystać? — spytał Moore.

— Jest zamknięty w magazynie.

Moore czekał, uznając, że nie musi już mówić nic więcej. Singer westchnął wymownie i sięgnąwszy do biurka po klucze, Podniósł się z miejsca.

— Domyślam się, że potrzebuje pan go natychmiast, prawda?

Wydobył z magazynu wózek z magnetowidem i telewizorem i zaciągnął go do pokoju, w którym pracował Moore. Włączył kable i uruchomił sprzęt, pomrukując z zadowoleniem, gdy wszystko zaczęło funkcjonować.

— Dzięki — powiedział Moore. — Będzie mi zapewne potrzebny przez parę dni.

— Odkrył pan już jakieś rewelacje? — W jego głosie pobrzmiwał niewątpliwie sarkazm.

— Dopiero zabieram się do pracy.

— Widzę, że ma pan taśmę z mieszkania Capry. — Singer pokręcił głową. — Ależ tam był burdel!

— Przejeżdżałem wczoraj wieczorem obok miejsca, gdzie mieszkał. Jest tam teraz tylko pusta działka.

— Dom spłonął jakiś rok temu. Po tej historii z Caprą właścicielka nie była w stanie wynająć nikomu mieszkania na piętrze. Zaczęła więc pobierać opłaty za jego zwiedzanie i, o dziwo, miała sporo chętnych. Do jaskini potwora ciągnęły pielgrzymki świrów. Zresztą ta kobieta też była trochę stuknięta.

— Muszę z nią pomówić.

— Jeśli potrafi pan rozmawiać ze zmarłymi...

— Zginęła w pożarze?

— Przesadziła z marihuaną. — Singer zaśmiał się ironicznie. — Udowodniła, że palenie jest szkodliwe dla zdrowia.

Moore czekał, aż Singer wyjdzie, po czym włączył kasetę z napisem Mieszkanie Capry.

Pierwsze zdjęcia kręcono na zewnątrz, przy dziennym świetle. Przedstawiały front domu, w którym mieszkał Capra. Moore rozpoznał drzewo ze zwisającym z konara mchem. Budynek był brzydki, piętrowy, wymagał odmalowania. Głos kamerzysty podawał datę, godzinę i miejsce

nakręcenia filmu. Przedstawił się jako detektyw z Savannah, Spiro Pataki. Sądząc z natężenia światła, filmował dom wczesnym rankiem. Pokazywał przez chwilę panoramę ulicy. W obiektywie mignęła twarz biegacza, wpatzonego ciekawie w kamerę. Na jezdni panował spory ruch (pora dojazdów do pracy?), a kilku sąsiadów stało na chodniku, gapiąc się na kamerzystę. Teraz na ekranie był znowu budynek. Drżący obraz ukazywał jego frontowe drzwi.

Wszedłszy do środka, detektyw Pataki sfilmował pobieżnie parter, gdzie mieszkała właścicielka domu, pani Poole. Moore dostrzegł wypłowiałe dywany, ciemne meble, popielniczkę przepelnioną niedopałkami — świadectwo fatalnego nałogu. Kamerzysta ruszył następnie po wąskich schodach, przez drzwi z żelaznym rygłem, do położonego na piętrze mieszkania Andrew Capry.

Moore na sam jego widok doznał uczucia klaustrofobii. Piętro zostało podzielone na małe klitki i ktokolwiek dokonał tej „renowacji”, musiał uzyskać promocyjną cenę od producentów boazerii. Wszystkie ściany były oklejone ciemnym fornirem. Kamera pokazywała korytarz, który był tak wąski, że przypominał tunel. „Sypialnia po prawej stronie” — oznajmił do mikrofonu Pataki, kierując obiektyw na starannie posłane dwuosobowe łóżko, nocną szafkę i toaletkę — całe umeblowanie, jakie mieściło się w tej mrocznej norze.

„Idę w kierunku salonu na końcu korytarza” — wyjaśnił Pataki, posuwając się znowu wzdłuż tunelu. Po chwili kamera pokazała większy pokój, w którym stali ludzie z ponurymi twarzami. Moore dostrzegł przy szafie Singera. Tu było centrum akcji.

— Te drzwi były zamknięte na kłódkę — oświadczył do kamery Singer. — Musieliśmy je wyważyć. Wewnątrz znaleźliśmy to. — Otworzył szafę i włączył światło.

Obraz był przez chwilę nieostry, a potem wypełniła ekran wyraźna czarno-biała fotografia twarzy kobiety. Miała szeroko otwarte, martwe oczy, a na szyi tak głęboką ranę, że widać było tchawicę.

— To chyba Dora Ciccone — stwierdził Singer. — W porządku, pokaż teraz następną.

Obiektyw kamery przesunął się w prawo, demonstrując zdjęcie kolejnej kobiety.

— To pośmiertne fotografie czterech ofiar. Przedstawiają, jak sądzę, Dorę Ciccone, Lisę Fox, Ruth Yoorhees i Jennifer Torregrossa.

Była to prywatna galeria Andrew Capry. Zacisze, w którym rozkoszował się wspomnieniami swoich zbrodni. Bardziej nawet niż same zdjęcia przerażała Moore'a pusta przestrzeń na ścianie i pudełko z pinezkami na półce. Miało być tych fotografii dużo więcej.

Kamera pokazała znowu pokój. Pataki obracał się powoli, filmując kanapę, telewizor, biurko, telefon i półki wypełnione podręcznikami medycyny. Gdy doszedł do aneksu kuchennego, zrobił zbliżenie lodówki.

Moore pochylił się w kierunku ekranu. Zaszło mu nagle w gardle. Wiedział już, co jest w lodówce, ale widząc, jak Singer się do niej zbliża, poczuł przyspieszony puls i skurcz w żołądku.

Singer przystanął i spojrział w obiektyw kamery.

— Oto, co znaleźliśmy w środku — powiedział, otwierając drzwiczki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Moore przeszedł się wokół budynku, tym razem nie zauważając niemal upału, tak bardzo zmroziło go to, co zobaczył na wideo. Opuścił z ulgą salę konferencyjną, która teraz budziła w nim koszmarne skojarzenia. Nawet samo miasto, ze swym gęstym jak syrop powietrzem i mdłym zielonym światłem, wprawiało go w niepokój. W Bostonie wszystko miało wyraziste kontury: każdy budynek, każda twarz. Człowiek czuł, że żyje, choćby z powodu wiecznego rozdrażnienia. Tutaj widział świat jak za mgłą. Zastanawiał się, jakie mroczne tajemnice kryją się za uprzejmymi uśmiechami i sennymi głosami mieszkańców Savannah.

Kiedy wrócił do biura, Singer pisał coś na laptopie.

— Chwileczkę — powiedział, wystukując opcję sprawdź pisownię. Broń Boże, żeby w jego

raporcie pojawił się jakiś błąd. Po chwili spojrział z zadowoleniem na Moore'a. — Słucham?

— Czy trafiliście na notatnik Capry?

— Jaki notatnik?

— Ludzie trzymają zwykle obok telefonu notes z adresami. Nie zauważyłem go na taśmie wideo ani na liście znalezionych u niego rzeczy.

— Minęły już ponad dwa lata. Jeśli nie mamy go na liście, to znaczy, że nie miał takiego notesu.

— Albo zabrano go z mieszkania, zanim tam dotarliście.

— Czego pan właściwie szuka? Sądziłem, że chciał pan poznać metody działania Capry, a nie rozpoczynać na nowo śledztwo.

— Interesują mnie jego przyjaciele. Ludzie, którzy go dobrze znali.

— Nikt naprawdę go nie znał, do cholery! Przesłuchiwałem lekarzy i pielęgniarki, z którymi pracował, właścicielkę mieszkania i sąsiadów. Pojechałem nawet do Atlanty, żeby porozmawiać z jego ciotką, jedyną żyjącą krewną.

— Tak, czytałem te zeznania.

— Więc pan wie, że wszyscy dali się zwieść pozorom. Słyszałem wciąż te same uwagi:

„Taki troskliwy lekarz! Taki uprzejmy młody człowiek!” — Singer prychnął pogardliwie.

— Nie mieli pojęcia, kim Capra był naprawdę.

Singer odwrócił się z powrotem do klawiatury.

— Do diabła! Potwory zawsze dobrze się maskują.

Nadeszła pora na ostatnią kasetę. Moore zostawił ją celowo na sam koniec, bo nie był wcześniej gotowy do jej obejrzenia. Starał się nie ulegać emocjom, robiąc notatki na temat tego, co zarejestrowano w sypialniach Lisy Fox, Jennifer Torregrossa i Ruth Yoorhees. Oglądał wielokrotnie ślady krwi na ścianach, węzły na nylonowych żyłkach, krępujących przeguby ofiar.

i ich martwe, zamglone oczy. Mógł patrzeć na to wszystko beznamiętnie, bo nie znał tych kobiet, nie brzmiały mu w uszach ich głosy. Nie koncentrował się na ofiarach, lecz na ucieleśnieniu zła, które nawiedziło ich domy. Wyjął z magnetowidu kasetę z filmem nakręconym w sypialni Ruth Yoorhees i położywszy ją na stole, sięgnął niechętnie po kolejną taśmę. Na etykiecie widniała data, numer sprawy i słowa Mieszkanie Catherine Cordell.

Zastanawiał się, czy nie odłożyć kasety na bok i nie poczekać do następnego ranka, kiedy będzie bardziej wypoczęty. Była już dziewiąta. Spędził w tym pokoju cały dzień. Trzymał w ręce taśmę, wahając się, co robić.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Singer stoi w drzwiach.

— Jeszcze pan tu jest? — zapytał.

— Mam wiele do przejrzenia.

— Widział pan wszystkie taśmy?

— Oprócz tej jednej.

Singer zerknął na etykietę.

— Cordell.

— Właśnie.

— Niech pan ją puści. Może będę mógł służyć paroma szczegółami.

Moore włożył kasetę do magnetowidu i włączył odtwarzanie.

Zobaczyli na ekranie front domu Catherine. Była noc. Na ganku i w mieszkaniu paliły się światła. Kamerzysta — niezastąpiony Spiro Pataki — przedstawił się do mikrofonu, podając datę i godzinę. Dochodziła druga nad ranem. W tle słychać było różne głosy i cichnące wycie syreny. Pataki filmował, jak zwykle, okolicę i Moore zobaczył posępne twarze sąsiadów, zgromadzonych za policyjną taśmą, odgradzającą miejsce zbrodni. Stali w światłach kilku zaparkowanych na ulicy policyjnych radiowozów. Moore był zaskoczony, że w środku nocy zebrał się taki tłum.

Musiał tam być spore zamieszanie, skoro obudziło się tylu ludzi.

Pataki skierował kamerę z powrotem na dom i podszedł do frontowych drzwi.

— Najpierw zostaliśmy powiadomieni o strzałach — oznajmił Singer. — Mieszkająca naprzeciwko kobieta usłyszała najpierw jeden, a po dłuższej przerwie drugi. Zadzwoiła na policję. Pierwszy radiowóz zjawił się po siedmiu minutach.

Karetkę wezwano dwie minuty później.

Moore przypomniał sobie kobietę, przyglądającą mu się z okna po drugiej stronie ulicy.

— Czytałem zeznania sąsiadki — powiedział. — Nie widziała, by ktokolwiek wychodził przez frontowe drzwi.

— Zgadza się. Słyszała tylko dwa strzały. Wskoczyła z łóżka po pierwszym i wyjrzała przez okno. Potem, po jakichś pięciu minutach, usłyszała drugi strzał.

Po pięciu minutach, pomyślał Moore. Skąd ten odstęp czasu?

Kamerzysta wszedł przez frontowe drzwi i znalazł się wewnątrz domu. Moore zobaczył otwartą szafę, a w niej kilka płaszczy na wieszakach, parasol, odkurzacz. Kamera obracała się, pokazując salon. Na stoliku obok kanapy stały dwie szklanki. W jednej z nich był jeszcze żółtawy płyn.

— Cordell zaprosiła go do domu i poczęstowała piwem - stwierdził Singer. — W pewnym momencie musiała wyjść do łazienki i gdy wróciła, dopiła swoją porcję. Po godzinie zaczął działać rohypnol.

Kanapa miała brzoskwiniowe obicie z delikatnym kwiecistym wzorem. Moore był zaskoczony, że Catherine gustowała w takim wystroju wnętrza. Na zasłonach również widniały kolorowe kwiaty. Mieszkając w Savannah, otaczała się żywymi barwami. Wyobraził sobie, jak siedzi na kanapie z Andrew Caprą, wysłuchując cierpliwie jego pretensji, a rohypnol przenika powoli z jej żołądka do krwiobiegu. Gdy cząsteczki leku docierają do mózgu, przestaje słyszeć

głos Capry.

Kamerzysta zmierzał teraz do kuchni, rejestrując po drodze wszystkie pomieszczenia tak, jak wyglądały w ową sobotę o drugiej nad ranem. Na kuchennym zlewie stała pojedyncza szklanka po wodzie.

Moore pochylił się nagle do przodu.

— Zbadaliście kod DNA ze śliny na tej szklance?

— W jakim celu?

— Nie wiadomo, kto z niej pił?

— Kiedy przyjechał pierwszy radiowóz, w mieszkaniu były tylko dwie osoby: Capra i Cordell.

— Dwie szklanki stały na stoliku w salonie. Kto pił z tej trzeciej?

— Do diabła, mogła tam stać przez cały dzień. To nie było istotne dla sprawy.

Kamerzysta skończył filmować kuchnię i wyszedł na korytarz. Moore chwycił pilota i cofnął taśmę, aby obejrzeć ponownie ten fragment nagrania.

— O co chodzi? — zapytał Singer.

Moore nie odpowiedział. Pochylił się, wpatrzony uważnie w telewizor. Na ekranie pojawiła się lodówka z przyczepionymi kolorowymi magnesikami w kształcie owoców, stojące na kuchennym blacie puszkę z mąką i cukrem, a na koniec zlew z pojedynczą szklanką. Potem obiektyw kamery skierował się na korytarz.

Moore ponownie przewinął taśmę.

— Czego pan szuka? — spytał Singer.

Na ekranie widać było znowu szklankę. Kamera zaczynała się obracać w kierunku korytarza.

Moore zatrzymał obraz.

— Chodziło mi o to — oznajmił. — Dokąd prowadzą te kuchenne drzwi?

— Na trawnik za domem.

— A co jest za nim?

— Sąsiednia parcela. Kolejny szereg domów.

— Rozmawiał pan z właścicielem tej posesji? Czy słyszał strzały?

— Jakie to ma znaczenie?

Moore wstał i podszedł do monitora.

— Zauważył pan łańcuch przy kuchennych drzwiach? - powiedział, stukając palcem w ekran. — Nie jest założony.

— Ale drzwi są zaryglowane — odparł po chwili Singer. - Proszę spojrzeć na położenie przycisku na gałce.

— Zgadza się. Można go zablokować, wychodząc z domu, i w ten sposób zamknąć drzwi za sobą.

— Co pan sugeruje?

— Dlaczego Cordell miałaby zablokować zamek, a nie założyć łańcucha? Gdy zamyka się drzwi na noc, robi się od razu obie rzeczy. Niemal automatycznie.

— Mogła po prostu zapomnieć.

— W Savannah zamordowano wtedy trzy kobiety. Była na tyle zaniepokojona, że trzymała pod łóżkiem broń. Nie sądzę, żeby zapomniała o łańcuchu. — Spojrzał na Singera. — Może ktoś wyszedł tymi kuchennymi drzwiami?

— W domu były tylko dwie osoby. Cordell i Capra.

Moore zastanawiał się, co powiedzieć. Czy więcej zyska, czy straci, jeśli będzie całkowicie szczery. Singer zorientował się już, do czego zmierza.

— Twierdzi pan, że Capra miał współnika?

— Tak.

— Wyciąga pan dość śmiało wnioski z faktu, że na drzwiach nie było łańcucha.

Moore zaczerpnął powietrza.

— Jest coś jeszcze. Tej nocy, gdy Catherine Cordell została napadnięta, słyszała w domu głos drugiego mężczyzny. Rozmawiał z Caprą.

— Nigdy mi o tym nie wspomniała.

— To wyszło na jaw podczas seansu hipnotycznego.

Singer wybuchnął śmiechem.

— Zatrudnił pan medium, żeby potwierdzić swoją teorię?

Chyba dam się przekonać.

— To by wyjaśniało, skąd Chirurg wie tyle o metodach Capry. Ci dwaj mężczyźni działali razem. Chirurg przejął po nim spuściznę i stara się osaczyć ich jedyną ocalałą ofiarę.

— Świat jest pełen kobiet. Dlaczego poluje akurat na nią?

— Załatwia niedokończoną sprawę.

— Cóż, mam lepszą teorię. — Singer wstał z krzesła. - Cordell zapomniała po prostu zamknąć drzwi w kuchni na łańcuch. Wasz chłopak z Bostonu imituje to, co przeczytał w gazetach. A hipnotyzer wydobył z pacjentki fikcyjne wspomnienia. — Pokręcił głową i ruszył do drzwi, dodając z sarkazmem na pożegnanie: — Proszę mnie zawiadomić, kiedy znajdzie pan prawdziwego zabójcę.

Moore nie przejmował się długo jego reakcją. Wiedział, że Singer broni się przed zarzutem zawodowej niekompetencji, i nie mógł winić go o sceptycyzm. Zaczynał się zastanawiać nad swoją intuicją. Przyjechał do Savannah, żeby potwierdzić lub obalić teorię o współniku Capry, ale na razie niczego nie osiągnął.

Skoncentrował uwagę na ekranie telewizora i włączył taśmę.

Kamerzysta przeszedł z kuchni na korytarz. Zajrzał na chwilę do łazienki, pokazując różowe

ręczniki i zasłone od prysznic w kolorowe ryby. Moore czuł, że pocą mu się ręce. Bał się patrzeć, co będzie dalej, lecz nie mógł oderwać wzroku od ekranu. Kamerzysta szedł korytarzem, mijając wiszącą na ścianie akwarelę z różowymi piwoniami. Na drewnianej podłodze widniały rozmazane plamy krwi z odciskami butów pierwszych przybyłych na miejsce zbrodni policjantów i sanitariuszy. Drżący obraz kamery pokazywał teraz drzwi.

Po chwili operator znalazł się w sypialni.

Moore poczuł skurcz w żołądku. Nie dlatego, że ujrzał coś bardziej szokującego niż inne sceny zbrodni, które widywał. Po prostu nie była mu obojętna kobieta, która przeżyła tam koszmar. Oglądał wcześniej zdjęcia tego pokoju, ale nie robiły tak ponurego wrażenia jak wideo. Chociaż Catherine nie było już w sypialni — została zabrana do szpitala — widział na ekranie krzyczące dowody jej udręki. Z czterech rogów łóżka zwisała nadal nylonowa żyłka, którą miała skrepowane przeguby i kostki. Na nocnej szafce leżały narzędzia chirurgiczne: skalpel i rozwieracze. Widok ten podziałał na niego tak, jakby dostał cios pięścią.

Gdy w obiektywie kamery ukazały się wreszcie leżące na podłodze zwłoki Andrew Capry, patrzył na nie niemal bez emocji. Był już otępiały po tym, co zobaczył parę sekund wcześniej. Rana w brzuchu Capry mocno krwawiła i pod jego torsem widniała ogromna czerwona kałuża. Drugi pocisk, który trafił go w oko, spowodował śmierć. Moore pamiętał, że oba strzały dzieliło pięć minut. To, co zobaczył, potwierdziło przypuszczenia, że Capra przez ten czas żył jeszcze i krwawił.

Nagranie na taśmie skończyło się.

Moore patrzył przez chwilę w pusty ekran, po czym otrząsnął się z odrętwienia i wyłączył magnetowid. Czuł się zbyt wyczerpany, żeby wstać z krzesła. Przemógł się w końcu, by jak najszybciej uciec z tego miejsca. Zabrał ze sobą pudło z fotokopiami dokumentów z dochodzenia w Atlancie. Ponieważ nie były to oryginały, mógł je przejrzeć gdzie indziej.

Po powrocie do hotelu wziął prysznic i zjadł w pokoju hamburgera z frytkami. Przez godzinę oglądał telewizję, aby ochłonać. Jednak przez cały czas, przerzucając kolejne kanały, myślał o tym, żeby zadzwonić do Catherine. Po obejrzeniu ostatniej kasety wideo uzmysłowił sobie z całą wyrazistością, jaki potwór ją prześladował, i nie dawało mu to spokoju.

Dwukrotnie podnosił słuchawkę telefonu i znów ją odkładał. Za trzecim razem wystukał już bezwiednie dobrze znany numer. Po czterech sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka. Odłożył słuchawkę, nie zostawiając żadnej wiadomości.

Patrzył na aparat, zawstydzony, że tak łatwo uległ pokusie. Obiecał sobie, że wykaże silną wolę, przystał na żądanie Marquette'a, by podczas dochodzenia trzymał się z dala od Catherine. Kiedy zamkniemy tę sprawę, jakoś wszystko się między nami ułoży, pocieszył się.

Spojrzał na leżącą na biurku stertę dokumentów z Atlanty. Była północ, a on nie zaczął nawet ich przeglądać. Westchnął ciężko i otworzył pierwszy skoroszyt.

Akta dotyczące zabójstwa Dory Ciccone, pierwszej ofiary Andrew Capry, nie były przyjemną lekturą. Znał tę sprawę w zarysie z końcowego protokołu Singera, ale nie czytał szczegółowych raportów z Atlanty. Teraz cofał się w czasie, zapoznając się z początkami działalności Capry. Tam właśnie, w Atlancie, wszystko się zaczęło.

Przeczytał wstępny raport z miejsca zbrodni i zagłębił się w materiały z przesłuchań.

Przestudiował zeznania sąsiadów Ciccone, barmana z pobliskiego lokalu, gdzie widziano JĄ ostatnio żywą, i przyjaciółki, która znalazła ciało. W aktach znajdowała się również lista podejrzanych wraz z ich zdjęciami. Nie było na niej Capry.

Dora Ciccone miała dwadzieścia dwa lata i kończyła studia w Emory. Tej nocy, kiedy zginęła, widziano ją około dwunastej, jak piła margaritę w barze La Cantina. Czterdzieści godzin później znaleziono jej ciało w domu. Była naga i przywiązana do łóżka nylonową żyłką. Miała wyciętą macicę i poderżnięte gardło.

Moore przejrzał notatki ze śledztwa. Były zapisane odręcznie i niemal nieczytelne, jakby detektyw z Atlanty sporządzał je tylko po to, by zadośćuczynić przepisom. Wyczuwał w nich bezsilność i zniechęcenie. Wiedział z własnego doświadczenia, jak ściska człowieka w gardle, gdy po upływie doby, tygodnia i miesiąca śledztwo ciągle nie daje żadnych rezultatów. Właśnie w takiej sytuacji był detektyw z Atlanty. Zabójca Dory Ciccone pozostał nieznany.

Moore otworzył raport z sekcji zwłok.

Okaleczając Dorę Ciccone, Capra nie posługiwał się jeszcze skalpelem tak zręcznie, jak w przypadku pozostałych zabójstw. Poszarpane brzegi ran dowodziły, że brakowało mu pewności siebie, by naciąć brzuch ofiary jednym ruchem. Wahał się i cofał rękę. Po przecięciu skóry pokieroszował jak rzeźnik pęcherz i jelita, żeby zdobyć swój łup. Nie zastosował nici chirurgicznych, by podwiązać arterie. Ofiara silnie krwawiła i Capra musiał działać po omacku, z rękami zanurzonymi w jej wnętrznościach.

Tylko gardło podciął jej błyskawicznie, jakby — zaspokoiwszy już żądzę i ochłonawszy z podniecenia — odzyskał panowanie nad sobą i mógł dokończyć dzieło z chłodnym wyrachowaniem.

Moore odłożył na bok raport z sekcji zwłok i spojrzał na resztki kolacji na stojącej obok tacy. Czując nagle mdłości, wyniósł ją na korytarz. Wrócił do biurka i otworzył kolejny skoroszyt, zawierający wyniki badań laboratoryjnych.

Na pierwszej stronie widniała adnotacja Spermia zidentyfikowana w wymazie z pochwy ofiary.

Wiedział, że analiza DNA tej spermy potwierdziła, że należała ona do Capry. Przed zamordowaniem Dora Ciccone została zgwałcona.

Moore przeszedł na następną stronę i znalazł całą serię wyników badań z sekcji włosów i włókien. Na łonie ofiary znaleziono rudobrązowy włos Capry. Na kolejnych kilku stronach

raportu analizowano próbki owłosienia, wykryte na miejscu zbrodni. Były to w większości włosy z głowy lub łona Dory Ciccone. Krótki, jasny włos zlokalizowano także na prześcieradle. W oparciu o złożoną strukturę jego rdzenia stwierdzono, że jest to fragment sierści. Odrębna notatka informowała: „Matka ofiary posiada wyżła. Podobne włosy znaleziono na tylnym siedzeniu samochodu Dory Ciccone”.

Zajrzawszy na ostatnią stronę raportu, zaczął uważnie ją studiować. Zawierała analizę jeszcze jednego, niezidentyfikowanego włosa, który był na poduszce. W każdym domu można znaleźć dziesiątki włosów. Wypadają nam one codziennie i w zależności od tego, jak dba się o porządek i jak często używa odkurzacza, na prześcieradłach, dywanach i kanapach gromadzą się mniej lub bardziej widoczne ślady po wszystkich gościach, którzy spędzili z nami jakiś czas. Ten znaleziony na poduszce pojedynczy włos mógł należeć do kochanka ofiary, znajomego lub krewnego. W każdym razie nie należał do Capry.

Pojedynczy ludzki włos z głowy, jasnobrązowy, AO (kręcony), długość trzonu: 5 cm. Faza telogenowa. Trichorrhexis invaginata. Pochodzenie nieznane.

Trichorrhexis invaginata. Bambusowy włos.

Chirurg był w tamtym mieszkaniu.

Moore usiadł prosto, oszołomiony swoim odkryciem. Czytał tego dnia raporty z badań laboratoryjnych w Savannah. W mieszkaniach Lisy Fox, Ruth Yoorhees, Jennifer Torregrossa i Catherine Cordell nie znaleziono włosów z Trichorrhexis invaginata.

Ale współnik Capry cały czas tam przebywał. Pozostawał niewidoczny, nie zostawiał po sobie śladów DNA w postaci spermy. Jedyнным dowodem jego obecności był ten pojedynczy włos i niejasne wspomnienie głosu, który słyszała Catherine.

Działali razem od pierwszego zabójstwa. Już w Atlancie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Peter Falco był po łokcie we krwi. Podniósł wzrok znad stołu operacyjnego, gdy Catherine zjawiała się w urazówce. Wszelkie dzielące ich nieporozumienia zeszły natychmiast na dalszy plan. Przyjęli rolę współdziałających na polu walki profesjonalistów.

— Będzie jeszcze jeden! — oznajmił Peter. — W sumie cztery osoby. Tego ostatniego ciągle wydobywają z samochodu.

Z nacięcia trysnęła krew. Peter chwycił z tacy zacisk i wetknął go w otwartą jamę brzuszną.

— Pomogę ci — powiedziała Catherine, rozwijając zapakowany sterylnie fartuch.

— Nie, poradzę sobie. Kimball potrzebuje cię w dwójce.

Jakby na poparcie jego słów rozległo się wycie syreny ambulansu.

— To twój pacjent — stwierdził Falco. — Baw się dobrze.

Catherine wybiegła na podjazd. Doktor Kimball i dwie pielęgniarki czekali już przy cofającej karetki. Zanim jeszcze Kimball otworzył drzwi ambulansu, usłyszeli krzyki pacjenta.

Był to młody mężczyzna z wytatuowanymi ramionami.

Szarpał się i kłął, gdy sanitariusze wyciągali nosze. Catherine rzuciła okiem na przesiąknięte krwią prześcieradło, którym miał przykryty brzuch, i zrozumiała, dlaczego tak wrzeszczy.

— Podaliśmy mu na miejscu wypadku tonę morfiny - stwierdził sanitariusz, gdy przewozili go na urazówkę. — Jakby w ogóle nie działała!

— Ile? — spytała Catherine.

— Dożylnie czterdzieści pięć miligramów. Przestaliśmy, kiedy zaczęło mu spadać ciśnienie.

— Uwaga, przenosimy go! — powiedziała pielęgniarka. - Raz, dwa, trzy!

— Chryste! Kurwa! To boli!!

— Wiem, słoneczko. Wiem.

— Nic nie wiesz, do kurwy nędzy!

— Za chwilę poczujesz się lepiej. Jak się nazywasz, synu?

— Rick... O Jezu, moja noga!

— A dalej?

— Roland!

— Jesteś na coś uczulony, Rick?

— Co z was za popaprańcy?

— Jakie mamy odczyty? — wtrąciła Catherine, wciągając rękawiczki.

— Ciśnienie sto dwa na sześćdziesiąt. Puls sto trzydzieści.

— Podać dożylnie dziesięć miligramów morfiny — polecił Kimball.

— Cholera! Dajcie mi setkę!

Gdy reszta personelu krzątała się, wieszając torebki z kroplówką, Catherine odsunęła przesiąknięte krwią prześcieradło i wstrzymała oddech na widok krępulca, zaciśniętego wokół zmiażdżonej kończyny.

— Podajcie mu trzydzieści miligramów — powiedziała.

Dolna część prawej nogi trzymała się tylko na skrawkach skóry. Uszkodzona kończyna wyglądała jak krwawa miazga, a stopa była odwrócona niemal o sto osiemdziesiąt stopni.

Dotknęła palców. Były zimne jak lód. Krążenie, oczywiście, ustało.

— Mówili, że z tętnicy tryskała krew — wyjaśnił sanitariusz. — Pierwszy policjant, który przybył na miejsce wypadku, założył opaskę.

— Ocalił mu życie...

— Morfina już podana!

Catherine oświetliła ranę.

— Wygląda na to, że uszkodzony został nerw podkolanowy i tętnica. Krew nie dopływa do naczyń w nodze. — Spojrzała na Kimballa. Oboje nie mieli wątpliwości, co należy zrobić.

— Przewieźmy go na salę operacyjną — powiedziała. - Jego stan jest wystarczająco stabilny.

Zwolnimy w ten sposób urazówkę.

— W samą porę — zauważył Kimball, słysząc syrenę kolejnego ambulansu. Odwrócił się do wyjścia.

— Hej! Hej! — Pacjent chwycił go za ramię. — Jesteś lekarzem, prawda? Boli mnie jak cholera! Powiedz tym sukcom, żeby coś zrobiły!

Kimball spojrział z ukosa na Catherine i odparł:

— Bądź dla nich miły, koleś. Te suki tu rządzą.

Catherine nigdy nie decydowała się łatwo na amputację.

Jeśli tylko można było uratować pacjentowi kończynę, robiła wszystko, co w jej mocy, by tego dokonać. Gdy pół godziny później stanęła ze skalpelem przy stole operacyjnym i spojrzała na to, co zostało z prawej nogi leżącego na nim mężczyzny, nie miała wyboru. Łydka była pokiereszowana, a piszczel i strzałka uległy zmiążdżeniu. Sądząc po zdrowej lewej nodze, jego prawa kończyna była kiedyś foremna, muskularna i ogorzała od słońca. Na nagiej stopie — o dziwo nienaruszonej, choć sterczącej pod szokującym kątem — widniały białe ślady po paskach od sandałów, a pod paznokciami — ziarenka piasku. Nie darzyła tego pacjenta sympatią i nie przypadły jej do gustu przekleństwa i obelgi, którymi obrzucał ją i pielęgniarki, ale odczuwała przygnębienie, przykładając skalpel do jego ciała, tnąc skórę i ostre krawędzie połamanych kości. Pielęgniarka usunęła amputowaną kończynę ze stołu i zawinęła ją w chustę. Noga, która stąpała niedawno po ciepłym piasku, zmieni się wkrótce w popiół, spalona wraz z innymi narządami w szpitalnym krematorium.

Catherine czuła się po operacji przybita i wyczerpana. Gdy ściągnęła wreszcie rękawiczki i fartuch i wyszła z sali operacyjnej, nie miała zupełnie ochoty rozmawiać z czekającą na nią Jane Rizzoli.

Podeszła do umywalki, by zmyć z rąk zapach talku i lateksu.

— Jest już północ — zauważyła. — Czy pani nigdy nie sypia?

— Zapewne tyle co pani. Mam kilka pytań.

— Sądziłam, że już nie prowadzi pani tej sprawy.

— Nigdy z niej nie zrezygnuję. Bez względu na to, co pani powiedziano.

Catherine wytarła ręce i spojrzała na Rizzoli.

— Nie przepada pani za mną, prawda?

— To bez znaczenia.

— Czy powiedziałaś albo zrobiłam coś niewłaściwego?

— Skończyła pani już dyżur?

— Chodzi o Moore'a, tak? Dlatego mnie pani nie lubi?

Rizzoli zacisnęła usta.

— Nie wtrącam się w jego osobiste sprawy.

— Ale nie pochwała pani tego, co robi.

— Nigdy nie pytał mnie o zdanie.

— Wyraźnie widać, co pani myśli.

Rizzoli przyglądała się jej z nieukrywaną niechęcią.

— Kiedyś podziwiałam Moore'a. Sądziłam, że jest wyjątkowy. Że zawsze trzyma się zasad.

Okazał się nie lepszy od innych. Trudno mi tylko uwierzyć, że stało się tak z powodu kobiety.

Catherine zdjęła chirurgiczny czepek i wrzuciła go do pojemnika na śmieci.

— On wie, że popełnił błąd — powiedziała i wyszła z bloku operacyjnego do holu.

— Od kiedy? — spytała Rizzoli, podążając za nią.

— Odkąd wyjechał bez słowa z miasta. Chyba uznał, że to nieporozumienie.

— Pani też tak uważa?

Catherine stała w holu, starając się powstrzymać łzy. Nie wiem. Sama nie wiem, co myśleć,

odpowiedziała w duchu.

— Jest pani w centrum zainteresowania wszystkich, doktor Cordell: Moore’a, Chirurga...

Catherine zwróciła się do niej ze złością.

— Myśli pani, że tego chcę? Nie zależy mi, żeby być ofiarą!

— Stale coś się pani przydarza, prawda? Między panią a Chirurgiem istnieje jakaś dziwna więź. Początkowo tego nie dostrzegałam. Sądziłam, że zabija kobiety, żeby realizować swoje urojenia. Teraz myślę, że chodzi mu o panią. Jest jak kocur, który poluje na ptaki i przynosi je do domu swojej właścicielce, by pokazać, iż jest dobrym łowcą. Pragnął zrobić na pani wrażenie. Im bardziej się pani boi, tym większą on ma satysfakcję. Dlatego właśnie zabił Ninę Peyton dopiero wtedy, gdy znalazła się w szpitalu, pod pani opieką. Chciał, żeby była pani świadkiem jego kunsztu. Ma obsesję na pani punkcie. Ciekawe dlaczego.

— Tylko on mógłby to wyjaśnić.

— Pani niczego się nie domyśla?

— Jakim cudem? Nie wiem nawet, kto to jest.

— Był w pani domu z Andrew Caprą. Jeśli pod wpływem hipnozy mówiła pani prawdę.

— Widziałam tamtej nocy tylko Andrew. I jedynie on... - Urwała w pół zdania. — A może to

nie na moim punkcie ma obsesję? Pomyślała pani o tym? Może Chirurgowi chodzi o Andrew?

Rizzoli zmarszczyła brwi, zaskoczona tym pytaniem. Catherine zdała sobie nagle sprawę, że

trafiła w dziesiątkę. To nie ona była w centrum zainteresowania Chirurga, lecz Andrew Capra.

Człowiek, którego naśladował, może nawet wielbił. Wspólnik, którego Catherine mu odebrała.

Podniosła głowę, słysząc przez głośnik swoje nazwisko.

— Doktor Cordell proszona natychmiast na ostry dyżur.

Boże, czy nigdy nie dadzą mi spokoju? — pomyślała.

Wcisnęła przycisk windy.

— Doktor Cordell?

— Nie mam teraz czasu odpowiadać na pani pytania. Czekają na mnie pacjenci.

— Kiedy znajdzie pani czas?

Drzwi windy otworzyły się i Catherine weszła do kabiny, jak strudzony żołnierz, wracający na front.

— Mój nocny dyżur dopiero się zaczyna.

Po krwi ich poznam.

Przyglądam się stojakom z próbkami jak czekoladkom w bombonierce, zastanawiając się, która wygląda najbardziej apetycznie. Krew każdego z nas jest niepowtarzalna. Rozróżniam gołym okiem jej odcienie, od jaskrawego karminu po ciemną wiśnię. Wiem, czemu zawdzięczamy tę paletę barw. Czerwony kolor nadaje krwi hemoglobina o różnym stopniu utlenienia. To tylko chemia, ale jaką posiada moc! Potrafi szokować i przerażać. Widok krwi wszystkich nas porusza.

Widuję ją codziennie, a ciągle robi na mnie wrażenie.

Spoglądam pożądliwie na próbki. Nadeszły z całego Bostonu, z gabinetów lekarskich, klinik i pobliskiego szpitala. Jesteśmy największym laboratorium diagnostycznym w mieście. Jeśli gdziekolwiek w Bostonie pobiorą ci krew, istnieje duże prawdopodobieństwo, że trafi ona tutaj. Do mnie.

Sięgam po pierwszy stojak z próbkami. Na każdej próbce jest etykieta z nazwiskiem pacjenta oraz lekarza i datą. Obok stojaka leży sterta druczków. Przeglądam je po kolei.

W połowie pliku znajduję zlecenie na badanie krwi Karen Sobel. Ma dwadzieścia pięć lat i mieszka w Brookline przy Clark Road 7536. Jest białej rasy, niezamężna. Wszystko to widnieje na formularzu, wraz z jej numerem ubezpieczenia i miejscem pracy.

Lekarz zlecił wykonanie testów na HIV i choroby weneryczne.

W rubryce diagnoza wpisano gwałt.

Znajduję w stojaku próbkę z krwią Karen Sobel. Ma ciemną barwę. To krew rannego zwierza. Trzymam ją w ręce i gdy nagrzewa się od mojego dotyku, mam przed oczami tę młodą kobietę. Jest rozbita i udręczona. Gotowa, by nią zawładnąć.

Nagle słyszę głos, który mnie elektryzuje. Podnoszę wzrok.

Do laboratorium weszła właśnie Catherine Cordell.

Jest na wyciągnięcie ręki. Jej widok mnie zaskakuje, zwłaszcza o tak późnej porze. Lekarze rzadko zapuszczają się do mojego podziemnego świata. Czuję nieoczekiwane podniecenie, jakbym ujrzał Persefonę zstępującą do Hadesu.

Ciekawe, co ją sprowadza. Widzę, jak podaje laborantowi przy sąsiednim stanowisku kilka próbek z żółtawym płynem, i słyszę słowa „wysiłek opiumowy”. Rozumiem już, dlaczego się u nas zjawiała. Jak wielu lekarzy, nie ufa szpitalnym kurierom, gdy chodzi o cenniejsze próbki, i wolała dostarczyć je osobiście, przechodząc tunelem, który łączy szpital Pilgrim z budynkiem laboratoriów.

Przyglądam się jak odchodzi. Widzę ją z bliska. Idzie chwiejnym krokiem, z opuszczonymi ramionami, jakby brnęła w głębokim błocie. W świetle jarzeniówki jej zmęczona twarz ma mleczną barwę. Znika w drzwiach, nie wiedząc, że ją obserwuję. Patrę znów na próbkę z krwią Karen Sobel, którą nadal trzymam w ręce, i nagle przestaję się nią ekscytować. To zdobycz niewarta zachodu. Zwłaszcza w porównaniu z tą która właśnie przeszła obok mnie.

Czuję nadal zapach Catherine.

Siadam do komputera i w rubryce nazwisko lekarza wpisuje. C. Cordell. Na ekranie pojawia się lista testów laboratoryjnych, które zamówiła w ciągu ostatniej doby. Widzę, że dyżuruje w szpitalu od dziesiątej w nocy. Jest teraz piąta trzydzieści rano, piątek. Czeka ją cały dzień pracy.

A mój dyżur właśnie się kończy.

Wychodzę z budynku o siódmej rano. Razi mnie w oczy poranne słońce. Jest już ciepło. Idę na szpitalny parking, wysiadam z windy na piątej kondygnacji i docieram wzdłuż szeregu samochodów do stanowiska numer 541, gdzie zaparkowany jest jej wóz. To kanarkowy mercedes, tegoroczny model. Lśniaco czysty.

Wyjmuję z kieszeni kluczyki, które mam od dwóch tygodni i otwieram bagażnik.

Kłapa odskakuje w górę.

Zaglądam do środka i znajduję dźwignię, pomysłowe urządzenie, dzięki któremu zatrzaśnięte przypadkowo w bagażniku dziecko mogłoby wydostać się na zewnątrz.

Nadjeżdża jakiś samochód. Zamykam szybko bagażnik mercedesa i odchodzę.

Brutalna wojna trojańska toczyła się przez dziesięć lat. Ofiara dziewiczej krwi Ifigenii, przelanej na ołtarzu w Aulidzie, sprowadziła pomyślny wiatr, który pogał tysiąc greckich okrętów w kierunku Troi, ale Greków nie czekało szybkie zwycięstwo, gdyż bogowie na Olimpie byli podzieleni. Afrodyta, Ares, Apollo i Artemida popierali Trojan, a Hera, Atena i Posejdon — Greków. Szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Herosi zabijali wrogów i sami ginęli, a ziemia — jak mówi poeta Wergiliusz — spływała krwią.

W końcu Troja została zdobyta nie siłą lecz podstępem. W dniu klęski jej obrońcy znaleźli o świcie u bram miasta wielkiego drewnianego konia.

Kiedy o nim myślę, zdumiewa mnie głupota Trojan. Jak mogli nie wiedzieć, że we wnętrzu tego monstrum ukrywają się wrogowie? Po co wciągnęli go za bramy? Czemu upili się, świętując przez całą noc zwycięstwo? Ja okazałbym chyba więcej rozsądku.

Może ich czujność uspiły niezdobyte mury, którymi się otoczyli? Skoro bramy były zamknięte, co im mogło zagrażać? Nieprzyjaciół pozostał na zewnątrz.

Nikt nie zastanawia się nad tym, że wróg może być tuż za jego plecami.

Myślę o koniu trojańskim, mieszając kawę z cukrem i śmietanką.

Podnoszę słuchawkę telefonu i słyszę głos recepcjonistki:

— Chirurgia. Mówi Helen.

— Czy mogę zamówić na popołudnie wizytę u doktor Cordell? — pytam.

— Czy to pilne?

— Raczej nie. Mam guzek na plecach. Nie boli, ale chciałbym, żeby go obejrzała.

— Mogłaby pana przyjąć za jakieś dwa tygodnie.

— Nie może być dzisiaj? Kiedy obsłuży ostatniego pacjenta?

— Przykro mi, panie... Jak pan się nazywa?

— Troja.

— Panie Troja. Doktor Cordell jest zajęta do siedemnastej i zaraz potem jedzie do domu.

Mogę pana zapisać na wizytę za dwa tygodnie.

— Trudno. Spróbuję dostać się do innego lekarza.

Odkładam słuchawkę. Wiem już, że wkrótce po piątej doktor Cordell wyjdzie z biura. Będzie zmęczona. Z pewnością pojedzie prosto do domu.

Jest teraz dziewiąta rano. To będzie dzień wyczekiwania.

Grecy oblegali Troję przez dziesięć krwawych lat. Przez dziesięć lat nie rezygnowali, szturmując mury nieprzyjaciela, zdani na łaskę bogów.

Ja czekałem na swoją zdobycz tylko dwa lata.

Wystarczająco długo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Sekretariat działu spraw studenckich na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Emory prowadziła Winnie Bliss, podobna do Doris Day jasnowłosa blondynka, dojrzała kobieta o manierach damy z Południa. Obok przegródek na listy przychodzące do studentów stał dzbanek z gorącą kawą, a na biurku kryształowa waza z cukierkami. Moore wyobrażał sobie, że

zestresowani adepci medycyny chętnie odwiedzają to miejsce. Winnie pracowała tam od dwudziestu lat, a ponieważ nie miała dzieci, przelewała macierzyńskie uczucia na studentów, którzy przychodzili codziennie do sekretariatu, by odebrać pocztę. Częstowała ich cukierkami, przekazywała informacje na temat wolnych mieszkań, udzielała porad w sprawach sercowych, pocieszała, gdy nie zaliczali egzaminów. I co roku roniła łzy, gdy sto dziesięcioro jej dzieci opuszczało mury uczelni. Mówiła to wszystko Moore'owi z miękkim południowym akcentem, podając mu herbatniki i kawę. Wierzył jej. Winnie Bliss była uosobieniem dobroci.

— Przeżyłam szok, gdy dwa lata temu zadzwonił do mnie detektyw z Savannah — powiedziała, zasiadając z gracją w fotelu. — Powiedziałam mu, że to pomyłka. Andrew przychodził do mnie codziennie po pocztę i był nadzwyczaj miłym chłopcem, uprzejmym i kulturalnym. Mam zwyczaj patrzeć ludziom prosto w oczy, panie Moore, by wiedzieli, że naprawdę ich zauważam. Dostrzegałam w nim zawsze dobro.

To dowód, jak łatwo dajemy się zwieść złu, pomyślał Moore.

— Czy w ciągu czterech lat studiów Capra utrzymywał z kimś bliskie kontakty? — zapytał.

— Chodzi panu o jego przyjaciółki?

— Raczej o przyjaciół. Rozmawiałem z właścicielką mieszkania, które wynajmował tutaj, w Atlancie. Wspomniała, że Caprę odwiedzał czasem pewien młody człowiek. Sądziła, że też studiował medycynę.

Winnie wstała, podeszła do szafki z aktami i wyjęła z niej kartkę z wydrukiem komputerowym.

— To lista studentów z rocznika Andrew. Na pierwszym roku było sto dziesięć osób. Mniej więcej połowa to mężczyźni.

— Miał wśród nich przyjaciół?

Przejrzała trzy strony nazwisk i pokręciła głową.

— Niestety. Nie przypominam sobie, żeby przyjaźnił się z kimś z tej listy.

— Chce pani powiedzieć, że nie miał przyjaciół?

— Mówię tylko, że nic mi o tym nie wiadomo.

— Mogę zobaczyć tę listę?

Podawała mu ją. Żadne z widocznych tam nazwisk nie wydało mu się znajome.

— Wie pani, gdzie mieszkają teraz ci ludzie?

— Tak. Dysponuję ich aktualnymi adresami, bo wysyłamy absolwentom biuletyn uczelniany.

— Czy ktoś zamieszkuje w okolicach Bostonu?

— Zaraz sprawdzę. — Odwróciła się do komputera, stukając pomalowanymi różowym lakierem paznokciami w klawiaturę. Winnic Bliss wyglądała jak kobieta z innej epoki i wydało mu się dziwne, że tak zręcznie radzi sobie z tym sprzętem. — Mam tu jeden adres z Newton, w stanie Massachusetts. Czy to dostatecznie blisko Bostonu?

— Tak. — Moore pochylił się do przodu, czując przyspieszone bicie serca. — Kto to jest?

— Latisha Green. Bardzo miła dziewczyna. Przynosiła mi zawsze wielkie torby orzeszków.

Oczywiście, było to złośliwe z jej strony, bo wiedziała, że dbam o figurę, ale chyba lubiła wszystkich częstować. Taki miała styl.

— Była związana z jakimś mężczyzną?

— Och, ma wspaniałego męża! Wygląda imponująco! Ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i piękną czarną skórę.

— Czarną — powtórzył Moore.

— Tak. Jak heban.

Moore westchnął i spojrzał ponownie na listę.

— I nikt więcej z rocznika Capry nie mieszka w pobliżu Bostonu?

— Na to wygląda. — Popatrzyła na Moore'a. — Jest pan rozczarowany? — Powiedziała to

strapionym głosem, jakby czuła się osobiście odpowiedzialna za to, że go zawiodła.

— Mam dziś kiepski dzień — przyznał.

— Proszę się poczęstować cukierkiem.

— Nie, dziękuję.

— Pan też dba o linię?

— Nie przepadam za słodyczami.

— Widać, że nie pochodzi pan z Południa.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Winnie Bliss, ze swymi dużymi oczami i łagodnym głosem, oczarowała go. Była zapewne ulubienicą wszystkich studentów i studentek, przychodzących do sekretariatu. Spojrzał na ścianę za jej plecami, obwieszoną całą serią grupowych fotografii.

— Czy to studenci wydziału medycyny?

Odwróciła głowę.

— Mój mąż robi co roku zdjęcie wszystkim absolwentom.

Niełatwo jest zebrać ich razem. Mąż powtarza zawsze, że są jak gromada kotów. Zależy mi na tych zdjęciach i zmuszam ich do pozowania. To przesympatyczni młodzi ludzie, prawda?

— Na której fotografii jest rocznik Andrew Capry?

— Pokażę panu księgę. Są tam również nazwiska. — Wstała i podeszła do oszklonej szafki.

Zdjęła z namaszczeniem z półki cienki tomik i przesunęła ręką po okładce, jakby chciała usunąć z niej kurz. — Tu znajdzie pan zdjęcia wszystkich jego koleżanek i kolegów, a także informacje, gdzie odbywali staż. To mój jedyny egzemplarz. Mógłby pan przejrzeć go na miejscu?

— Usiądę sobie z boku, żeby pani nie przeszkadzać. Będzie mnie pani miała na oku. Zgoda?

— Och, nie mówię, że panu nie ufam!

— Nigdy nie wiadomo — powiedział Moore, mrugając do niej znacząco. Zaczerwieniła się

jak nastolatka.

Poszedł z księgą do kącika, gdzie stał dzbanek z kawą i talerz z ciasteczkami. Zasiadł w sfatygowanym fotelu i otworzył rocznik absolwentów Wydziału Medycyny Uniwersytetu Emory. Dochodziło południe i do sekretariatu zaczęli zaglądać młodzi ludzie w białych fartuchach, by odebrać swoją pocztę. Od kiedy to dzieciaki były lekarzami? Nie wyobrażał sobie, żeby miał powierzyć ich opiece własne zdrowie. Dostrzegał zaciekawione spojrzenia i słyszał szept Winnie Bliss: „To detektyw z Wydziału Zabójstw z Bostonu”. Tak, ten zgrzybiały starzec, który siedzi w rogu.

Moore zanurzył się głębiej w fotelu i skoncentrował uwagę na zdjęciach. Obok każdego z nich widniało nazwisko studenta, nazwa miasta, z którego pochodził, i informacja, gdzie odbywał staż. Zatrzymał się przy zdjęciu Capry. Uśmiechnięty młody człowiek o szczerym spojrzeniu patrzył wprost w obiektyw, jakby nie miał nic do ukrycia. Moore’a przeszły ciarki na myśl, że drapieżcy krążą nierozpoznani wśród swoich ofiar.

Obok fotografii Capry była adnotacja Chirurgia, Riverland Medical Center, Savannah, Georgia.

Zastanawiał się, kto jeszcze z rocznika Capry odbywał staż w Savannah, kto mieszkał w tym mieście, gdy Capra mordował tam kobiety. Przejrzawszy listę studentów, stwierdził, że były trzy takie osoby: dwie kobiety i mężczyzna z Azji.

Znów znalazł się w ślepym zaułku.

Zniechęcony, oparł się plecami o fotel. Księga otworzyła mu się na kolanach i zobaczył uśmiechniętą twarz dziekana wydziału medycyny i wydrukowany pod jego zdjęciem tekst przemówienia, które wygłosił do absolwentów. Nosiło tytuł Uzdrowić świat.

W dniu dzisiejszym stu ośmiu wspaniałych młodych ludzi składa uroczystą przysięgę, która wieńczy ich długą i znużającą drogę. Stając się lekarzami, biorą na siebie odpowiedzialność na całe

życie...

Moore wyprostował się nagle w fotelu i zaczął czytać ponownie przemówienie dziekana.

W dniu dzisiejszym stu ośmiu wspaniałych młodych ludzi...

Wstał i podszedł do biurka Winnie.

— Pani Bliss?

— Słucham?

— Wspominała pani, że na roku Andrew było stu dziesięciu studentów.

— Tylu zawsze przyjmujemy.

— W przemówieniu dziekana jest mowa o stu ośmiu absolwentach. Co stało się z dwiema osobami?

Winnie pokręciła ze smutkiem głową.

— Nadal nie mogę się pogodzić z tym, co spotkało tę biedną dziewczynę.

— Jaką dziewczynę?

— Laurę Hutchinson. Pracowała w szpitalu na Haiti. W ramach praktyk. Są tam podobno okropne drogi. Ciężarówka wpadła do rowu i przygniotła ją.

— A więc to był wypadek.

— Jechała z tyłu. Przez dziesięć godzin nie mogli jej wyciągnąć.

— A ta druga osoba, która nie ukończyła studiów w terminie?

Winnie opuściła głowę. Moore widział, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

— Pani Bliss?

— Bywa, że studenci sobie nie radzą— stwierdziła niechętnie. — Staramy się im pomóc, ale niektórzy naprawdę mają problemy z opanowaniem materiału.

— A więc ten student... Jak on się nazywał?

— Warren Hoyt.

— Musiał zrezygnować?

— Można tak powiedzieć.

— Miał kłopoty z nauką?

— Cóż... — Rozejrzała się wokół, jakby oczekując czyjegoś wsparcia. — Może powinien pan porozmawiać z doktorem Kahnem, jednym z naszych profesorów. On będzie w stanie odpowiedzieć na pańskie pytania.

— Pani nie potrafi?

— To... prywatna sprawa. Proszę się zwrócić do doktora Kahna.

Moore zerknął na zegarek. Chciał zdążyć na nocny lot do Savannah, ale chyba nie miał szans.

— Gdzie znajdę doktora Kahna?

— W laboratorium anatomii.

Już na korytarzu czuć było formalinę. Moore przystanął przed drzwiami z napisem ANATOMIA, nastawiając się psychicznie na to, co miał zobaczyć. Sądził, że nic go nie zaskoczy, ale gdy wszedł do sali, zatrzymał się oszołomiony. Stało tam w czterech rzędach dwadzieścia osiem stołów, a na nich leżały pokrojone zwłoki. W przeciwieństwie do ciał, które Moore widywał w prosektorium, te wyglądały sztucznie: miały jakby winylową skórę i nienaturalnie niebieskie lub czerwone naczynia krwionośne. Tego dnia studenci zapoznawali się z budową głowy i studiowali mięśnie twarzy. Do każdego stołu przydzielone były cztery osoby i sala huczała od rozmów. Czytano na głos teksty z podręczników, zadawano pytania, wymieniano poglądy. Gdyby nie leżące na stołach zwłoki, można by odnieść wrażenie, że to hala fabryczna, w której robotnicy montują jakieś urządzenia. Młoda kobieta spojrzała ciekawie na Moore'a, zaskoczona widokiem mężczyzny w garniturze.

— Szuka pan kogoś? — spytała, trzymając skalpel nad policzkiem zmarłego.

— Doktora Kahna.

— Jest w głębi sali. Widzi pan tego olbrzyma z siwą brodą?

— Tak, dziękuję.

Moore szedł wzdłuż rzędu stołów, przyglądając się kolejnym zwłokom: kobiety z kończynami uschniętymi jak patyki i czarnoskórego mężczyzny z wyeksponowanymi mięśniami uda. Przy ostatnim stanowisku grupa studentów słuchała z uwagą mężczyzny o wyglądzie świętego Mikołaja, który wskazywał na delikatne włókna nerwu twarzy.

— Doktor Kahn? — spytał Moore.

Kahn podniósł wzrok i natychmiast przestał przypominać świętego Mikołaja. Miał ciemne oczy, a w jego przenikliwym spojrzeniu nie było ani odrobiny humoru.

— Słucham?

— Jestem detektyw Moore. Przesłała mnie pani Bliss z działu spraw studenckich.

Kahn wyprostował się i Moore zobaczył nagle przed sobą prawdziwego olbrzyma. Skalpel wyglądał w jego ogromnej dłoni dziwnie delikatnie. Odłożył go i zdjął rękawiczki. Gdy odwrócił się, by umyć ręce, Moore spostrzegł, że jego siwe włosy są związane w ogonek.

— O co więc chodzi? — zapytał Kahn, sięgając po papierowy ręcznik.

— Mam kilka pytań na temat młodego człowieka, który siedem lat temu był pańskim studentem. Nazywał się Warren Hoyt.

Kahn stał odwrócony do niego plecami, ale Moore zauważył, że na moment znieruchomiał.

Po chwili wytarł w milczeniu ręce.

— Pamięta go pan? — spytał Moore.

— Owszem.

— Wystarczająco dobrze?

— Trudno było go nie zapamiętać.

— Miałby pan ochotę powiedzieć mi coś więcej?

— Nie bardzo. — Kahn zmiął papierowy ręcznik i cisnął go do kosza.

— To dochodzenie w sprawie o zabójstwo, doktorze Kahn.

Przyglądało im się już z uwagą kilkoro studentów, zaciekawionych przebiegiem rozmowy.

— Przejdźmy do mojego gabinetu — zaproponował Kahn.

Moore podążył za nim do sąsiedniego pokoju. Widzieli stamtąd przez szybę laboratorium i wszystkich dwadzieścia osiem stołów. Miasteczko umarłych.

Kahn zamknął drzwi i zwrócił się do Moore'a.

— Dlaczego pyta pan o Warrena? Co on zrobił?

— Nie jest o nic oskarżony. Chcę tylko wiedzieć, co łączyło go z Andrew Caprą.

— Naszym najsłynniejszym absolwentem? — Kahn prychnął pogardliwie. — Cóż za zaszczyt dla wydziału medycyny!

Uczymy psychopatów, jak posługiwać się skalpelem.

— Czy pańskim zdaniem Capra był szaleńcem?

— Nie wiem, czy tacy ludzie jak on kwalifikują się do psychiatrii.

— Jakie robił na panu wrażenie?

— Wydawał mi się zupełnie normalny.

Za każdym razem, gdy Moore słyszał te słowa, brzmiały mu w uszach coraz bardziej złowieszczo.

— A jaki był Warren Hoyt?

— Czemu pan o niego pyta?

— Muszę wiedzieć, czy przyjaźnił się z Caprą.

Kahn zastanawiał się przez chwilę.

— Nie wiem. Nie potrafię powiedzieć, co dzieje się poza laboratorium. Widzę tylko to, co

ma miejsce w tej sali. Studenci próbują zmieścić w swoich przepracowanych umysłach ogromną porcję wiedzy. Nie wszyscy radzą sobie ze stresem.

— Tak było w przypadku Warrena? Dlatego zrezygnował ze studiów?

Kahn odwrócił się do szyby i patrzył w kierunku laboratorium.

— Zastanawiał się pan kiedyś, skąd biorą się te zwłoki?

— Słucham?

— Jak trafiają do instytutów medycyny? Na jakich zasadach wykorzystujemy je do zajęć z anatomii?

— Pewnie są ludzie, którzy ofiarowują swoje ciała dla potrzeb nauki.

— Właśnie. Każda z tych osób wykazała się niezwykłą hojnością. Zgodzili się, by ich doczesne szczątki, zamiast leżeć przez wieczność w palisandrowej trumnie, posłużyły praktycznym celom. Pomagają wykształcić następne pokolenie lekarzy.

Nie da się tego zrobić bez prawdziwych zwłok. Studenci muszą zobaczyć w naturze wszelkie szczegóły anatomii, muszą zapoznać się, używając skalpela, z budową tętnicy szyjnej i mięśni twarzy. Owszem, pewnych rzeczy można nauczyć się na komputerze, ale to nie to samo, co nacięcie prawdziwej skóry czy podrażnienie delikatnego nerwu. Do tego potrzeba ludzkiego ciała. Potrzeba ludzi, którzy darowują nam szczerze swą najbardziej osobistą własność. Mam dla nich wielki szacunek.

Oczekuję podobnej postawy od moich studentów. W tej sali nie wolno im próżnować ani żartować. Muszą traktować ludzkie zwłoki i ich fragmenty z należną czcią. Po skończonej sekcji podlegają one kremacji. — Spojrzał na Moore'a. — Takie obowiązują tu zasady.

— Jaki to ma związek z Warrenem Hoytem?

— Bardzo ścisły.

— Z tego powodu musiał zrezygnować ze studiów?

— Tak — odparł Kahn i odwrócił się do okna.

Moore czekał, przyglądając się jego szerokim plecóm i dając mu czas na dobranie odpowiednich słów.

— Ćwiczenia z anatomii są czasochłonne — odezwał się w końcu Kahn. — Niektórzy studenci nie nadążają z dokończeniem ich w trakcie zajęć. Pozwalam im więc korzystać z laboratorium o dowolnej porze. Każdy z nich ma klucz do tego budynku i mogą przychodzić tu pracować nawet w środku nocy.

— Czy Warren korzystał z tej możliwości?

— Tak — odparł po chwili Kahn.

Moore zaczął mieć koszmarne przeczucia.

Kahn podszedł do szafki z aktami i zaczął szperać w pełnej dokumentów szufladzie.

— Była wtedy niedziela. Spędziłem weekend poza miastem i musiałem zajrzeć tu w nocy, żeby przygotować preparat na poniedziałkowe zajęcia. Wie pan, jakie są te dzieciaki. Często nie radzą sobie jeszcze ze skalpelem i robią miazgę z wycinanych narządów, staram się więc mieć zawsze pod ręką odpowiedni eksponat, żeby im pokazać, jak wygląda. Zajmowaliśmy się akurat układem rozrodczym. Pamiętam, że dotarłem na uczelnię już po północy. Zauważyłem światła w laboratorium i pomyślałem, że jest tam jakiś gorliwy student, który chce prześcignąć kolegów. Otworzyłem kluczem frontowe drzwi budynku i wszedłem do środka.

— I natknął się pan na Warrena Hoyta — domyślił się Moore.

— Tak. — Kahn znalazł w końcu skoroszyt, którego szukał.

Wyjął go i odwrócił się do Moore'a. — Kiedy zobaczyłem, co robi, poniosły mnie nerwy.

Chwyciłem go za koszulę i przycisnąłem do umywalki. Zachowałem się brutalnie, ale byłem tak wściekły, że nie mogłem się opanować. Nadal na myśl o tamtej chwili ogarnia mnie gniew. —

Wypuścił z płuc powietrze.

Jeszcze teraz, po prawie siedmiu latach, nie potrafił spokojnie o tym mówić. — Gdy skończyłem na niego wrzeszczeć, zawlokłem go do mojego gabinetu. Kazałem mu usiąść i napisać oświadczenie, że w trybie natychmiastowym rezygnuje ze studiów. Powiedziałem, że nie musi podawać powodu, ale jeśli odmówi, złożę pisemny raport na temat tego, co widziałem w laboratorium. Oczywiście, zgodził się. Nie miał wyboru. Nie wydawał się nawet zbytnio tym wszystkim przejęty. To właśnie najbardziej mnie w nim zaskakiwało. Zachowywał zawsze kamienny spokój. Był chłodny i opanowany. Nic nie mogło wytrącić go z równowagi.

Przypominał niemal... — Kahn zawiesił na chwilę głos — ... bezdusznego robota.

— Na czym go pan przyłapał?

Kahn podał Moore'owi skoroszyt.

— Wszystko jest tu wyjaśnione. Trzymam to cały czas w aktach na wypadek, gdyby Warren chciał wytoczyć mi sprawę. Wie pan, w dzisiejszych czasach studenci mogą z byle powodu podać nas do sądu. Jeśli próbowaliby ubiegać się ponownie o przyjęcie na studia, mam gotową dokumentację.

Moore wziął skoroszyt do ręki. Był na nim napis Warren Hoyt. Wewnątrz znajdowały się trzy kartki maszynopisu.

— Warren i jego partnerzy z laboratorium wykonywali ćwiczenie na zwłokach kobiety — oznajmił Kahn. — Otworzyli jamę brzuszną, odsłaniając pęcherz i macicę. Nie mieli wycinać tych narządów, tylko je wyeksponować. W niedzielę w nocy Warren przyszedł dokończyć to zadanie. Zamiast obchodzić się delikatnie ze zwłokami, pokiereszował je. Jakby wzięwszy do ręki skalpel, stracił nad sobą kontrolę. Najpierw wykroił pęcherz i zostawił go między udami zmarłej. Potem wyrznął brutalnie macicę. Zrobił to bez rękawiczek, jakby chciał czuć pod palcami te narządy. Kiedy go zobaczyłem, trzymał w jednej ręce ociekający krwią organ, a drugą... — Głos uwiązł Kahnowi w gardle z odrazy.

— Onanizował się — dokończył za niego Moore, odczytując tę informację z raportu.

Kahn podszedł do biurka i osunął się na fotel.

— Dlatego właśnie nie pozwoliłem mu kontynuować studiów. Boże, co z niego byłby za lekarz? Skoro postępował tak ze zwłokami, jak traktowałby pacjentki?

Dobrze wiem jak. Widziałem to na własne oczy, odpowiedział w duchu Moore. Zajrzał na trzecią stronę akt Hoyta i przeczytał ostatni akapit raportu Kahna.

Pan Hoyt godzi się dobrowolnie opuścić natychmiast uczelnię. W zamian zachowam w tajemnicy zaistniały incydent. Ze względu na uszkodzenie zwłok studenci ze stanowiska. 19 zostaną przydzieleni na najbliższych zajęciach do innych grup.

Stanowisko 19.

Moore spojrział na Kahna.

— Z iloma osobami Warren odbywał ćwiczenia?

— Przy każdym stole jest czwórka studentów.

— Pamięta pan pozostałych troje?

Kahn zmarszczył brwi.

— Niestety. To było siedem lat temu.

— Nie ma pan notatek z zajęć?

— Nie. — Kahn zastanawiał się chwilę. — Przypominam sobie, że w jego grupie była pewna dziewczyna. — Odwrócił się do komputera i po chwili na ekranie pojawiła się lista studentów, którzy zaczęli studia z Warrenem Hoytem. Przejrzał szybko ich nazwiska i oznajmił: — Jest Emily Johnstone.

To ona.

— Dlaczego ją pan zapamiętał?

— Po pierwsze, była bardzo atrakcyjna. Wyglądała jak Meg Ryan. Poza tym, kiedy Warren

opuścił szkołę, dopytywała się o powód jego odejścia. Nie chciałem jej nic powiedzieć, więc zapytała, czy miało to coś wspólnego z kobietami. Zdaje się, że Warren ją śledził i zaczynała się go bać. Nie muszę dodawać, że poczuła ulgę, gdy zniknął.

— Sądzi pan, że będzie pamiętała, kto jeszcze należał do ich grupy?

— Możliwe. — Kahn podniósł słuchawkę i zadzwonił do działu spraw studenckich. —

Winnie? Podaj mi aktualny telefon Emily Johnstone. — Sięgnął po pióro i zapisał numer. — Ma prywatny gabinet w Houston — wyjaśnił Moore'owi, ponownie dzwoniąc. — Jest tam teraz godzina jedenasta, więc powinna być... Cześć, Emily! Mówi głos z twojej przeszłości. Doktor Kahn z Emory... Zgadza się, profesor anatomii. Dawne dzieje, prawda?

Moore pochylił się, czując przyspieszone bicie serca.

Kiedy Kahn odłożył w końcu słuchawkę, Moore zobaczył odpowiedź w jego oczach.

— Pamięta, kto był w jej grupie na zajęciach z anatomii - oznajmił Kahn. — Dziewczyna o nazwisku Barb Lippman i...

— Capra?

Kahn skinął głową.

— Tak. Andrew Capra.

Poprawione ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Catherine przystanęła w drzwiach gabinetu Petera. Siedział przy biurku, pisząc coś na kartce, nieświadomy tego, że na niego patrzy. Nigdy nie miała czasu, by mu się uważnie przyjrzeć, i teraz uśmiechnęła się lekko na widok tego, co zobaczyła. Pracował gorliwie, jak przystało na ofiarnego lekarza, ale dostrzegła pewien zabawny szczegół: na podłodze leżał papierowy samolot. Zachowywał się czasem jak dziecko.

Zapukała we framugę drzwi. Popatrzył na nią znad okularów, zaskoczony jej obecnością.

— Mogę z tobą porozmawiać? — zapytała.

— Oczywiście. Wejdz.

Usiadła przy biurku naprzeciwko Petera. Milczał, czekając cierpliwie, aż pierwsza się odezwie. Odniosła wrażenie, że jest gotów czekać całe wieki.

— Ostatnio nasze stosunki były... trochę napięte — powie działa. Peter skinął głową. Wiem, że martwi cię to tak samo jak mnie. Zawsze cię lubiłam, Peter. Może tego nie odczuwałeś, ale to prawda. — Zaczepnęła tchu, starając się dobrać odpowiednie słowa. Nasze problemy nie mają nic wspólnego z tobą. Winna jestem wyłącznie ja. W moim życiu wiele się teraz dzieje. Trudno mi to wszystko wyjaśniać.

— Nie musisz.

— Czuję, że oddaliśmy się od siebie. Nie tylko w pracy, ale także jako przyjaciele. Zabawne. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że istnieje między nami przyjaźń, i nie rozumiałam, ile dla mnie znaczy, dopóki nie poczułam, że ją tracę. — Wstała z krzesła. — W każdym razie przepraszam. To tylko chciałam ci powiedzieć. — Ruszyła w kierunku drzwi.

— Catherine — rzekł cicho Peter — wiem, co zaszło w Savannah.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Patrzył na nią z niewzruszonym spokojem.

— Detektyw Crowe wszystko mi wyjaśnił.

— Kiedy?

— Kilka dni temu, gdy rozmawialiśmy o włamaniu w biurze. Sądził, że wiem o tamtej sprawie.

— Nic mi nie powiedziałaś.

— Wolałem zaczekać, aż będziesz gotowa sama poruszyć ten temat. Rozumiałem, że potrzebujesz czasu, i liczyłem, iż w końcu mi zaufasz.

Westchnęła ciężko.

— A więc teraz wiesz już o mnie to, co najgorsze.

— Nie, Catherine. — Wstał i spojrzął jej prosto w oczy. - Poznałem cię właśnie z najlepszej strony! Dowiedziałem się, jaka jesteś silna i dzielna. Nie miałem dotąd pojęcia, z czym się borykasz. Mogłaś mi powiedzieć. Zaufać mi.

— Sądziłam, że to by między nami wszystko zmieniło.

— W jaki sposób?

— Nie chcę, żebyś mi współczuł. Byś uważał, iż zasługuję na litość.

— Za co? Za to, że walczyłaś? Że cudem ocalałaś? Czemu miałbym się nad tobą uzalać?

Catherine z trudem hamowała łzy.

— Inni mężczyźni tak by postąpili.

— Bo nie znają cię tak dobrze jak ja.—Wyszedł zza biurka i stanął przy niej. — Pamiętasz dzień, kiedy się poznaliśmy?

— Przyszłam wtedy na rozmowę kwalifikacyjną.

— Jak go wspominasz?

Pokręciła głową ze zdumieniem.

— Mówiliśmy o pracy. O tym, czy się nadam.

— A więc było to dla ciebie tylko oficjalne spotkanie.

— Tak.

— Zabawne. Dla mnie wcale nie. Zupełnie nie pamiętam, o co cię pytałem. Przypominam sobie tylko, jak uniosłem głowę znad biurka i zdębiałem na twój widok. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wszystko zabrzmiałoby głupio albo trywialnie. Zasługiwałaś na więcej.

Pomyślałem: oto kobieta, której niczego nie brakuje. Jest piękna i inteligentna. I mam ją właśnie przed sobą.

— Boże, jak bardzo się myliłeś — odparła ze łzami w oczach. — Ledwo sobie radzę...

Objął ją bez słowa. Był to spontaniczny gest. Trzymał ją po prostu w ramionach jak

potrzebującą pocieszenia przyjaciółkę.

— Powiedz, jak mogę ci pomóc.

Westchnęła ciężko.

— Jestem wykończona, Peter. Odprowadzisz mnie do samochodu?

— Tylko tyle?

— Tego mi naprawdę potrzeba. Towarzystwa kogoś, komu mogę zaufać.

— Dobrze trafiłaś — odparł z uśmiechem.

Na piątym poziomie szpitalnego parkingu nie było żywej duszy i ich kroki odbijały się głuchym echem od betonowych ścian. Gdyby Catherine szła sama, oglądałaby się cały czas za siebie. Przy Peterze nie czuła strachu. Odprowadził ją do mercedesa. Zaczekał, aż usiadła za kierownicą, zatrzasnął drzwiczki i wskazał na zamek.

Skinęła głową, wciskając blokadę drzwi.

— Zadzwoń do ciebie — obiecał.

Odjeżdżając, widziała we wstecznym lusterku, jak macha jej na pożegnanie. Po chwili zniknął jej z oczu.

Wracała do domu w Back Bay z uśmiechem na ustach.

Przypomniała sobie rozmowę z Moore'em.

„Zdarzają się mężczyźni godni zaufania.

Ale nigdy nie wiem, jak ich rozpoznać.

Nie dowiesz się, póki nie będziesz w potrzebie. Wtedy zobaczysz, kto cię nie opuści”.

Na Petera z pewnością mogła liczyć. Jako na przyjaciela i kochanka.

Zwolniwszy na Commonwealth Avenue, skręciła w podjazd do budynku i otworzyła pilotem bramę garażu. Gdy wjechała do środka, sprawdziła we wstecznym lusterku, czy brama się zamknęła, i dopiero wtedy zaparkowała samochód. Czujność stała się jej drugą naturą. Miała już

pewne nawyki we krwi. Wchodząc do windy, upewniła się, czy jest pusta, a wychodząc z niej, rozejrzała się po korytarzu. Przekroczyła próg mieszkania i natychmiast zaryglowała drzwi.

Forteca była bezpieczna. Dopiero teraz opuściło ją napięcie.

Stojąc przy oknie, popijała mrożoną herbatę i delektowała się chłodem klimatyzowanego pomieszczenia. Widziała spocone twarze ludzi na ulicy. W ciągu półtorej doby spała zaledwie trzy godziny. Zasłużyłam na chwilę spokoju, pomyślała, przytykając do policzka zimną szklankę. Położę się wcześniej spać i będę odpoczywać cały weekend. Moore musi poczekać. Jeszcze zdążę sprawić sobie ból.

Opróżniła szklankę i postawiła ją właśnie na blacie w kuchni, gdy zabrzączał pager.

Brakowało jej tylko wezwania do szpitala. Dzwoniąc do centrali Pilgrim Medical Center, nie ukrywała rozdrażnienia.

— Mówi doktor Cordell. Odebrałam sygnał, ale nie mam dziś nocnego dyżuru. Zaraz wyłączę pager.

— Przepraszam, że niepokoję, pani doktor, ale mieliśmy telefon od syna Hermana Gwadowskiego. Nalega, że musi się z panią zobaczyć.

— To niemożliwe. Jestem już w domu.

— Tak, powiedziałam mu, że ma pani wolny weekend.

Twierdzi, że jutro wyjeżdża, i chce z panią pomówić, zanim zwróci się do adwokata.

- Do adwokata?

Catherine oparła się o kuchenny blat. Boże, nie miała teraz siły przez to przechodzić. Była tak zmęczona, że nie potrafiła zebrać myśli.

— Doktor Cordell?

— Czy pan Gwadowski powiedział, kiedy chce się ze mną spotkać?

— Będzie czekał do szóstej w szpitalnej kafejce.

— Dziękuję. — Catherine odłożyła słuchawkę, wpatrując się tępo w lśniące kafelki. Jakże dbała o to, żeby były czyste!

Ale choćby starała się być najbardziej pedantyczna i zaplanować sobie życie w najdrobniejszych szczegółach, zawsze trafi się taki Ivan Gwadowski, który wszystko zepsuje.

Chwyciwszy torebkę i kluczyki do samochodu, opuściła ponownie swoje sanktuarium.

Zerknęła w windzie na zegarek i stwierdziła z niepokojem, że jest już za piętnaście szósta.

Nie zdąży na czas do szpitala i Ivan Gwadowski będzie sądził, że go zlekceważyła.

Wsiadając do mercedesa, sięgnęła po słuchawkę telefonu i zadzwoniła do centrali.

— To znowu ja, doktor Cordell. Muszę skontaktować się z panem Gwadowskim. by go zawiadomić, że się spóźnię. Wie pani, skąd telefonował?

— Zaraz sprawdzę... Nie ze szpitala.

— Z komórki?

Telefonistka przez chwilę milczała.

— To dziwne...

— Co takiego?

— Dzwonił z tego samego numeru, co pani.

Catherine zmartwiała z przerażenia. Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz. Telefonował z mojego samochodu.

— Doktor Cordell?

W tym momencie zobaczyła go we wstecznym lusterku. Uniósł głowę jak kobra. Chcąc krzyknąć, wciągnęła w płuca opary chloroformu.

Słuchawka wypadła jej z ręki.

Jerry Sleeper czekał w samochodzie obok hali lotniska. Moore wrzucił torbę na tylne siedzenie, wsiadł do wozu i zatrzasnął drzwiczki.

— Znalazłeś ją? — spytał od razu.

— Jeszcze nie — odparł Sleeper, ruszając od krawężnika. — Jej mercedes zniknął, a w mieszkaniu nie ma żadnych śladów walki. Cokolwiek się stało, zaszło błyskawicznie, w jej samochodzie albo gdzieś w pobliżu. Peter Falco widział ją ostatni, mniej więcej kwadrans po piątej, na szpitalnym parkingu. Pół godziny później recepcjonistka z centrali wezwała doktor Cordell przez pager i rozmawiała z nią przez telefon. Po chwili Cordell zadzwoniła ponownie z samochodu, ale rozmowa została nagle przerwana. Telefonistka twierdzi, że osobą, która jej poszukiwała, był syn Hermana Gwadowskiego.

— Potwierdziliście to?

— Ivan Gwadowski leciał w południe samolotem do Kaliforni. To nie on dzwonił.

Obaj dobrze wiedzieli, kto to zrobił. Nie musieli tego głośno mówić. Moore patrzył zdenerwowany na długi rząd tylnych świateł samochodów, lśniących w mroku jak czerwone paciorki.

Ma ją w swoich rękach od szóstej wieczorem. Co zdażył zrobić w ciągu tych czterech godzin?

— Chcę zobaczyć mieszkanie Warrena Hoyta — oświadczył Moore.

— Właśnie tam jedziemy. Wiemy, że skończył dyżur w Interpath Labs około siódmej rano.

O dziesiątej zadzwonił do szefa, że musi nagle wyjechać do rodziny i będzie w pracy najwcześniej za tydzień. Od tej chwili nikt go nie widział. Ani w domu, ani w laboratorium.

— A co z tą rodziną?

— Nie ma żadnych krewnych. Jego jedyna ciotka zmarła w lutym.

Rząd czerwonych świateł zamienił się w mglistą czerwoną smugę. Moore zamrugał powiekami i odwrócił wzrok, by Sleeper nie zobaczył w jego oczach łez.

Warren Hoyt mieszkał w North End, osobliwym labiryncie wąskich uliczek i ceglanych

kamienic, który stanowił najstarszą dzielnicę Bostonu. Uchodziła za bezpieczną dzięki czujności Włochów, będących właścicielami wielu okolicznych sklepów. Przy ulicy, po której chodzili bez obaw turyści i lokatorzy domów, miał swą kryjówkę potwór.

Mieszkanie Hoyta znajdowało się na drugim piętrze. Parę godzin wcześniej przeczesła je dokładnie ekipa policyjna. Kiedy Moore wszedł do środka i zobaczył nieliczne meble i niemal puste półki, poczuł, że stoi w miejscu pozbawionym już duszy, że nie znajdzie tam żadnych śladów obecności człowieka, który je zajmował.

Doktor Zucker wyłonił się z sypialni i oznajmił:

— Coś mi tu nie gra.

— Czy Hoyt jest tym, kogo szukamy? .

— Trudno powiedzieć.

— Co zatem wiemy? — spytał Moore, spoglądając na Crowe'a, który powitał ich w drzwiach.

— Zgadza się rozmiar butów. Osiem i pół. Pasuje do odcisków z mieszkania Ortiz.

Znaleźliśmy na poduszce kilka krótkich, jasnobrązowych włosów. To też by się zgadzało. A na podłodze w łazience leżał długi czarny włos.

Moore zmarszczył brwi.

— Była tu kobieta?

— Może przyjaciółka.

— Albo kolejna ofiara — stwierdził Zucker. — Ktoś, o kim jeszcze nie wiemy.

— Rozmawiałem z właścicielką, która mieszka na dole - oznajmił Crowe. — Widziała Hoyta dziś rano, kiedy wracał z pracy. Nie ma pojęcia, gdzie jest teraz. Nietrudno zgadnąć, co mówi na jego temat: Porządny lokator. Spokojny, nie sprawia żadnych kłopotów.

Moore spojrzał na Zuckera.

— Co pan miał na myśli, mówiąc, że coś tu nie gra?

— Nie ma żadnych narzędzi zbrodni. Również w samochodzie, który stoi zaparkowany przed domem. — Zucker wskazał na umeblowany skromnie salon. — Mieszkanie wygląda tak, jakby nikt go nie zajmował. Lodówka jest prawie pusta. W łazience było tylko mydło, szczoteczka do zębów i maszynka do golenia. To przypomina hotel. Miejsce do spania. To nie tu realizuje swoje fantazje.

— Ale tutaj mieszka — zauważył Crowe. — Na ten adres dostaje pocztę. Tu trzyma swoje rzeczy.

— Brakuje w tym miejscu tego, co najważniejsze — rzekł Zucker. — Jego trofeów.

Moore'a przeszedł dreszcz. Zucker miał rację. Chirurg wycinał swoim ofiarom narządy i zachowywał je na pamiątkę, by sycić się ich widokiem między kolejnymi polowaniami.

— Nie mamy jeszcze wszystkich elementów łamigłówki - stwierdził Zucker, zwracając się do Moore'a. — Muszę zobaczyć miejsce pracy Warrena Hoyta. Jego laboratorium.

Barry Frost usiadł przy klawiaturze komputera i wpisał nazwisko pacjentki: Nina Peyton. Na ekranie pojawiła się lista informacji.

— To jego tereny łowieckie — wyjaśnił Frost. — Tu znajduje swoje ofiary.

Moore wpatrywał się w monitor, zaszokowany tym, co zobaczył. Wokół słychać było szum aparatury, dzwoniące telefony i brzęk stojaków z probówkami krwi. W tym aseptycznym świecie lśniącej stali i białych fartuchów, świecie medycyny, Chirurg spokojnie tropił swoją zdobycz. Dzięki komputerowi mógł uzyskać informacje o każdej kobiecie, której krew albo płyny ustrojowe badano w Interpath Labs.

— To największe laboratorium diagnostyczne w mieście - stwierdził Frost. — Jeśli gdziekolwiek w Bostonie pobiera się komuś krew, istnieje duże prawdopodobieństwo, że trafi do analizy właśnie tutaj.

Właśnie tutaj. Do Warrena Hoyta, pomyślał Moore.

— Miał jej domowy adres — zauważył Moore, przeglądając dane Niny Peyton. — A także informacje o miejscu pracy, wieku i stanie cywilnym..

— Oraz diagnozę — dodał Zucker, wskazując na widoczne na ekranie słowo gwałt. — On tego właśnie szuka. To go ekscytuje. Okaleczone emocjonalnie kobiety. Napiętnowane przez seksualną agresję.

Moore słyszał w głosie Zuckera ton podniecenia. Fascynował go pojedynek z inteligentnym przeciwnikiem. Dostrzegł w końcu strategię wroga i podziwiał jego geniusz.

— Analizując krew tych kobiet, poznawał ich najbardziej wstydliwe sekrety — kontynuował Zucker. Wyprostował się i powiódł wzrokiem po laboratorium, jakby widział je pierwszy raz.— Zastanawiał się pan kiedyś, ile w takim miejscu o nas wiedzą? — zapytał. — Ilu dostarczamy im informacji, pozwalając wkuć sobie igłę w żyłę? Badanie krwi ujawnia nasze najintymniejsze tajemnice. Czy umieramy na białaczkę albo AIDS, czy w ciągu ostatnich paru godzin wypaliliśmy papierosa albo wypiliśmy lampkę wina, czy bierzemy prozac z powodu depresji albo viagrę, bo nie mamy wzrodu? On wiedział o tych kobietach wszystko. Dotykał ich krwi, wahał ją. A one były tego nieświadome. Nie podejrzewały, że rozkoszuje się nimi obcy mężczyzna.

— Ofiary w ogóle go nie znały — stwierdził Moore.

— Ale on je znał. I to z najbardziej intymnej strony - oświadczył Zucker z ogniem w oczach.

— Chirurg nie przypomina seryjnych zabójców, z którymi dotychczas miałem do czynienia. Jest wyjątkowy. Pozostaje niewidoczny, bo tropi swą zdobycz z ukrycia. — Spojrzał z podziwem na stojak z probówkami na blacie. — To laboratorium stanowi jego teren łowiecki. Podąża śladami krwi i cierpienia.

Kiedy Moore wyszedł ze szpitala, powietrze wydawało mu się chłodniejsze i bardziej rześkie niż w ciągu ostatnich tygodni. W Bostonie będzie tej nocy mniej otwartych okien, mniej kobiet

narażonych na agresję.

Chirurg nie wyruszy na łowy. Będzie się upajał ostatnią zdobyczą.

Moore przystanął nagle obok samochodu, ogarnięty rozpaczą. Warren Hoyt mógł właśnie w tym momencie sięgać po skalpel...

Usłyszał czyjeś kroki i uniósł z wysiłkiem głowę. Spojrzał na mężczyznę, stojącego w mroku o kilka kroków dalej.

— Dopadł ją, prawda? — zapytał Peter Falco.

Moore przytaknął.

— O, Boże! — Falco wznosił oczy do nieba. — Odprowadziłem ją do samochodu.

Pozwoliłem jej odjechać samej do domu...

— Robimy, co w naszej mocy, żeby ją odnaleźć. — Moore czuł, jak pusto brzmi ta formułka.

Używali jej, gdy sprawy źle się układały, kiedy wszelkie wysiłki nie dawały rezultatu.

— Czego się dowiedzieliście?

— Wiemy już, kto to jest.

— Ale nie wiecie, dokąd ją zabrał.

— Trzeba czasu, żeby go namierzyć.

— W jaki sposób mógłbym pomóc?

Moore starał się zachować spokój, ukryć własne obawy.

— Wiem, jak trudno jest stać z boku i beczynnienie się przyglądać. Ale to nasza praca.

— O, tak! Jesteście zawodowcami! Więc jak do tego doszło, do cholery?

Moore nie potrafił mu odpowiedzieć.

Falco podszedł bliżej, wyraźnie zdenerwowany, i stanął pod latarnią. Światło padło na jego twarz, ściągniętą ze zgryzoty.

— Nie wiem, co was łączyło — powiedział — ale ona panu ufała. Mam nadzieję, że coś to

dla pana znaczy. Że nie jest tylko kolejną sprawą i nazwiskiem na liście.

— Nie — zapewnił go Moore.

Obaj mężczyźni mierzyli się przez chwilę wzrokiem, przyznając w milczeniu, co wiedzą i czują.

— Zależy mi na niej bardziej, niż pan sądzi — stwierdził Moore.

— Mnie także — odparł cicho Falco.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

— Przejakiś czas zachowają przy życiu — oznajmił doktor Zucker. — Tak jak Ninę Peyton.

Kontroluje w pełni sytuację.

Nie musi się spieszyć.

Rizzoli przeszedł po plecach dreszcz. „Nie musi się spieszyć”. Pomyślała, ile czułych zakończeń nerwowych jest w ludzkim ciele i ile bólu można znieść, zanim śmierć przyniesie ulgę. Rozejrzała się po sali konferencyjnej i zobaczyła, że Moore zakrywa twarz dłońmi.

Wydawał się skrajnie wyczerpany. Minęła północ i siedzący wokół stołu ludzie byli zmęczeni i zniechęceni. Rizzoli stała z boku, oparta o ścianę. Niewidzialna kobieta, której obecności nikt nie dostrzegał, której pozwolono słuchać, ale nie uczestniczyć w naradzie. Pozbawiona służbowej broni i przydzielona do pracy administracyjnej, była jedynie obserwatorem w sprawie, którą znała lepiej niż ktokolwiek z zebranych.

Moore spojrzał w jej kierunku tak, jakby w ogóle jej nie zauważał. Jakby nie chciał jej zauważyć.

Doktor Zucker podsumował, co wiedzą o Warrenie Hoycie, czyli Chirurgu.

— Osiągnął cel, do którego dążył od dawna — stwierdził. — Będzie się teraz starał maksymalnie przedłużyć przyjemność.

— A więc Cordell była przez cały czas jego głównym celem? — spytał Frost. — Pozostałe

ofiary pełniły tylko instrumentalną rolę?

— One także dawały mu rozkosz. Pozwalały rozładować napięcie seksualne, gdy tropił zdobycz. Drapieżnik jest najbardziej podekscytowany, gdy czai się na trudną do upolowania zwierzybę. Cordell była prawdopodobnie jedyną kobietą, której nie mógł podejść. Zawsze czujna i ostrożna, założyła w mieszkaniu mocne zamki i systemy alarmowe, unikała kontaktów z ludźmi, wieczorami wychodziła tylko do pracy. Stała się dla niego wyzwaniem i najbardziej pożądanym łupem. Utrudnił sobie dodatkowo zadanie, dając jej znać, że na nią poluje. Stosował taktykę zastraszenia. Chciał, by czuła, że się do niej zbliża. Pozostałe kobiety stanowiły dla niego aperitif. Cordell była głównym daniem.

— Jest — stwierdził gniewnym tonem Moore. — Ona nadal żyje.

W sali nagle zaległa cisza. Nikt nie patrzył na Moore'a. Zucker skinął głową z niezmaconym spokojem.

— Dziękuję, że mnie pan poprawił.

— Zapoznał się pan z jego życiorysem? — spytał Marquette.

— Tak — odparł Zucker. — Warren był jedynakiem. Zapewne rozpieszczonym. Urodził się w Houston. Ojciec był konstruktorem rakiet. Wcale nie żartuję. Matka pochodziła z rodu narciarzy. Oboje już nie żyją. Warren odziedziczył więc dobre geny i duże pieniądze. W młodości nie wchodził w konflikt z prawem. Nie był notowany ani karany mandatami. Jego zachowanie nie budziło niepokoju. Z wyjątkiem tego incydentu w laboratorium anatomii nic nie wskazywało, żeby miał zadatki na psychopatę. Był pod każdym względem całkowicie normalnym chłopcem. Miłym i rzetelnym.

— Przeciętym — dodał cicho Moore. — Zwyczajnym.

Zucker przytaknął.

— To chłopak, który nigdy się nie wyróżniał, nie wzbudzał niczyich podejrzeń. Jest

najbardziej przerażającym typem zabójcy, bo nie daje się sklasyfikować jako przypadek kliniczny. Przypomina Teda Bundy'ego. Inteligentny, zorganizowany i z pozoru całkiem normalny. Ma jednak pewną ułomność: lubi torturować kobiety. To ktoś, z kim można na co dzień pracować i nie podejrzewać, że kiedy się do ciebie uśmiecha, rozmyśla o tym, jak w najbardziej wyrafinowany sposób wypruć ci flaki.

Rizzoli rozejrzała się wokół, czując, jak przechodzą ją ciarki. On ma rację. Widuję codziennie Barry'ego Prosta. Wydaje się miłym facetem. Jest szczęśliwy w małżeństwie. Zawsze w dobrym nastroju. Nie mam jednak pojęcia, co naprawdę myśli.

Frost dostrzegł jej spojrzenie i zaczerwienił się.

Zucker kontynuował.

— Po incydencie w laboratorium Hoyt został zmuszony do opuszczenia uczelni. Zapisał się na kurs dla laborantów i pojechał za Andrew Caprą do Savannah. Wygląda na to, że działali razem przez kilka lat. Często wspólnie podróżowali. Dowodzą tego bilety lotnicze i rachunki kart kredytowych. Byli w Grecji, we Włoszech i w Meksyku, gdzie pracowali jako wolontariusze w wiejskim szpitalu. Było to przymierze dwóch myśliwych.

Braterstwo krwi ludzi o morderczych instynktach.

— Katgut — odezwała się nagle Rizzoli.

Zucker spojrzał na nią zdziwiony.

— Słucham?

— W krajach Trzeciego Świata chirurdzy używają nadal katgutu. Stamtąd go przywiózł.

Marquette skinął głową.

— Możliwe.

Na pewno, pomyślała z urazą Rizzoli.

— Kiedy Cordell zabiła Caprę — mówił dalej Zucker - zniszczyła działający idealnie zespół.

Odebrała Hoytowi jedyną bliską mu osobę. Dlatego właśnie stała się jego celem.

Najważniejszym łupem.

— Skoro Hoyt był w domu Cordell tamtej nocy, gdy zginął Capra, czemu nie zabił jej od razu? — spytał Marquette.

— Nie wiem. Tylko Warren Hoyt mógłby nam powiedzieć, co się tam wtedy zdarzyło.

Wiadomo jedynie, że dwa lata temu zamieszkał w Bostonie, wkrótce po tym, jak przeniosła się tu Catherine Cordell. A w ciągu roku zginęła Diana Sterling. Moore odezwał się w końcu, mówiąc zduszonym głosem:

— Jak go znajdziemy?

— Możecie obserwować jego mieszkanie, ale wątpię, by tam szybko wrócił. Realizuje swoje fantazje gdzie indziej. — Zucker oparł się o krzesło, wpatrzony w przestrzeń, próbując wczuć się w psychikę Warrena Hoyta. — Urządził sobie kryjówkę, która nie ma nic wspólnego z jego codziennym życiem. Lokum zapewniające mu anonimowość, być może dość odległe od jego mieszkania. Nie musi wynajmować go na swoje nazwisko.

— To kosztuje — zauważył Frost. — Prześledźmy jego wydatki.

Zucker skinął głową.

— Tam właśnie znajdziemy jego trofea. Pamiątki zbrodni.

Być może nawet miejsce to stanowiło izbę tortur, do której sprowadzał swoje ofiary.

Gwarantowało mu spokój i dyskrecję.

Jakiś wolno stojący budynek albo mieszkanie z dźwiękochłonnymi ścianami.

Żeby nikt nie usłyszał krzyków Cordell, pomyślała Rizzoli.

— W takim miejscu może być naprawdę sobą. Może się odprężyć i pozbyć zahamowań.

Nigdy nie zostawił w mieszkaniach ofiar spermy, co oznacza, że jest w stanie odwlekać seksualne zaspokojenie do chwili, aż poczuje się bezpieczny.

Zapewne odwiedza od czasu do czasu swoją kryjówkę, by w oczekiwaniu na kolejną zdobycz przeżywać na nowo w wyobraźni rozkosz zabijania. — Zucker rozejrzył się po sali. — To tam zabrał Catherine Cordell.

Grecy mówią na przód szyi derę i jest to najpiękniejsza, najbardziej wrażliwa część ciała kobiety. W gardle pulsuje Życie i oddech. Pod mlecznobiałą skórą Ifigenii nabrzmiały niebieskie żyły, gdy jej ojciec przyłożył do nich ostrze noża. Czy Agamemnon podziwiał delikatne kontury szyi swej córki, gdy leżała rozciągnięta na ołtarzu? Czy starał się wybrać najdogodniejsze miejsce, w którym należało rozciąć skórę? Czy w momencie, gdy zatopił ostrze w jej ciele, nie czuł — mimo całej rozpacz — podniecenia i dreszczu rozkoszy?

Nawet starożytni Grecy, snujący ohydne opowieści o rodzicach pożerających potomstwo i synach spotkających z matkami, nie wspominają takim wyuzdaniu. Nie muszą.. To jedna z tych utajonych prawd, które wszyscy rozumiemy bez słów. Ilu spośród wojowników, którzy stali z kamiennymi twarzami i sercami nieczułymi na krzyki nagiej młodej kobiety, gdy do jej łabędziej szyi przytknięto ostrze noża, poczuło nagle w lędźwiach przyjemną falę gorąca i napięcie między nogami?

Ilu z nich, patrząc od tego czasu na gardło kobiety, nie miało ochoty go podciąć?

Ona ma tak białe gardło jak Ifigenia. Chroniła skórę przed słońcem, jak wszystkie kobiety o rudych włosach, i na jej alabastrowej powierzchni nie widać niemal zmarszczek. Przez te dwa lata dobrze dbała o swoją szyję. Doceniam to.

Czekałem cierpliwie, aż odzyska przytomność. Wiem, że się już ocknęła i jest świadoma mojej obecności, bo ma przyspieszony puls. Gdy dotykam jej gardła, tuż nad mostkiem, wciąga gwałtownie powietrze. Wstrzymuje oddech, kiedy głaskam ją po szyi, wzdłuż tętnicy. Jej skóra rytmicznie pulsuje. Czuję pod palcem cudowną wilgoć. Jest jak delikatna mgiełka. Jej twarz lśni od potu. Gdy zaczynam gładzić ją po policzku, wypuszcza wreszcie z płuc powietrze. Brzmi to

jak skowyt, przytłumiony z powodu taśmy, którą ma na ustach. Moja Catherine nie powinna tak skamleć. Inne były głupimi gazelami, ale ona jest tygrysią, jedyną, która skutecznie się broniła i przelała krew.

Otwiera oczy i patrzy na mnie. Widzę, że rozumie. W końcu zwyciężyłem. Upolowałem najcenniejszą, zdobycz.

Wyjmuję narzędzia. Wydają przyjemny dźwięk, gdy rozkładam je na metalowej tacy obok łóżka. Czuję, że na mnie patrzy, i wiem, że jej wzrok przyciąga lśniąca stal. Wie, do czego służą te narzędzia. Z pewnością wielokrotnie ich używała. Rozwieracz jest potrzebny do odciągania brzegów rany, hemostat — do zaciskania tkanek i naczyń krwionośnych, a skalpel... No cóż, oboje wiemy, co się nim robi.

Stawiam tacę obok jej głowy, żeby widziała, co ją czeka. Nie muszę nic mówić. Lśniąca narzędzia są wystarczająco sugestywne.

Dotykam jej nagiego brzucha. Natychmiast napina mięśnie. To dziewiczy brzuch o nieskazitelnie gładkiej powierzchni. Ostrze wejdzie w niego jak w masło.

Sięgam po skalpel i przytykam go do jej skóry. Wciąga gwałtownie powietrze i otwiera szeroko oczy.

Widziałem kiedyś zdjęcie zebry, której lew zatopił kły w szyi. W jej oczach malowało się śmiertelne przerażenie. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Oczy Catherine wyglądają teraz tak samo.

O Boże! O Boże!

Catherine dyszała ciężko, czując dotyk skalpela. Zamknęła oczy, mokra od potu, bojąc się nieuniknionego bólu. Krzyk uwiązł jej w gardle. Błagała niebiosa o litość, choćby nawet o szybką śmierć, byle tylko nie krojono jej żywcem.

Nagle ręka ze skalpelem cofnęła się.

Otworzyła oczy i spojrzała w twarz stojącemu obok mężczyźnie. Była taka zwyczajna i pospolita. Mogła widzieć go dziesiątki razy i w ogóle nie zauważyć. Ale on ją znał. Czaił się na obrzeżach jej świata, umieścił ją w centrum swego mikro-kosmosu i krążył wokół niej, niewidoczny w mroku.

A ja nie miałam pojęcia o jego istnieniu.

Odłożył skalpel na tacę i powiedział z uśmiechem:

— Jeszcze nie teraz.

Dopiero gdy wyszedł z pokoju, zdała sobie sprawę, że odłożył tortury na później, i odetchnęła z ulgą.

A więc na tym polegała jego gra. Czerpał przyjemność z przedłużania jej cierpień. Na razie zachowają przy życiu, aby miała czas rozmyślać o tym, co będzie dalej.

Każda zyskana minuta daje mi szansę ucieczki, uświadomiła sobie.

Chloroform przestał już działać. Była całkiem przytomna i jej umysł pracował na pełnych obrotach. Leżała rozciągnięta na łóżku z metalową ramą. Była rozebrana do naga, a przeguby i kostki miała skrepowane taśmą. Choć szarpała się i naprężała mięśnie, nie mogła uwolnić się z więzów. Przed czterema laty w Savannah Capra związał ją nylonową żyłką i zdołała wtedy oswobodzić jedną rękę. Chirurg nie powtórzył tego błędu.

Mokra od potu i zbyt zmęczona, by dalej walczyć, skoncentrowała uwagę na otoczeniu.

Nad łóżkiem wisiała pojedyncza żarówka. Zapach ziemi i wilgotnych murów dowodził, że znajduje się w piwnicy. Odwróciwszy głowę, zobaczyła tuż za kręgiem światła kamienne fundamenty.

Usłyszała nad sobą kroki i odgłos przesuwanego krzesła. To był stary dom z drewnianą podłogą. U góry ktoś włączył telewizor. Nie pamiętała, jak znalazła się w tym pomieszczeniu, ani ile czasu jechała. Mogli być wiele kilometrów od Bostonu, w miejscu, gdzie nikt nie będzie jej

szukał.

Jej wzrok przyciągnęła lśniąca taca. Patrzyła na ułożone starannie narzędzia. Wiele razy korzystała z podobnych, traktując je zawsze jako przybory do leczenia ludzi. Za pomocą skalpeli i zacisków usuwała komórki rakowe i kule, tamowała krwotoki uszkodzonych arterii i drenowała zalane krwią klatki piersiowe. Teraz, patrząc na instrumenty, których używała do ratowania życia, widziała w nich zapowiedź własnej śmierci. Chirurg zostawił je blisko łóżka, żeby mogła się im przyglądać, widzieć ostrze skalpela i stalowe zęby hemostatów.

Tylko bez paniki. Staraj się pomyśleć, nakazała sobie.

Przymknęła oczy. Strach był jak ośmiornica, opasująca mackami jej szyję.

Już raz ich pokonałaś. Możesz to powtórzyć, powiedziała sobie.

Poczuła, jak kropla potu spływa jej po piersi na wilgotny materac. Musiało istnieć jakieś rozwiązanie, jakieś wyjście z sytuacji, bo w przeciwnym razie... Wolą nie myśleć, co się stanie.

Otworzywszy oczy, wpatrywała się w żarówkę, myśląc intensywnie, co robić. Pamiętała, co powiedział Moore: Chirurg żywił się strachem. Atakował kobiety, które były okaleczone, nad którymi czuł przewagę.

Nie zabije mnie, dopóki mu się nie poddam, uznała.

Wciągnęła głęboko powietrze, zrozumiałwszy nagle, jak powinna postąpić. Pokonaj strach.

Wpadnij we wściekłość. Pokaż mu, że bez względu na to, co zrobi, nie zdoła cię pokonać.

Nawet gdyby cię zabił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Rizzoli przebudziła się nagle, czując w karku ostry ból. Boże, znowu naciągnęłam sobie mięsień, pomyślała, unosząc powoli głowę i mrużąc oczy od światła. Promienie słońca wpadały przez okno do biura. Przy innych stanowiskach nie było nikogo. Tylko ona siedziała przy biurku. Gdzieś około szóstej oparła na chwilę głowę o blat, by odrobinę się zdrzemnąć. Dochodziła teraz

dziewiąta trzydzieści. Plik wydruków z komputera, który posłużył jej za poduszkę, był mokry od śliny.

Spojrząwszy na stanowisko Prosta, zobaczyła, że na oparciu krzesła wisi jego marynarka, a na biurku Crowe'a leży torebka z pączkami. A więc koledzy zjawili się, kiedy spała, i z pewnością widzieli, jak toczy ślinę z otwartych ust. Musieli mieć niezłą zabawę.

Wstała i przeciągnęła się, próbując bezskutecznie rozprostować szyję. Wiedziała, że będzie musiała chodzić cały dzień z przekrzywioną głową.

— Cześć, Rizzoli. Czy królowna już się wyspała?

Odwróciła się i zobaczyła detektywa z jednej z pozostałych ekip. Uśmiechał się do niej z za przepierzenia.

— Nie widać? — odburknęła. — Gdzie są wszyscy?

— Od ósmej mają naradę.

— Co?

— Chyba właśnie skończyli.

— I nikt nie pofatygował się, żeby mnie zawiadomić. - Ruszyła wściekła korytarzem, całkowicie już obudzona. Dobrze wiedziała, co się dzieje. Tak właśnie człowieka załatwiano.

Nie za pomocą frontalnego ataku, lecz drobnych upokorzeń. Nie bierzesz udziału w zebraniach i już zostajesz na marginesie.

Weszła do sali konferencyjnej. Był tam tylko Barry Frost. Zbierał właśnie ze stołu papiery.

Podniósł głowę i na jej widok lekko się zaczerwienił.

— Dzięki, że zawiadomiłeś mnie o naradzie — powiedziała.

— Wyglądałaś na wykończoną. Uznałem, że zdążę cię o wszystkim poinformować później.

— Kiedy, w przyszłym tygodniu?

Frost spuścił wzrok, unikając jej spojrzenia. Współpracowali ze sobą wystarczająco długo,

by dostrzegła, że ma poczucie winy.

— A więc zostałam odsunięta — stwierdziła. — Czy to decyzja Marquette’a?

Frost skinął głową z ubolewaniem.

— Byłem temu przeciwny. Powiedziałem mu, że cię potrzebujemy. Uznał jednak, że z powodu strzelaniny i tego wszystkiego...

— Streszczaj się.

— Nie nadajesz się już do zespołu — dokończył niechętnie Frost.

Nie nadaje się. Czyli jej kariera jest skończona.

Frost wyszedł z sali. Rizzoli, poczuwszy nagle szum w głowie z powodu głodu i braku snu, opadła na krzesło i siedziała nieruchomo, wpatrując się w pusty stół. Przez chwilę wydawało jej się, że ma znowu dziewięć lat i jest pogardzaną siostrą, która pragnie rozpaczliwie być akceptowana przez braci. Chłopcy, jak zwykle, ją odrzucili. Wiedziała, że śmierć Pacheco nie stanowi prawdziwej przyczyny odsunięcia jej od śledztwa.

Pochopne użycie broni nie rujnowało kariery innych policjantów. Ale kiedy jest się kobietą, w dodatku lepszą od kolegów, i ma się dość odwagi, by dać im to odczuć, wykorzystają najdrobniejsze potknięcie.

Gdy wróciła do swego stanowiska, w biurze nie było nikogo. Zniknęła marynarka Prosta i torba z pączkami, która stała na biurku Crowe’a. Ona także mogła właściwie się zmyć. Powinna zabrać wszystkie rzeczy, ponieważ nie miała w tej pracy przyszłości.

Otworzyła szufladę, aby wyjąć torebkę, i znieruchomiała. Wśród sterty papierów leżało zdjęcie zwłok Eleny Ortiz. Ja też jestem jego ofiarą, pomyślała. Bez względu na pretensje do kolegów, nie zapominała, że to Chirurg odpowiadał za jej porażkę. To on ją upokorzył.

Zatrzasnęła szufladę. Jeszcze nie teraz. Nie jestem gotowa się poddać, uznała.

Zerknęła na biurko Prosta i zobaczyła stertę papierów, które przyniósł z sali konferencyjnej.

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Inni detektywi byli dostatecznie daleko.

Chwyciła papiery Prosta, położyła je na biurku i zaczęła czytać.

Była to dokumentacja finansów Warrena Hoyta. Próbowali dopaść zabójcę, śledząc jego wydatki. Zobaczyła rachunki kart kredytowych, чеки, potwierdzenia lokat i wyciągi z kont.

Okrągłe sumy. Hoyt odziedziczył po rodzicach duży majątek i korzystał z niego, podróżując każdej zimy na Karaiby i do Meksyku. Nie znalazła dowodu, by kupił inne mieszkanie, płacił czynsz lub jakieś stałe miesięczne należności.

To oczywiste. Nie był przecież głupi. Jeśli miał kryjówkę, płacił za nią gotówką.

Gotówka... Czasem jej brakuje. W takich nieprzewidzianych sytuacjach przydaje się bankomat.

Przejrzała wyciągi bankowe, szukając operacji w bankomatach i odnotowując je na kartce papieru. Hoyt pobierał na ogół pieniądze w pobliżu domu albo szpitala, czyli tam, gdzie mieszkał i pracował. Interesowały ją jednak operacje dokonane w innych, nietypowych miejscach.

Znalazła dwa takie wyciągi: jeden z 26 czerwca z banku w Nashua w stanie New Hampshire, drugi z 13 maja z bankomatu w Hobbs' FoodMart w Lithia w stanie Massachusetts.

Zastanawiała się, czy Moore sprawdza już te dwie operacje. Miał tak wiele innych spraw do załatwienia, musiał przesłuchać tylu współpracowników Hoyta z laboratorium, że mógł nie zwracać sobie na razie głowy wyciągami z bankomatów.

Usłyszała kroki i podniosła wzrok, przerażona, że ktoś przyłapał ją na czytaniu papierów Prosta. Do biura wszedł jednak tylko laborant. Uśmiechnął się do niej, rzucił na biurko Moore'a skoroszyt i zniknął.

Rizzoli odczekała chwilę, po czym wstała z krzesła, podeszła do stanowiska Moore'a i zajrzała do skoroszytu. Na pierwszej stronie był raport z laboratorium, wyniki analizy jasnobrązowych włosów, pobranych z poduszki w mieszkaniu Warrena Hoyta.

Trichorrhexis invaginata, odpowiada próbce znalezionej w ranie Eleny Ortiz. Bingo. Hoyt był człowiekiem, którego szukali.

Na drugiej stronie zamieszczono informację na temat włosa, który leżał na podłodze w łazience Hoyta. Tu już nic jej nie pasowało.

Zamknęła skoroszyt i poszła do laboratorium.

Erin Yolchko siedziała przed gammagrafem, przeglądając serię zdjęć. Gdy Rizzoli weszła do laboratorium, podniosła do góry jedno z nich i zawołała:

— Co to jest? Szybko!

Rizzoli zmarszczyła brwi, patrząc na czarno-białą kliszę.

— Wygląda paskudnie.

— Zgoda, ale co to jest?

— Pewnie coś ohydneho. Jak noga karalucha.

— To sierść jelenia. Ciekawe, prawda? Zupełnie nie przypomina ludzkiego włosa.

— Skoro o tym mowa... — Rizzoli wręczyła jej raport, który właśnie przeczytała. — Możesz mi powiedzieć coś więcej na ten temat?

— Chodzi ci o włosy z mieszkania Warrena Hoyta?

— Tak.

— Te krótkie, brązowe, znalezione na jego poduszce, wykazują Trichorrhexis imaginata.

Zdaje się, że wpadliście na właściwy trop.

— A ten czarny włos z podłogi w łazience?

— Pokażę ci zdjęcie. — Erin sięgnęła po plik klisz. Przetasowała je jak karty i wyciągnęła jedną. — To włos z łazienki. Widzisz te kody?

Rizzoli spojrzała na wypisane starannie ręką Erin cyfry i litery. AOO-BOO-C05-D33.

— Tak. Cokolwiek one oznaczają.

— Pierwsze dwa, A-zero zero i B-zero zero, mówią, że włos jest prosty i czarny. Pod mikroskopem widać dodatkowe szczegóły. — Podała Rizzoli zdjęcie. — Spójrz na trzon. Jest zgrubiały. Zauważ, że w przekroju poprzecznym ma prawie okrągły kształt.

— Czy to istotne?

— To cecha pozwalająca określić rasę. Trzon włosa Afrykanina, na przykład, jest niemal płaski, jak wstążka. Zwróć uwagę na intensywne zabarwienie. A ten gruby naskórek? Wszystko prowadzi do jednego wniosku. — Erin spojrzała na Rizzoli. — To typowy włos osoby ze wschodniej Azji.

— To znaczy?

— Chinki albo Japonki. Może Hinduski. Ewentualnie Indianki.

— Czy to można potwierdzić? Macie korzeń włosa, żeby przeprowadzić testy DNA?

— Niestety, nie. Wygląda na to, że nie wypadł, tylko został obcięty. Nie ma mieszka. Ale jestem przekonana, że nie należał do Europejki ani Afrykanki.

A więc to była Azjatka, pomyślała Rizzoli, wracając do wydziału zabójstw. Co ona ma wspólnego z tą sprawą? Przystanęła na chwilę w korytarzu ze szkła, prowadzącym do północnego skrzydła, i mrużąc zmęczone oczy od słońca, przyglądała się dzielnicy Roxbury. Czyżby była kolejna ofiara, której jeszcze nie znaleźli? Czy Hoyt uciął jej włosy na pamiątkę, tak jak w przypadku Catherine Cordell?

Odwróciwszy się, zauważyła ze zdziwieniem Moore'a, który przechodził obok, zmierzając do południowego skrzydła. Gdyby go nie zawołała, może w ogóle by jej nie zauważył. Przystanął i spojrzał na nią niechętnie.

— Ten długi czarny włos z podłogi w łazience Hoyta należał podobno do jakiejś Azjatki — oznajmiła. — Być może to ofiara, o której jeszcze nie wiemy.

— Rozważaliśmy taką możliwość.

— Kiedy?

— Dziś rano, na zebraniu.

— Do cholery, Moore! Nie odsuwajcie mnie od śledztwa!

Jego głuche milczenie sprawiło, że słowa te rozbrzmiały ze wzmożoną siłą.

— Ja też chcę go dopaść — oświadczyła, patrząc mu z bliska prosto w oczy. — Nie mniej niż wy. Pozwólcie mi wrócić.

— To nie moja decyzja, tylko Marquette'a — powiedział, zamierzając odejść.

— Moore?

Zatrzymał się niechętnie.

— Mam już dość tej wojny między nami — stwierdziła.

— Nie pora teraz o tym rozmawiać.

— Posłuchaj, jest mi naprawdę przykro. Byłam na ciebie wściekła z powodu Pacheco. Wiem, że to żadne usprawiedliwienie. Nie powinnam mówić Marquette'owi o tobie i Cordell.

Odwrócił się do niej.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Już ci powiedziałam. Byłam wkurzona.

— Nie, nie chodziło o Pacheco, tylko o Catherine, prawda? Od początku jej nie lubiłaś. Nie mogłaś pogodzić się z tym, że...

— Że się w niej zakochałaś?

Zaległo długie milczenie.

Gdy Rizzoli ponownie się odezwała, nie potrafiła ukryć sarkazmu.

— Widzisz, Moore, mimo twoich wzniosłych deklaracji, że doceniasz u kobiet zdolności i inteligencję, pociąga cię na prawdę to samo co wszystkich mężczyzn. Cycki i tyłek.

Moore pobladł ze złości.

— Nienawidzisz jej za wygląd? Jesteś wściekła, że zrobiła na mnie wrażenie? Wiesz co, Rizzoli? Jaki mężczyzna zwróci na ciebie uwagę, skoro sama siebie nie lubisz?

Patrzyła z goryczą, jak odchodzi. Jeszcze kilka tygodni temu Moore byłby ostatnią osobą, od której spodziewałaby się usłyszeć tak okrutne słowa. Zabolały ją bardziej, niż gdyby wypowiedział je ktokolwiek inny.

Nie dopuszczała myśli, że mogły zawierać prawdę.

Przechodząc przez hol na parterze, zatrzymała się przy tablicy pamiątkowej ku czci poległych bostońskich policjantów. Ich nazwiska wyryto w kamieniu na ścianie w chronologicznym porządku, poczynając od Ezekiela Hodsona, który zginął w 1854 roku. Na granitowej podłodze stał wazon z kwiatami. Daj się zabić na służbie, a zostaniesz bohaterem. Jakie to proste. Nie wiedziała nic o tych ludziach, których nazwiska przeszły do historii. Być może niektórzy z nich wcale nie byli bez skazy, ale po śmierci nikt nie kwestionował już ich reputacji. Stojąc obok tablicy, niemal im zazdrościła.

Wyszła do samochodu. Poszperała w schowku i znalazła mapę Nowej Anglii. Rozłożyła ją na siedzeniu i wyszukała dwa miejsca: Nashua w stanie New Hampshire i Lithia w zachodnim Massachusetts. Warren Hoyt korzystał tam z bankomatów. Musiała wybrać na chybił trafił, dokąd pojechać.

Uruchomiła silnik. Była dziesiąta trzydzieści. Miała szansę dotrzeć do miasteczka Lithia około południa.

Pić... Catherine marzyła jedynie o chłodnej, czystej wodzie, tryskającej z kraników na szpitalnych korytarzach, przynoszącej ulgę spieczonym wargom i rozpalonej skórze. Myślała o kostkach lodu, po które jak pisklęta wyciągają szyje pacjenci po operacji, otwierając spragnione, spierzchnięte usta.

Myślała też o Ninie Peyton, przywiązanej do łóżka, świadomej, co ją czeka, a jednak

nieodczuwającej niczego poza potwornym pragnieniem.

W ten sposób nas torturuje, uświadomiła sobie. Łamie nasz opór. Chce, żebyśmy błagały o wodę, o życie. Pragnie mieć nad nami pełną kontrolę. Zmusić nas do uznania jego władzy.

Przez całą noc wpatrywała się w żarówkę. Kilka razy zapadała w sen i budziła się przerażona, czując skurcze w żołądku. Ale strach nie trwa w nieskończoność. W miarę upływu godzin, nie mogąc wyzwolić się z więzów, popadła w rodzaj czujnego odrętwienia. Trwała w koszmarnym zawieszeniu między niedowierzaniem a poczuciem rzeczywistości, koncentrując myśli wyłącznie na tym, jak bardzo chce jej się pić.

W pewnej chwili usłyszała kroki i skrzypienie otwieranych drzwi.

Natychmiast oprzytomniała. Serce zaczęło tłuc jej się w piersi jak ptak, próbujący wydostać się z klatki. Wciągnęła w płuca chłodne powietrze, przesycone zapachem ziemi i wilgotnych murów. Oddychała coraz szybciej, słysząc odgłos kroków na schodach. Nagle zobaczyła go nad sobą. W świetle żarówki jego spowita cieniem twarz wyglądała jak uśmiechnięta czaszka z pustymi oczodołami.

— Masz ochotę się napić, prawda? — rzekł spokojnym, opanowanym głosem.

Nie mogła mówić, bo miała usta zaklejone taśmą, ale widział odpowiedź w jej rozgorączkowanych oczach.

— Zobacz, co tu mam, Catherine. — Gdy uniósł do góry kubek, usłyszała cudowny brzęk kostek lodu i zobaczyła kropelki wody na chłodnej powierzchni szkła. — Łyknęłabyś odrobinę? Skinęła głową, nie patrząc na niego, lecz na kubek. Umierała z pragnienia, ale myślała już nie tylko o orzeźwiającym łyku wody. Rozważała dalsze ruchy i oceniała swoje szanse.

Jej oprawca zakręcił kubkiem, uderzając kostkami lodu o szkło.

— Musisz być grzeczna.

Będę, obiecała mu wzrokiem.

Zdarł jej z ust taśmę. Leżała w bezruchu, pozwalając wsunąć sobie między zęby słomkę.

Pociągnęła łapczywie kilka kropli wody, ale nie zdołała ugasić palącego pragnienia. Spróbowała ponownie i natychmiast się zakrztusiła. Wszystko spłynęło jej po brodzie.

— Nie mogę pić... na leżąc — szepnęła. — Pozwól mi usiąść. Proszę.

Odstawił kubek i spojrzał na nią ciemnymi, przepaścistymi oczami. Zobaczył kobietę bliską omdlenia. Kobietę, którą należało przywrócić do życia, by móc czerpać przyjemność z jej trwogi.

Zaczął rozcinać taśmę, którą miała przywiązany do łóżka prawy przegub.

Serce waliło jej jak młotem. Pomyślała, że z pewnością to zauważy. Jej prawa dłoń, uwolniona z więzów, opadła bezwładnie. Nie poruszała się, nie napinała mięśni.

Zaległa nieznośna cisza. No, dalej! Uwolnij mi lewą rękę. Przetnij więzy! — ponagliła.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, a on to zauważył. Z przerażeniem usłyszała, że odrywa z rolki nowy kawałek taśmy.

Teraz albo nigdy.

Sięgając po omacku do tacy z narzędziami, strąciła kubek i kostki lodu rozsypały się z chrzęstem po podłodze. Poczwała pod palcami stalowy uchwyt. Skalpel!

Gdy rzucił się na nią, uniosła rękę i wbiła mu ostrze w ciało. : Odskoczył z krzykiem, trzymając się za przegub.

Odwróciła się na bok i przeciąwszy skalpelem taśmę, uwolniła lewą rękę.

Gdy usiadła na łóżku, zrobiło jej się nagle ciemno przed oczami. Po całym dniu bez wody była osłabiona i nie mogła trafić ostrzem w taśmę, krępującą jej prawą kostkę. Machając na oślep skalpelem, rozcięła sobie skórę, ale pozbyła się więzów.

Została jeszcze lewa noga.

Uderzenie ciężkim rozwieraczem w skroń było tak silne, że zobaczyła gwiazdy.

Drugi cios trafił ją w policzek. Usłyszała trzask kości.

Nie pamiętała, kiedy upuściła skalpel.

Gdy odzyskała przytomność, miała spuchniętą twarz i nie widziała na prawe oko. Próbując poruszyć kończynami, stwierdziła, że przeguby i kostki ma znów przywiązane do łóżka. Ale Chirurg nie zakleił jej ust. Jeszcze mogła mówić.

Stał nad nią. Widziała, że ma zaplamioną koszulę. To jego krew, pomyślała z dziką satysfakcją. Zwierzyna pokazała pazury. Nie tak łatwo mnie pokonać. On żywi się strachem, więc musi zobaczyć, że się go nie boję.

Wziął z tacy skalpel i podszedł do niej. Czuła, jak wali jej serce, ale leżała nieruchomo, patrząc mu wyzywająco w oczy. Wiedziała już, że nie uniknie śmierci, i pogodziwszy się z tym, uwolniła się od lęku. To była odwaga skazańca. Przez dwa lata ukrywała się jak ranne zwierzę. Pozwalała, żeby duch Andrew Capry rządził jej życiem. Nigdy więcej.

No już, tni. I tak nie wygrasz. Nie umrę pokonana.

Przytknął ostrze do jej brzucha. Mimo woli napięła mięśnie. Czekał, by ujrzeć na jej twarzy strach.

Okazywała mu tylko lekceważenie.

— Nie radzisz sobie bez Andrew, prawda? — powiedziała. — Nawet ci nie staje. Andrew musiał je pieprzyć, a ty się tylko przyglądałeś.

Przycisnął skalpel, przecinając skórę. Poczowała ból, gdy z rany popłynęły pierwsze krople krwi, ale nadal przeszywała go wzrokiem, nie okazując strachu i pozbawiając go satysfakcji.

— Nie potrafisz zerznąć kobiety, prawda? Nie, musiał to robić twój bohaterski Andrew. A i on był nieudacznikiem.

Skalpel znieruchomiał. Zawisł w powietrzu. Widziała go w nikłym świetle.

Andrew. Kluczem do wszystkiego jest Andrew, pomyślała. Człowiek, którego ubóstwia.

Jego bożyszczce.

— Andrew był nieudacznikiem — powtórzyła. — Wiesz, po co przyszedł do mnie tamtej nocy. prawda? Błagać o litość.

— Nie — wyszeptał ledwo dosłyszalnie.

— Prosił, żebym dała mu szansę. Płaszczył się przede mną. — Zaśmiała się szyderczo.

Zabrzmiało to niesamowicie w tym ponurym miejscu. — To było żałosne. Twój bohaterowski Andrew skamlał o pomoc.

Chirurg znów przycisnął ostrze i po boku spłynęła jej świeża strużka krwi. Z trudem powstrzymywała się od krzyku i mówiła dalej, tak pewnym tonem, jakby to ona trzymała w ręce skalpel.

— Opowiadał mi o tobie. Nie wiedziałeś o tym, prawda?

Wspominał, że jesteś takim tchórzem, iż boisz się nawet rozmawiać z kobietami. Sam musiał je dla ciebie znajdować.

— To kłamstwo.

— Nic dla niego nie znaczyłeś. Byłeś tylko pasożytem. Gnidą.

— Łżesz.

Ostrze zagłębiło się w jej skórze i choć próbowała nad sobą zapanować, z ust wyrwał jej się jęk. Nie wygrasz, kanalio. Już się ciebie nie boję. Nie boję się niczego.

Gdy robił kolejne nacięcie, wpatrywała się w niego wyzywająco, jak pogodzony z losem skazaniec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Rizzoli przyglądała się rzędowi pudełek z ciastkami, zastanawiając się, w ilu z nich jest robactwo. Hobbs' FoodMart był brudnym i niechlujnym sklepem spożywczym, typowym rodzinnym interesem, prowadzonym przez parę skąpych staruszków, którzy sprawiali wrażenie, że sprzedają dzieciom zepsute mleko. Dean Hobbs, stary jankes o podejrzliwym spojrzeniu,

przyglądał się każdej ćwierćdolarówce, zanim przyjął zapłatę za towar. Niechętnie wręczył Rizzoli dwa centy reszty i zatrzasnął kasę.

— Nie zwracam uwagi, kto korzysta z tego bankomatu - oznajmił. — Bank wstawił go tutaj dla wygody klientów. Nie mam z tym nic wspólnego.

— Gotówkę pobrano w maju. Dwieście dolarów. Mam zdjęcie mężczyzny, który...

— Mówiłem już temu facetowi z policji stanowej, że teraz jest sierpień. Myślicie, że pamiętam klienta sprzed paru miesięcy?

— Był tu ktoś z policji stanowej?

— Dziś rano. Zadawali te same pytania. Czy wy nie macie ze sobą kontaktu?

A więc operacje w bankomatach już są sprawdzane. I to przez policję stanową, a nie lokalną. Cholera! Traci tylko czas.

Pan Hobbs zmierzył nagle wzrokiem nastolatka, który przyglądał się słodyczom.

— Hej, masz zamiar zapłacić za tego snickersa?

— Eee... tak.

— Więc wyjmij go z kieszeni, dobrze?

Chłopak położył baton z powrotem na półce i wymknął się ze sklepu.

Dean Hobbs mruknął:

— Zawsze są z nim problemy.

— Zna pan tego dzieciaka? — spytała Rizzoli.

— Znam jego rodziców.

— A innych klientów? Przychodzą tu stale ci sami ludzie?

— Rozejrzała się pani po miasteczku?

— Pobieźnie.

— To wystarczy. Lithia ma tysiąc dwieście mieszkańców. Niewiele tu jest do oglądania.

Rizzoli wyjęła zdjęcie Warrena Hoyta. Dysponowali tylko jego fotografią z prawa jazdy, sprzed dwóch lat. Mężczyzna o szczupłej twarzy, krótko przyciętych włosach i dziwnie pospolitym uśmiechu patrzył wprost w obiektyw aparatu. Dean Hobbs widział już to zdjęcie, ale postanowiła jeszcze raz mu je pokazać.

— Nazywa się Warren Hoyt.

— Wiem. Policja stanowa już mnie o niego pytała.

— Poznaje go pan?

— Powiedziałem im, że nie, i pani powtarzam to samo.

— Jest pan tego pewien?

— A jak pani myśli?

Rzeczywiście, sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy nie zmienia zdania.

Przy drzwiach zadzwoniły dzwoneczki i do sklepu weszły dwie nastolatki, długonogie opalone blondynki w szortach. Dean Hobbs natychmiast skoncentrował na nich uwagę, patrząc, jak podchodzą, chichocząc, do pogrążonych w mroku półek.

— Ale wyrosły — mruknął z podziwem.

— Panie Hobbs?

— He?

— Gdyby zobaczył pan tego mężczyznę ze zdjęcia, proszę natychmiast do mnie zadzwonić.

— Wręczyła mu wizytówkę. — O dowolnej porze. Na pager albo komórkę.

— Tak, tak.

Dziewczyny, niosąc torbę chipsów i sześciopak dietetycznej pepsi, podeszły do kasy.

Pokazywały swe wdzięki, świecąc nagimi piersiami spod cienkich podkoszulków. Dean Hobbs sycił oczy tym widokiem i Rizzoli zastanawiała się, czy nie zapomniał już o jej obecności.

Zawsze to samo, pomyślała. Gdy pojawiają się piękne dziewczyny, staje się niewidzialna.

Wyszła ze sklepu i wróciła do samochodu. Wystarczyło, że postał chwilę w słońcu, a w środku było już jak w piecu, otworzyła więc drzwiczki i czekała, by się wychłodził. Główna ulica miasteczka zamarła w bezruchu. Widziała stację benzynową, sklep z artykułami żelaznymi i kafejkę, ale żadnych ludzi. Upał zatrzymał wszystkich w domach. Wszędzie słychać było szum klimatyzatorów. Nawet w małych miasteczkach nikt nie siadywał już przed domem z wachlarzem w ręku. Cud klimatyzacji sprawił, że ganki przestały być potrzebne. Usłyszała dźwięk dzwonek przy drzwiach sklepu i zobaczyła, jak dwie nastolatki wychodzą leniwie na słońce. Gdy szły ulicą, w jednym z okien poruszyły się zasłony. W małych miasteczkach ludzie na wszystko zwracają uwagę. A już z pewnością na atrakcyjne, młode kobiety.

Czy zauważyliby zniknięcie dziewczyny? Zamknęła drzwiczki samochodu i wróciła do sklepu. Pan Hobbs krzątał się przy półce z warzywami, upychając główki świeżej sałaty w głębi chłodziarki, a zwiędnięte lokując z przodu.

— Panie Hobbs?

Odwrócił się.

— Pani znowu tutaj?

— Mam jeszcze jedno pytanie.

— To nie znaczy, że znam na nie odpowiedź.

— Czy w miasteczku mieszkają jakieś Azjatki?

Takiego pytania się nie spodziewał. Spojrzał na nią zaskoczony.

— Co?

— Chodzi o Chinę lub Japonkę. Albo Indiankę.

— Mamy tu parę murzyńskich rodzin — stwierdził, jakby wychodziło na to samo.

— Być może zaginęła pewna dziewczyna. Ma długie czarne włosy, zupełnie proste, sięgające

do ramion.

— Mówi pani, że jest Azjatką?

— Albo Indianką.

Zaśmiał się.

— Do diabła, to nie może być ona.

Rizzoli poczuła skok adrenaliny. Hobbs wrócił do półki z warzywami i zaczął układać stare cukinie na świeżych.

— Kogo pan ma na myśli?

— Na pewno nie jest Azjatką. Indianką też nie.

— Zna ją pan?

— Była tu ze dwa razy. Wynajmuje na lato Sturdee Farm. Wysoka dziewczyna. Niezbyt ładna.

Tak, to z pewnością zauważył.

— Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

Odwrócił się i krzyknął:

— Hej, Margaret!

Otworzyły się drzwi prowadzące na zaplecze i do sklepu weszła pani Hobbs.

— Co?

— Czy w zeszłym tygodniu dostarczałaś towar do Sturdee Farm?

— Tak.

— I widziałaś tę dziewczynę?

— Zapłaciła mi.

— Spotkała ją pani potem, pani Hobbs? — spytała Rizzoli.

— Nie było okazji.

— Gdzie jest Sturdee Farm?

— Za zachodnim rozwidleniem. Ostatni dom przy drodze.

Rizzoli usłyszała brzęczy k pagera.

— Mogę skorzystać z telefonu? — zapytała. — Siadła mi bateria w komórce.

— Chodzi o rozmowę zamiejscową?

— Z Bostonem.

— Automat jest na zewnątrz — mruknął Hobbs i zaczął znów układać cukinie.

Klnąc pod nosem, Rizzoli wyszła na skwar, znalazła telefon i wrzuciła do niego monety.

— Detektyw Frost.

— Szukałeś mnie.

— Rizzoli? Co robisz w Massachusetts?

Zdała sobie sprawę, że zdradził ją numer aparatu, z którego dzwoniła.

— Zrobiłam sobie małą przejażdżkę.

— Nadal zajmujesz się tą sprawą?

— Trochę tylko węższą. Nic takiego.

— Cholera, jeżeli... — Frost zniżył nagle głos. — Jeżeli Marquette się dowie...

— Nie powiesz mu, prawda?

— Nie ma obawy, ale szybko wracaj. Szuka cię i jest wściekły.

— Muszę jeszcze sprawdzić jedno miejsce.

— Posłuchaj, Rizzoli. Daj sobie spokój, bo stracisz szansę na powrót do zespołu.

— Nie widzisz, że już ją straciłam? Wypieprzyli mnie! - Z trudem powstrzymując łzy,

spojrzała z goryczą na pustą ulicę, nad którą unosiły się jak gorący popiół tumany kurzu. - Teraz pozostał mi tylko Chirurg. Muszę go dopaść.

— Policja stanowa już tam była. Nic nie znaleźli.

— Wiem.

— Więc co tam jeszcze robisz?

— Zadaję pytania, których nie zadali.

Odwiesiwszy słuchawkę, wsiadła do samochodu i ruszyła na poszukiwania czarnowłosej kobiety.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Samotny budynek Sturdee Farm znajdował się przy końcu długiej polnej drogi. Był to stary dom z odpryskującą białą farbą i gankiem, który zapadał się na środku pod ciężarem sterty drewna. Rizzoli siedziała przez chwilę w samochodzie, zbyt zmęczona, by wysiąść. I zdeprymowana tym, do czego sprowadzała się jej obiecująca niegdyś kariera. Tkwiła samotnie na polnej drodze, zastanawiając się, po jaką cholere ma wchodzić po tych schodach, pukać do drzwi i rozmawiać z jakąś zaskoczoną jej wizytą kobietą, która przypadkiem ma czarne włosy. Pomyślała o Edzie Geigerze, policjancie z Bostonu, który również pewnego dnia zaparkował samochód na polnej drodze i uznał — w wieku czterdziestu dziewięciu lat — że dojechał już do kresu swojej drogi. Rizzoli dotarła wtedy pierwsza na miejsce zdarzenia. Gdy inni policjanci stali wokół samochodu z obryzganą krwią przednią szybą, kiwając głowami i uzalając się nad biednym Edem, ona nie miała współczucia dla policjanta, który był na tyle żaloszny, by strzelić sobie w łeb. To takie proste, pomyślała, uświadamiając sobie nagle, że ma na biodrze broń. Nie służbową, bo tamtą oddała Marquette'owi, ale własną, zabraną z domu. Broń mogła być najlepszym przyjacielem albo najgorszym wrogiem. Czasem i jednym, i drugim. Rizzoli nie zamierzała wkładać sobie lufy do ust, tak jak to uczynił Ed Geiger. Wyłączyła silnik i wyszła niechętnie z samochodu, aby zrobić, co do niej należało. Rizzoli mieszkała całe życie w mieście i cisza tego miejsca robiła na niej dziwne wrażenie. Weszła po schodach na ganek. Skrzypiały nienaturalnie głośno. Nad głową brzęczały jej muchy.

Zapukała do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Próbowała przekreślić gałkę — były zamknięte.

Zapukała ponownie, po czym krzyknęła: „Halo!”. Jej głos zabrzmiał zaskakująco donośnie.

Tymczasem dopadły ją już komary. Pacnęła się ręką w policzek i zobaczyła na dłoni ciemną plamę krwi. Do diabła z życiem na wsi! Miejskie wampiry chodziły przynajmniej na dwóch nogach i widziało się je z daleka.

Zapukała jeszcze głośno parę razy i zabiwszy kilka następnych komarów, dała za wygraną.

W domu najwyraźniej nikogo nie było.

Obeszła go wokoło, szukając śladów włamania, ale wszystkie okna były zamknięte, a żaluzje nie wyglądały na uszkodzone. Nikt nie dostałby się do środka bez drabiny, gdyż dom został zbudowany na podwyższonym kamiennym fundamencie.

Rozejrzała się po dziedzińcu i zobaczyła starą stodołę i zarośnięty rzęsą staw. Pływała po nim samotna kaczka, zapewne odrzucona przez stado. Nigdzie nie było śladu ogrodu. Widziała tylko wysokie po kolana chwasty, trawę i całe chmary komarów.

Do stodoły prowadziły wyżłobione w trawie koleiny. Przejeżdżał tamtędy niedawno samochód.

Pozostało jej do sprawdzenia jeszcze jedno miejsce.

Podeszła po śladach opon do drzwi stodoły i zawahała się. Nie miała nakazu rewizji, ale kogo to obchodziło? Zajrzy tylko do środka, żeby zobaczyć, czy nie ma tam samochodu.

Złapała za uchwyt i otworzyła ciężkie drzwi.

Promienie słońca rozproszyły mrok stodoły, oświetlając wirujące w powietrzu tumany kurzu.

Rizzoli zastygła w bezruchu, wpatrując się w zaparkowany w środku pojazd.

Był to żółty mercedes.

Poczuła na twarzy kropelki zimnego potu. Wokół panowała grobowa cisza. Słyszała tylko brzęczenie muchy.

Nie pamiętała, kiedy rozpięła kaburę i wyciągnęła broń. Nagle miała ją już w ręce, podchodząc do samochodu. Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że nikt nie siedzi za kierownicą. Potem zajrzała do wnętrza. Na fotelu obok kierowcy leżało coś ciemnego. Peruka. Skąd pochodzą zwykle włosy do czarnych peruk? Ze wschodniej Azji.

Długowłosa brunetka.

Przypomniała sobie taśmy wideo, nagrane w szpitalu w dniu zabójstwa Niny Peyton. Na żadnej z nich nie zarejestrowano przybycia Warrena Hoyta na piąty poziom.

To dlatego, że zjawił się na oddziale chirurgicznym w przebraniu kobiety, a wyszedł jako mężczyzna, wydedukowała.

Usłyszała krzyk.

Odwróciła się z bijącym sercem. Cordell?

Wybiegła ze stodoły, pędząc przez wysoką do kolan trawę w kierunku tylnych drzwi domu.

Były zamknięte.

Dyszac ciężko, cofnęła się i zmierzyła je wzrokiem. Do wyłamywania drzwi kopniakiem potrzebna była bardziej adrenalina niż siła mięśni. Będąc początkującą policjantką, jedyną w zespole, dostała kiedyś rozkaz, żeby wyłamać drzwi w mieszkaniu podejrzanego. Poddano ją próbie i inni policjanci oczekiwali, może nawet mieli nadzieję, że sobie nie poradzi. Kiedy czekali, by zobaczyć jej upokorzenie, Rizzoli, pałając wściekłością, rozbiła dwoma kopniakami drzwi i wtargnęła do środka jak Diabeł Tasmański.

Teraz czuła taki sam przyпіływ adrenaliny, celując broń we framugę i naciskając trzy razy na spust. Gdy kopnęła obcasem drzwi, posypały się z nich drzazgi. Spróbowała ponownie. Tym razem otworzyły się na oścież. Wbiegła do środka, przypadając do ziemi i czujnie się rozglądając. Była w kuchni. Mimo opuszczonych żaluzji widziała, że nikogo tam nie ma. W zlewku leżały brudne naczynia. Lodówka buczała i rzęziła.

Czy on tu jest? A może czai się w sąsiednim pokoju?

Chryste, powinna mieć kamizelkę kuloodporną. Ale nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

Pot spływał jej po piersiach, wsiąkając w sportowy stanik. Zauważyła na ścianie telefon. Podeszła do niego ostrożnie i podniosła słuchawkę. Nie było sygnału. Nie miała szans na wezwanie posiłków.

Nie zawieszając słuchawki, przesunęła się w kierunku drzwi. Zajrzała do sąsiedniego pokoju i zobaczyła, że jest to salon, w którym znajduje się wytarty tapczan i kilka krzeseł.

Gdzie może być Hoyt? Gdzie?

Weszła do salonu. W pół drogi syknęła z przerażenia, słysząc brzęczyk pagera. Cholera!

Wyłączyła go i szła dalej.

Przystanęła w holu.

Frontowe drzwi były szeroko otwarte.

Nie ma go w domu.

Wyszła na ganek. Słyszając nad głową brzęczenie komarów, spojrzała na dziedziniec, na polną drogę, gdzie stał jej samochód, wysoką trawę i pobliski las. Było się tam gdzie ukryć. Gdy waliła jak ogłupiały byk w tylne drzwi, on wymknął się od frontu i uciekł do lasu.

Cordell jest w tym domu. Znajdź ją, nakazała sobie.

Weszła z powrotem do holu i ruszyła schodami na górę. Było tam gorąco i duszno. Spociła się jak mysz, przeszukując pospiesznie trzy sypialnie, łazienkę i szafy. Ani śladu Cordell.

Boże, tu można się udusić.

Zeszła z powrotem na parter. W domu panowała tak grobowa cisza, że przeszły ją ciarki.

Nabrała nagle pewności, że Cordell nie żyje, że w stodole słyszała jej przedśmiertny krzyk.

Wróciła do kuchni. Przez okno nad zlewem widać było dobrze stodołę.

On widział, jak tam szłam. Wiedział, że zobaczę mercedesa i że nie ma czasu do stracenia.

Więc ją wykończył. I uciekł.

Lodówka zarzęziła kilka razy i ucichła. Rizzoli słyszała rytmiczne uderzenia swego serca.

Odwróciwszy się, zobaczyła drzwi do piwnicy. Tylko tego miejsca jeszcze nie przeszukała.

Panował tam nieprzenikniony mrok. Myślała z odrazą o schodzeniu do podziemi, gdzie czekały ją z pewnością koszmarnie widoki. Nie miała na to ochoty, ale wiedziała, że Cordell musi tam być.

Sięgnęła do kieszeni po miniaturową latarkę. Oświetlając nią sobie drogę, zeszła dwa stopnie w dół. Powietrze było chłodne i wilgotne.

Poczuła zapach krwi.

Coś smagnęło ją po twarzy. Cofnęła się przestraszona. Odetchnęła z ulgą, uświadomiwszy sobie, że to tylko łańcuszek do włączania zawieszanej nad schodami lampy. Pociągnęła go, ale bez skutku.

Musiała jej wystarczyć kieszonkowa latarka.

Ponownie skierowała snop światła na schody, trzymając w ręce broń. Na piętrze było duszno i gorąco, a tu, choć spocona, drżała z zimna.

Dotarła do końca schodów i poczuła pod nogami ubitą ziemię. Było tam jeszcze zimniej, a gęste, wilgotne powietrze przesycił intensywny zapach krwi. Wszędzie panowała grobowa cisza.

Słyszała tylko swój przyspieszony oddech.

Zakreśliła snopem światła łuk i omal nie krzyknęła, zobaczywszy nagle własne odbicie. Stała z wycelowaną bronią i serce waliło jej jak młotem na widok tego, co ujrzała.

Na półce stały rzędem duże, aptekarskie słoje. Nie musiała dokładnie im się przyglądać, by pojąć, co zawierają.

Jego trofea.

Słoi było sześć. Na każdym widniała etykieta z nazwiskiem. Było więcej ofiar, niż przypuszczali.

Ostatni słój — pusty, ale już podpisany — czekał na najcenniejszą zdobycz.

Catherine Cordell.

Rizzoli odwróciła się, oświetlając latarką sufit, masywne słupy i kamienne fundamenty.

Promień światła zatrzymał się nagle w kącie piwnicy. Na ścianie była jakaś ciemna plama.

Krew.

Przesunęła snop światła i zobaczyła Catherine. Przeguby i kostki miała przywiązane taśmą do łóżka. Jej bok lśnił od świeżej krwi. Na białym udzie widać było szkarłatny odcisk dłoni, jakby Chirurg chciał zostawić na ciele ofiary swój znak. Przy łóżku stała nadal taca z narzędziami, którymi posługiwał się oprawca.

O, Boże. Mogłam cię jeszcze ocalić...

Dysząc z wściekłości, oświetliła latarką zakrwawiony tors Cordell, a potem jej szyję. Nie miała podciętego gardła.

Snop światła nagle zadrżał. Nie, to nie światło! Cordell się poruszyła.

Ona jeszcze oddycha.

Rizzoli zdarła jej z ust taśmę klejącą i poczuła na ręce ciepły oddech. Cordell zamrugła powiekami.

Ha!

Rizzoli triumfowała, ale miała zarazem niepokojące wrażenie, że dzieje się coś bardzo złego.

Nie było jednak czasu o tym myśleć. Musiała ratować Cordell.

Trzymając w zębach latarkę, przecięła zręcznie więzy na przegubach Cordell i zbadła jej puls. Był słaby, ale wyczuwalny.

Ciągle nie mogła się pozbyć przeczucia, że coś jej zagraża. Dręczyło ją to, gdy przecinała

taśmę, krępującą prawą nogę Cordell i gdy sięgała do jej lewej kostki. I nagle doznała olśnienia.

Ten krzyk. Słyszała krzyk Cordell aż w stodole.

A przecież miała usta zaklejone taśmą.

Specjalnie ją zdjął, pojęła. Chciał, żeby krzyczała. Chciał mnie tu zwabić.

To pułapka. :

Sięgnęła natychmiast po broń, którą położyła na łóżku. Nie zdążyła jej chwycić.

Potężny cios w skroń powalił ją na ziemię. Gdy próbowała się podnieść, została kopnięta w bok. Usłyszała trzask żeber i poczuła, że traci oddech. Przeszył ją tak potworny ból, że nie mogła zaczerpnąć powietrza.

Pod sufitem zapaliła się pojedyncza żarówka.

Chirurg stał nad nią, przyglądając się swej nowej zdobyczy. Widziała tylko owalny kontur jego twarzy.

Odwróciła się na zdrowy bok, próbując podźwignąć się z ziemi.

Kopnął ją w ramię. Upadła znowu na plecy, urażając złamane żebra. Krzyknęła z bólu. Nie mogła się poruszyć. Nawet wtedy, gdy do niej podszedł i zobaczyła nad głową jego but.

Przydepnął jej przegub, wgniatając go w ziemię.

Wrzasnęła jak opętana.

Sięgnąwszy do tacy z narzędziami, wybrał jeden ze skalpeli.

Boże, nie!

Przykucnął obok niej, nadal przyduszając butem zmiażdżony przegub, i uniósł skalpel, wbił go bezlitośnie w jej otwartą dłoń.

Pisnęła przeraźliwie, gdy ostrze przeszło jej ciało i przygwoździło rękę do ubitej ziemi.

Chirurg wziął z tacy kolejny skalpel. Chwycił prawą rękę Rizzoli, rozciągnął ją na ziemi i przydusił butem przegub. Potem znów uniósł skalpel i przebił nim jej dłoń.

Tym razem wydała z ust tylko bezsilny krzyk.

Wstał i przyglądał jej się przez chwilę, jak kolekcjoner, który przyspilił właśnie w gablotce kolejny okaz motyla.

Podszedł do tacy z narzędziami i wziął trzeci skalpel. Mając obie ręce przygwożdżone do ziemi, Rizzoli mogła jedynie czekać, co się stanie. Chirurg stanął za nią i przykucnął. Chwycił ją za włosy i pociągnął je mocno do tyłu, odsłaniając szyję. Patrzyła mu prosto w twarz, a jednak widziała tylko jej ciemny, owalny kształt. Wyglądała jak czarna dziura, pochłaniająca wszelkie światło. Czowała, jak z każdym uderzeniem serca pulsują jej tętnice na szyi. Krew, płynąca w arteriach i żyłach, była esencją życia. Zastanawiała się, jak długo pozostanie przytomna, gdy ostrze zrobi swoje. Czy śmierć będzie łagodnym przejściem w niebyt. Dostrzegła jej nieuchronność. Przez całe życie walczyła i nigdy się nie poddawała, ale tym razem została pokonana. Leżała z odsłoniętym gardłem i odchyłoną do tyłu głową. Zobaczyła lśniące ostrze i zamknęła oczy, gdy dotknęło jej skóry.

Boże, niech to się szybko skończy.

Chirurg zaczerpnął powietrza i zacisnął rękę na jej włosach.

Nagle rozległ się huk wystrzału.

Uniosła gwałtownie powieki. Chirurg nadal był nad nią, ale nie trzymał jej już za włosy.

Skalpel wypadł mu z ręki. Poczwała na twarzy ciepłe krople krwi.

Nie swojej, lecz jego.

Osunął się do tyłu i zniknął jej z oczu.

Pogodzona już ze śmiercią, nie mogła wręcz uwierzyć, że ocalała. Próbowwała rozpaczliwie zorientować się w sytuacji. Widziała żarówkę, kołyszącą się na sznurze jak księżyc w pełni. Na ścianie poruszały się jakieś cienie. Odwróciła głowę i zobaczyła, jak Catherine Cordell opuszcza powoli rękę na łóżko.

Broń wysunęła się jej z dłoni, upadając z łoskotem na podłogę.

Z oddali słyhać było wycie syreny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Rizzoli siedziała na szpitalnym łóżku, wpatrując się w telewizor. Bandaże na jej dłoniach wyglądały jak rękawice bokserskie. Z boku głowy miała wygolony spory kawałek skóry i założone szwy. Zmagając się z pilotem do telewizora, nie zauważyła początkowo, kiedy w drzwiach stanął Moore. Dopiero gdy zapukał, odwróciła się i na niego spojrzała. Przez moment dostrzegł w jej oczach bezradność. Ale już po chwili była dawną, nieugiętą Rizzoli. Przyglądała mu się czujnie, gdy wszedł do sali i usiadł na krześle obok jej łóżka.

Z telewizora płynęła drażniąca muzyka z jakiejś tele-noweli.

— Możesz to wyłączyć? — mruknęła sfrustrowana, wskazując zabandażowaną ręką na pilota. — Nie daję rady. Myślę chyba, że będę wciskała te cholerne guziki nosem.

Wziął od niej pilota i wyłączył telewizor.

— Dziękuję — odetchnęła z ulgą i skrzywiła się natychmiast, czując ból z powodu trzech złamanych żeber.

Kiedy przestał grać telewizor, zaległa niezręczna cisza. Słyszeli przez otwarte drzwi, jak wzywano jakiegoś lekarza i jak rozwożono na korytarzu posiłki.

— Dbają tu o ciebie? — zapytał.

— Jest całkiem dobrze jak na prowincjonalny szpital. Pewnie lepiej niż w dużym mieście.

Catherine i Hoyt, ze względu na poważniejsze obrażenia, zostali zabrani śmigłowcem do Pilgrim Medical Center w Bostonie, a Rizzoli zawieziono karetką do miejscowego szpitala. Choć był oddalony od miasta, niemal wszyscy detektywi z wydziału zabójstw zdążyli ją już odwiedzić. Każdy przyniósł kwiaty. Róże, z którymi przyszedł Moore, zginęły niemal w powodzi bukietów, stojących na stolikach i nocnej szafce, a nawet na podłodze.

— O! — stwierdził z podziwem. — Masz tłumy wielbicieli.

— Tak. Uwierzyłybyś w to? Nawet Crowe przysłał kwiaty. To te lilie. Chyba chce dać mi coś do zrozumienia. Czy to nie przypomina ceremonii pogrzebowej? Widzisz te piękne orchidee? Przyniósł je Frost. Cholera, to ja powinnam posłać mu kwiaty za to, że uratował mi tyłek. To właśnie Frost poprosił o pomoc policję stanową. Kiedy Rizzoli nie odpowiadała na jego wezwania, skontaktował się z Deanem Hobbsem z FoodmMart, aby ustalić, gdzie ona jest, i dowiedział się, że pojechała do Sturdee Farm, aby porozmawiać z kobietą o czarnych włosach. Rizzoli wyliczała dalej, od kogo dostała kolejne bukiety.

— Te egzotyczne rośliny w ogromnym wazonie są od rodziny Eleny Ortiz. Goździki od sknerusa Marquette’a. A tego hibiskusa dała mi żona Sleepera.

Moore pokręcił głową ze zdumieniem.

— Pamiętasz to wszystko?

— Owszem. Nigdy nie dostawałam kwiatów, więc to pamiętna chwila.

Znów dostrzegł wrażliwość pod maską niezłomności. Zauważył coś jeszcze: blask jej ciemnych oczu. Była posiniaczona, obandażowana i miała na głowie brzydką, wygoloną łatę, ale gdy nie zwracało się uwagi na mankamenty jej twarzy, prostokątną szczękę i czoło, można było docenić, że Jane Rizzoli ma piękne oczy.

— Rozmawiałem właśnie z Frostem — oznajmił Moore. - Jest w szpitalu Pilgrim. Mówi, że Warren Hoyt wyjdzie z tego cało.

Nic nie odpowiedziała.

— Odłączyli go dziś rano od respiratora. Ma jeszcze drugą rurkę w klatce piersiowej ze względu na uszkodzone płuco, ale oddycha samodzielnie.

— Jest przytomny?

— Tak.

— Składa zeznania?

— Nie policji. Swojemu adwokatowi.

— Boże, gdybym miała okazję wykończyć sukinsyna...

— Nie zrobiłabyś tego.

— Dlaczego tak uważasz?

— Jesteś zbyt dobrą policjantką, żeby powtórzyć ten sam błąd.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nigdy nie wiadomo.

Rzeczywiście. Nigdy tego nie wiemy, dopóki los nie wystawi nas na próbę.

— Pomyślałem, że powinienem ci powiedzieć o Hoycie - stwierdził, zbierając się do wyjścia.

— Hej, Moore.

— Tak?

— Nie wspomniałeś nic o Catherine Cordell.

W istocie celowo pominął ten temat. Była głównym źródłem konfliktu między nimi, niezagojoną raną, która zniszczyła ich przyjaźń.

— Podobno wraca do zdrowia — powiedziała Rizzoli.

— Jest po operacji.

— Czy Hoyt...

— Nie. Niczego jej nie wyciął. Zdażyłaś na czas.

Oparła się o poduszkę i odetchnęła z ulgą.

— Jadę teraz do szpitala, żeby się z nią zobaczyć — oznajmił Moore.

— A co potem?

— Wrócisz do pracy i zaczniesz wreszcie odpowiadać na telefony.

— Mam na myśli ciebie i Catherine.

Zamilkł i spojrzął w okno, gdzie lśniły w promieniach słońca białe płatki lilii.

— Nie wiem.

— Marquette nadal ma do ciebie pretensje?

— Ostrzegł mnie, żebym się nie angażował. Miał rację. Nie powinienem. Jednak nie mogłem się oprzeć. Zastanawiam się teraz, czy...

— Czy jesteś naprawdę świętym Tomaszem?

Zaśmiał się smętnie i skinął głową.

— Nie ma nic bardziej nudnego niż doskonałość, Moore.

Westchnął ciężko.

— Czasem trzeba dokonać trudnego wyboru.

— W ważnych sprawach nigdy nie jest łatwo decydować.

Rozmyślał nad tym przez chwilę.

— Może to nie był wcale mój wybór, tylko jej — stwierdził.

Gdy podszedł do drzwi, Rizzoli zawołała:

— Kiedy zobaczysz się z Cordell, przekaz jej coś ode mnie, dobrze?

— Co takiego?

— Żeby następnym razem mierzyła wyżej.

Nie wiem, co będzie dalej, pomyślał.

Jechał na wschód, w kierunku Bostonu. Przez otwarte okienko po raz pierwszy od tygodni wlatywał chłodny powiew. W ciągu nocy nadciągnął zimny front z Kanady i tego ranka powietrze w mieście było rześkie, niemal czyste. Pomyślał o Mary, jego słodkiej Mary, i o tym wszystkim, co połączyło ich już na zawsze. Dwadzieścia lat małżeństwa pozostawia niezliczone wspomnienia. Nocne szepty, prywatne żarty, cała historia związku... Tak, historia. Małżeństwo składa się z takich drobiazków, jak przypalone obiady i kąpiele w basenie o północy. To właśnie

one łączą dwoje ludzi. Razem przeżywali młodość i weszli w wiek średni. Jego przeszłość należała wyłącznie do Mary.

Ale przyszłość nie.

Nie wiem, co będzie dalej. Ale wiem, co by mnie uszczęśliwiło. I myślę, że ją także. Czy na tym etapie naszego życia może nas spotkać coś lepszego?

Z każdym przejechanym kilometrem pozbywał się kolejnych wątpliwości. Kiedy wysiadł w końcu z samochodu przy Pilgrim Medical Center, szedł zdecydowanym krokiem człowieka, który wie, że podjął słuszną decyzję.

Pojechał windą na piątą kondygnację, zameldował się w recepcji i ruszył długim korytarzem do sali 523. Zapukał delikatnie i wszedł do środka.

Przy łóżku Catherine siedział Peter Falco.

W pokoju, podobnie jak u Rizzoli, pachniało kwiatami. Przez okno wpadały poranne promienie słońca, oblewając łóżko złotą poświatą. Catherine spała. Nad łóżkiem wisiała butelka z kroplówką. Kapiące do rurki krople roztworu soli lśniły jak płynne brylanty.

Moore stanął naprzeciwko Falco. Przez długi czas nie odzywali się do siebie.

W końcu Falco pochylił się i pocałował Catherine w czoło. Potem spojrzął na Moore'a i rzekł:

— Proszę o nią dbać.

— Obiecuję.

— Trzymam pana za słowo — odparł Falco i wyszedł z sali.

Moore zajął jego miejsce na krześle przy łóżku Catherine i sięgnął po jej dłoń. Przytknął ją z namaszczeniem do warg i powtórzył cicho:

— Obiecuję.

Thomas Moore był człowiekiem, który dotrzymywał obietnic. Tej także miał zamiar

dotrzymać.

EPILOG

W mojej celi jest zimno. Na zewnątrz wieje przenikliwy, lutowy wiatr i podobno zaczął znów padać śnieg. Siedzę na pryczy, owinięty kocem, i wspominam cudowny upał, który otulał nas jak opończa tego dnia, gdy spacerowaliśmy ulicami Livadii. W północnej części tego greckiego miasteczka są dwa źródelka, nazywane w starożytności Lete i Mnemozyne.

Zapomnienie i Pamięć. Napiliśmy się, wody z obu tych źródeł, a potem zasnęliśmy w cieniu gaju oliwnego.

Myślę o tym teraz, bo nie znoszę zimna. Moja skóra robi się sucha i spękana. Nie pomaga żaden krem. Przynoszą mi ulgę tylko cudowne wspomnienia ciepła, naszych spacerów po Livadii i skąpanych w słońcu kamieni, grzejących nam stopy.

Dni mijają tu powoli. Siedzę samotnie w celi, odizolowany od innych więźniów z powodu rozgłosu, jaki zdobyłem. Rozmawiają ze mną tylko psychiatrzy, ale tracą stopniowo zainteresowanie, bo nie mogą doszukać się we mnie patologicznych skłonności. Jako dziecko nie torturowałem zwierząt, nie podkładałem ognia, nie moczyłem się w łóżku. Chodziłem do kościoła i szanowałem rodziców.

I używałem kremów z filtrem.

Jestem tak samo normalny jak oni i dobrze o tym wiedzą.

Wyróżniają mnie tylko moje fantazje. To przez nie trafiłem do tej zimnej celi w zimnym mieście, gdzie wieje lodowaty wiatr i pada śnieg.

Gdy przyciskam do ramion koc, trudno uwierzyć, że istnieją na świecie miejsca, gdzie opalone ciała lśnią od potu na ciepłym piasku, a plażowe parasole powiewają w podmuchach lekkiej bryzy. A ona pojechała właśnie w takie miejsce.

Sięgam pod materac i wyciągam anons, który wyrwałem z dzisiejszej gazety, dostarczonej mi za drobną opłatą przez strażnika.

Piętnastego lutego o trzeciej po południu doktor Catherine Cordell poślubiła Thomasa Moore'a.

Pannie młodej towarzyszył jej ojciec, pułkownik Robert Cordell. Miała na sobie wciętą w tali kremową suknię z cekinami. Pan młody był ubrany na czarno.

Przyjęcie weselne odbyło się w hotelu Copley Plaza w dzielnicy Back Bay. Po miodowym miesiącu na Karaibach nowożeńcy zamieszkają w Bostonie.

Składam wycinek gazety i wsuwam go pod materac, gdzie będzie bezpieczny.

Miodowy miesiąc na Karaibach.

Jest tam teraz.

Widzę, jak leży z przymkniętymi powiekami na plaży. Na jej skórze lśnią ziarenka piasku, a jedwabiste rude włosy spływają na ręcznik. Upaja się ciepłem, całkowicie odprężona.

Nagle przytomnieje. Otwiera szeroko oczy. Serce wali jej jak młotem i oblewa ją zimny pot.

Myśli o mnie. Podobnie jak ja o niej.

Jesteśmy złączeni na zawsze, jak kochankowie. Czuje, jak oplątam ją mackami moich fantazji. Nie może się od nich uwolnić.

W celi gaśnie światło. Zaczyna się długa noc. Słysząc odgłosy śpiących za kratkami ludzi, ich pochrapywania i oddechy. Mruczają coś przez sen. Gdy zapada cisza, nie myślę o Catherine Cordell, lecz o tobie. Jesteś źródłem mojego najgłębszego bólu.

To z twojego powodu chciałbym napić się do syta ze źródła Lete, źródła zapomnienia, aby wymazać z pamięci wspomnienie tamtej nocy w Savannah, gdy po raz ostatni widziałem cię żywego.

Patrząc w mrok celi, mam przed oczami to, co się wtedy zdażyło.

Widzę twoje ramiona, podziwiam lśniąca od potu skórę, o wiele ciemniejszą niż jej, i mięśnie pleców, które pulsują rytmicznie, gdy się w nią wdzierasza. Ujarzmiasz ją tak jak przedtem inne.

A kiedy jest po wszystkim, kiedy trysnąłeś już w nią swoim nasieniem, spoglądasz na mnie i mówisz z uśmiechem:

— Teraz należy do ciebie.

Narkotyk nie przestał jeszcze działać i gdy przyciskam skalpel do jej brzucha, prawie nie reaguje. Nie sprawiając jej bólu, nie odczuwam rozkoszy.

— Mamy całą noc — mówisz.. — Zaczekaj.

Zaschło mi w gardle, idziemy więc do kuchni i nalewam sobie wody do szklanki. Noc dopiero się zaczęła i ręce drżą mi z podniecenia. Jestem rozgorączkowany na myśl o tym, co nastąpi. Popijając wodę, powtarzam sobie, że należy przedłużać rozkosz. Mamy całą noc i chcemy, by trwała.

Mówiłeś: wypatrz, ją dopadnij i daj jej nauczkę. Obiecałeś, że tej nocy dostanę skalpel.

Ale chce mi się pić i dlatego zostaję w kuchni, gdy ty wracasz sprawdzić, czy ona już się ocknęła. Stoję nadal przy zlewie, kiedy rozlega się huk wystrzału.

Czas jakby zatrzymuje się w miejscu. Pamiętam martwą ciszę, tykanie kuchennego zegara i dudnienie w uszach. Nasłuchuję, by usłyszeć twoje kroki. Pewnie powiesz mi zaraz, że natychmiast wychodzimy. Boję się poruszyć.

W końcu zmuszam się, by przejść korytarzem do sypialni. Przystaję w drzwiach.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co się stało.

Ona zwisa z łóżka, próbując podźwignąć się do góry. Broń wypadła jej z ręki. Podchodzę bliżej, biorę z nocnej szafki chirurgiczny rozwieracz i uderzam ją w skroń. Od razu nieruchomieje.

Odwracam się. i patrzę na ciebie.

Masz otwarte oczy i leżysz na plecach w kałuży krwi, wpatrując się we mnie. Poruszasz bezgłośnie wargami. Uświadamiam sobie, że kula uszkodziła ci kręgosłup. Znow próbujesz coś

powiedzieć i tym razem rozumiem, o co chodzi.

— Skończ Z tym.

Nie mówisz o niej, lecz o sobie.

Kręcę głową przerażony twoją prośbą. Nie mogę. Proszę, nie oczekuj tego ode mnie! Mam ochotę uciec, ale stoję jak sparaliżowany.

Zrób to, błagasz mnie wzrokiem. Zanim przyjdą.

Patrzę na twoje rozłożone, nieruchome nogi. Myślę o udreće, jaka cię czeka, jeśli przeżyjesz.

Mogę ci jej oszczędzić.

— Proszę...

Spoglądam na kobietę. Nie porusza się, nie widzi mnie. Chciałbym chwycić ją za włosy i zatopić skalpel głęboko w jej gardle za to, co ci zrobiła. Ale muszę znaleźć ją żywą. Tylko wtedy nie będą mnie ścigać.

Dłonie pocą mi się w gumowych rękawiczkach i kiedy sięgam po broń, wydaje mi się dziwnie nieporęczna.

Stoję obok kałuży krwi, patrząc na ciebie. Wspominam ten magiczny wieczór, gdy zwiedzaliśmy świątynię Artemidy. Była mgła i w zapadającym zmierzchu zobaczyłem cię spacerującego między drzewami. Przystanąłeś nagle i uśmiechnąłeś się do mnie w półmroku.

Nasze spojrzenia zetknęły się w przestrzeni, która dzieli świat żywych i umarłych.

Patrzę w nią teraz i czuję na sobie twój wzrok.

Robię to dla ciebie, Andrew.

Widzę w twoich oczach wdzięczność. Nawet w momencie, gdy unoszę drżącymi rękami broń i naciskam spust.

Twoja krew tryska mi w twarz, gorąca jak łzy.

Odwracam się do kobiety, która zwisa nieprzytomna na krawędzi łóżka. Kładę broń obok jej

ręki. Chwytam ją za włosy i za pomocą skalpela ucinam ich kilka tuż przy karku, gdzie nikt tego nie zauważy. W ten sposób ją zapamiętam. Ich zapach, równie odurzający jak woń krwi, będzie przypominał mi jej strach. Pozwoli mi przetrwać do naszego ponownego spotkania. Wychodzę tylnymi drzwiami w mrok.

Straciłem ten bezcenny kosmyk włosów. Już go nie potrzebuję, bo znam jej zapach jak wiosny. Znam smak jej krwi i jedwabisty pot, zraszający jej skórę. Przechowuję to wszystko w marzeniach, gdzie rozkosz krzyczy jak kobieta i zostawia krwawe ślady. Nie wszystkie trofea można wziąć do ręki i pieścić dotykiem. Niektóre możemy jedynie umieścić w najgłębszych zakamarkach umysłu, w naszej podświadomości gada, od którego wszyscy się wywodzimy. W tych obszarach psychiki, których istnienie tak wielu z nas neguje.

Ja nie wypierałem się nigdy swojej natury. Akceptuję ją. Jestem taki, jakim stworzył mnie Bóg. Jakim stworzył nas wszystkich.

Błogosławione jest jagnię, ale również lew.

A także myśliwy.

KONIEC